

DANIELLE STEEL

PIERŚCIONKI

ROZDZIAŁ 1

Kassandra von Gotthard siedziała w swobodnej pozie na brzegu jeziora w parku Charlottenburger, spoglądając, jak po wodzie rozbiegają się falki spowodowane przez kamyk, który przed chwilą cisnęła. Długie smukłe palce ujęły następny gładki kamyczek, zastygły na sekundę, a potem mimochodem posłały w stronę tafli jeziora kolejny miniaturowy pocisk.

Był upalny dzień późnego lata i słońce migotało na złocistych włosach Kassandry, spływających gładką falą na ramiona i przytrzymywanych z jednej strony twarzy grzebykiem z kości słoniowej. Ów drobny akcent był równie doskonały i pełen wdzięku jak cała sylwetka i rysy młodej kobiety. Jej ogromne oczy o kształcie migdałów miały ten sam głęboki błękit co ozdobiące park klomby kwiatów; były to oczy skłonne do śmiechu, a zarazem szepczące coś czulego, oczy w jednej chwili przepełnione pieszczotą lub kpina, a już w następnej - zadumane, jakby oglądały jakiś fantastyczny pejzaż równie odległy od rzeczywistości, jak zgiełkliwe miasto od wypiętrzonego na drugim brzegu jeziora zamku Charlottenburger. Majestatyczny gmach zdawał się wpatrywać w Kassandra, jakby należała raczej do jego czasów niżli do swoich.

Kassandra sprawiała wrażenie postaci z osiemnastowiecznego płótna, kiedy leniwie wyciągnięta na brzegu, przeczesała smukłymi palcami trawę w poszukiwaniu jeszcze jednego kamyka. W pobliżu stadko kaczek wmaszerowywało do wody, co dwójka dzieci kwitowała radosnym klaskaniem w łapki. Po chwili odbiegły, odprowadzane przez Kassandra zadumanym spojrzeniem.

- O czym pani teraz myślała? - wyrwał ją z mrzonek męski głos. Z uśmiechem zwróciła się w stronę towarzysza.

- O niczym - odparła wyciągając w jego stronę dłoń, przy czym zamigotały w słońcu brylanciki ozdobiące misterny sygnet, który miała na palcu. Mężczyzna jednak nie zwrócił najmniejszej uwagi na przepiękny pierścień, klejnoty nie miały dlań żadnego znaczenia. Intrygowała go wyłącznie Kassandra, będąca w jego oczach ucieleśnieniem odwiecznej tajemnicy życia i piękna. Była pytaniem, na które nigdy do końca nie znajdzie odpowiedzi, darem, który nigdy w całości nie będzie do niego należeć.

Poznali się minionej zimy na przyjęciu z okazji ukazania się drugiej jego powieści, zatytułowanej „Der Kuss”, utworu szokującego zuchwałym erotyzmem, a zarazem przepełnionego głęboką wrażliwością. Ta książka odniosła równie wielki sukces jak pierwsza i definitywnie zapewniła autorowi miejsce na Parnasie współczesnej literatury niemieckiej.

Był kontrowersyjny, awangardowy, czasem skandalizujący, ale przede wszystkim bardzo, bardzo utalentowany. W wieku trzydziestu lat Dolff Sterne znalazł się u szczytów sławy. I wtedy

spotkał swoje marzenie.

W wieczór pierwszego spotkania jej uroda zaparła mu dech w piersiach. Słyszał o niej już wcześniej; znała ją cała berlińska socjeta. Sprawiała wrażenie niezemskiej i nieosiągalnej, a zarazem aż przerażająco kruchej.

Kiedy ją ujrzał ubraną w obcisłą, przetykaną złotą nitką jedwabną suknię, w miniaturowej czapeczce, spod której spływała burza lśniących włosów, z przerzuconym przez ramię sobolowym futrem, doświadczył czegoś na kształt ukłucia dojmującego bólu. Nie oszołomiło go jednak złoto ani sobole, lecz ona sama - jej odmienność, jej milczenie wśród zgiełku sali, a wreszcie jej oczy. Kiedy nań popatrzyła z uśmiechem, poczuł się jak człowiek umierający.

- Gratuluję panu.

- Czego? - zapytał kompletnie zdezorientowany. Wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę, czując, jak ubywa mu lat, i to w takim tempie, że z trzydziestu trzech rychło zostało zaledwie dziesięć... aż wreszcie pojął, że i ona jest mocno zdenerwowana. Stanowiła całkowite zaprzeczenie jego wyobrażeń: była dystygowana, lecz pozbawiona wszelkiej wyniosłości; żywił podejrzenia, iż hałaśliwy tłum i wścibskie oczy napawają ją lękiem. Jak Kopciuszek umknęła bardzo wcześnie, kiedy wciąż był zajęty witaniem nowych gości. Korciło go, by za nią pobiec, odnaleźć ją i raz jeszcze, choćby na krótką chwilę, spojrzeć w te fiołkowe oczy...

Dwa tygodnie później spotkali się ponownie, właśnie tu, w parku. Przypatrywał się, jak z uśmiechem spogląda na zamek i pływające po jeziorze kaczki.

- Często tu pani przychodzi? - Stali ramię przy ramieniu, a wysoka ciemna sylwetka Dolffa uderzająco kontrastowała z porcelanową urodą Kassandry. Miał włosy koloru jej soboli i oczy, które przywodziły na myśl dwa onyksy.

Skinęła głową i przyoblekła twarz w ten swój zagadkowy, na poły dziecinny uśmiech.

- W dzieciństwie bywałam tu znacznie częściej.

- Pochodzi pani z Berlina? - Głupie pytanie, ale nie przyszło mu do głowy nic lepszego.

Roześmiała się bez złośliwości.

- Tak, a pan?

- Z Monachium - odparł. Potem stali w milczeniu, a Dolff zastanawiał się, ile lat może liczyć Cassandra. Dwadzieścia dwa? Dwadzieścia cztery? Trudno było powiedzieć.

Niespodziewanie parsknęła krystalicznym śmiechem na widok trojga dzieci, które podczas zabawy z psem wymknęły się spod opieki niańki i w ślad za swoim ulubieńcem zapędziły po kolana do wody.

- Kiedyś i ja zrobiłam coś podobnego - powiedziała. - Potem przez miesiąc niania nie zabrała mnie do parku.

Potrafił sobie wyobrazić tę scenę: opiekunka w nakrochmalonym mundurku gromi z brzegu nieposłuszną rozdokazywaną dziewczynkę. Kiedy mogło się to wydarzyć? W 1920? 1915 roku? Całe wieki temu. Jakże odmiennie wyglądało w tamtych czasach jego życie! Musiał godzić pracę z nauką, dni zatem spędzał w szkole, poranki zaś, całe popołudnia i wieczory - w piekarni rodziców. Jego świat stanowił całkowite zaprzeczenie świata tej złocistej istoty.

Od poznania jej bywał w parku regularnie, wmawiając sobie, że po wielogodzinnym pisaniu potrzebuje świeżego powietrza i ruchu. Doskonale jednak pojmował, jakie są jego prawdziwe motywy - szukał tej twarzyczki, oczu, złotych włosów... i na koniec je znalazł. Cassandra też sprawiała wrażenie radej z ponownego spotkania. I wkrótce zapanował między nimi rodzaj nie wypowiedzianego porozumienia - Dolff po pracy wyruszał na spacer, a jeśli właściwie wyliczył moment, Cassandra już czekała.

Stali się duchowymi strażnikami zamku i zastępczymi rodzicami dzieci bawiących się na brzegu jeziora, chciwie czerpali szczęście ze wszystkiego, co ich otaczało, dzielili się wspomnieniami z dzieciństwa i odkrywali przed sobą marzenia. Cassandra, co zapewne przepełniłoby jej ojca zgrozą, pragnęła związać życie z teatrem. Świadoma, że ten sen nigdy się nie spełni, fantazjowała jednak czasem, iż pewnego dnia napisze przynajmniej sztukę. Fascynowały ją monologi Dolffa o tworzeniu, o uczuciu, jakie staje się udziałem autora, kiedy jego dzieło odnosi sukces. Sława zresztą wciąż wydawała się Dolffowi - i może zawsze będzie się wydawać - czymś niezupełnie rzeczywistym. Minęło siedem lat, odkąd przeniósł się z Monachium do Berlina, pięć, odkąd tak udanie zadebiutował, trzy od chwili, gdy sprawił sobie bugatti, dwa zaś od kupna pięknego starego domu w Charlottenburgu. Mimo to nadal postrzegał to wszystko jako coś na kształt snu. Może właśnie dzięki temu zachowywał młodzieńczość i ten wiecznie dostrzegalny w jego oczach wyraz zachwytu i zdumienia. Tak, Dolff Sterne nie był jeszcze człowiekiem zblazowanym - ani w stosunku do życia, ani swojego pisarstwa, a przede wszystkim w stosunku do Kassandry.

Jego opowieści o książce zawsze słuchała oczarowana, mając wrażenie, że fabuły nabierają życia, bohaterowie zaś stają się ludźmi z krwi i kości; ba, towarzystwo Dolffa sprawiało, że jej samej krew szybciej krążyła w żyłach. On natomiast dostrzegał, jak z każdym spotkaniem słabnie lęk przyczajony w jej oczach. Od chwili kiedy się poznali, w Kassandrze zagościło coś zupełnie nowego, coś beztróskiego - młodzieńczego i apetycznego.

- Czy zdaje sobie pani sprawę, jak bardzo panią lubię, Kassandro? - zapytał żartobliwie pewnego dnia, kiedy muskani aromatycznym wiosennym wietrzykiem okrążali spacerkiem jezioro.

- Czyżby w związku z tym zamierzał pan napisać o mnie książkę?

- A powinienem?

Na moment opuściła fiołkowe oczy, potem pokręciła głową.

- Chyba nie. Bo o czym miałby pan pisać? Nie odnosiłam w życiu triumfów, nie miałam sukcesów ani osiągnięć. Żadnych, ale to żadnych.

Przez kilka sekund oczy fiołkowe i czarne mówiły sobie coś, czego jeszcze nie śmiały sformułować usta.

- Tak pani sądzi?.

- Taka jest prawda. Urodziłam się do swojego życia i umierając rozstanę się ze swoim życiem. Życiem, którego treść stanowią i będą stanowić dziesiątki eleganckich sukien, tysiące oficjalnych kolacji i nienagannie wykonanych oper... nic więcej, drogi przyjacielu.

Miała dopiero dwadzieścia dziewięć lat, a mogło się zdawać, iż straciła wszelką nadzieję, że w jej losach nastąpi jakakolwiek odmiana.

- Pozostaje ta sztuka, którą zamierza pani napisać.

Wzruszyła ramionami. Oboje znali odpowiedź. Była więźniem zamkniętym w diamentowej klatce. Po chwili jednak roześmiała się serdecznie.

- No cóż, w panu jedyna nadzieja, że zdobędę sławę. Pod warunkiem, rzecz jasna, że uczyni mnie pan bohaterką którejs z swoich książek, przemieni w swej wyobraźni w jakąś egzotyczną postać.

Już to zrobił, chociaż nie miał śmiałości jej o tym powiedzieć. Zamiast tego podjął rozmowę w żartobliwej tonacji.

- Zgoda, ale w takim razie muszę uzyskać pani aprobatę. Kim chciałaby pani zostać? Jaka postać wydaje się pani odpowiednio egzotyczna? Szpiega? Lekarki? Kochanki wybitnej osobistości?

Z udanym niesmakiem skrzywiła usta.

- Ależ, Dolffie, to okropne, cóż za brak wyobraźni! Nie, pomyślmy... - Usiadła na trawie, zdjęła szerokoskrzydły kapelusz słomkowy i wstrząsnęła swą złocistą grzywą. - Chyba aktorki... mógłby mnie pan zrobić gwiazdą scen londyńskich, a potem... - przechyliła głowę, nawijając na smukły palec kosmyk lśniących włosów. - A potem wysłać do Ameryki, gdzie też bym podbiła widownię.

- Do Ameryki? To ogromny kraj, proszę uściślić.

- Do Nowego Jorku.

- Była pani w tym mieście?

Skinęła głową.

- Tak, z ojcem, kiedy skończyłam osiemnaście lat. Było cudownie. Czułam, że... - urwała nagle. Zamierzała powiedzieć, iż w Nowym Jorku byli gośćmi Astorów, w Waszyngtonie zaś

przyjął ich sam prezydent, w ostatniej jednak chwili zdała sobie sprawę, że byłoby to błędem. Nie chciała imponować Dolfowi, zbyt go lubiła, aby prowadzić z nim takie rozmowy. Mimo sukcesów i sławy nie miał szans przekroczyć progów jej świata. Oboje zdawali sobie z tego sprawę i zgodnie przemilczeli ten temat.

- Czuła zatem pani, że... - powiedział patrząc jej w oczy.

- Że zakochałam się w Nowym Jorku. - Westchnęła i tęsknie spojrzała na jezioro.

- Czy przypomina Berlin?

Żywo pokręciła głową i zmrużyła oczy, jak gdyby pragnęła wymazać z nich obraz charlottenburskiego zamku.

- Nie, jest cudowny... nowoczesny, ruchliwy i podniecający.

- W przeciwieństwie do nudnego prowincjonalnego Berlina? - Miał ochotę parsknąć śmiechem. Dla niego Berlin wciąż był takim miastem, jakim Kassandrze jawił się Nowy Jork.

- Kpi pan sobie ze mnie - powiedziała z przyganą, której jednak wcale nie wyrażało jej spojrzenie. Uwielbiała towarzystwo Dolffa, uwielbiała rytuał ich popołudniowych spacerów. Coraz częściej zrywała dla tych spacerów więzy swych codziennych ograniczeń i powinności.

- Istotnie, pokpiwam z pani sobie, Kassandro - odparł łagodnie. - Czy ma mi to pani za złe?

Wolno pokręciła głową.

- Ależ skąd... Mam wrażenie - dodała po chwili - że znam pana lepiej niż kogokolwiek na świecie.

Niepokojące, że odczuwał tak samo. Ale nadal pozostawała jego marzeniem, ułudą zupełnie dlań - poza wspólnymi spacerami w parku - nieuchwytną.

- Rozumie pan, co mam na myśli?

- Oczywiście - przytaknął nie bardzo wiedząc, co ma odpowiedzieć. Nie chciał jej nieopatrnie spłoszyć. Nie chciał, by ich spotkania urwały się gwałtownie. A rozumiał znaczenie lepiej, niż sądziła. Naraz w porywie szaleństwa uchwycił smukłe kruche dłonie Kassandry. - Czy nie zechciałaby pani wpaść do mnie na herbatę?

- Teraz? - zapytała czując, że jej serce trzepocze się jak motyl. Chciała... nie była jednak pewna... nie sądziła, że...

- Tak, teraz. A może ma pani inne zobowiązania?

Pokręciła głową.

- Nie, żadnych. - Mogła wprawdzie skłamać, że idzie gdzieś na podwieczorek, jest z kimś umówiona, lecz nie skłamała. Obróciła tylko na Dolffa swoje wielkie fiołkowe oczy i wyszeptwała: - Bardzo chętnie.

Szli ramię przy ramieniu, usiłując beztruską rozmową i śmiechem pokryć zakłopotanie: po

raz pierwszy opuszczali wrota swojego raju. Nagle ogarnęło ich zniecierpliwienie, jakby do tej właśnie chwili przygotowywali się przez wszystkie miesiące wspólnych spacerów w parku.

Ciężkie bogato rzeźbione drzwi uchyliły się powoli i Cassandra znalazła się w przestronnym holu o marmurowej posadzce, gdzie nad biedermeierowskim biurkiem wisiał wielki i bardzo ładny obraz.

- A więc to tutaj mieszka sławny pisarz!...

Dolff uśmiechnął się nerwowo i rzucił kapelusz na blat biurka.

- Dom jest znacznie sławniejszy niż ja. Od siedemnastego wieku, kiedy to wzniósł go jakiś baron, bywał w rękach osób o wiele wybitniejszych.

- Jest przepiękny, Dolffie - powiedziała ze szczerym zachwytem Cassandra, spoglądając na zdobione wspaniałą snycerką rokokowe sklepienie.

Wyciągnął rękę.

- Proszę za mną, pokażę pani resztę.

Owa reszta - wysokie rzeźbione sufity, cudowne mozaiki parkietów, kryształowe kandelabry i smukłe eleganckie okna dające widok na ukwiecony ogród - spełniała wszystkie obietnice, jakie dom składał przy wejściu. Na parterze znajdował się główny salon i nieco mniejszy pokój, wykorzystywany przez Dolffa jako gabinet; na pierwszym piętrze była kuchnia, jadalnia i słuźbówka, gdzie gospodarz trzymał rower i trzy pary nart, na drugim zaś dwie przestronne sypialnie z widokiem na zamek i park. Obydwie miały zgrabne balkony, z kąta większej wąskie spiralne schody prowadziły na górę.

- Co tam jest? - spytała zaintrygowana Cassandra. Dom był naprawdę wspaniały i słusznie nappełniał Dolffa dumą.

- Moja wieża z kości słoniowej. Tam zawsze pracuję.

- Sądziłam, że pisze pan w gabinecie na dole.

- Nie, w nim podejmuję tylko przyjaciół, bo salon wciąż mnie troszkę przytłacza. Pracuję tylko tam - powiedział wyciągając ramię w stronę spiralnych schodów.

- Czy mogę zerknąć?

- Oczywiście, jeśli tylko nie utonie pani w papierzyskach porzrzucanych wokół biurka.

Nic jednak nie było porzrzucane ani na starannie uporządkowanym biurku, ani wokół niego. Pokój był niewielkim pomieszczeniem o pięknych proporcjach, z którego rozpościerał się widok na wszystkie strony świata; zgrabny sympatyczny kominek obiecywał ciepło, w każdym zaś możliwym kącie i zakątku piętrzyły się książki. Cassandra z westchnieniem usadowiła się w ogromnym fotelu obitym czerwoną skórą.

- Cóż za cudowne, doprawdy cudowne miejsce - powiedziała, spoglądając marzycielsko na

zamek.

- Chyba właśnie dlatego kupiłem ten dom. Dla mojej wieży z kości słoniowej i widoku.

- Rozumiem pana, chociaż i cała reszta jest piękna. - Podwinęła nogę i patrząc na Dolffa, miała na twarzy wyraz takiego spokoju, jakiego nigdy dotąd u niej nie widział. - Wie pan co, Dolffie? Czuję się tak, jakbym wreszcie wróciła do domu, jakby nastąpiła chwila, na którą czekałam całe życie - rzekła nie odrywając wzroku od jego oczu.

- Może... - odpowiedział ledwie słyszalnym szeptem. - Może ten dom również czekał na panią przez wszystkie te lata... tak samo jak ja.

Przerażenie febrycznym dreszczem przepęzło po całym jego ciele. Nie chciał tego powiedzieć. Oczy Kassandry nie wyrażały jednak gniewu.

- Przepraszam, zagalopowałem się trochę.

- Nie ma za co, Dolffie. - Wyciągnęła do niego rękę, przy czym brylantowy sygnet na jej palcu roziskrzył się w słońcu.

Dolff delikatnie ujął dłoń Kassandry i bez namysłu powoli przyciągnął ją w swoje ramiona. Tulił ją, zda się, przez całą wieczność, rozpalany coraz silniej łączywością i namiętnością jej pocałunków. Kiedy wreszcie oderwał się od niej, w jego oczach szczęście szło o lepsze z udręką.

- Kassandro...

Odwróciła się od niego i popatrzyła na park.

- Przestań - szepnęła. - Nie mów tylko, że żałujesz. Nie chcę tego słyszeć... Nie umiałabym... - Gwałtownie obróciła się na pięcie i uniosła płonące oczy ku jego twarzy. - Pragnę cię od tak dawna!

- Ale... - Brzydził się swego wahania, musiał to jednak powiedzieć, chociażby w jej imieniu.

Uniosła dłoń, żeby mu przerwać.

- Rozumiem. Cassandra von Gotthard nie mówi takich rzeczy, to zapewne masz na myśli? - Jej spojrzenie stwardniało. - Racja. Ale chciałam to powiedzieć. Dobry Boże, jak bardzo chciałam... Dopiero przed chwilą ostatecznie to pojęłam. Przedtem nie zdawałam sobie z tego sprawy. Żyłam dotąd tak, jak tego po mnie oczekiwano. I wiesz, co mi z tego przyszło, Dolffie? Nic. Czy wiesz, kim jestem? Nikim. Jestem pusta. Liczyłam... - urwała czując, że łyzy jak mgielka przyćmiewają jej wzrok. - Liczyłam, że ty wypełnisz treścią moją duszę. - Znów odwróciła się do niego plecami. - Wybacz.

Zbliżył się do niej i od tyłu objął ramionami jej kibić.

- Nigdy więcej nie mów, że jesteś nikim. Bo dla mnie jesteś wszystkim. Od naszego pierwszego spotkania pragnąłem tylko poznać cię lepiej, być z tobą, dać ci jakąś część siebie i

jakąś cząstkę ciebie otrzymać w zamian. A zarazem nie chciałem cię zranić, Kassandro. Wciąż nie chcę wciągać cię w mój świat, bo wiąże się to z ryzykiem, że stracisz zdolność życia we własnym. Nie mam prawa tego robić. Nie mam prawa zabierać cię tam, gdzie mogłabyś być nieszczęśliwa.

- Co? - Odwróciła się i popatrzyła na Dolffa z niedowierzaniem. - Sądysz, że mogłabym być z tobą nieszczęśliwa? Chociażby przez chwilę?

- Właśnie o to mi chodzi. Jak długo może trwać nasze szczęście? Godzinę? Dwie? Całe popołudnie?

- To wystarczy. Nawet chwila z tobą jest w moim życiu czymś bezcennym. - Pochyliła głowę i z jej drżących ust spłynął szept: - Kocham cię, Dolffie... Kocham cię... Ja...

Zamknął jej usta pocałunkiem, po czym wolno zeszli po wąskich schodach na drugie piętro; tu przystanęli, a Dolff wziął Kassandrę za rękę i wprowadził ją do sypialni. Kassandra drżała z lekka, gdy delikatnie zdejmował z niej szarą jedwabną suknię, kremową halkę z atłasu, misterne koronkowe drobiazgi...

A potem leżeli wtuleni w siebie przez wiele godzin, ich usta zaś, dłonie, ciała i serca stapiały się w jedno.

Od tego dnia minęły cztery miesiące romansu, który odmienił ich oboje. W oczach Kassandry pląsały iskry, kiedy usadowiona po turecku na wielkim rzeźbionym łożu Dolffa dowcipkowała, przekomarzała się i zartobliwie relacjonowała wydarzenia poprzedniego dnia. Co się zaś tyczy Dolffa, to jego twórczość nabrała nowego impetu, nowej głębi, nowej siły, płynącej, rzekłbyś, z najdalszych zakamarków duszy autora. Dzielili coś, co w ich przekonaniu nie było dotąd dane nikomu innemu, tworzyli własny świat z doświadczeń swoich dwóch tak różnych światów: z jego uporczywej, twardej walki, by odnieść sukces, i jej słabego trzepotu, by wyzwolić się ze złotych więzów.

Niekiedy, chociaż ostatnimi czasy znacznie rzadziej, chodzili jeszcze na spacer po parku i wtedy Dolff dostrzegał, że Kassandrę ogarnia smutek. Bo było tam zbyt wiele ludzi - nianiek z dziećmi, innych par - którzy przypominali Kassandrę, iż poza ścianami domu Dolffa istnieje jakiś inny świat. Nie chciała, by jej o tym przypominano.

- Chcesz już wracać? - zapytał podczas jednej z takich przechadzek.

Obserwował Kassandrę przez dłuższy czas: we wdzięcznej pozie siedziała na trawie, fałdy jasnobezowej sukni okrywały nogi, słońce krzesало iskry ze złocistych włosów. Jej szyję zdobił ciężki sznur pereł, w pobliżu leżał beżowy kapelusz, zamszowe rękawiczki i jedwabna zamszowa torebka, której zameczek z kości słoniowej miał tę samą barwę co pończochy i pantofelki.

- Tak, chcę już wracać. - Poderwała się z radosnym uśmiechem na twarzy. - W co się wpatrywałaś z takim nabożnym skupieniem?

- W ciebie.

- Dlaczego?

- Bo jesteś niewiarygodnie piękna. Czy wiesz, że gdybym postanowił cię opisać, pewno zabrakłoby mi słów?

- Więc po prostu napisz, że jestem szpetna, gruba i głupia.

Parsknęli śmiechem.

- A takie rozwiązanie sprawiłoby ci przyjemność?

- Bezgraniczną - odparła przekornie.

- Przynajmniej nikt nie mógłby się wtedy domyślić, że pisałem o tobie.

- A naprawdę zamierzasz mnie opisać?

- Pewnego dnia opiszę - odrzekł po dłuższym namyśle. - Ale jeszcze nie teraz.

- Dlaczego?

- Bo wciąż jestem tobą zbyt odurzony, żeby napisać coś spójnego. Tyle że - uśmiechnął się do niej z wyżyn swego wzrostu - to odurzenie może się okazać stanem przewlekłym.

Ich wspólne popołudnia były dla obojga świętością i tylko często doznawali rozterki, czy spędzać je w łóżku, czy też na długich rozmowach w „wieży z kości słoniowej”. Cassandra była dla Dolffa kobietą, na którą czekał całe życie, w Dolffie zaś Cassandra znalazła kogoś, kto był jej zawsze tak rozpaczliwie potrzebny - mężczyznę zdolnego pojąć najbardziej zakłócone meandry jej duszy, wszelkie tęsknoty, niezdefiniowane uczucia, bunt wobec samotności i zakazów narzucanych przez jej świat. Osiągnęli pełne zrozumienie. I oboje zdawali sobie sprawę, że - przynajmniej chwilowo - nie mają innego wyboru.

- Napijesz się herbaty, kochanie? - Cisnęła kapelusz i rękawiczki na biedermeierowskie biurko w holu, wyjęła z torebki grzebień. Był wykładany onyxem i kością słoniową, piękny i jak wszystko, co należało do Kassandry, bardzo drogi. Poprawiła fryzurę, schowała grzebyk i z szerokim uśmiechem odwróciła głowę w stronę Dolffa. - Przestań szczyrzyć do mnie zęby, głuptasie... Herbaty?

- Hmm... słucham? Tak. To jest, chciałem powiedzieć, nie. Dajmy sobie z tym spokój, Kassandro. - Stanowczym gestem ujął jej dłoń. - Chodźmy na górę.

- Chcesz mi pokazać nowy rozdział? - zapytała przewrotnie.

- Oczywiście. Mam nawet całą książkę, którą chciałbym z tobą jak najobszerniej przedyskutować.

Godzinę później ze łzami w oczach spojrzała na śpiącego Dolffa i ostrożnie wysliznęła się z łóżka. Nienawidziła rozstań, ale była już prawie szósta wieczorem. Na dziesięć minut zniknęła w wielkiej, wyłożonej białym marmurem łazience, a kiedy z niej wyszła, była kompletnie ubrana i

bardzo smutna. Przystanęła koło łóżka, Dolff zaś, jak gdyby wyczuwając jej bliskość, otworzył oczy.

- Wychodzisz? - zapytał.

Skinęła głową. Oboje mieli teraz w oczach taki sam wyraz cierpienia.

- Kocham cię.

- Ja też cię kocham. - Usiadł na łóżku i wyciągnął do niej ramiona. - Do zobaczenia jutro, najdroższa.

Uśmiechnęła się, pocałowała go w usta i stojąc już w drzwiach, posłała mu jeszcze jeden pocałunek. Dopiero wtedy zbiegła po schodach.

ROZDZIAŁ 2

Jazda z Charlottenburga do Grunewaldu zajmowała Kassandra niespełna pół godziny; już dawno opracowała najkrótszą trasę i mogłaby właściwie dotrzeć na miejsce w kwadrans, gdyby przez całą drogę przyciskała gaz do deski, zmuszając swojego granatowego fordzika do największego wysiłku. Z biciem serca zerknęła na zegarek.

Była dziś trochę spóźniona, ale powinno starczyć jej czasu na zmianę ubrania. Irytowało ją własne zdenerwowanie. To absurdalne, że czuje się jak piętnastolatka, która może nie zdążyć do domu przed zapadnięciem zmroku.

Pojawiły się przed nią i szybko zaczęły zbliżać wąskie, kręte uliczki Grunewaldu, po prawej zaś stronie legła nieskazitelnie zwierciadlana gładź jeziora Grunewaldsee. Flankujące szosę ogromne rezydencje majestatycznie trwały za szanćcami bram, ogrodzeń i drzew; pokojówki zapewne pomagały już swym paniom przebrać się do kolacji. Ale Cassandra wciąż miała nieco czasu, jeszcze nie było za późno.

Zatrzymała wóz przed bramą, wysiadła, wsunęła klucz w masywny mosiężny zamek, pchnęła ciężkie skrzydła i wjechała na teren posiadłości, nie zawracając sobie głowy zamykaniem bramy. Wyśle kogoś, żeby to zrobił, ona nie ma czasu. Jadąc, omiatała dom czujnym spojrzeniem. Zbudowany w stylu zbliżonym do francuskiego, ciągnął się z pozoru bezkresnie w lewo i prawo od głównego wejścia, miał trzy kondygnacje z szarego, dość surowego kamienia, a pod kształtnym dachem jeszcze mansardę przeznaczoną dla służby.

W tej chwili jarzyły się wszystkie okna na drugim piętrze, tylko jedno na pierwszym - gdzie znajdowały się apartamenty Kassandry i jej męża, dwie urocze biblioteki i kilka pokoi gościnnych - i znów wszystkie na parterze. Zastanawiała się przez moment, dlaczego pozapalano światła w jadalni, głównym salonie i niewielkiej palarni, a potem mimowolnie poderwała dłoń do ust.

- Dobry Boże... och, nie!

Z łomotem serca wyskoczyła z samochodu, a kiedy wbiegała po schodach, wypielęgowane trawniki zdawały się słać jej karcące spojrzenia oczyma wielobarwnych klombów. Jak mogła zapomnieć? Co powie mąż?... Ściskając w dłoni kapelusz i rękawiczki, torebkę zaś pod pachą, zaatakowała kluczem główne drzwi, te jednak otworzyły się wcześniej i oto przed Kassandra stanął lokaj Berthold - surowy, nienaganny w białym fraku i muszce, połyskujący łysą czaszką; jego oczy były tak zimne, że nie wyrażały żadnych uczuć, nawet dezaprobaty, i tylko beznamiętnie spoglądały na Kassandra. Za jego plecami sunęła przez główny hol pokojówka w czarnym mundurku i białym koronkowym fartuszk.

- Dobry wieczór, Bertholdzie.

- Dobry wieczór, proszę pani.

Drzwi zamknęły się za Kassandra dokładnie w chwili, kiedy Berthold stuknął obcasami i pochylił głowę.

Kassandra nerwowo rozejrzała się po salonie. Dzięki Bogu, wszystko było przygotowane. Zupełnie wyleciało jej z głowy, że zaprosili na kolację szesnaście osób. Na szczęście wczorajszego ranka wszystko szczegółowo omówiła z gospodynią. Frau Klemmer jak zwykle panowała nad sytuacją. Idąc spiesznie na górę, Kassandra ubolewała, że ze względu na obecność służby nie może pokonywać po kilka stopni na raz, tak jak u Dolffa, kiedy biegną do łóżka... Do łóżka... To słowo wywołało na jej ustach cień uśmiechu.

Przystanęła na piętrze i rozejrzała się po długim korytarzu utrzymanym w szaroperłowej tonacji - taki kolor miały grube chodniki, jedwab na ścianach, pluszowe zasłony w oknach. Na podeście stały dwie zdobne przepiękną markieterią i zwieńczone marmurowymi blatami komody w stylu Ludwika XV, pomiędzy zaś rozrzuconymi co półtora metra kinkietami o żarówkach w kształcie płomyków wisiały niewielkie ryciny Rembrandta, stanowiące od niepamiętnych czasów własność rodziny. Drzwi ciągnęły się długimi szeregami w lewo i w prawo od Kassyndry, ale tylko spod jednych na korytarz przesączało się światło.

Docierała do swojego apartamentu, kiedy się otwarły, uwalniając w dyskretny półmrok korytarza całą powódź blasku.

- Kassandra? - Głos, który dobiegł zza jej pleców, zabrzmiał surowo, lecz nie było szczypty surowości w lodowatobłękitnych oczach mężczyzny, który na nią patrzył. Wysoki, sprężysty mimo pięćdziesiątego ósmego roku życia, miał proste szerokie ramiona, przetykane siwizną płowe włosy i przystojną twarz w rodzaju tych, jakie widuje się na starych germańskich portretach.

- Tak mi przykro... nic nie mogłam poradzić... Jestem okropnie spóźniona. - Stali przez dłuższą chwilę patrząc sobie w oczy. Nie mówili ze sobą o wielu sprawach.

- Rozumiem. - W istocie nie miała pojęcia, jak wiele rozumie jej mąż. - Zdasz ze wszystkim? Byłoby niezręcznie, gdybyś się spóźniła.

- Będę gotowa na czas. Obiecuję. - Popatrzyła na męża ze smutkiem, który jednak nie miał nic wspólnego z tym, że zapomniała o przyjęciu. Po łączącym ich niegdyś szczęściu tylko ów smutek pozostał. Dzieląca ich w tej chwili przestrzeń korytarza zdawała się symbolem otchłani, jaka rozdzieliła te dwa żywoty.

- Pospiesz się, z łaski swojej. Aha, Kassandra... - urwał, a ona ze ściskającym krtań nagłym poczuciem winy pojęła, co zamierza powiedzieć. - Byłaś już na górze?

Pokręciła głową.

- Nie, jeszcze nie, ale wpadnę tam, zanim zejdem na dół.

Walmar von Gotthard skinął głową i cicho zamknął za sobą drzwi apartamentu - składającego się z sypialniumeblowanej niemieckimi i angielskimi antykami, gabinetu, który był niedostępnym dla innych sanktuarium pana domu, garderoby i łazienki - Cassandra zaś pospiesznie wpadła do swojego i rzuciła kapelusz na okrywającą łożę różową atlasową kapę. Jej prywatne pokoje w takim samym stopniu przypominały właścicielkę, w jakim surowy i prosty apartament męża przypominał Walmara.

Tu, u niej, wszystko było miękkie i gładkie, przesycone różem i kością słoniową, pełne atlasów i jedwabi, udrapowane i przytulne, skryte przed całą resztą świata. Garderoba - szpaler szaf wypełnionych najelegantszymi sukniami, rzędami bucików robionych na miarę i stosami kapeluszy w pudłach - dorównywała rozmiarem sypialni; zawieszony na ścianie impresjonistyczny obraz krył sejf, w którym Cassandra przechowywała biżuterię. Do apartamentu należał jeszcze salonik z widokiem na jezioro; stał w nim szezlong, odziedziczony przez Kassandra po matce, i mały damski sekretarzyk. Było tu wiele książek, które dawno przestała czytać, i blok rysunkowy, którego nie tknęła od marca. Mogło się zdawać, że już tu nie mieszka. Naprawdę żyła tylko wtedy, kiedy Dolff brał ją w ramiona.

Kopnięciem zrzuciła pantofelki, zaczęła rozpinąć lawendową suknię, a jednocześnie studiować zawartość dwóch szaf, które otworzyła na oścież, w pewnej chwili jednak zastygła czując, że nagle zabrakło jej powietrza w piersiach. Cóż ona wyrabia? W jakąż rozpaczliwą sytuację zabrnęła? Czyż może mieć nadzieję, że kiedykolwiek zacznie wieść u boku Dolffa prawdziwe życie? Była żoną Walmara - na zawsze. Wiedziała o tym teraz tak samo jak w chwili, kiedy mając dziewiętnaście lat wychodziła za tego czterdziestoosmioletniego wówczas mężczyznę. Wydawał się idealną partią. Był bliskim znajomym ojca, szefem siostrzanego banku, małżeństwo zatem praktycznie prowadziło do fuzji dwóch poważnych instytucji finansowych. A to dla ludzi pokroju Kassandry i Walmara wydawało się rozwiązaniem najbardziej sensownym. Obracali się w tych samych kręgach, prowadzili życie w tym samym stylu, ba, już kilkakrotnie w przeszłości więzy matrymonialne połączyły członków ich rodzin. Wszystkie elementy ślubnej układanki doskonale do siebie pasowały. Nie miało znaczenia, że Walmar jest od oblubienicy znacznie starszy; nie miałyby to znaczenia, nawet gdyby był starcem na łożu śmierci. Był jednak - i ten stan rzeczy nie uległ zmianie po dziesięciu latach małżeństwa - mężczyzną nieodparcie pociągającym. Co więcej, rozumiał żonę, rozumiał jej kruchą odmienność, wiedział, w jak cieplarnianych warunkach ją chowano i był gotów bronić Kassandry przed wszystkim, co na świecie brutalne i odrażające.

Życie Kassandry zostało więc przykrojone i ukształtowane przez ręce sprawniejsze w tej sztuce niż jej własne i tradycję silniejszą niż jej wola. Musiała tylko postępować tak, jak po niej oczekiwano, mając pewność, że Walmar ochroni ją, poprowadzi i nie dopuści do rozerwania

kokonu, który tkano wokół niej od dnia narodzin. Cassandra von Gotthard nie miała powodów, aby się czegokolwiek ze strony męża obawiać, ba! nie musiała się bać niczego i nikogo - z wyjątkiem może samej siebie. Teraz zdawała sobie z tego sprawę znacznie lepiej niż dotąd.

Wywierciła jedną małą dziurkę w swym kokonie ochronnym i umknęła z niego, choć była to raczej ucieczka duszy niż ciała. Wciąż trzeba było wracać wieczorami, podejmować rolę, być tym, kim być powinna: żoną Walmara von Gottharda.

- Proszę pani?...

Kassandra obróciła się nerwowo na dźwięk głosu.

- A, to ty, Anno... Dziękuję, nie jesteś mi potrzebna.

- Fraulein Hedwig prosiła, żeby pani powiedzieć... - O Boże, tylko nie to! Cassandra ze świeżymi wyrzutami sumienia odwróciła się od pokojówki. -... że dzieci chciałyby się z panią zobaczyć przed pójściem do łóżka.

- Zajrzę do nich, jak tylko się przebiorę. Dziękuję, Anno.

Ton głosu pani powiedział pokojówce, że natychmiast powinna zniknąć. Cassandra perfekcyjnie opanowała wszelkie modulacje głosu - właściwe intonacje i właściwe słowa miała we krwi; nie bywała niegrzeczna, gniewna, grubiańska, była damą w każdym calu, doskonałą przedstawicielką swojego świata.

Po wyjściu pokojówki jednak ciężko opadła na krzesło w garderobie i poczuła, że do oczu napływają jej łzy: łzy bezradności, niemocy, wewnętrznego rozdarcia. Tak, żyła w swoim świecie, bo tak ją wychowano, spełniała obowiązki, których spełnianie było jej powinnością. A zarazem codziennie uciekała z tego świata w ramiona Dolffa.

Jej rodziną był Walmar. Walmar i dzieci. Nie miała się do kogo zwrócić. Ojciec nie żył, matka umarła dwa lata po nim... Czy była w życiu równie samotna? To pytanie Cassandra mogła kierować tylko w pustkę, bo nie знаła nikogo, kto potrafiłby jej udzielić prawdziwej odpowiedzi.

Od pierwszych dni małżeństwa trzymali się od siebie na dystans, a pomysł osobnych sypialni podsunął sam Walmar. Oczywiście spędzali niekiedy w jej buduarze wieczory z chłodzonym szampanem, które kończyły się w łóżku, odkąd jednak w dwudziestym czwartym roku życia Cassandra wydała na świat drugie dziecko, wieczory takie należały do rzadkości. Podczas porodu niezbędne było cesarskie cięcie i Cassandra ledwo uszła z życiem. Właśnie od tej chwili szampan chłodził się coraz rzadziej. Od marca nie chłodził się w ogóle. Walmar zresztą nie zadawał pytań i wymówki przychodziły Kassarze z łatwością - wystarczyło napomknienie o wizycie u lekarza, drobnej niedyspozycji, chorobie, bólu głowy. Wszystko grało, Walmar rozumiał. W gruncie rzeczy jednak wracając do domu - do swojego apartamentu w jego domu - zdawała sobie sprawę, że w zasadzie nie gra nic. Jak powinna postąpić? Czy tak właśnie aż do końca będzie

wyglądać jej życie? Zapewne. A przynajmniej do chwili, kiedy Dolffa znudzi ta zabawa. Bo go znudzi wcześniej czy później, nawet jeśli w tej chwili oburzyłby się na taką supozycję. Ale Cassandra wiedziała. I co potem? Następny kochanek? I jeszcze jeden? Albo żaden?... Patrząc w lustro czuła, jak odpływa z niej cała pewność siebie. Kobieta, której jeszcze dziś po południu spędzonym w charlottenburskim domu nie trapiło nic, teraz wątpliwości opadły jak szarańcza. Wiedziała tylko, że dopuściła się zdrady wobec męża i swojego świata.

Głęboko zaczerpnęła powietrza i znów podeszła do szaf. Musiała się teraz ubrać bez względu na dręczące ją rozterki. Zrobi dla Walmara przynajmniej tyle, że będzie godziwie prezentować się przy kolacji. Gośćmi mieli być bankierzy z małżonkami; w takim towarzystwie Cassandra zawsze była najmłodsza, niemniej umiała zachowywać się z powagą i dostojeństwem.

Przez moment doznawała pokusy, by pozatrząskować drzwi szaf i pobiec na górę do dzieci - cudownych istotek ukrytych przed nią na drugim piętrze. Dzieci bawiące się nad jeziorem w Charlottenburgu zawsze przypominały jej o własnych i wtedy z dojmującym ukłuciem bólu Cassandra uświadamiała sobie, że jednych i drugich właściwie nie zna. Matką jej dzieci była, jest i będzie Fraulein Hedwig. Cassandra czuła się jak obca w towarzystwie córki i syna, tak bardzo podobnych do Walmara i tak mało do niej...

- Ależ to absurdalny pomysł, Kassandro. Nie możesz zajmować się nią osobiście - powiedział Walmar nazajutrz po narodzinach Ariany.

- Ale chcę. - Ze smutkiem popatrzyła na męża. - Jest moja.

- Nie twoja, lecz nasza - odparł i uśmiechnął się dobitnie widząc w oczach żony łzy. - Czyżbyś miała ochotę nie spać po całych nocach i zmieniać pieluszki? Po dwóch dniach padałabyś z nóg. To niesłychane, to... to nonsensowne.

Przez krótką chwilę sprawiał wrażenie lekko poirytowanego. Ale to przecież nie był nonsens. Cassandra naprawdę pragnęła zajmować się dzieckiem, pojmując zarazem, że nigdy jej na to nie pozwolą.

Niania pojawiła się w dzień po powrocie Kassandry ze szpitala i uprowadziła maleńką Arianę na drugie piętro; wieczorem surowo zgromiła Kassandrę, gdy ta przyszła odwiedzić córkę. Niemowlę należy przynosić do matki, utrzymywał Walmar, wycieczki zatem na drugie piętro są całkowicie zbędne. Arianę jednak przynoszono tylko raz dziennie, rano, a kiedy Cassandra wpadała do pokoióv dziecinnych później, piastunka oświadczała nieodmiennie, że mała śpi, gorączkuje, psoci, jest w złym humorze... Kassandrze pozostawało więc leniuchować w swoich apartamentach.

- Poczekaj, aż malutka podrośnie - mawiał Walmar. - Wtedy będziesz mogła bawić się z nią do woli.

Ale „wtedy” było już za późno. Cassandra jawiła się dziecku jako osoba praktycznie nieznaną. Niania odniosła zwycięstwo. Kiedy zaś trzy lata później urodził się syn, Cassandra była zbyt osłabiona, aby podejmować walkę. Cztery tygodnie hospitalizacji i cztery tygodnie leżenia w domu. A potem cztery miesiące bezdennej depresji... Kiedy doszła wreszcie do siebie, pojęła ostatecznie, że jest skazana na klęskę. Jej pomoc była niepotrzebna, tak samo jak towarzystwo, miłość czy czas. Była ledwie piękną panią, która ubrana w piękne suknie, roztaczając aromat najdroższych francuskich perfum, wpada niekiedy z krótkimi wizytami. Przemyciała dla dzieci ciasteczka i cukierki, trwoniła fortunę na wymyślne zabawki, tego jednak, czego od niej potrzebowały, nie pozwalano Kassandrze im dać, tym zaś, czego ona pragnęła od nich, już dawno obdarowały piastunkę.

Z wysiłkiem wzięła się w garść, wyjęła z szafy suknię i z dziewięciu par czarnych zamszowych pantofelków wieczorowych wybrała te, które kupiła ostatnio: miały z wierzchu gruszkowate wycięcia, odsłaniające pomalowane jasnym lakierem paznokcie u stóp. Rozległ się cichy szelest, kiedy zdejmowała jedwabne pończoszki o barwie kości słoniowej i zastępowała je nowymi, wyjętymi z atlasowego pudła. Przebiegła jej przez głowę myśl, że postąpiła rozważnie, biorąc kąpiel w mieszkaniu Dolffa. Nie do wiary - myślała, wsuwając się ostrożnie w długą czarną suknię - że istnieje ktoś taki jak Dolff i coś takiego jak świat Dolffa. Dom w Charlottenburgu wydawał się fantastyczną uludą. Tu była jej rzeczywistość. W świecie Walmara von Gottharda. Walmara, który jest nieodwracalnie i niezaprzeczalnie jej mężem.

Zapięła suknię - była to uszyta z czarnej krepki sięgająca kostek wąska kreacja z długimi rękawami, stójką i dekoltem na plecach. Wycięcie miało kształt wielkiej łzy i obnażało alabastrową skórę Kassandry od karku po kibić: wyglądało to tak, jakby na czarną taflę morza padła plama księżycowego blasku.

Narzuciwszy na ramiona jedwabną pelerynkę, aby osłonić suknię, starannie rozczesała włosy i upięła je długimi szpilkami o czarnych koralowych główkach. Zadowolona z efektu, zmyła makijaż, nałożyła nowy i wpięła w uszy kolczyki z brylantami gruszkowatego kształtu. Palce jej dłoni zdobił wielki szmaragd, który często nosiła do sukni wieczorowych, i brylantowy sygnet, z którym się nie rozstawała: był w rodzinie od czterech pokoleń, a maleńkie brylanciki układały się w inicjały prababki Kassandry.

Raz jeszcze zerknęła do lustra, upewniając się, że jak zwykle wygląda zniewalająco, cudownie, dostojnie. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że pod tą emanującą spokojem fasadą kryje się udręka. Nikt by nie przypuścił, że ta wyniosła młoda dama spędziła popołudnie w ramionach kochanka.

Po wyjściu na szary cichy korytarz zatrzymała się przy schodach.

Zegar stojący w rogu majestatycznie wybił godzinę siódmą. Zdążyła więc, goście mieli przybyć o wpół do ósmej. Może spędzić z Arianą i Gerhardem pół godziny. Trzydzieści minut macierzyństwa. Idąc po schodach zastanawiała się, na jaką część żywotów dzieci złożą się w sumie te jej wszystkie odwiedziny. Trzydzieści minut pomnożone przez... ile dni? Ale czyż ona sama widywała matkę częściej? Miała zupełną pewność, że nie. Jedynym naprawdę namacalnym dowodem istnienia matki w jej życiu był sygnet z brylantami.

Zapukała do drzwi bawialni, ale wąty dźwięk utonął w dobiegających z pokoju piskach i śmiechach. Dzieci zjadły kolację dawno temu, a teraz są już po kąpieli. Fraulein Hedwig kazała im pozbierać zabawki, lecz w wykonaniu tej herkulesowej pracy zapewne musiała pomagać pokojówka. No, ale przynajmniej są z powrotem w domu - większą część lata spędziły na wsi i Cassandra nie widywała ich w ogóle. W tym roku po raz pierwszy nie chciała na wakacje wyjeżdżać z Berlina. Z powodu Dolffa. Ważna akcja dobroczynna szczęśliwym zrzędzeniem losu dostarczyła jej tak rozpaczliwie potrzebnej wymówki.

Zapukała jeszcze raz i tym razem Fraulein Hedwig powiedziała „Proszę!” Kiedy Cassandra weszła do pokoju, zapanowała w nim cisza: dzieci oderwały się od zabawy i obróciły na matkę spłoszone spojrzenia. Właśnie to było Kassandrze najbardziej nienawistne - zawsze zachowywały się tak, jakby widziały ją po raz pierwszy w życiu.

- Witajcie, najdrożsi - powiedziała z uśmiechem, wyciągając ramiona. Przez chwilę nie ruszyło się ani jedno, ani drugie, wreszcie Gerhard, zachęcony przez nianię lekkim kuksańcem, najpierw drgnął, a potem jak pocisk pomknął ku matce.

- Gerhardzie, uważaj! - rozległ się w tym samym momencie ostrzegawczy głos Fraulein Hedwig. - Twoja mama jest w stroju wieczorowym.

- Nic nie szkodzi - powiedziała Cassandra, nie opuszczając ramion, chłopiec jednak przystanął jak wryty poza ich zasięgiem.

- Dzień dobry, mamusiu - wyjąkał. Miał wielkie niebieskie oczy Kassandry, lecz regularne rysy Walmara, włosy blond i krągłą, mimo piątego roku życia, sylwetkę niemowlęcia. - Zrobiłem sobie dzisiaj kuku w rączkę - oświadczył z powagą.

- Zerknijmy - powiedziała Cassandra, przyciągając go do siebie. - Och, to wygląda okropnie - dodała na widok maleńkiego draśnięcia i jeszcze mniejszego sińca. - Na pewno bardzo bolało.

- Tak - kiwnął główką. - Ale nie płakałem.

- Byłeś niezwykle dzielny.

- Wiem - przyznał szczerze z siebie rad i pomknął po jakąś zabawkę, którą zostawił w drugim pokoju.

Kassandra została z Arianą, która wciąż uśmiechała się niepewnie, stojąc u boku Fraulein

Hedwig.

- Czy nie dostanę dzisiaj całusa, Ariano?

Dziewczynka - zjawiskowa, krucha, tak śliczna, że w przyszłości urodą mogła nawet przyćmić matkę - z wahaniem ruszyła przed siebie.

- Jak się miewasz, kochanie?

- Doskonale, dziękuję, mamusiu.

- Żadnych siniaków ani zadrapań, które mogłabym wycałować?

Ariana pokręciła głową i uśmiechnęły się obie. Ten Gerhard był taki zabawny, taki dziecinny i taki odmienny od siostry - melancholijnej, cichej, nieśmiałej. Cassandra często się zastanawiała, czy jej dzieci byłyby takie same, gdyby nie wychowywała ich piastunka.

- Co dzisiaj robiłaś? - zapytała.

- Trochę czytałam i rysowałam obrazek.

- Mogę zobaczyć?

- Jeszcze nie jest skończony. - Jak zwykle.

- To nie ma znaczenia. I tak chcę go zobaczyć.

Ariana wszakże oblała się rumieńcem i żywo pokręciła głową, Cassandra zaś silniej niż zwykle poczuła się intruzem. Jakże pragnęła, aby niania i pokojówka zniknęły - choć na chwilę, choć w sąsiednim pokoju - pozostawiając ją z dziećmi sam na sam. Ale takie sytuacje zdarzały się niezmiernie rzadko, bo Fraulein Hedwig praktycznie ani na chwilę nie spuszczała podopiecznych z oka.

- Mamusiu, popatrz, co mam! - wykrzyknął Gerhard, wbiegając do bawialni z wielkim pluszowym psem w rękach.

- Skąd go wzięłaś?

- Dostałem od baronowej von Vorlach. Przyniosła mi go dziś po południu.

- Naprawdę? - zapytała z niedowierzaniem Cassandra.

- Powiedziała, że przyszła do ciebie na podwieczorek, ale ty zapomniałaś.

Kassandra zamknęła oczy i pokręciła głową.

- Okropne... naprawdę zapomniałam. Będę musiała do niej zadzwonić z przeprosinami. Ale pies jest naprawdę piękny. Ma już imię?

- Bruno. A Ariana dostała wielkiego białego kota.

- Tak?

Nie doczekała się odpowiedzi - Ariana z uporem milczała jak kamień. Kiedy wreszcie zaczęła się z nią dzielić swoimi myślami? Może później, gdy Ariana podrośnie, zostaną przyjaciółkami. W tej chwili było zarazem za późno i za wcześnie.

Na dole rozległo się bicie zegara; Gerhard podniósł na matkę zasmuconą puciołową twarzyczkę.

- Musisz już iść?

Kassandra skinęła głową.

- Przykro mi, ale tata wydaje dziś przyjęcie.

- A ty nie wydajesz? - zainteresował się Gerhard.

- Ależ wydaję, wydaję - odparła Kassandra z uśmiechem. - Tyle że gośćmi są osoby z banku taty i z innych banków.

- To będzie strasznie nudne!

- Gerhardzie! - rozległ się natychmiast karcący głos Fraulein Hedwig.

Lecz Kassandra wybuchnęła śmiechem, pochyliła się nad synkiem i wyszeptała konspiracyjnie:

- Będzie nudne... tylko nikomu o tym nie mów. To nasz wspólny sekret.

- Ale i tak wyglądasz ślicznie - stwierdził, spoglądając z aprobatą na matkę, która w rewanżu pocałowała tłustą łapkę.

- Dziękuję panu. - Przytuliła synka i pocałowała raz jeszcze, teraz w czubek płowej głowy. - Dobrej nocy, maleńki. Będziesz spał z nowym pieskiem?

- Hedwig mówi, że nie mogę.

Kassandra wyprostowała się i obdarzyła masywnie zbudowaną nianię dobrotliwym uśmiechem.

- Myślę, że jednak może.

- Jak sobie pani życzy.

Gerhard rozpromieniony posłał matce porozumiewawcze spojrzenie, Kassandra zaś popatrzyła na Arianę.

- Ty też będziesz spała z nowym kotem?

- Chyba tak - odparła Ariana, przedtem jednak ukradkiem zerknąwszy na Fraulein Hedwig.

Kassandra znów poczuła, że coś w niej umiera.

- Będziesz musiała mi go jutro pokazać.

- Dobrze, proszę pani.

Te słowa zraniły Kassandra w samo serce, lecz nic po sobie nie pokazała, kiedy czule pocałowawszy córkę pomachała dzieciom na pożegnanie i zamknęła drzwi.

Na tyle szybko, na ile pozwoliła jej wąska suknia, zeszła po schodach i znalazła się w holu akurat wtedy, kiedy Walmar witał pierwszych gości.

- Ach, jesteś, najdroższa - powiedział kwitując uśmiechem uznania wygląd żony. Następnie

dokonał prezentacji: pierwszą parę Cassandra wprowadziła z rozmaitych oficjalnych spotkań w banku, nigdy jednak nie gościli u von Gotthardów. Cassandra ciepło powitała przybyłych, po czym idąc pod rękę z mężem, poprowadziła ich do salonu.

Wieczór upłynął pod znakiem dystygowanych rozmów, obfitego jedzenia i najlepszych francuskich win. Gwarzono głównie o finansach i podróżach; o polityce - rzecz osobliwa - prawie nie wspomniano, chociaż był to rok 1934 i śmierć prezydenta von Hindenburga usunęła ostatnią przeszkodę stojącą na drodze Hitlera do władzy absolutnej. Temat w gruncie rzeczy nie był wart wzmianki. Odkąd przed rokiem Hitler został kanclerzem, finansiści niemieccy nie stracili nic ze swego znaczenia. Byli niezbędni Rzeszy, mieli swoje wobec niej obowiązki, Hitler zaś miał swoje. Bez względu na to, jak kiepską opinię na jego temat mieli niektórzy z nich, istniały niewielkie szanse, że zdoła wprowadzić zamęt w ich mateczniku. Żyj i daj żyć innym, oto uniwersalna zasada. Nie brakło oczywiście i takich, którzy dojsście Hitlera do władzy powitali z entuzjazmem. Ba, ci byli w znacznej przewadze.

Walmar nie należał do ich grona. Przerazało go tempo, z jakim umacniali się faszyci, często prywatnie ostrzegał przyjaciół, iż może doprowadzić to do wojny. Nie było jednak powodów, by o podobnych kwestiach dyskutować przy kolacji. Crepes flambees i szampan stanowiły znacznie wdzięczniejszy obiekt zainteresowania niż Trzecia Rzesza.

Ostatni goście wyszli dopiero o wpół do drugiej i znużony Walmar z ziewnięciem zwrócił się do Kassandry:

- Uważam, że przyjęcie było bardzo udane, najdroższa. Przy czym kaczką smakowała mi bardziej niż ryba.

- Naprawdę? - Odnotowała w pamięci, by nazajutrz wspomnieć o tym kucharzowi. Von Gotthardowie wydawali gargantuiczne kolacje, złożone z przystawek, zupy, dania rybnego i mięsnego, sałatek, serów, deseru i owoców. Tego po nich oczekiwano, starali się więc nie zawieść gości.

- Dobrze się bawiłaś? - zapytał, kiedy powoli szli na górę po schodach.

- Oczywiście, Walmarze. A ty?

- Było to użyteczne spotkanie. Ten belgijski kontrakt, któryśmy omawiali, prawdopodobnie dojdzie w końcu do skutku. Ważne, że przyszedł dziś Hoffman. Jestem z tego naprawdę ogromnie zadowolony.

- A więc i ja się cieszę.

Sennie podążając za mężem, Cassandra zastanawiała się, czy przypadkiem na tym właśnie nie polega jej przeznaczenie i dziejowa misja: stać u boku Walmara, kiedy zawiera kolejne „belgijskie kontrakty”, i u boku Dolffa, gdy pracuje nad nową książką. Czy chodzi właśnie o to,

aby biernie pomagała osiągać mężczyznom ich życiowe cele? Ale jeśli ma pomagać im, to dlaczego nie własnym dzieciom? Czy też - doznała nagłego olśnienia - samej sobie?

- Hoffmanowa jest bardzo piękna.

Walmar wzruszył ramionami, a chociaż miał na ustach uśmiech, w jego oczach taił się cień smutku.

- Mnie się nie podoba. Zepsułaś mnie do tego stopnia, że wszystkie inne uważam za brzydkie.

- Dziękuję.

Stanęli na podeście, ogarnięci nagłym zakłopotaniem. To był ten najtrudniejszy moment. Kiedy nie przyjmowali gości, rzecz przedstawiała się prościej: Walmar po prostu znikał w gabinecie, Cassandra szła poczytać książkę. Gdy jednak wracali na górę razem, tak jak dziś, oboje stawali na rozdrożu coraz bardziej bolesnym, coraz mocniej uświadamiającym obojgu ich samotność. Kiedyś milcząco zakładali, że spotkają się jeszcze w sypialni; teraz owym chwilom rozstania towarzyszyła aura czegoś nieodwracalnego. Za każdym razem mówili sobie coś więcej niż „dobranoc”.

- Ostatnimi czasy wyglądasz znacznie lepiej, kochanie - stwierdził Walmar. - Oczywiście nie mam na myśli urody, lecz stan zdrowia.

Odwzajemniła jego uśmiech.

- I chyba lepiej się czuję.

Coś umarło w jej oczach, kiedy to mówiła, natychmiast więc opuściła głowę. W nagle zapadłej ciszy zegar oznajmił, że upłynął kolejny kwadrans ich wspólnego życia.

- Zrobiło się późno, idź już lepiej do łóżka - powiedział cicho Walmar.

Pocałował Kassandrę w czubek głowy i zdecydowanym krokiem ruszył ku drzwiom swojego apartamentu.

Szepcząc: - Dobranoc - widziała tylko plecy męża.

ROZDZIAŁ 3

Kiedy Cassandra i Dolff kroczyli brzegiem jeziora, chłodny jesienny wiatr smagał ich po twarzach i nogach. Tego popołudnia byli w parku sami: dzieci nie wyszły jeszcze ze szkół, zakochani zaś i staruszkowie, którzy przychodzili tu karmić ptaki, woleli zapewne w tym chłodnym dniu pozostać w domach. Dolff i Cassandra byli szczęśliwi, że otacza ich pustka.

- Nie jest ci zimno? - zapytał wesoło Dolff.

Parsknęła śmiechem.

- W tym? Nie przyznałabym się, nawet gdybym przemarzła do szpiku kości.

- I słusznie. - Popatrzył z uznaniem na nowe sobolowe futro, którego skraj tańczył kilka centymetrów nad ziemią. Głowę Kassandry okrywał nałożony na bakier kapelusz, spod którego widać było proste złociste włosy ujęte na karku w ciężki węzeł. Policzki młodej kobiety były zaróżowione od zimna, jej oczy zaś jeszcze bardziej oszałamiająco fiołkowe niż zazwyczaj. Dolff obejmował Kassandrę ramieniem i patrzył na nią z ogromną dumą. Był listopad, należała więc do niego już osiem miesięcy.

- Jak się czujesz po skończeniu książki? - zapytała.

- Jak bezrobotny.

- Tęsknisz za swoimi bohaterami?

- Na początku tak, i to ogromnie. - Pocałował ją w czubek głowy. - Ale znacznie mniej, kiedy jestem z tobą. Naspacerowałaś się już i możemy wracać?

Przytaknęła; zawrócili i szybkim krokiem pokonali kilka przecznic dzielących park od domu Dolffa. Dolff otworzył drzwi i Cassandra pewnie weszła do środka. Zaczynała się tu czuć jak u siebie. W zeszłym tygodniu odwiedzili nawet z Dolffem kilka antykwariatów i kupili dwa krzesła oraz sekretarzyk.

- Herbaty? - zapytała z uśmiechem. Kiwnął głową i podążył za nią do kuchni. Nastawiła czajnik, potem usiadła na jednym z podniszczonych krzeseł.

Dolff uczynił to samo.

- Czy ma pani pojęcie, jak cudownie gościć tu madame?

- Czy ma pan pojęcie, jak cudownie jest być tutaj goszczoną, monsieur?

Zaczynała powoli dochodzić do ładu ze swoim poczuciem winy. Widać tak ułożyło się jej życie; doznała wielkiej ulgi, kiedy kilka miesięcy temu dowiedziała się przypadkowo, że jedna z siostr ojca ma tego samego kochanka od trzydziestu dwóch lat. Może jej przeznaczeniem będzie taka sama sytuacja? Może zestarzeje się z Dolffem i Walmarem, użyteczna dla obojgu, nierozdzielnie wpleciona tkanką swego życia w tkanki ich żywotów, bezpieczna pod opiekuńczymi

skrzydłami Walmara? Cóż w tym, koniec końców, takiego strasznego? Czy ktokolwiek naprawdę cierpi? Ona doznawała ukłuc bólu coraz rzadziej, i to tylko w obecności dzieci - ale to cierpienie było jej udziałem na długo przedtem, zanim pojawił się Dolff.

- Znów spoważniałaś. O czym myślisz?

- Ach, o nas... - odparła z zadumą, nalewając herbatę. Jakże inaczej ten banalny akt picia herbaty wyglądał tu, w charlottenburskim domu Dolffa, aniżeli w Grunewaldzie, gdzie przemieniał się w wystudiowany rytuał, śledzony ponurym wzrokiem lokaja!

- A więc jesteś poważna dlatego, że myślisz o nas?

Podając Dolffowi filiżankę, popatrzyła mu w oczy.

- Czasami jestem. Bo wiedz, że traktuję to bardzo poważnie.

Z namaszczeniem pokiwał głową.

- Wiem. Ja też. - A potem zapragnął powiedzieć coś, czego nie mówił nigdy przedtem. - Musisz wiedzieć, że... gdyby sprawy stały inaczej... chciałbym cię mieć na zawsze.

Zajrzała mu w oczy najgłębiej, jak mogła.

- A teraz?

- Teraz też chcę cię na zawsze - odparł z pieszczotą w głosie. Umilkł na chwilę, po czym westchnął i dodał: - Ale przecież nic nie mogę zrobić.

- Wcale nie oczekuję, że coś zrobisz. - Usiadła naprzeciwko niego. - I tak jestem szczęśliwa.

- Ona też zapragnęła powiedzieć coś, czego nie mówiła nigdy dotąd: - Jesteś najważniejszą częścią mojego życia, Dolffie.

Dla niego również ogromne znaczenie miało to, że Cassandra stanowiła tak znaczącą część jego życia. Tak bardzo je odmieniła w przeciągu ostatniego roku, roku, w którym wszystko wokół nich ulegało tylu przeobrażeniom!

Lekkim dotknięciem dłoni wyrwała go z zadumy.

- Teraz opowiedz mi o książce. Co powiedział wydawca?

W oczach Dolffa zagościł dziwny wyraz.

- Nic specjalnego.

- Nie spodobała mu się? - spytała wstrząśnięta. Książka była cudowna, przeczytała ją od deski do deski, zwinięta w kłębek na łóżku Dolffa. - Co powiedział?

- Nic. Nie jest pewien, czy będzie mógł ją opublikować.

Stąd więc brał się ów cień, jaki dostrzegła w oczach Dolffa, kiedy spotkali się dziś po południu! Dlaczego nie powiedział jej wcześniej? Ale taki już był: zawsze chciał najpierw wysłuchać jej, swoje problemy chowając na koniec.

- Oszalał? Przecież poprzednia powieść odniosła taki sukces!

- To nie ma z tym nic wspólnego. - Wstał, by włożyć filiżankę do zlewu.

- Dolffie, nic nie rozumiem.

- Ja też nie, ale wnet oboje wszystko zrozumiemy. Wytłumaczy nam to nasz umiłowany wódz.

- O czym ty mówisz?

Odwrócił się raptownie i wtedy zobaczyła, że w jego oczach płonie gniew.

- Kassandro, czy ty w ogóle masz pojęcie, co się dzieje w naszym kraju?

- Czy chodzi ci o Hitlera? To minie. Znudzi się ludziom i wypadnie z łask.

- Czyżby? A więc takie jest twoje zdanie - powiedział z goryczą. - Czy tę opinię podziela także twój mąż?

Wzmianka o Walmarze sprawiła, że przeszedł ją dreszcz.

- Nie wiem - odparła. - Niewiele mówi na ten temat, przynajmniej ze mną. Oczywiście nikt przy zdrowych zmysłach nie przepada za Hitlerem, ale nie sądzę, by ten człowiek był tak niebezpieczny, jak sądzą niektórzy.

- Nie bądź głupia, Kassandro! - Nigdy nie odzywał się do niej takim tonem, nigdy nie obnażył przed nią takich pokładów gniewu i goryczy. - Wiesz, dlaczego wydawca struga ze mnie wariata? Nie dlatego, że moja poprzednia książka źle szła, i nie dlatego, że nie spodobała mu się nowa, bo najpierw nieopatrznie przyznał, że jest nią zachwycony. Otóż dlatego, że istnieje Partia... Dlatego, Kassandro, że jestem... że jestem Żydem. - Ostatnie słowa wypowiedział prawie szeptem. - A Żyd nie ma prawa do sukcesów, nie ma prawa do nagród. W nowych Niemczech, jeśli Hitler zdoła przeprowadzić to, co sobie zamierzył, dla Żydów w ogóle nie będzie miejsca.

- Ależ to szaleństwo! - wykrzyknęła z niedowierzaniem Kassandra.

Nigdy o tym nie rozmawiali. Dolff opowiadał wprawdzie o swoich rodzicach, dzieciństwie i piekarni, lecz nigdy się nie rozwodził nad swym żydowskim pochodzeniem, nad tym, co dla niego znaczy, a w czym jest nieistotne. Ona zaś po prostu przyjęła ten fakt do wiadomości i rychło puściła w niepamięć; jeśli już wracała do niego w myślach, co zdarzało się nader rzadko, postrzegała rzecz jako nieco egzotyczną i przyjemnie podniecającą. Dolff jednak ani na moment nie zapomniał o swojej inności; szczególnie teraz, kiedy jej możliwe skutki powoli stawały się widoczne.

- Chyba nie mówisz serio. To niemożliwe - stwierdziła Kassandra po dłuższej chwili namysłu.

- Niemożliwe? Ależ podobne historie przydarzały się już innym. Nie stanowią wyjątku. I tylko Żydom. Nie przyjmują naszych nowych książek, nie chcą publikować naszych artykułów, nie odbierają telefonów. Uwierz mi, Kassandro, wiem, co mówię.

- Więc idź do innego wydawcy.

- Gdzie? W Anglii? We Francji?... Jestem niemieckim pisarzem i chcę wydawać książki w Niemczech.

- No to je wydawaj. Przecież wszyscy nie mogli zgłupieć.

- Wcale nie zgłupieli. Są mądrzejsi, niż się nam wydaje. Widzą, co nadciąga, i czują strach.

Kassandra zaszokowana słuchała jego słów. Chyba jednak przesadzał, zdenerwowany niepowodzeniem. Westchnęła przeciągle i ujęła jego dłoń.

- Nawet jeśli masz rację, to nie może trwać w nieskończoność. Zmieniają zdanie, kiedy się przekonają, że wbrew ich obawom Hitler nie jest źródłem aż tylu problemów.

- Skąd masz pewność, że nie będzie?

- Bo nie może być. Prawdziwa władza wciąż spoczywa w odpowiednich rękach. Kręgosłupem naszego kraju są nadal banki, przemysł, stare rody, a więc potęga, która nie da się nabrać na banialuki Hitlera. Co innego niższe klasy, ale cóż one w końcu znaczą?

Dolff sposepniał jeszcze bardziej.

- „Stare rody”, jak to ujęłaś, może nie dadzą się nabrać - odparł - ale jeśli nie przeciwstawią się Hitlerowi, jesteście zgubieni. I mylisz się jeszcze w jednym: nie są już w naszym kraju potęgą. Potęgą są mali szarzy ludzie, nieprzeliczone armie małych szarych ludzi, słabych w pojedynkę, lecz silnych w zbiorowości, ludzi, którzy mają po uszy „kręgosłupa”, o którym mówisz, starych rodów, arystokracji i banków. Ci ludzie wierzą w każde słowo Hitlera, ci ludzie sądzą, że znaleźli sobie nowego boga. To oni, jeśli się skrzykną, będą w Niemczech potęgą, a kiedy do tego dojdzie, w tarapaty popadną nie tylko Żydzi, lecz również tacy jak ty.

Przerażało ją to, co mówił. Jeśli ma słuszość... ale to niemożliwe... zupełnie niemożliwe.

Uśmiechnęła się, wstała i pogłaskała go po torsie.

- Miejmy nadzieję, że nie będzie tak źle, jak prorokujesz najdroższy.

Lekko pocałował Kassandra w usta, objął w talii i poprowadził na górę. Bardzo pragnęła zapytać, co zamierza zrobić z nową książką, bała się jednak, że swoją natarczywością raz jeszcze wyzwoli w nim lęki. Nie sądziła zresztą, by uprzedzenia Hitlera wobec Żydów mogły dotknąć pisarza o tak wybitnej pozycji jak Dolff Sterne.

Tego wieczoru wracając do Grunewaldu zadumana Kassandra borykała się w myślach z tym, co usłyszała od Dolffa, a kiedy wchodziła do domu, miała przed oczyma jego udręczoną twarz. Do kolacji pozostawała jeszcze godzina, tego dnia wszakże nie poszła do dzieci, lecz skryła się w swoich pokojach. A jeśli Dolff ma rację? Co z tego wynika? Co oznacza to dla nich? W końcu jednak, zanurzając się w gorącej kąpieli, uznała, że prawdopodobnie cała historia nie ma sensu. Książka zostanie wydana, a Dolff zdobędzie kolejną nagrodę. Artyści bywają czasem

przewrażliwieni... Wróciła pamięcią do innych chwil tego popołudnia. Uśmiechała się do siebie, kiedy usłyszała pukanie do drzwi. Sądząc, że to pokojówka, poleciła jej wejść, z sypialni jednak dobiegł głos męża.

- To ja, Kassandro.

- Biorę kąpiel, Walmarze.

Nie wszedł do łazienki, chociaż zostawiła uchylone drzwi, i powiedział tylko, żeby wpadła do niego, kiedy skończy się kąpać. Mówił bardzo poważnym tonem i Kassandra poczuła, że jej serce przeszzywa lęk. Czyżby to już?... Zamknęła oczy i wstrzymała oddech.

- Nie chcesz wejść?

- Nie, zapraszam cię do siebie przed kolacją.

Wychwyciła w jego głosie obawę raczej niż gniew.

- Będę za kilka minut.

- Doskonale.

Pospiesznie skończyła się myć, błyskawicznie zrobiła makijaż i uczesała włosy, potem nałożyła wiązaną pod szyją w kokardę białą jedwabną bluzkę, szare pończochy, szary prosty kostium i szare zamszowe pantofelki; toaletę uzupełniła ulubionym naszyjnikiem jej matki - podwójnym sznurem czarnych pereł i parą takichż kolczyków. Zerknąwszy w lustro na korytarzu uznała, że wygląda dyskretnie i poważnie. Jedynymi barwnymi akcentami stonowanej całości były jej złote włosy i oczy, błękitem przywodzące na myśl porcelanę Wedgwooda. Zastukała do drzwi apartamentu męża, a kiedy powiedział „Proszę” i przestąpiła próg, usłyszała, jak szara spódnica ociera się z szelestem o jedwabne pończochy. Walmar, usadowiony w jednym z brązowych skórzanych foteli stanowiących umeblowanie gabinetu, pospiesznie odłożył dokumenty, które akurat studiował.

- Wyglądasz prześlicznie, Kassandro - powiedział.

- Dziękuję. - Zajrzała mu w oczy, dostrzegając w nich prawdę i ból. Zapragnęła podejść do męża, ułatwić mu sytuację, ulżyć, stwierdziła jednak, że nie jest tego w stanie uczynić, że patrzy nań z drugiego brzegu bezdennej przepaści.

- Usiądź, proszę - powiedział, nie spuszczając z niej oka. Sherry?

Pokręciła głową. Zorientowała się, że wie. Odwróciła głowę udając, że wpatruje się w ogień. Nie miała mu nic do powiedzenia. Musi stawić czoło jego oskarżycielskim słowom i w końcu znaleźć jakieś rozwiązanie. Co powinna zrobić? Którego mężczyznę porzucić? Kochała i potrzebowała ich obu.

- Kassandro...

Jeszcze przez długą chwilę spoglądała na ogień, a potem bardzo powoli obróciła wzrok na

Walmara.

- Tak... - wydusiła z siebie z największym wysiłkiem.

- Muszę ci coś powiedzieć. To... - Było widać, że cierpi, lecz oboje mieli świadomość, iż nie ma już odwrotu. - To sprawa, którą poruszam z ogromnym bólem, sprawa z pewnością nieprzyjemna również dla ciebie. - Krew tak łomotała Kassandrze w uszach, że słowa męża dobiegały jak przez watę. Wszystko skończone: szczęście, życie... - Ale muszę ją z tobą omówić. Dla twojego dobra. Dla twojego bezpieczeństwa. Być może nawet dla bezpieczeństwa nas wszystkich.

- Dla mojego bezpieczeństwa? - wyszeptała stropiona.

- Posłuchaj... - Z westchnieniem, jakby ogarnięty nagłą słabością, opadł na oparcie fotela, Cassandra zaś dostrzegła w jego oczach lśnienie hamowanych łez. - Wiem... byłem świadom... że przez kilka ostatnich miesięcy byłaś... uwikłana w... w poniekąd trudną sytuację. - Cassandra zamknęła oczy, a słowa męża brzmiały w jej uszach jak monotony zaśpiew. - Chcę, byś wiedziała, że... rozumiem... i nie jestem temu niechętny.

Wielkie smutne oczy otworzyły się ponownie.

- Och, Walmarze... - wyjąkała Cassandra, po której policzkach pociekły łzy. - Ja nie chcę... nie mogę...

- Przestań i słuchaj. - W tym momencie mówił zupełnie jak jej ojciec. Po jeszcze jednym westchnieniu podjął: - To, co powiem, jest ogromnie ważne. Pragnę również, abys wiedziała, ponieważ w pewnym sensie cała historia stanowi już tajemnicę poliszynela, że cię kocham. I nie chcę stracić, cokolwiek o mnie w tej chwili myślisz.

Kassandra pokręciła głową, wyjęła z kieszeni chusteczkę i wysiakała nos.

- Wierz mi, Walmarze, że bardzo cię szanuję. I też cię kocham. - Było to prawdą. Darzyła go miłością i jego ból sprawiał jej udrękę.

- A więc wysłuchaj wreszcie tego, co ci mam do powiedzenia. Musisz przestać widywać swojego... przyjaciela. - Oniemiała Cassandra popatrzyła na męża ze zgrozą. - I nie z tych powodów, które pewnie chodzą ci po głowie. Mam bez mała trzydzieści lat więcej niż ty i nie jestem głupcem. Takie rzeczy niekiedy się zdarzają i bywają bolesne dla wszystkich zaangażowanych w nie osób, przy odpowiednim podejściu można się jednak z nimi uporać. Ale nie o to mi chodzi, zmierzam do czegoś zupełnie innego. Powiadam, że z przyczyn nie mających żadnego związku ze mną czy naszym małżeństwem musisz przestać widywać się z... Dolfem. - To imię przeszło mu przez usta z niemalym trudem. - Na ten związek nie mogłabyś sobie pozwolić nawet będąc panną, rozwódką czy wdową.

- Co masz na myśli? - Gniewnie porwała się na nogi, czując, jak odpywa z niej cała

wdzięczność za pobłażliwe i wyrozumiałe zachowanie Walmara. - Dlaczego? Bo jest pisarzem? Masz go za takiego jak cała kudłata, zapita cyganeria?... Rany boskie, Walmarze, to uczciwy, cudowny człowiek! - mówiła nie uświadamiając sobie, jak absurdalna jest ta żarliwa obrona kochanka przed mężem.

Walmart z westchnieniem zagłębił się w fotelu.

- Mam nadzieję, że nie uważasz mnie za tak drobnomieszczańskiego, żebym z grona tych, których obdarzam przyjaźnią, programowo eliminował pisarzy czy innych artystów. Nigdy nie popełniłem grzechu tak zaściankowego myślenia i wystawiłabyś sobie dobre świadectwo, gdybyś była łaskawa o tym pamiętać. Mam na myśli coś zupełnie innego. Musisz... - wychylił się z fotela, a jego słowa nagle nabrały żarliwości: - Musisz przestać widywać tego mężczyznę, romansować z nim, bywać w jego domu nie dlatego, że jest pisarzem... lecz dlatego, że jest Żydem. Czuję wstręt, kiedy to mówię, bo w kraju dzieje się coś odrażającego. Ale to się naprawdę dzieje, a ja nie zamierzam dopuścić, żebyś ty, Kassandro, została zamordowana lub skończyła w więzieniu, ponieważ jesteś moją żoną i matką moich dzieci! Do diabła, rozumiesz?... Rozumiesz, jakie to ważne?

Kassandra patrzyła na męża z niedowierzaniem, nie mogąc się oprzeć wrażeniu, iż koszmar, który zaczął się tego popołudnia w domu Dolffa, ciągle trwa.

- Sugerujesz, że mogliby go zabić?

- Nie wiem, co zrobią, w gruncie rzeczy nie wiem nawet, co o tym wszystkim myśleć. Dopóki jednak będziemy prowadzić spokojne życie i trzymać się na uboczu głównego nurtu wydarzeń, nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo, ani tobie, ani dzieciom, ani mnie. Ale temu człowiekowi już grozi. Kassandro, błagam... - Wyciągnął rękę i ujął jej dłoń. - Jeśli cokolwiek mu się przydarzy, nie chcę, żebyś była w to zamieszana. Gdyby sytuacja wyglądała inaczej, gdybyśmy żyli w normalnych czasach, twoje zachowanie również sprawiłoby mi ból, mimo to przymykałbym oczy. W tej chwili nie mogę. Muszę cię powstrzymać. Ty sama musisz się powstrzymać.

- A co będzie z nim? - Kassandra była zbyt przerażona, aby płakać. Ogrom problemu sprawił, że zaczęła myśleć jasno.

- Nie możemy mu nijak pomóc. Jeśli sprawy będą się toczyć takim torem jak dotąd, powinien wyjechać z Niemiec. - Znacząco popatrzył na Kassandra. - Powiedz mu o tym.

Oniemiała Kassandra wpatrywała się w kominek. Była pewna tylko jednego: nie zrezygnuje z Dolffa. Ani teraz, ani później. Nigdy.

Na moment odnalazła spojrzeniem oczy Walmara, mimo gniewu popatrzyła w nie ciepło, po czym pochyliła się nad mężem i delikatnie pocałowała go w policzek.

- Dziękuję ci za wielkoduszność - powiedziała. Nie zgromił jej za zdradę, troszczył się tylko

o jej bezpieczeństwo, być może również o bezpieczeństwo Dolffa. Niezwykły człowiek. Przez mgnienie odczuwała doń taką miłość jak za najlepszych czasów. Położyła mu dłoń na ramieniu. - Jest więc aż tak źle?

- Myślę, że nawet gorzej. Po prostu jeszcze nie wiemy. - Umilkł i dopiero po dłuższej pauzie dodał: - Ale się dowiemy.

- Trudno uwierzyć, że sprawy aż tak mogły się wymknąć spod kontroli.

Spojrzał na nią z nie skrywanym niepokojem, kiedy wstała, szykując się do wyjścia z pokoju.

- Zrobisz to, o co poprosiłem, Kassandro? - zapytał.

Chciałaby mu odpowiedzieć twierdząco, chciałaby go uspokoić, coś się jednak pomiędzy nimi niedostrzegalnie zmieniło: znał prawdę i tak było lepiej. Nie musiała go więcej okłamywać.

- Nie wiem - odparła.

- Nie masz wyboru - powiedział z gniewem. - Kassandro, zabraniam ci kategorycznie...

Ale ona cichutko wymknęła się z pokoju.

ROZDZIAŁ 4

Sześć tygodni później zniknął jeden z przyjaciół Dolffa, również literat. Znacznie mniej sławny niż Dolff, miał również kłopoty z opublikowaniem najnowszej pracy. Jego ogarnięta histerią dziewczyna zadzwoniła do Dolffa o drugiej w nocy: właśnie wróciła z Monachium, gdzie odwiedzała matkę, i znalazła w mieszkaniu ślady włamania. Helmuta nie było, na podłodze widniała plama krwi i poniewierały się kartki manuskryptów. Sąsiedzi oświadczyli, że słyszeli krzyki, a potem jęk, lecz nie potrafili powiedzieć nic więcej. Dolff pół godziny później spotkał się z nią pod domem Helmuta, zabrał do siebie, nazajutrz zaś wyekspediował do jej siostry.

Kiedy Cassandra przyjechała do niego nieco później tego samego ranka, był pogrążony w bezgranicznym przygnębieniu i rozpacz.

- Przestaję cokolwiek rozumieć, Kassandro - powiedział na przywitanie. - Krok po kroku nasz kraj ogarnia obłąd. Jakby po żyłach Niemiec rozpełzała się trucizna o powolnym działaniu. W końcu dotrze do serca i zabije nas wszystkich. - Posłał jej ponure spojrzenie i zmarszczył czoło. - Tyle że ja nie będę musiał się tym martwić.

- Co to ma niby znaczyć?

- A jak sądzisz?... Ile upłynie twoim zdaniem czasu, zanim po mnie przyjdą? Miesiąc? Pół roku? Rok?

- Przestań się wygłupiać. Helmut nie był powieściopisarzem, lecz eseistą, który otwarcie krytykował Hitlera, odkąd ten doszedł do władzy. Czy nie dostrzegasz żadnej różnicy? Cóż mogłoby ich rozwścieczyć w takiej powieści jak „Der Kuss”?

- Otóż wcale nie jestem pewien, czy widzę jakąkolwiek różnicę, Kassandro. - Z pewnym niesmakiem rozejrzał się dokoła. Nie czuł się już bezpiecznie w swoim domu. Mogli przyjść lada chwila.

- Dolff... kochanie, proszę... bądź rozsądny. Stało się coś strasznego, ale tobie to nie grozi. Jesteś powszechnie znany. Nie możesz tak po prostu zniknąć.

- Dlaczego nie? Co ich powstrzyma? Może ty? Albo ktoś inny? Oczywiście, że nie. A cóż ja zrobiłem dla Helmuta tej nocy? Nic. Do cholery, absolutnie nic!

- Rany boskie, no to wyjedź! Jedź do Szwajcarii. Mógłbyś tam publikować. I bezpiecznie żyć.

Wbił w jej oczy martwe spojrzenie.

- Kassandro, jestem Niemcem i tu jest także moja ojczyzna. Mam prawo w niej mieszkać... takie samo jak wszyscy inni. Do cholery, dlaczego miałbym się wynosić?

- No więc co mi, do diabła, próbujesz powiedzieć? - Po raz pierwszy w ciągu całego roku

wdali się w coś na kształt klótni.

- Próbuję ci powiedzieć, że mój kraj powoli niszczy siebie i naród i że chce mi się z tego powodu rzygać.

- Ale jesteś bezradny. Jeśli zatem wierzysz w to, co mówisz, wyjedź, zanim i ciebie zniszczą.

- A co z tobą, Kassandro? Zostaniesz tu wmawiając sobie, że to wszystko ciebie nie dotyczy i nie będzie dotyczyć? Masz tę pewność?

- Nie wiem... nie wiem... nic już nie wiem i niczego nie rozumiem.

Ostatnie tygodnie wycisnęły na niej piętno znużenia. I Walmar, i Dolff mówili jej to samo, ona zaś czuła się bezsilna w obliczu ich lęków. Szukała u nich pociechy, potwierdzenia, że to, w co wierzyła, nie ulegnie zmianie, a oto obaj powtarzali z uporem, że wszystko się zmienia... Zarazem Walmar potrafił tylko zakazać jej spotkań z Dolffem, Dolff zaś perorował o sytuacji, na którą żadne z nich nie było w stanie nic poradzić. Jego niespójna tyrada trwała jeszcze pół godziny, aż nagle ogarnięta złością Kassandra zerwała się na nogi.

- Czegóż ty ode mnie chcesz? Co ja mogę zrobić?

- Nic, cholera... nic. - I wtedy coś w nim pękło: wziął Kassandrę w ramiona i zaczął powtarzać przez łzy: - O Boże... Kassandro... Boże...

Tuliła go przez godzinę jak dziecko, mówiąc co chwila: - Już dobrze, dobrze, najdroższy... Kocham cię... już dobrze...

Bo cóż innego mogła mu powiedzieć? Upiór strachu, przed którym bronila się tak długo, zaczął teraz zimnym dreszczem przepelzać i po jej plecach. A gdyby to Dolffa wśród krzyków i jęków uprowadzono w noc? Jak by się zachowała, będąc na miejscu rozhisteryzowanej dziewczyny Helmuta? To się jednak nie może przydarzyć. Ani jemu, ani jej... Nie, to zupełnie niemożliwe... Ich to nie spotka.

Kiedy wróciła tego popołudnia do domu, Walmar już na nią czekał, nie w gabinecie jednak, lecz w głównym salonie. Zaprosił ją gestem i cicho zamknął podwójne przeszklone drzwi.

- Kassandro, to się staje nie do zniesienia - oświadczył bez ogródek.

- Nie chcę na ten temat podejmować dyskusji. - Odwróciła się do niego plecami i wbiła spojrzenie w ogień buzujący w kominku, nad którym wisiał portret dziadka Walmara wodzącego, zda się, oczyma za nią i jej mężem. - To nie jest odpowiedni moment.

- Nigdy nie nastąpi odpowiedni moment. Jeśli mnie nie posłuchasz, wyprawię cię z miasta.

- Nie wyjadę. Nie mogę go teraz zostawić.

Postępowała nierozumnie, przeciwstawiając się Walmarowi, lecz nie miała wyboru. Jej romans przestał być tajemnicą dwa miesiące temu; teraz, bez względu na cenę, nie zamierzała

ustąpić. Zrezygnowała już w życiu z tylu rzeczy - z marzeń o teatrze, z dzieci... Z Dolffa nie zrezygnuje na pewno.

- Walmarze - powiedziała patrząc mu w oczy - już sama nie wiem, co robić. Trudno uwierzyć w to, co zewsząd słyszę. Co się z nami dzieje? Co się dzieje z naszym krajem? I to wszystko za sprawą tego głupiego człowieczka?

- Tak to wygląda. Może po prostu zdołał obudzić jakieś szaleństwo od wieków uspięne w naszych duszach? Może ci wszyscy ludzie, którzy tak entuzjastycznie przyjęli jego triumf, po prostu od dawna czekali na przywódcę, który ich poprowadzi?

- Czy nie można go powstrzymać, zanim będzie za późno?

- Niewykluczone, że już jest za późno. On podnieca naród. Obiecuje postęp, bogactwa, sukcesy. Na tych, którzy nigdy czegoś takiego nie zakosztowali, działa to jak magnes. Nie potrafią się oprzeć.

- A pozostali?

- Pożyjemy, zobaczymy. Ale nie twój przyjaciel, Kassandro. Jeśli wydarzenia potoczą się jak dotąd, luksus wyczekiwania nie będzie mu dany. Dobry Boże, posłuchaj mnie, musisz posłuchać! Wyjedź na kilka dni do mojej matki. Przemyśl sobie wszystko z dala od nas obu.

Ona jednak nie chciała się znaleźć z dala od nich obu; zwłaszcza od Dolffa.

- Zastanowię się - odparła.

Z tonu jej głosu wywnioskował, że już podjęła decyzję. Nic więcej nie mógł zrobić. Po raz pierwszy w ciągu blisko sześćdziesięcioletniego życia Walmar von Gotthard poczuł się pokonany.

Kassandra odprowadzała go wzrokiem, kiedy zdążał do drzwi.

- Walmarze, nie zadręczaj się tak strasznie... ja... jest mi bardzo przykro.

Stojąc już w drzwiach odwrócił głowę.

- Jest ci przykro, Kassandro?... Mnie też. I będzie przykro naszym dzieciom. To, co robisz, zniszczy nie tylko ciebie, ale być może wcześniej czy później nas wszystkich.

Jednakże Kassandra von Gotthard nie przyjęła tego do wiadomości.

ROZDZIAŁ 5

W lutym Walmar i Cassandra wzięli udział w Balu Wiosennym: było coś krzepiącego w tym, że chociaż na świecie wciąż panował mróz, bawiono się z okazji rychłego nadejścia wiosny. Cassandra, w długim gronostajowym futrze narzuconym na prostą białą suknię na ramiączkach, wyglądała nie tylko piękniej niż zwykle, lecz również sprawiała wrażenie osoby, której nie trapią najmniejsze troski. Patrząc na tę oszałamiającą kobietę, nie sposób było odgadnąć, że od kilku tygodni prawie nie rozmawia z mężem i że przed paroma zaledwie godzinami wysłuchiwała kolejnej gniewnej tyrady kochanka, wiecznie teraz rozdrażnionego z powodu nie wydanej książki. Wdrażana od dzieciństwa, by poza sanktuarium swego buduaru nie demonstrować światu nic poza dystygowanym uśmiechem, z takim właśnie uśmiechem brnęła przez kolejne rytuały prezentacji i ochoczo puszczała się w tany z wszystkimi przyjaciółmi Walmara.

- Wygląda pani wręcz zniewalająco, Frau Gotthard. Jak Królowna Śnieżka - skomplementował ją pan poznany zaledwie kilka chwil wcześniej. Był finansistą, którego Walmar powitał krótkim przyjacielskim skinieniem głowy i któremu zaraz potem pozwolił uprowadzić Kassandra na parkiet.

Wirując powoli w rytmie walca, Cassandra przyglądała się kątem oka Walmarowi zajętemu pogawędką z grupką znajomych.

- Dziękuję panu. Jak rozumiem, należy pan do kręgu przyjaciół mego męża?

- Ach, to za dużo chyba powiedziane. Mieliśmy przyjemność raz czy dwa robić ze sobą interesy. W ciągu minionego roku jednak moje... hm, działania były mniej merkantylnej natury.

- Ach! Urządził więc pan sobie dłuższy urlop - powiedziała Cassandra z uprzejmym uśmiechem.

- Ależ skąd. Skoncentrowałem wysiłki, aby pomóc naszemu przywódcy stworzyć fundamenty finansów Trzeciej Rzeszy - odparł z taką mocą, że Cassandra wzdrygnęła się i spojrzała mu w oczy.

- Rozumiem. Musiał pan być niebywale zajęty.

- Co prawda, to prawda. A pani?

- Mąż i dzieci zabierają mi większość czasu.

- A co robi pani z resztą?

- Wybacz pan? - Cassandra zaczynała się czuć nieswojo w towarzystwie tego bezceremonialnego mężczyzny.

- Słyszałem, że jest pani kimś w rodzaju opiekunki sztuk i artystów.

- Czyżby? - Cassandra zanosila w duszy modły, żeby taniec wreszcie się skończył.

- W rzeczy samej. - Uśmiechał się przyjaźnie, ale w jego oczach migotały jakieś złowróżbne błyski. - Na pani jednak miejscu nie traciłbym na to czasu i energii, ponieważ w Trzeciej Rzeszy obecne koncepcje sztuki ulegną ogromnym przewartościowaniom.

- Doprawdy? - Na moment Kassandra ogarnęła słabość. Czy ten człowiek naprawdę ostrzega ją w związku z Dolffem, czy też to ona zaczyna reagować paranoicznie i dopatrywać się zagrożenia na każdym kroku?

- Tak, tak, ulegną. Bo widzi pani, mieliśmy tak... tak nieodpowiednich twórców, tacy dewianci imali się piór, że... - A zatem miał na myśli Dolffa! -... że wszystko to trzeba będzie zmienić.

Ogarnął ją nagle gniew.

- Może już się zmieniło!... Odnoszę wrażenie, że nie publikuje się dziś tych samych pisarzy, co jeszcze kilka miesięcy temu.

O Boże, cóż ona wyprawia? Co by powiedział Walmar, gdyby to słyszał? Taniec zbliżał się jednak do końca i wkrótce ten antypatyczny nieznajomy da jej spokój. Ale w tej chwili miała ochotę powiedzieć coś jeszcze!

- Proszę nie zawracać sobie ślicznej główki tymi bzdurami, Frau Gotthard.

- Nie miałam takiego zamiaru.

- Miło mi to słyszeć.

O co mu chodzi? Co ma na myśli?... Nie dowiedziała się wszakże, bo po skończonym tańcu odprowadził ją do Walmara i nie pokazał się więcej. W drodze do domu Kassandra pragnęła opowiedzieć o wszystkim mężowi, ale obawiała się, że go rozzłości lub co gorsza - przerazi. Nazajutrz zaś nie wspomniała o niczym także Dolffowi, który odzyskał dobry humor. O czym zresztą miała wspominać? O zakochanym w Trzeciej Rzeszy i Hitlerze skretyniałym finansście?

Dolff podjął decyzję: będzie pisał bez względu na to, czy znajdzie wydawcę, czy nie. W każdym razie będzie się starał publikować swoje książki, choćby jednak miał skonać z głodu, nie opuści Niemiec. Ma w nich prawo mieszkać, chociaż jest Żydem.

- Czy mógłbym panią zainteresować spacerem w parku? - zapytał Kassandra, kiedy poinformował ją o swoich postanowieniach. Miały to być pierwszy spacer od dwóch tygodni.

- Będę panu towarzyszyć z największą przyjemnością.

Przechadzali się w pobliżu zamku i nad jeziorem prawie dwie godziny, uśmiechając się do rozbawionej dzieciarni i innych spacerowiczów. Nareszcie znowu poczuli się jak przed rokiem, gdy gorączkowo szukali zbliżenia, pełni jednak obawy przed tym, co przyniesie im przyszłość.

- Wiesz, co sobie myślałem, kiedy usiłowałem cię odnaleźć?

- zapytał, niespiesznie krocząc obok Kassandra, którą trzymał za rękę.

- Powiedz.

- Że jesteś najbardziej nieuchwytną i tajemniczą kobietą, jaką kiedykolwiek poznałem, i że gdybym tylko mógł spędzić z tobą jeden dzień, byłbym szczęśliwy przez resztę życia.

- A teraz? Czy teraz jesteś szczęśliwy? - Przywarła doń całym ciałem okrytym krótkim puchatym futerkiem i tweedową spódnicą.

- Nigdy nie byłem szczęśliwszy. A ty? Czy ostatni rok nie dał ci się zbytnio we znaki? - Często się gryzł trudną sytuacją Kassandry. To ona żyła pod nieustanną presją, to ona miała dzieci i męża, a w tej chwili jeszcze świadomość, że Walmar o wszystkim wie. Powiedziała Dolffowi o jego ostrzeżeniach.

- Wcale nie był trudny. Był cudowny. - Podniosła nań oczy przepełnione miłością. - Tego zawsze pragnęłam... sądząc, że nigdy nie będę miała. - Niestety, wciąż tak naprawdę nie miała. Przynajmniej na zawsze. W każdej chwili. Nie mogąc wszakże mieć całych dni, zadowalała się popołudniami spędzonymi z Dolffem.

- Zawsze będę należeć do ciebie, Kassandro. Zawsze. Nawet kiedy zamienię się w proch.

- Nie mów takich rzeczy.

- Chciałem dodać, że za jakieś pięćdziesiąt lat, głupiutka. Nigdzie się bez ciebie nie wybieram.

Roześmiała się i pobiegli ramię w ramię brzegiem jeziora, a potem - jakby kierowani wspólną nie wypowiedzianą myślą - do domu, gdzie szybko uporali się z herbatą i zniknęli w sypialni. Kochali się długo, niecierpliwie i namiętnie, pragnąc siebie wzajem bardziej niż czegokolwiek innego na świecie, a wreszcie przytuleni zapadli w sen.

Pierwszy poruszył się Dolff, obudzony waleniem do drzwi i tupotem stóp na schodach wiodących z parteru na piętro. Nasłuchiwał przez chwilę, potem, całkiem już oprzytomniały, usiadł na łóżku. Zbudzona jego gwałtownym poruszeniem, a może instynktownie wyczuwając niebezpieczeństwo, Cassandra szeroko otworzyła oczy. Bez słowa przykrył ją kołdrą i wyskoczył z łóżka akurat w chwili, kiedy wdzierali się do sypialni. Było ich tylko czterech, ale zrazu można było odnieść wrażenie, że przez drzwi wlewa się cała rzeka brązowych mundurów i krwistoczerwonych opasek.

- Co to ma znaczyć? - zapytał surowo Dolff, zawiązując pasek szlafroka.

Zarechotali tylko i jeden chwyciwszy Dolffa za ramiona, splunął mu w twarz.

- Ale się Żydek stawia! - wykrzyknął.

Dwóch jego towarzyszy unieruchomiło Dolffa, trzeci zaś najpierw powalił go na podłogę jadowitym ciosem w brzuch, po czym kopnął w twarz, otwierając obok ust głęboką ranę, z której pociekła krew.

Czwarty w tym czasie ze spokojem rozglądał się po sypialni.

- I co my tu mamy pod pierzynką? Żydowską kurewkę, która grzeje naszego znakomitego pisarza? - Gwałtownym ruchem szarpnął kołdrę, ukazując zainteresowanym oczom swoich kompanów nagą Kassandrę. - A do tego ładniutką. Wstawaj!

Znieruchomiała najpierw, potem posłuchała; drżąc na całym smukłym ciele i ze zgrozą w oczach patrząc na Dolffa, usiadła i opuściła nogi na podłogę.

Trzej zajęci Dolffem bojówkarze pytająco zerkali na swego przywódcę, który otaksował Kassandrę spojrzeniem, po czym szczerząc zęby rzucił do podwładnych:

- Zabierzcie go stąd! - I dotykając pasa, z niejakim rozbawieniem dodał: - Chyba że chce sobie popatrzeć.

Oprzytomniały nagle Dolff wbił w Kassandrę rozpaczliwe spojrzenie i ryknął:

- Nie! Nie dotykaj jej!

- A niby czemu nie, szanowny mistrzu pióra? Ma trypra czy co?

Faszyści wybuchnęli chóralnym śmiechem, Cassandra zaś poczuła, jak na jej szyi zaciska się żelazna obręcz; świadomość tego, co ją czeka, nappełniła jej serce przerażeniem, jakiego nie zaznała nigdy w życiu. Na znak przywódcy trzej bojówkarze wywlekli Dolffa z pokoju, rozległ się łomot, gdy zrzucili go ze schodów, potem zgiełk podniesionych głosów - najdonośniejszy należał do Dolffa, który usiłował się wyrwać i wykrzykiwał imię Kassandry - a wreszcie głuche łupnięcia uderzeń, jakieś szuranie i stuk zatrzaskiwanych drzwi.

Kiedy zapadła cisza, Cassandra ze zgrozą obróciła wzrok na faszystę zajętego rozpinaniem spodni.

- Zabijecie go... dobry Boże, wy go zamordujecie! - jęknęła z rozpaczą. Nie potrafiła w tej chwili myśleć o sobie, tylko o Dolffie, być może już martwym.

- A jeśli nawet, to co? - zapytał z rozbawieniem bojówkarz. - Żadna strata dla naszego społeczeństwa. To tylko żydowski chłoptys. Może nawet żadna strata dla ciebie, uroczą żydowską księżniczko.

W fiołkowych oczach Kassandry spoza zasłony lęku wychynął gniew.

- Jak śmiesz?! Jak śmiesz?! - zawyła i skoczyła ku niemu jak pchnięta sprężyną, godząc paznokciami w jego oczy.

Odrzucił ją od siebie ciosem na odlew w twarz.

- Dość tego! - Chociaż mówił spokojnie, miał stężałe rysy. - Straciłaś kochanka, Żydóweczko, ale teraz przekonasz się, jak te rzeczy robi prawdziwy aryjczyk. Dam ci małą lekcję, kochaniutka.

Pas jak wąż wysliznął się ze szlufek i potężnie smagnał Kassandrę po nagich piersiach;

przycisnęła je dłońmi i opuściła głowę. O Boże... Wstyd w jej duszy szedł o lepsze z gniewem. Ten człowiek ją zabije. Najpierw zgwałci, a potem zabije. Musiała mu powiedzieć. Musiała... nie było wyboru. Nie miała w sobie tyle odwagi co Dolff. Wściekle popatrzyła na prześladowcę, wciąż zakrywając dłońmi pokrwawione piersi.

- Nie jestem Żydówką - powiedziała.

- Czyżby? - zbliżył się do niej z pasem gotowym do następnego uderzenia. Pod tkaniną spodni rysowała się coraz wyraźniejsza erekcja.

Opanowanie, na które Cassandra dotąd się zdobywała, ustępowało pod naporem paniki i rozpacz.

- Moje dokumenty są w torebce. Nazywam się... - rzekła z grymasem bólu wywołanego tym, co robi. - Cassandra von Gotthard. Mój mąż jest prezesem banku Tildena.

Przystanął niepewny, jak postąpić, popatrzył na Kassandra z rozdrażnieniem i podejrzliwością, wreszcie zmrużył oczy.

- I twój mąż oczywiście wie, gdzie jesteś? - zapytał.

Kassandra zadygotała. Odpowiedź twierdząca oznaczała wmieszanie w tę historię Walmara, przecząca - podpisanie na siebie wyroku.

- Wie moja gospodyni - odparła.

- Sprytnie. - Pasek powoli wsuwał się do szlufek. - Dokumenty?

- Tam.

W dwóch krokach dopadł torebki z krokodylej skóry, omal jej nie rozszarpał, po chwili gmerania znalazł portfel i wyjął z niego prawo jazdy oraz inne papiery Kassandra; przejrzał je pobieżnie, krzywiąc usta cisnął na podłogę i groźnie ruszył przed siebie.

A więc nie udało się. Nic go nie obchodziła jej tożsamość. Cassandra w duszy przygotowywała się na nieuchronne.

Staął przed nią, przez nieskończenie długą chwilę przewiercał złym wzrokiem, potem wymierzył następny bolesny policzek.

- Ty kurwo! - wrzasnął. - Ty plugawa kurwo! Na miejscu twojego męża ukręciłbym ci łeb. I pewnego dnia zginiesz za taki numer, tak samo jak ten twój zasrany Żydek. Szmata! Jesteś szmatą! Przynosisz hańbę swojej rasie i ojczyźnie. Plugawa dziwka!

Odwrócił się, wypadł z sypialni, tupiąc buciorami zbiegł po schodach i zatrzasnął za sobą drzwi. Było po wszystkim... Po wszystkim... Drżąc na całym ciele, zakrwawiona i posiniaczona Cassandra osunęła się na kolana, potem padła na podłogę i wybuchnęła płaczem.

Miała wrażenie, że przeleżała tak wiele godzin - oplakując Dolffa i ich ostatnie wspólne chwile, przerażona tym, co nastąpi później, aż nagle olśniła ją myśl, że przecież bojówkarze mogą

wrócić, aby doprowadzić do końca dzieło zniszczenia. Toteż zerkając dookoła niespokojnie, ubrała się gorączkowo i jeszcze po raz ostatni przystanęła w sypialni, gdzie narodziły się jej i Dolffa wspólne marzenia... Długo wpatrywała się w drzwi, przez które wywleczono Dolffa. Naraz powodowana impulsem podniosła z podłogi porzuconą tam, gdy niecierpliwie zaczęli się kochać, koszulę Dolffa, wciąż roztaczającą korzenno - cytrynowy aromat jego ulubionej wody kolońskiej. Wtuliła w nią zapłakaną twarz, wyszła z sypialni i zbiegła po schodach. U ich podnóża zobaczyła wielką plamę krwi; ciągnące się od niej smugi pokazywały drogę, którą napastnicy wywlekali nieprzytomnego Dolffa. Na oślep ruszyła w stronę swego samochodu zaparkowanego kilkadziesiąt metrów dalej.

Nie miała pojęcia, jak dotarła do Grunewaldu, jakoś wszakże dotarła, płacząc przez całą drogę i kurczowo zaciskając dłonie na kierownicy. Jak lunatyczka otworzyła bramę, podjechała pod dom, wyjęła klucz, otworzyła drzwi, a potem bezgłośnie, wciąż zapłakana, wbiegła na górę i wpadła do swego buduaru. Powiodła dookoła zdumionym spojrzeniem. Wróciła... jest w domu... To jej różowa, tak dobrze znana sypialnia... różowa sypialnia... różowa... róż... W kłębach wirującej przed oczyma różowej mgły Cassandra bez zmysłów osunęła się na podłogę.

ROZDZIAŁ 6

Po odzyskaniu przytomności Cassandra stwierdziła, że z zimnym kompresem na głowie leży w łóżku, w pokoju zaś panuje mrok i rozlega się dziwne brzęczenie; po chwili pojęła, że to brzęczenie wypełnia tylko jej czaszkę. Gdzieś z daleka spoglądał na nią Walmar i przykładał do jej twarzy coś bardzo ciężkiego i wilgotnego. Po pewnym czasie ściągnięto z niej bluzkę, poczuła okropne pieczenie na piersiach, później dotyk czegoś ciepłego. Minęło chyba wiele czasu, zanim brzęczenie ucichło i wzrok Kassandry na tyle odzyskał ostrość, że wyraźniej widziała rysy Walmara, który usiadł na krześle i - nie chcąc albo nie mogąc mówić - wbił spojrzenie w sufit. O nic nie pytał i tylko co kilkanaście minut zmieniał jej okłady. Przez wiele godzin w pokoju panowała ciemność; kiedy ktoś pukał do drzwi, Walmar nie pozwalał wchodzić: w takich momentach Cassandra podnosiła na niego przepelnione wdzięcznością oczy. Wreszcie zapadła w sen, z którego obudziła się chyba około północy. Gdzieś w dali płonęła niewielka lampka, a Walmar wciąż pełnił swój milczący dyżur.

Nie mógł dłużej wytrzymać - po oczach Kassandry zorientował się, że całkowicie odzyskała przytomność i nie jest już w szoku; musiał wiedzieć, co się stało... dla swojego i jej dobra.

- Kassandro - wyszeptał - opowiedz mi wszystko. Musisz.

Powiedz, co się stało.

- Zhańbiłam cię - odparła jeszcze cichszym szeptem niż mąż.

- Nie bądź głuptasem! - Ujął ją za rękę. - Kochanie, powiedz. Musisz... Ja muszę wiedzieć.

Po południu Anna przybiegła doń z krzykiem, że pani leży umierająca na podłodze w swojej sypialni. Ogarnięty zgrozą, pobiegł do apartamentów żony, gdzie znalazł ją nie tyle umierającą, ile ciężko pobitą i pogrążoną w szoku. Wtedy zrozumiał.

- Kassandro?

- Chciał mnie... chciał mnie zabić... a przedtem zgwałcić... Powiedziałam mu... kim jestem.

Walmar poczuł na ciele zimny dreszcz.

- Kto to był? - zapytał.

- Zabrali go... - wyszeptała ochryple. - Zabrali Dolffa... skatowali go... krwawił... a oni... zwlekli go po schodach... - Usiadła na łóżku i zaczęła wymiotować żółcią na opatrzony monogramem ręcznik, który podsunął jej bezradny Walmar. Kiedy skończyła, podniosła na męża martwe spojrzenie. - Jeden został... z mojego powodu... Powiedziałam mu... powiedziałam... - Cassandra wyglądała w tej chwili żałośnie. - Oni myśleli, że jestem Żydówką.

- Postąpiłaś słusznie. Gdybyś im nie powiedziała, prawdopodobnie by cię zamordowali.

Może nie zabiliby jego, ale z pewnością zabiliby ciebie - rzekł Walmar mając świadomość, że kłamie dla jej dobra. Znacznie bardziej prawdopodobna była odwrotna sytuacja.

- Co z nim zrobią?

Wziął ją w ramiona, w których Cassandra wyplakiwała się przez godzinę, a gdy wreszcie zabrakło jej łez, ostrożnie ją położył.

- Musisz teraz spać. Będę przy tobie czuwał przez całą noc.

I czuwał naprawdę, o świcie jednak wyszedł, żeby odświeżyć się i trochę odpocząć. Była to dla niego okropna noc, musiał bowiem patrzeć, jak piękną mimo bladej twarzy Kassandry omraczają grymasy sennych koszmarów. Bandzior, który ją bił, nie szczędził siły... Wpatrując się w Kassandrę godzina za godziną, Walmar zniechęcił się do faszystów mocniej niż dotąd. Oto co niesie ze sobą Trzecia Rzesza! Czy tak właśnie ma wyglądać najbliższa przyszłość? Czy człowiek będzie musiał dziękować Bogu za to, że nie jest Żydem? Walmar nie chciał być świadkiem, jak jego ojczyzna przemienia się w kraj zbirów i rabusiów, gwałcicieli, katów i cenzorów. Co się stało ze światem, że Cassandra musiała zapłacić taką cenę? Był wściekły, a zarazem na swój sposób ubolewał nad losem Dolffa.

Kiedy po kąpielach pił kawę, przełamując wewnętrzne opory zaczął przeglądać gazetę. Wiedział, jak naziści zwykli kwitować podobne historie i był niemal pewien, że znajdzie notatkę o „wypadku”, jaki spotkał Dolffa. Na ostatniej stronie jednak, wśród wiadomości „drobnych”, nie natrafił na żadną wzmiankę. A raczej nie dostrzegł jej, bo była zbyt mała.

Dwie godziny później wrócił do Kassandry - rozbudzona już i milcząca, wpatrywała się w sufit pustymi oczyma. Słyszała, jak Walmar otwiera drzwi sypialni, ale nawet nań nie spojrzała.

- Czujesz się lepiej? - zapytał. Nie udzieliła odpowiedzi, tylko ciągle patrzyła w sufit, od czasu do czasu przymykając oczy. - Chcesz, żebym ci coś przyniósł? - Tym razem pokręciła głową. - Myślę, że dobrze by ci zrobiła gorąca kąpiel.

Długo jeszcze wlepiła wzrok w sufit lub ścianę, w końcu jednak, sprawiając wrażenie, że ta czynność kosztuje ją wiele wysiłku, spojrzała na męża.

- A jeśli przyjdą zamordować ciebie i dzieci? - wychrypiła. To pytanie dręczyło ją od chwili, gdy przebudziła się rano.

- Ależ to absurd! - odparł, lecz Cassandra nie podzielała jego zdania. Teraz już wiedziała, że naziści są zdolni do wszystkiego: do wyciągania ludzi z ich własnych łóżek, uprowadzania, mordowania. - Kochanie, my jesteśmy bezpieczni - uspokajał ją, aczkolwiek zdawał sobie sprawę, że kłamie. Nikt już nie był całkowicie bezpieczny. Pewnego dnia ofiarami będą nie tylko Żydzi.

- Nieprawda, oni cię zabiją. Powiedziałam im przecież, kim jestem. Przyjdą tutaj i... i wtedy...

- Nie przyjdą. - Wyciągnął ramię i zmusił ją, by znów popatrzyła mu w oczy. - Nie przyjdą. Bądźże rozsądna. Jestem bankierem i bardzo mnie potrzebują. Nie skrzywdzą ani mnie, ani mojej rodziny. Czyż nie puścili cię wolno, kiedy powiedziałaś, kim jesteś?

Tępo pokiwała głową.

- Zhańbiłam cię - powtórzyła jak refren.

- Przestań! To już skończone. To był tylko koszmar. Obrzydliwy, okropny koszmar, ale już się skończył. Teraz musisz się wreszcie przebudzić!

Po co? Żeby przekonać się, że Dolffa już nie ma? Żeby po każdym zaśnięciu na nowo przeżywać tę samą potworność? Żeby trwać w pustce, nigdy nie zapomnieć o bólu i przerażeniu? Pragnęła tylko zapaść w sen bez marzeń. W wieczny sen. W głęboki czarny sen, z którego nie będzie musiała się budzić.

- Muszę wpaść do biura na dwie godziny - powiedział Walmar - ale po powrocie nie odstąpię cię ani na chwilę. - Cassandra skinęła głową, on zaś pochylił się i pocałował jej długie smukłe palce. - Kocham cię, Kassandro - wyszeptał. - Wszystko znów będzie dobrze.

Przed wyjściem z domu polecił Annie zanieść Kassandrze śniadanie, natychmiast wyjść z buduaru i pod żadnym pozorem nie wspominać nikomu o tym, co widziała. Anna z powagą pokiwała głową.

Pół godziny później zaniósła na górę tacę ze śniadaniem - tę samą co zawsze białą wiklinową tacę, przykrytą koronkową serwetką - podanym na serwisie z Limoges, ulubionej porcelanie babki Kassandry; nakrycie zdobiła jedna czerwona róża w wazoniku o kształcie kielicha. Cassandra skwitowała milczeniem pojawienie się pokojówki ze śniadaniem i dopiero kiedy Anna wyszła z sypialni, zainteresowała się gazetą sterczącą z koszyczka z boku tacy. Musiała sprawdzić, musiała zobaczyć... Może ukazała się choćby niewielka wzmianka, kilka słów, które powiedzą jej o losie Dolffa. Z trudem przewróciła się na bok i wsparta na łokciu rozłożyła gazetę. W przeciwieństwie do Walmara przestudiowała ją od deski do deski. W końcu na ostatniej stronie znalazła mikroskopijną, wydrukowaną nonparelem notatkę informującą, że powieściopisarz Dolff Sterne jadąc swoim bugatti miał wypadek i zginął na miejscu. Wykrzyknęła tylko raz; potem w pokoju zapanowała cisza.

Leżała bez ruchu niemal godzinę, lecz w pewnym momencie raptownie usiadła na krawędzi łóżka. Wciąż miała zawroty głowy, zdołała jednak dotrzeć do łazienki i odkręcić kran. Spojrzała w lustro i zobaczyła w nim odbicie oczu, które Dolff kochał, oczu, które patrzyły bezsilnie, gdy wywlekano go z pokoju, z domu, z życia... z jego i jej życia.

Wanna napelniała się szybko; Cassandra zamknęła drzwi.

To Walmar znalazł ją pół godziny później - z pociętymi nadgarstkami leżała bez życia w

wodzie czerwonej od krwi.

ROZDZIAŁ 7

Ciemnobrązowa limuzyna hispano-suiza, wioząca Walmara, Arianę, Gerharda i Fraulein Hedwig, dostojnie toczyła się za czarnym karawanem. Był szary lutowy dzień, od samego rana to opatulany mgłą, to smagany deszczem, dzień równie smutny jak Walmar i dwójka dzieci, które siedząc sztywno, ścisnęły dłonie opiekunki. Straciły swoją piękną panią. Złocistowłosa, błękitnooka kobieta odeszła bezpowrotnie.

Tylko Walmar w pełni rozumiał, co się stało. Tylko on zdawał sobie sprawę, jak straszliwie była rozdarta Cassandra - nie tylko pomiędzy dwoma mężczyznami, lecz również między dwoma sposobami myślenia, stylami życia, dwoma światami. Nigdy zresztą nie potrafiła całkowicie przystosować się do sztywnych reguł jej macierzystego świata. Może próby wtłoczenia jej w ramy konwencji były błędem? Może powinien był okazać dość rozsądku, by zrezygnować z niej na rzecz jakiegoś młodszego mężczyzny? Ale była tak młoda, piękna, tak pełna ciepła, stanowiła tak niewiarygodne ucieleśnienie jego marzeń o idealnej żonie! I przychodziło mu do głowy coś jeszcze: może popełnił błąd, ograniczając jej kontakty z dziećmi?

Zerknął na piastunkę, do której bez reszty należało teraz jego potomstwo. Pomarszczona twarz o prostych rysach, dobre oczy, silne dłonie. Wcześniej była guwernantką jego siostrzeńca i siostrzenicy, dobrą guwernantką. Ale Walmar miał świadomość, że to po części z jej powodu umarła Cassandra. Była kobietą, którą niedawna tragedia pozostawiła bez celu w życiu. Utrata Dolffa okazała się dla Kassandry zbyt silnym szokiem, lęk, że być może ściągnęła nieszczęście na Walmara - zbyt ciężkim brzemieniem do udźwignięcia. Po części być może dopuściła się aktu tchórzostwa lub uległa szaleństwu, Walmar jednak uzmysławiał sobie jasno, że to tylko półprawda. Napisana drżąca ręką notatka, którą znalazł przy wannie, zawierała słowa: „Żegnaj... Wybacz... K.” Poczuli, jak na ich wspomnienie do oczu napływają mu łzy. Auf wiedersehen, najdroższa... Żegnaj...

Limuzyna zatrzymała się przed łagodnymi wzgórkami i uroczyście spoglądającymi zza zasłony deszczu kamiennymi nagrobkami cmentarza w Grunewaldzie.

- To tu zostawimy mamę? - zapytał z niedowierzaniem Gerhard.

Ariana tylko rozglądała się dokoła okrągłymi ze zdziwienia oczyma.

Fraulein Hedwig skinęła głową. Walmar gestem polecił szoferowi wjechać przez bramę.

Krótką prywatną mszą żałobną z udziałem tylko Walmara, jego sędziwej matki, Hedwig i dzieci, odbyła się w grunewaldzkim kościółku luterańskim. Popołudniówki miały tego dnia zamieścić informację, że pani von Gotthard zmarła z powodu nagłej śmiertelnej grypy. Cassandra zawsze sprawiała wrażenie tak wątpliwej, że nikt nie zwątpił w prawdziwość doniesienia,

urzędnicy zaś ze strachu przed Walmarem nigdy nie ujawnią prawdy.

Za limuzyną na cmentarz wjechał mocno zniszczonym wozem luterański duchowny. Okazał życzliwość, gdy okazało się, że z powodu samobójczej śmierci Kassandry nie wchodzi w grę ani msza w rzymskokatolickim kościele, do którego uczęszczali von Gotthardowie, ani katolicki pochówek. Wsiadł teraz z auta i na założonej stronicy otworzył wyjętą z kieszeni małą Biblię. Chwilę później ze swojego rolls - royce'a wysiadła matka Walmara, baronowa von Gotthard, z hispano - suizy zaś Walmar z dziećmi i Fraulein Hedwig. Śmiertelnie poważny przedstawiciel zarządu cmentarza czekał już z otwartym parasolem w dłoni.

Gerhard, mocno ściskając rękę niani, cichutko popłakiwał, Ariana natomiast rozglądała się dokoła. Tyle nagrobków, tyle nazwisk, takie wielkie pomniki, takie niesamowicie poskręcane drzewa... Wiosną będzie tu zielono i ładnie, teraz jednak zszarzała ziemia powybrzuszana garbami grobów sprawiała przygnębiające wrażenie. Ariana wiedziała, że nie zapomni tego dnia. Przez całą noc opłakiwała matkę, której oszałamiająca uroda, wielkie smutne oczy i lśniące włosy przepełniały ją trwożnym zachwytem. Fraulein Hedwig nie pozwalała jej dotykać, by nie poplamili sukni. Dziwne, że muszą ją teraz zostawić - w tej skrzynce, na deszczu. Świadomość, że pozostanie tu sama, samiuteńka pośród tych wszystkich wzgórków, przepełniała Arianę smutkiem.

Kassandra miała zostać pochowana w rodzinnej kwaterze von Gotthardów, gdzie spoczywał już ojciec Walmara, jego starszy brat, dziadkowie i trzy ciotki. A teraz - pomyślał Walmar - dołączy do nich ona: olśniewająca wybranka, krucha żona o tajemniczym uśmiechu i rozmarzonych oczach. Z nagrobków przeniósł spojrzenie na dzieci: córka odrobinę przypominała matkę, syn natomiast wcale.

Ariana nosiła tego dnia białą sukienkę, białe pończoszki na długich nogach źrebca i granatowy aksamitny płaszczyk, którego kołnierz został uszyty z resztek wspaniałego gronostajowego futra Kassandry, Gerhard zaś, niemal bliźniacze odbicie siostry, krótkie białe spodenki, białe rajtuzy i granatowe paletko. Tylko dzieci mu teraz pozostały, toteż Walmar poprzysiągł sobie solennie, że obroni je przed złem, które zniszczyło ich matkę. Cokolwiek stanie się w kraju, bez względu na to, jak wielkiej dewaluacji ulegną wszelkie wartości, nie dopuści, by jakaś krzywda spotkała jego dzieci. Zapewni im bezpieczeństwo, dopóki Niemcy znów nie będą wolne od faszyzmu i hitlerowskiej zarazy. Przecież to nie może trwać wiecznie! Któregoś dnia burza wreszcie minie.

-... i wieczny odpoczynek racz jej dać Panie, a światłość wiekuista niechaj jej świeci. Amen.

Uczestnicy pogrzebu przeżegnali się, w zadumie patrząc na trumnę z ciemnego drewna. Deszcz, jakby opłakujący Kassandra, lunął ze zdwojoną mocą, nikt jednak nie zwrócił na to uwagi.

Wreszcie Walmar skinął głową i delikatnie położył dłonie na ramionach dzieci.

- Chodźmy - powiedział. - Musimy już wracać.

Gerhard nie zamierzał posłuchać. Fraulein Hedwig musiała go niemal siłą zaciągnąć do samochodu i posadzić na fotelu. Ariana, raz jeszcze spojrzawszy przez ramię na trumnę matki i na ojca, stojącego samotnie teraz, gdy odjechała już starsza pani von Gotthard i kapłan luterański, pospieszyła za nimi.

Walmar wpatrywał się w trumnę ozdobioną jednym tylko wieńcem z białych kwiatów - orchidei, róż, konwalii... Z kwiatów, które kochała. Na chwilę ogarnęła go pokusa, by zabrać Kassandrę ze sobą, nie zostawiać w tym miejscu pośród ludzi tak bardzo do niej niepodobnych: ciotek, ojca, poległego na wojnie starszego brata. Była tak dziewczęca i tak młoda! Cassandra von Gotthard, zmarła w wieku lat trzydziestu. Walmar nadal nie mógł uwierzyć, że już jej nie ma.

Poczuł nagle, że do jego dłoni wkradają się małe paluszki: pochylił głowę i ujrzał Arianę, stojącą u jego boku w przemoczonym płaszczu z gronostajowym kołnierzem.

- Musimy już jechać, tatusiu. No chodź, zabierzemy cię do domu.

Sprawiała wrażenie tak dorosłej, mądrej i pełnej miłości!... W jej wielkich smutnych niebieskich oczach dostrzegł wspomnienie tamtych oczu. W milczeniu skinął głową, czując, jak na jego twarzy łzy mieszają się z kroplami deszczu, które skapywały z ronda kapelusza.

Ani on, ani mała nie spojrzeli za siebie, kiedy trzymając się za ręce szli do samochodu i wsiadali do środka; nie widzieli, jak grabarz zaczyna zasypywać ziemią trumnę Kassandry i zasypuje tak długo, aż na grunewaldzkim cmentarzu wyrasta pośród innych jeszcze jeden pagórek.

Księga druga

Ariana

Berlin

ROZDZIAŁ 8

- Ariano? - zawołał Walmar ze zniecierpliwieniem, stojąc u podnóża schodów. Jeśli się nie pospieszy, będą spóźnieni. - Ariano!?

Pokoje dziecięce zostały przekształcone w pomieszczenia bardziej odpowiadające potrzebom nastolatków; od czasu do czasu Walmar igrał z myślą, czyby nie przenieść syna i córki na pierwsze piętro, bliżej siebie, ale nigdy nie potrafił się zmusić do otwarcia drzwi apartamentu Kassandry, który przez siedem lat stał zamknięty. Po drugie zaś Ariana i Gerhard przywykli do miejsc, gdzie wychowywali się od najwcześniejszego dzieciństwa.

Zegar wybił siódmą trzydzieści i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki światło zalało hol na drugim piętrze. Walmar podniósł głowę i ujrzał córkę: zjawisko w zwiewnej sukni z białej organdy, niezmierną istotę o złocistych włosach, w które powplatano mnóstwo białych różyczek. Długa szyja wylaniała się ze śnieżnobiałego dekoltu na kształt rzeźby z kości słoniowej zakończonej twarzą kamei o rozjarzonych oczach. Powoli zeszła na dół, odprowadzana spojrzeniem Gerharda wychylonego z drzwi dawnej bawialni.

To właśnie on zniweczył zakłęcie, wołając do oszołomionego urodą córki Walmara:

- Nieźle wygląda, co? Jak na dziewczynę.

Ariana rozpromieniła się, Walmar zaś posłał Gerhardowi znużony uśmiech.

- Powiedziałbym raczej, że jak na dziewczynę wygląda wręcz niewiarygodnie.

Tej wiosny Walmar skończył sześćdziesiąt pięć lat, a czasy nie były łatwe dla mężczyzny w jego wieku, ba, nie były łatwe dla nikogo, skoro wojna trwała już od trzech lat. Na oko zresztą niewiele się zmieniło: Berlin kipiał życiem, odbywały się nieustanne przyjęcia, gale operowe i teatralne, wymyślano coraz to nowe formy rozrywki. Walmar uchylał się od tego z niemałym wysiłkiem, żyjąc pod nieustanną presją obowiązków głowy rodziny i szefa banku, unikania kłopotów, a wreszcie troski o to, aby trucizna płynąca teraz swobodnie po krwiobiegu Niemiec nie wsączyła się do żył jego dzieci. Tak, to wszystko nie było łatwe, na razie jednak dawał sobie radę na każdym życiowym wirażu. Bank Tildena wciąż pozostawał godną zaufania instytucją finansową, sam Walmar zaś był na tyle potrzebny państwu, że nie musiał się zbytnio przejmować ani dobrobytem, ani bezpieczeństwem rodziny.

Kiedy Ariana i Gerhard osiągnęli wiek, w którym - wedle nowych zwyczajów - powinni wstąpić do organizacji młodzieżowych, Walmar szepnął do właściwych uszu, że Gerhard ma kłopoty z nauką i chroniczną astmę, poza tym w towarzystwie rówieśników staje się chorobliwie nieśmiały. Tak, od śmierci matki... to zrozumiałe... A co z Arianą? Nie ma żadnej pewności, że kiedykolwiek otrząśnie się z szoku. Dystygowany wdowiec arystokratycznego pochodzenia,

dwoje nieletnich dzieci i bank - to wystarczało, by przetrwać w wojennych Niemczech, jeśli tylko człowiek okazywał cierpliwość, powściągliwość w słowach i kiedy trzeba, bywał ślepy i głuchy.

Walmar wciąż pamiętał przerażenie Ariany, która pewnego dnia, trzy lata po śmierci matki, postanowiła wpaść z wizytą do kuśnierza Kassandry. Ów kuśnierz, niejaki Rothmann, zwykł w dawnych czasach podejmować małą Arianę gorącą czekoladą i ciasteczkami, na pożegnanie zaś obdarowywać skrawkami szynszylki i innych pięknych futerek. Tym razem pod pracownią Rothmanna, zdewastowaną i doszczętnie złupioną, Ariana ujrzała pół tuzina mężczyzn z krwistoczerwonymi opaskami na ramionach. Na kawałku rozbitej szyby wystawowej widniał napis: „Juden”.

Ariana z płaczem pobiegła do banku, gdzie jej ojciec zamknął drzwi gabinetu i oświadczył stanowczo:

- Nie możesz o tym nikomu mówić, Ariano! Nikomu! Pod żadnym pozorem nie rozmawiaj z nikim o tym, co dzisiaj widziałas!

Podniosła nań stropiony wzrok.

- Ależ, tatusiu, widzieli to również inni ludzie. Ci żołnierze z bronią stali na chodniku... okna były powybijane... I tatusiu, wiem na pewno, że widziałam krew!

- Nic nie widziałas, Ariano. Nawet tam nie byłaś.

- Ale...

- Milcz. Zjedliśmy razem obiad w Tiergarten, a potem przyszedliśmy do banku. Posiedzieliśmy kilka chwil, wypijaś filiżankę czekolady i szofer odwiózł cię do domu. Czy to jasne?

Nigdy nie widziała ojca tak wzburzonym, nic nie rozumiała. Czy możliwe, aby tata się bał? Przecież nic mu nie mogli zrobić. Był ważnym bankierem. Poza tym nie był Żydem. Ale dokąd zabrali Rothmanna? I co się stało w jego pracowni?

- Rozumiesz, Ariano? - Głos ojca był szorstki, nawet gniewny, lecz Ariana wiedziała, że tata nie jest na nią zły.

- Rozumiem. - Umilkła, po krótkiej chwili jednak zapytała cichutko: - Ale dlaczego?

Walmar von Gotthard z westchnieniem opadł na oparcie fotela. W imponującym gabinecie przy ogromnym biurku piętnastoletnia Ariana wydawała się maleńka. Cóż jej mógł powiedzieć? Jak wyjaśnić?

Rok po tym incydencie stało się najgorsze: we wrześniu wybuchła wojna. Walmar zdwoił ostrożność i przyniosło to pozytywne rezultaty: dzieci - dwunastoipółletni Gerhard oraz szesnastoletnia Ariana - nie musiały zmieniać trybu życia i były bezpieczne. Zawsze podejrzewały, że w skrytości ducha ich ojciec nienawidzi Hitlera, nigdy wszakże w rozmowach z Walmarem nie

podejmowały tego wątku. Wszyscy wiedzieli, że deklarowanie niechęci do osoby wodza wiąże się z poważnym niebezpieczeństwem.

Ariana i Gerhard wciąż mieszkali w Grunewaldzie, uczęszczali do tych samych szkół i tego samego kościoła, rzadko jednak wychodzili z domu. Walmar trzymał ich krótko - starannie dobierając słowa wyjaśnił, że to dla ich dobra, oni zaś przyjęli do wiadomości jego argumentację. Kraj był w stanie wojny, wszędzie kręcili się żołnierze i ładne dziewczyny rozmaitej konduity, wieczorami z sąsiednich rezydencji dobiegała muzyka, inni mieszkańcy Grunewaldu bowiem często wydawali przyjęcia, podejmując przede wszystkim oficerów. Z jednej strony w Berlinie panowała wesołość nad miarę, z drugiej wszakże - i dzieci zdawały sobie z tego sprawę - smutek. Wielu ojców i braci ich kolegów i przyjaciół było na froncie, wielu już zginęło. Świadomość, że ich ojciec jest zbyt stary, aby iść na wojnę, przynosiła Arianie i Gerhardowi, mimo częstych kpin rówieśników, ogromną ulgę. Stracili już matkę; nie zdołaliby przeżyć utraty ojca.

- Ale nie jesteś za stary na bale - powiedziała do Walmara Ariana, uśmiechając się jak elf. Tej wiosny skończyła szesnaście lat i rozpaczliwie pragnęła pokazać się światu na jakiejś wielkiej imprezie towarzyskiej. Pamiętała jeszcze, że za życia matki rodzice bardzo często „bywali”, choć przez siedem lat, które upłynęły od jej śmierci, Walmar praktycznie bez wyjątku dzielił swój czas pomiędzy bank a dom. Bale i przyjęcia nieodwracalnie odeszły w przeszłość z chwilą samobójstwa Kassandry. Dzieci zresztą wiedziały o swej matce bardzo niewiele. Bolesną prawdę o jej życiu i śmierci Walmar zachowywał dla siebie.

- No i co, tatusiu? Pójdziemy? Proszę!

Patrzyła nań tak błagalnie, że Walmar mimo woli się uśmiechnął.

- Na bal? Teraz? W czasie wojny?

- Och, tatusiu, wszyscy chodzą na przyjęcia. Nawet nasi sąsiedzi bawią się po całych nocach - zareplikowała.

Istotnie, dystyngowany Grunewald często ostatnimi czasy oddawał się uciechom do białego rana.

- Czy przypadkiem nie jesteś odrobinę za młoda?

- Też sobie wymyśliłeś! - Kiedy spojrzała nań wyniośle, przypominała raczej matkę Walmara niż własną. - Mam już szesnaście lat.

W końcu z niemalą pomocą brata Ariana postawiła na swoim i oto teraz stała przed ojcem niczym bajkowa księżniczka w białej organtynowej sukni, która wyszła spod zręcznych palców Fraulein Hedwig.

- Wyglądasz prześlicznie, córeczko.

Uśmiechnęła się dziecinnie i z uznaniem popatrzyła na białą muszkę i frak ojca.

- Ty też, papo.

Na piętrze Gerhard zachichotał i oznajmił:

- Oboje wyglądacie głupio.

Mimo to spoglądał na nich z dumą.

- Do łóżka, potworze! - krzyknęła przez ramię Ariana i zbiegła po schodach na parter.

Tuż przed wojną Walmar zastąpił hispano - suizę czarno - szarym rollsem, który teraz, z niemłodym już szoferem wyprężonym u otwartych drzwi, stał w gotowości na podjeździe. Ariana z lekkim szalem na ramionach wsiadła do limuzyny. Bal odbywał się w rozjarzonym jak kandelabr gmachu opery, a wiodąca do niego aleja wydawała się Arianie piękniejsza niż zwykle; z wybuchem wojny Unter den Linden nie straciła nic ze swej urody.

Walmar z dumą popatrzył na bajkową księżniczkę u swego boku.

- Jesteś podniecona?

Radośnie skinęła głową.

- Jeszcze jak!

W gruncie rzeczy miała wrażenie, że śni.

Rzeczywistość jednak przeszła jej najśmielsze oczekiwania. Schody wiodące do gmachu opery wyłożono czerwonym dywanem, w cudownie sklepionym foyer gorzały wszystkie światła, wszędzie kręciły się tłumy pań w balowych sukniach i lśniącej biżuterii oraz panów we frakach albo galowych mundurach. Z punktu widzenia Walmara jedynym zgrzytem była wisząca na przeciwległej do wejścia ścianie ogromna czerwona flaga ze swastyką.

Ciche tony muzyki sączyły się z sali głównej, Arianę i Walmara ze wszystkich stron opływały ludzkie strumyki i rzeczki - błyszczące od klejnotów i odznaczeń, rozbawione. Osadzone w alabastrowej twarzycze oczy Ariany wyglądały jak dwa ogromne akwamaryny, usta zaś jak misternie wyrzeźbiony rubin.

Po pierwszym walcu, który zatańczyli we dwoje, Walmar dołączył z Arianą do grupki przyjaciół, finansistów zajmujących stolik w pobliżu parkietu. Po dwudziestu minutach niezobowiązującej pogawędki zorientował się, że na Arianę spogląda z nie skrywanym zainteresowaniem stojący nie opodal i zajęty rozmową z towarzyszem młody oficer. Odwrócił wzrok od młodzieńca i pospiesznie zaprosił Arianę do następnego tańca; wiedział, że postępuje niezupełnie fair, jak najbardziej jednak pragnął odwlec nieuchronne. Zabierając córkę na bal, zdawał sobie przecież sprawę, że będzie tańczyła z innymi mężczyznami. Ale te mundury... te mundury... Były wszędzie!... Miał tylko nadzieję, że mężczyźni uznają Arianę za zbyt młodą, by mogła stanowić obiekt poważnego zainteresowania.

Kiedy wszakże powoli okrążali parkiet, stracił resztę złudzeń - jego córka jak magnes

przyciągała wszystkie męskie oczy. Była młoda, świeża i piękna, co więcej, miała w sobie coś magicznego, jakąś tajemną siłę, która oddziaływała na każdego, kto spojrzał w głębokie niebieskie oczy dziewczyny. Zdawała się obiecywać odpowiedzi na największe zagadki świata. Jej hipnotyczny wpływ na mężczyznę Walmar poznał po reakcjach swoich przyjaciół, których oszałamiała spokojna twarz Ariany, jej dobre oczy i nagle rozkwitający uśmiech, przywodzący na myśl niespodziewany rozbłysk słońca na tafli jeziora. Trudno było się oprzeć pokusie, by wejść w krąg tej zagadkowej magii, poznać jej tajemnicę - i młodość Ariany nie była w stanie nikogo powstrzymać. Niższa i znacznie drobniejsza niż brat, czubkiem głowy sięgała ojcu ledwie do ramienia, kiedy krążąc w rytmie walca fruwała nad podłogą.

Młody oficer podszedł do nich, ledwie wrócili do stolika. Walmar stężał. Boże, dlaczego akurat ten? - pomyślał. - Dlaczego mundur, a nie frak, dlaczego instrument Trzeciej Rzeszy, nie zaś zwykły mężczyzna? Tak, w jego przekonaniu pod mundurami nie kryli się ludzie, lecz jakaś pozbawiona indywidualnych rysów łapczywa i zbrodnicza plazma, zbiorowo odpowiedzialna za śmierć jego żony.

- Herr von Gotthard? - Walmar krótko skinął głową, a ramię młodego człowieka wystrzeliło do góry w hitlerowskim pozdrowieniu. Walmar ponownie skłonił głowę, tym razem krzywiąc usta w lodowatym uśmiechu. - To pańska córka, jak się domyślam?

Walmar miał ochotę go spoliczkować, kątem oka zerknął jednak na Ariane i odparł:

- Tak. Jest wprawdzie za młoda, żeby chodzić na bale, ale pozwoliłem jej wziąć udział w dzisiejszym pod warunkiem, że nie odstąpi mnie na krok.

Ariane zdumiało to oświadczenie, lecz nie odezwała się ani słowem, młody człowiek zaś ze zrozumieniem pokiwał głową i posłał bajkowej księżniczce olśniewający uśmiech, obnażając dwa rzędy nieskazitelnie białych zębów. Miał oczy niemal równie błękitne jak Ariana, podczas jednak gdy ona była blondynką, jego włosy były czarne jak skrzydło kruka. Galowy mundur i wypucowane oficerki podkreślały jego wzrost, szerokie bary, smukłą talię i długie nogi.

Tym razem oficer złożył Walmarowi ukłon - taki ukłon, jakim pozdrawiali się mężczyźni, zanim w modę weszło wymachiwanie rękoma - stuknął obcasami i wyprężył się jak struna.

- Werner von Klaub, do usług. - Znów błysnął zębami w stronę Ariany. - Widzę wprawdzie, że panna von Gotthard jest istotnie bardzo młodą damą, byłbym jednak niezmiernie zaszczycony, gdyby powierzył mi ją pan na jeden jedyny taniec.

Walmar się zawahał. Znał rodzinę tego człowieka, ponadto zdał sobie nagle sprawę, że odmowa byłaby zniewagą tak dla munduru, jak i dla nazwiska. Ariana zaś z wypisaną na twarzy nadzieją wyglądała tak ślicznie! Jakżeby mógł odmówić? Walka z mundurami, które podbiły świat, była skazana na niepowodzenie.

- Chyba zostałem przyparty do muru, prawda? - powiedział z mieszaniną czułości i żalu, spoglądając na córkę.

- Mogę, tatku? - radośnie wykrzyknęła Ariana, wbijając w ojca swoje wielkie świetliste oczy.

- Możesz.

Von Klaub uklonił się ponownie, tym razem Arianie, i uprowadził ją na parkiet. Kiedy zaczęli krążyć po sali, mogło się zdawać, że to Kopciuszek i księżę z bajki stworzeni po to, by znaleźć się w swoich ramionach. Przyjemnie było na nich patrzeć, jak zauważył sąsiad Walmara przy stoliku. Walmar nie podzielał jego zachwytu, zdał sobie bowiem sprawę, że w jego życiu pojawiło się nowe zagrożenie. Co istotniejsze: pojawiło się w życiu Ariany. Będzie dorastać i będzie coraz piękniejsza, on zaś nie może przecież w nieskończoność więzić jej w domu. W końcu ją straci, być może nawet na rzecz jednego z „nich”. Osobliwe - rozmyślał. - W innych czasach, w innej epoce von Klaub byłby kimś mile widzianym w jego domu i w życiu córki, lecz teraz... Ten mundur z perspektywy Walmara zmieniał wszystko. Mundur i to, co sobą reprezentował. Walmar nie potrafił tego znieść.

Po skończonym tańcu Ariana znów pytająco spojrzała na ojca, który zrazu chciał odmówić, ale i tym razem nie znalazł w sobie dość siły. Skinął więc głową. A potem jeszcze raz. Po trzecim tańcu jednak młody oficer rozważnie odprowadził dziewczynę do stolika, skłonił się Walmarowi, Arianie zaś życzył dobrej nocy. W jego uśmiechu było wszakże coś co powiedziało Walmarowi, że nie widzi Wenera von Klauba po raz ostatni.

- Czy powiedział ci, Ariano, ile ma lat? - zapytał córkę.

- Dwadzieścia cztery - odparła z nieznacznym uśmiechem. - I wiesz, jest bardzo miły. Spodobał ci się, tatusiu?

- Ważniejsze, czy spodobał się tobie.

Nonszalancko wzdrygnęła ramionami i po raz pierwszy tego wieczoru jej ojciec wybuchnął śmiechem.

- No proszę, zaczyna się! Kochanie, złamiesz tysiąc serc. - Miał tylko nadzieję, że przy tej okazji nie złamie i jemu. Tak troskliwie chronił ją przed trucizną, że gdyby nie dochowała wierności wpajanych jej zasadom, zapewne przyplącałaby to życiem.

Jego obawy okazały się bezpodstawne, nic nie wskazywało bowiem, że Ariana mogłaby dopuścić się zdrady wobec świętego dla ojca systemu wartości. Werner von Klaub istotnie ich odwiedził, lecz chyba tylko dwa razy. Ariana wydała mu się równie oszalamiająca jak pierwszego wieczoru, ale również bardzo młoda i bardzo nieśmiała; pod tym względem nie mogła iść w zawody z licznymi kobietami, które padły ofiarą jego wdzięku i munduru przez minione trzy lata.

Ariana nie była jeszcze gotowa, Werner von Klaub zaś nie dość zainteresowany, żeby poczekać.

Kiedy wizyty urwały się nagle, Walmar sprawiał wrażenie człowieka ogarniętego przemożnym uczuciem ulgi, Ariana natomiast panny niezbyt zasmuconej utratą konkurenta. Zadawała ją życie rodzinne, w szkole miała mnóstwo przyjaciół, a to, że Walmar z taką determinacją osłaniał ją przed całym światem, sprawiło, iż pod wieloma względami była jak na swój wiek bardzo dziecinna. Przeciwwagą jednak tej niewinności była mądrość zrodzona z cierpień i poczucia utraty. Śmierć matki - bez względu na to, jak obca dzieciom była Cassandra i jak zagadkowe były okoliczności jej odejścia - wycisnęła na Arianie niezatarte piętno i pozbawiła kogoś szczególnego, kogoś, do kogo można by się zwrócić. Ale była to bardzo prywatna odmiana smutku, okno na jakąś małą pustkę w duszy, coś, co nie miało żadnego związku z ceną, jaką ludzie płacili za wojnę. Mimo że po roku 1943 wzmogły się bombardowania Berlina, mimo że wiele godzin spędzała w piwnicy z ojcem, bratem i służbą, Ariana w gruncie rzeczy nie zetknęła się z prawdziwymi okrucieństwami wojny. Aż do wiosny roku 1944, kiedy ukończyła osiemnaście lat.

Tej wiosny alianci wzmogli wysiłek wojenny, Hitler zaś wydał nowe dekryty potwierdzające fakt, że Trzecia Rzesza toczy teraz wojnę totalną.

Po powrocie ze szkoły Ariana dowiedziała się od Bertholda, mocno postarzałego i prawie całkowicie głuchego, że ojciec rozmawia w salonie z jakimś znajomym.

- Czy Berthold wie, kto to jest? - zapytała Ariana, uśmiechając się ciepło. Berthold był częścią jej najdawniejszych wspomnień, równie istotną jak niania czy dom.

- Słucham, panienko - odparł z błogim uśmiechem i jego kamienne oblicze pojaśniało setki zmarszczek.

Ariana się zorientowała, że nie dosłyszała pytania. Świadoma jego ułomności, powtórzyła je głośniej. Gerhard w takich sytuacjach otwarcie naigrawał się z głuchoty Bertholda, skoro jednak był ulubieńcem starego lokaja, wszystko uchodziło mu bezkarnie.

- Czy Berthold wie, kto przyszedł do ojca?

- Ach... nie, nie, panienko. Nie wiem. Wpuściła go Frau Klemmer. Ja byłem chwilowo na dole, pomagałem paniczowi Gerhardowi w jego laboratorium chemicznym.

- O Boże, tylko nie to!

- Słucham?

- Nic, nic, Bertholdzie, dziękuję.

Ariana przemknęła przez hol. Dom z liczną służbą także był stałym elementem jej życia. Nie potrafiłaby wyobrazić sobie innego...

Frau Klemmer spotkała na drugim piętrze, idąc do swojego pokoju. Tego ranka odbyły we dwie potajemną naradę na ważny temat: chodziło o otwarcie apartamentów matki. Od jej śmierci

minęło dziewięć lat. Osiemnastoletnią już Arianę mocno irytowało, że dawne pokoje dziecinne musi dzielić z hałaśliwym Gerhardem, który w dodatku usiłując produkować małe bomby, stale doprowadzał do eksplozji. Ustaliła już z ojcem, że na uniwersytet wstąpi dopiero po wojnie, po skończeniu więc gimnazjum - co miało nastąpić za dwa miesiące - przyjdzie jej spędzać w domu znacznie więcej czasu niż dotąd. Planowała wprawdzie poświęcić się pracy ochotniczej, już teraz zresztą jako wolontariuszka dwa razy w tygodniu pomagała w szpitalu, niemniej uznała, że nowy status absolwentki gimnazjum wymaga przeprowadzki do apartamentów matki. Ta perspektywa wydawała się Arianie nad wyraz kusząca... Byle tylko zdołała przekonać ojca.

- Czy już panienka rozmawiała z panem? - zapytała Frau Klemmer konspiracyjnym szeptem.

Ariana pokręciła głową.

- Jeszcze nie. Porozmawiam wieczorem. Jeśli po kolacji zdołam spławić Gerharda. - Z westchnieniem uniosła oczy ku niebu. - Prawdziwe utrapienie z tym chłopakiem. - Gerhard skończył niedawno piętnaście lat.

- Pan na pewno się zgodzi, jeśli będzie miał trochę czasu do namysłu. Powinien być rad, że będzie panienka bliżej niego. To wchodzenie po schodach bardzo go męczy.

Argument był sensowny, Ariana nie sądziła jednak, by należało się nim posłużyć. Ojciec dobiegał siedemdziesiątki i nie lubił, gdy wypominano mu wiek.

- Coś tam wymyślę. Chciałam porozmawiać z nim już teraz, ale ma gościa. Nie wie pani przypadkiem, kto to jest? Berthold mówił, że to pani go wpuściła.

- Ano, wpuściłam - odparła, nie wiedząc czemu zbита z tropu. - To Herr Thomas. Kiepsko coś wygląda.

A któż w tych czasach wyglądał dobrze? Nawet Walmar wracając z banku sprawiał wrażenie człowieka kompletnie wyczerpanego. Państwo wywierało coraz większy nacisk na instytucje finansowe, domagając się pieniędzy, których banki już nie miały.

Po rozstaniu z Frau Klemmer Ariana zastanawiała się przez chwilę, co powinna zrobić. Miała ochotę wśliznąć się do apartamentów matki, popatrzeć na prześliczną sypialnię, poszukać miejsca na ustawienie biurka. Ale to może poczekać. W tej chwili wolała zejść na dół do ojca i jego znajomego.

Herr Thomas był o jakieś trzydzieści lat młodszy od Walmara, który mimo to darzył swojego dawnego pracownika wielką sympatią. Przepracowawszy cztery lata w banku Tildena, Thomas postanowił wstąpić na studia prawnicze; tam poślubił dziewczynę ze swojego roku i w ciągu czterech lat spłodził troje dzieci. Najmłodsze liczyło teraz trzy lata, Thomas wszakże widział je po raz ostatni, kiedy miało cztery miesiące. Jego żona była Żydówką; wraz z dziećmi

wywieziono ją do obozu. Było to w roku 1941 - przez pierwsze dwa lata wojny Thomas skutecznie bronił rodziny przed faszystami. Szok omal nie przyprawił go o utratę zmysłów; teraz, kiedy odwiedził Walmar, wyglądał na pięćdziesięciolatka, chociaż miał zaledwie trzydzieści siedem lat. Z rozpaczą i determinacją poszukiwał najbliższych, Ariana jednak orientowała się, że w minionym roku praktycznie stracił resztkę nadziei.

Delikatnie zastukała do drzwi, ale widać zajęty rozmową Walmar nie usłyszał jej i nie rozległo się sakramentalne „proszę”. Zamierzała już odwrócić się i odejść, gdy wreszcie usłyszała głos ojca.

Uchyliła drzwi i z nieśmiałym uśmiechem na twarzy zajrzała do salonu.

- Mogę wejść, tatusiu? - zapytała.

Przyszło jej do głowy, że właściwie powinna bezzwłocznie się wycofać, z zaskoczeniem bowiem stwierdziła, że siedzący do niej tyłem Maximilian Thomas kryje twarz w dłoniach, a jego ramionami wstrząsa płacz. Pytająco spojrzała na ojca, spodziewając się, że usłyszy odmowną odpowiedź, z niedowierzaniem stwierdziła jednak, iż Walmar przyzwalająco kiwa głową.

Był kompletnie zbity z pantafelku. Tak niewiele mógł powiedzieć. Może jego córka pocieszy Maxa bardziej, niż on był w stanie uczynić? Po raz pierwszy Walmar przyznał przed sobą, że Ariana nie jest już dzieckiem. Gdyby w drzwiach stanął Gerhard, zapewne ze zniecierpliwieniem odesłałby go na górę. Ale Ariana była już nie tylko dziewczyną; miała w sobie ciepło właściwe kobiecie dojrzałej.

Kiedy zaczęła się zbliżać, Max opuścił ręce i odwrócił głowę w stronę Ariany: ujrzała na jego twarzy wyraz bezgranicznej rozpacz.

- Max... niechże pan powie, co się stało.

Nie zastanawiając się, co robi, opadła na kolana i wyciągnęła ręce. W równie naturalnym odruchu Thomas przytulił się do niej jak dziecko. Długo płakał, lecz w końcu wytarł oczy i oderwał się od Ariany.

- Dziękuję. Przepraszam, że...

- Wszystko rozumiemy - powiedział Walmar. Podeszedł do długiego zabytkowego stołu, gdzie na srebrnej tacy stały butelki koniaku i resztki przedwojennej szkockiej. Nie pytając Maxa, na co miałby ochotę, napełnił kieliszek koniakiem i bez słowa podał gościowi. Max zaczął powoli popijać trunk, w pewnym momencie jeszcze raz wytarł mokre oczy.

Ariana musiała spytać. Od tak dawna usiłował uzyskać od faszystów jakieś informacje!

- Ma pan wieści o Sarze?

Kiedy podniósł na nią oczy, dostrzegła w nich bezmiar udręki, potwierdzenie jego najgorszych obaw.

- Wszyscy... - przez chwilę nie potrafił się zmusić do wypowiedzenia okropnego słowa. - Wszyscy zginęli. - Chrapliwie wciągnął powietrze w płuca i odstawił kieliszek. - Cała czwórka... Sara... i chłopcy.

- Mój Boże... - popatrzyła nań w otępieniu, nawet nie próbując pytać, dlaczego tak się stało. Wiedziała. Byli Żydami... Juden... - Jest pan pewien?

Skinął głową.

- Oświadczone mi, że powinienem być z tego rad, bo teraz mogę zacząć życie na nowo z kobietą swojej rasy, z uczciwą aryjką. Dobry Boże... Boże... moje dzieci... - Odruchowo przytulił się do Ariany, która otoczyła go ramionami i wybuchnęła płaczem.

Walmar zdawał sobie sprawę, że musi skłonić Maxa do natychmiastowego wyjazdu z Berlina.

- Max, musisz się zastanowić, co teraz zrobisz.

- O czym mówisz?

- Czy potrafisz tu nadal żyć, zwłaszcza teraz, kiedy już wiesz?

- Nie wiem... nie umiem powiedzieć... Już dawno chciałem wyjechać. W trzydziestym ósmym powiedziałem o tym Sarze... ale była przeciwna... nie chciała zostawić sióstr i matki... - Walmar i Ariana dobrze znali tę historię. - A później zostałem, bo musiałem ją odnaleźć. Sądziłem, że jeśli zdołam ustalić miejsce jej pobytu, będę mógł wszcząć pertraktacje z władzami, będę mógł... Boże, Boże... jakież byłem głupi.

Walmar spojrział na Maxa, dzieląc ból przyjaciela.

- Co się stało, to się nie odstanie - powiedział. - Teraz znasz już całą prawdę. Jeśli zostaniesz, nie dadzą ci spokoju. Będą nieustannie mieć cię na oku, śledzić każdy twój ruch, sprawdzać, z kim się spotykasz i gdzie. Z powodu Sary od lat mieli cię na liście podejrzanych. Naprawdę musisz wyjechać.

Walmar aż za dobrze wiedział, co mówi: dwukrotnie włamywano się do kancelarii adwokackiej Maxa, pozostawiając na każdym meblu i kawałku ściany wyryte lub wymalowane farbą napisy: „Gach Żydowicy”. Ale Max nie wyjechał. Musiał zostać. Żeby odnaleźć żonę i dzieci.

- Chyba jeszcze nie dotarło do mnie, że już po wszystkim - wyszeptał. - Że ona... że nie mam już kogo szukać. - Wyprostował się i wbił w Walmara spojrzenie przepełnione rozpaczą. - Dokąd miałbym jechać?

- Dokądkolwiek. Do Szwajcarii, jeśli zdołasz przedostać się przez granicę. A potem może do Stanów. Wyrwij się z Rzeszy, Maksie, bo cię zniszczy. - Tak jak zniszczyła Kassandra, a przed nią Dolffa, pomyślał czując, że ożywają w nim tragiczne wspomnienia.

Max pokręcił głową.

- Nie mogę wyjechać.

- A to niby dlaczego? - zapytał z nagłym gniewem Walmar. - Bo jesteś patriotą? Bo kochasz kraj, który potraktował cię tak łaskawie?... Dobry Boże, człowieku, co cię tu trzyma? Zabieraj się stąd do stu diabłów!

Ariana obserwowała tę scenę z rodzajem lęku: nigdy dotąd w jej obecności ojciec nie zachowywał się tak agresywnie.

- Tatuś chyba ma rację - powiedziała. - Może później będzie pan mógł wrócić.

Ale Walmar zerwał się z krzesła, marszcząc czoło.

- Jeśli masz choć krztynę oleju w głowie, nigdy tego nie zrobisz - oświadczył podniesionym głosem. - Zaczynj gdzieś nowe życie. Gdziekolwiek, Max, gdziekolwiek, byłeś wyniósł się stąd, zanim będzie za późno.

Thomas popatrzył na niego.

- Już jest za późno.

Walmar głęboko westchnął i nie spuszczać wzroku z przyjaciela usiadł na krześle.

- Tak, wiem. I rozumiem. Ale, Max, chociaż straciłeś Sarę i dzieci, wciąż masz swoje życie - rzekł łagodnie. - Masz teraz dług wobec nich i siebie: musisz przetrwać. Czy potrzebna jest jeszcze jedna tragedia, jeszcze jedna ofiara? - Gdybyż mógł to powiedzieć Kassandrze! Gdybyż Cassandra przed laty dała się przekonać!

- Jak miałbym wyjechać? - powiedział na poły do siebie Max; jeszcze nie rozumiał, co to znaczy zostawić dom, dziedzictwo i kraj, w którym kiedyś zrodziły się jego dzieci i marzenia.

- Nie wiem. Trzeba to będzie przemyśleć. Sądzę, że w tym chaosie, jaki zapanował ostatnimi czasy, mógłbyś po prostu zniknąć. Właściwie... - Walmar urwał na chwilę, olśniony jakąś myślą. - Gdybyś wyjechał już teraz, bezzwłocznie, mogliby dojść do wniosku, że tragiczna wieść przyprawiła cię o utratę zmysłów. Że pognałeś gdzieś na oślep albo popełniłeś samobójstwo. W tej chwili nie zaczęją jeszcze niczego podejrzewać.

- To znaczy co? Że wyjdę dziś wieczorem z twojego domu i pomaszeruję w stronę granicy? Z czym? Z jednym płaszczem, teczką i... - uderzył się po kieszonce, z której zwisała dewizka -... zegarkiem po dziadku?

Zamyślony Walmar pokiwał głową.

- Być może.

- Mówisz serio?

Ariana była wstrząśnięta. A więc do tego już doszło? Zmuszano zaszczutych ludzi do salwowania się ucieczką za granicę, mordowano nawet kobiety i dzieci? Doświadczyła tak

bezgranicznego lęku, jaki nie był jej udziałem nigdy w życiu; zbladła jak płótno.

Walmar podniósł wzrok na Maxa. Miał już gotowy plan.

- Tak, mówię zupełnie serio. Musisz wyjechać bez chwili zwłoki.

- Jeszcze dzisiaj?

- Może nie dzisiaj, ale najszybciej, jak to będzie możliwe, kiedy tylko załatwimy niezbędne dokumenty. Uważam jednak, że już dziś powinieneś zniknąć. - Upił łyk koniaku. - Co ty na to?

Max słuchał Walmara z wielką uwagą. Argumentacja doń przemawiała. Bo cóż trzymało go w kraju, który zniszczył wszystko, co mu było drogie?

W milczeniu skinął głową, zamyślił się, potem powiedział:

- Masz słuszość. Wyjadę. Chociaż nie wiem dokąd i jak.

Walmar zerknął na córkę.

- Ariano, nie chciałabyś już wrócić do siebie?

Zastygła i popatrzyła na ojca szeroko otwartymi oczyma.

- Mam wyjść, tatusiu? - Nie chciała wychodzić. Pragnęła zostać z nimi.

- Możesz zostać, jeśli chcesz i jeśli rozumiesz, jak ważna w tej sprawie jest dyskrecja. Nie możesz z nikim o tym rozmawiać, ani z Gerhardem, ani ze służbą. Z nikim. Nawet ze mną. To, co zrobię, jest absolutną tajemnicą. A gdy już będzie po wszystkim, zapomnimy, że w ogóle się stało. Zrozumiałas?

Ariana skinęła głową, Walmarowi zaś przeszło przez myśl, że wciąganie córki w tę historię jest czystym szaleństwem. Z drugiej jednak strony już była w nią zaangażowana, jak on i Max. Poza tym niejednokrotnie dochodził do wniosku, że najwyższy czas, aby Ariana zdała sobie sprawę z powagi sytuacji, z tego, co być może ich wszystkich czeka w niedalekiej przyszłości.

- Zrozumiałas, Ariano? - powtórzył.

- Całkowicie, tatusiu.

- To dobrze.

Na chwilę przymknął oczy, po czym zwrócił się do Maxa:

- Wyjdiesz za jakiś czas frontowymi drzwiami, sprawiając wrażenie jeszcze bardziej zrozpaczonego, niż kiedy do mnie przyszedłeś. Idź w stronę jeziora i tam po prostu zniknij. Później wróc... Sam cię wpuszczę, kiedy wszyscy pójdą spać. Zostaniesz u nas dzień albo dwa. Potem dyskretnie wyjedziesz do strefy przygranicznej, a stamtąd przedostaniesz się do Szwajcarii. I wtedy, przyjacielu, znikniesz na dobre. Żeby rozpocząć nowe życie.

- Jak mam sfinansować ucieczkę? Sądzisz, że uda ci się podjąć z banku moje pieniądze? - zapytał z niepokojem Max.

Walmar pokręcił głową.

- Tym się nie przejmuj. Martw się o to, żeby wrócić tu w nocy, a później bezpiecznie przekroczyć granicę. Pozwól, że ja się zajmę gotówką i dokumentami.

Max był pod wrażeniem pewności siebie dystygowanego przyjaciela.

- Znasz ludzi, którzy to załatwiają?

- Tak, znam. Przestudiowałem zagadnienie mniej więcej pół roku temu, na wypadek gdyby... gdyby zaistniała wyższa konieczność.

Ariana z niedowierzaniem spoglądała na ojca. Któż by pomyślał, że w swojej zapobiegliwości posunął się tak daleko?

- Wszystko jasne? - zapytał Walmar. Max skinął głową. - Zjesz z nami kolację? Po niej mógłbyś wyjść naprawdę ostentacyjnie.

- Dobrze. Ale gdzie zamierzasz mnie ukryć?

Walmar zastanawiał się przez dłuższą chwilę, odpowiedź jednak podsunęła Ariana:

- W apartamentach mamy.

Walmar z dezaprobatą popatrzył na córkę, ta jednak pospieszyła dodać:

- To jedyne miejsce, gdzie nikt nie zagląda. - Oczywiście nie wspomniała, że tego ranka po raz pierwszy wkradła się do nich w towarzystwie Frau Klemmer i właśnie dlatego w tej chwili przyszły jej do głowy jako idealna kryjówka. Zazwyczaj domownicy zachowywali się tak, jakby pokoje Kassandry w ogóle nie istniały. - Tak jest, tatusiu. Będzie w nich bezpieczny. Posprzątam je, kiedy wyjedzie. Nikt się nie zorientuje.

Walmar długo, nieskończenie długo milczał. Kiedy ostatni raz był w tych pokojach, jego żona leżała w wannie pełnej wody zmieszanej z krwią. Później nie wszedł tam ani razu - nie potrafił sprostać wspomnieniom tej posiniaczonej twarzy, zrozpaczonych oczu, piersi pokaleczonych kłmą pasa faszystowskiego bojówkarza.

- Chyba nie mamy wyboru - powiedział wreszcie z udręką w głosie.

Tylko Max był w stanie ocenić jej bezmiar.

- Wybacz, że przysparzam ci tylu problemów, Walmarze - powiedział.

- Nie żartuj - odparł Walmar z niewesołym uśmiechem na twarzy. - Chcemy ci pomóc. Może pewnego dnia odpłacisz nam tą samą monetą.

W salonie zapadła cisza, którą dopiero po dłuższej chwili przerwał Max:

- Naprawdę myślisz o wyjeździe, Walmarze?

- Nie jestem pewien, czy to możliwe - odparł z zadumą Walmar. - Znacznie bardziej niż ty rzucam się w oczy. Jestem obserwowany, znany. Naprawdę mnie potrzebują: bank Tildena to dla Rzeszy ważne źródło gotówki. Z mojego punktu widzenia jest równocześnie kulą u nogi i kołem ratunkowym. Kiedyś może się zresztą okazać stryczkiem... Jeśli jednak nie będzie innego wyjścia,

pójdę za twoim przykładem.

Była to dla Ariany szokująca nowość: dotąd ani przez myśl jej nie przeszło, że ojciec mógłby poważnie brać pod uwagę ewentualność ucieczki z kraju.

Rozległo się pukanie do drzwi i Berthold oznajmił, że podano kolację.

ROZDZIAŁ 9

Walmar von Gotthard na palcach zeszedł z piętra i przyciął się w holu. Polecił Maxowi iść boso i po trawnikach - na żwirze podjazdu buty czyniłyby zbyt wiele hałasu - poza tym oddał mu swoje klucze do bramy. Max wyszedł około jedenastej; w tej chwili dochodziła trzecia. Księżyc w pełni zalewał ogród mdłym blaskiem, w którym nietrudno było dostrzec sylwetkę człowieka. Obaj mężczyźni w milczeniu skinęli do siebie głowami, a Thomas z obawy, by nie zostawić śladów na białej marmurowej posadzce, starannie oczyścił skarpetki z ziemi i źdźbeł trawy. Walmar był ogromnie rad, że przyjaciel, który jeszcze kilka godzin temu załamany i zapłakany siedział w salonie, teraz zachowuje taką przytomność umysłu. Wszak powodzenie ucieczki zależało przede wszystkim od opanowania i refleksu.

Pospiesznie weszli po schodach i chwilę później stanęli przy drzwiach w końcu długiego korytarza. Walmar zastygł, jakby niepewny, czy powinien je otworzyć, po chwili jednak uchyliły się same, a potem rozwarły na oścież, gdy Ariana upewniła się, że stoją za nimi ojciec i Max. Max szybko wszedł do środka, Walmar jednak nie znalazł w sobie dość siły, by podążyć za jego przykładem.

A może - pomyślał - już najwyższy czas, żeby odczarować przeszłość i tak samo jak Max ruszyć przed siebie? Kilka sekund później przekroczył próg i zamknął za sobą drzwi.

Ariana zaprowadziła ich do maleńkiego, utrzymanego w wyblakłych teraz różach pokoju, który był gabinetem matki: oprócz biurka i komody stał tam szezlong nakryty trzema świeżymi kocami. Położyła palec na wargach i wyszeptała cicho:

- Doszłam do wniosku, że tu będzie pan bezpieczniejszy, bo niewidoczny z sypialni, gdyby ktoś do niej wszedł.

Max popatrzył z wdzięcznością na Arianę, Walmar zaś skinął głową i wyszedł w towarzystwie córki, obiecując, że zdobędzie dokumenty najszybciej jak można. Liczył, że będzie je miał już nazajutrz wieczorem.

Ariana w milczeniu rozstała się z ojcem na korytarzu i pospieszyła do swojego pokoju, gdzie w samotności oddała się rozmyślaniom o Maksie i jego samotnej podróży. Pamiętała Sarę, drobną kobietę o ciemnych wesołych oczach, która opowiadała zabawne historyjki i przy każdym spotkaniu okazywała jej ogromną serdeczność. Często ją wspominała w ciągu trzech minionych lat, zastanawiając się, gdzie jest i jaki zgotowano jej los. Jej i trzem synkom... Teraz już wiedziała.

Dokładnie o tym samym myślał Max, leżąc na różowym szezlongu w pokoju kobiety, którą widział tylko raz w życiu, kiedy zawierał znajomość z Walmarem. Była oszałamiającą piękną o złotych włosach w odcieniu miedzi. Uznał wtedy, że nigdy w życiu nie widział kogoś

dorównującego jej urodą. Wkrótce potem usłyszał, że zmarła - ponoć z powodu ciężkiej grypy. Teraz jednak zaczął podejrzewać, że przyczyny jej śmierci mogły być inne. Podczas rozmowy z Walmarem wyczuł instynktownie, że jego starszy przyjaciel też ma u faszystów rachunek krzywd. Z pozoru rzecz mało prawdopodobna, ale któż może wiedzieć...

Walmar natomiast stał przy oknie i spoglądał na jezioro. Nie widział jednak rozświetlonej księżycem tafli wody, lecz swoją żonę, złotą, świetlistą, cudowną Kassandrę, kobietę, którą dawno temu tak bezgranicznie kochał. Wspominał marzenia, które snuli wspólnie w jej buduarze, teraz pustym, posępnym, skrytym za grubymi zasłonami, zapomnianym. Utracił jakąś część duszy, kiedy tej nocy wszedł do jej pokojów z Maxem i Arianą, która miała takie same otchłanne fiołkowe oczy jak jej matka.

Pogrążony w głębokim smutku odwrócił się od okna, jeziora i księżyca. Musiał się położyć.

- No i jak, rozmawiała z nim panienka? - zapytała z ciekawością Frau Klemmer, kiedy po śniadaniu spotkała Arianą w holu.

- O czym? - Ariana miała na głowie zupełnie inne problemy.

- O pokojach. O apartamencie panienki mamy. - Dziwna dziewczyna, uznała Frau Klemmer. Taka niezyciowa, zamknięta w sobie, roztargniona... Czyżby już zapomniała? Frau Klemmer często zastanawiała się, jakie tajemnice kryją błękitne oczy Ariany.

- Ach, o to chodzi... tak... to znaczy nie. Tata nie pozwolił.

- Bardzo był rozgniewany?

- Nie, ale bardzo stanowczy. Chyba dam za wygraną.

- Niechże go panienka trochę pomęczy. Może przemyśli sprawę i zmieni zdanie.

Ariana zdecydowanie pokręciła głową.

- I bez tego ma dość kłopotów.

Gospodyni wzruszyła ramionami i poszła w swoją stronę. Czasem trudno było zrozumieć tę dziewczynę, ale w końcu jej matka też była niezłą dziwaczką.

Ariana nie chciała tego dnia iść do szkoły - ot, na wszelki wypadek, żeby pilnować Maxa - Walmar jednak oznajmił w sposób nie podlegający dyskusji, że ma zachowywać się jak zawsze, i własnoręcznie zamknął na klucz apartamenty Kassandry.

Lekcje dłużyły się Arianie w nieskończoność. Nie potrafiła skupić się na niczym, mając myśli zaprzątnięte tym biedakiem, który zapewne czuł się w tej chwili jak jeniec. Wreszcie zabrzmiał ostatni dzwonek i mogła wrócić do domu. Przemknęła przez hol, pozdrawiając po drodze Bertholda, odmówiła herbaty, którą proponowała jej Anna, wbiegła po schodach, wpadła do swojej łazienki i starannie uczesała włosy. Dopiero piętnaście minut później ośmieliła się zejść piętro niżej. Przystanąła na chwilę przed drzwiami ojca, potem ruszyła dalej, ściskając w dłoni klucze,

które dwa dni wcześniej wzięła od Frau Klemmer.

Drzwi apartamentu matki otworzyła bez trudu, spojrzała za siebie i wśliznęła się do środka. Bezgłośnie przemierzyła sypialnię, po czym zdyszana, lecz uśmiechnięta stanęła w drzwiach gabinetu, gdzie powitał ją z lekka stropiony, nie ogolony Max.

- Cześć - wydusiła z siebie ledwie słyszalnym szeptem.

Uśmiechnął się i poprosił, by usiadła.

- Jadł pan coś dzisiaj? - Przecząco pokręcił głową. - Tak myślałam - stwierdziła, wyciągając z kieszeni spódnicy kanapkę. - Później przyniosę panu mleka.

Rankiem postawiła za progiem karafkę z wodą, Walmar zastrzegł bowiem, żeby Max pod żadnym pozorem nie odkręcał kranów - rury były prawdopodobnie tak przerdzewiałe, że dobywające się z nich świsty i stuki mogłyby zwrócić uwagę służby.

- A w ogóle jak się pan miewa? - zapytała.

- Doskonale - odparł, pochłaniając kanapkę. - To zbytek uprzejmości z twojej strony, ale - uśmiechnął się szeroko - mile widziany zbytek.

Wyglądał na znacznie młodszego; nie ogolony, znużony, wyglądał inaczej niż zwykle, z jego twarzy jednak zniknęła wczorajsza udręka.

- Jak było w szkole? - zapytał.

- Koszmarnie. Cały czas niepokoiłam się o pana.

- Bez powodu. Brak mi tylko ptasiego mleka.

Osobliwe: ukrywał się zaledwie kilka godzin, a już miał wrażenie, że został całkowicie odizolowany od świata. Brakowało mu pyrkotu autobusów, stukania obcasów na chodnikach, biurowego zgiełku, brzęczenia telefonów. Czuł się tak, jakby za sprawą czarodziejskiej różdżki przeniesiono go do zupełnie innej rzeczywistości - zblakłej, zapomnianej, różowoatłasowej rzeczywistości kobiety nieżyjącej od wielu lat. Rozglądał się po gabinecie, aż w pewnej chwili jego oczy napotkały odbywający taką samą wędrówkę wzrok Ariany.

- Jaka ona była? - zapytał. - Mam na myśli twoją matkę.

- Trudno mi powiedzieć - odparła z dziwnym wyrazem twarzy Ariana. - W gruncie rzeczy wcale jej nie znałam. Umarła, kiedy miałam dziewięć lat. - Przypomniała sobie scenę na cmentarzu: Gerharda i siebie kurczowo ściskającą dłoń ojca. - Była bardzo piękna. To chyba wszystko, co o niej wiem.

- Widziałem ją tylko raz. Była cudowna. Pomyślałem wtedy, że nigdy w życiu nie zetknąłem się z tak oszałamiającą kobietą.

Ariana skinęła głową.

- Wpadała do nas wieczorami odszykowana i pachnąca. Jej suknie, jedwabne, atłasowe i

taftowe, wydawały taki cudownie szepcząco - świszczący dźwięk, kiedy przechodziła przez pokój! Zawsze wydawała mi się osobą szalenie zagadkową i taką zapewne zachowam ją w pamięci. - Obróciła na Maxa swoje wielkie smutne oczy i spytała konspiracyjnym szeptem dziecka dzielącego się z rówieśnikiem „śmiertelną tajemnicą”: - Zastanawiał się pan już, dokąd pojedzie?

- Mniej więcej. Sądzę, że twój ojciec ma słuszność. Najpierw Szwajcaria, a potem, po zakończeniu wojny, być może Stany. Mieszka tam, jeśli jeszcze nie umarł, jeden z moich stryjów. Byłby to jakiś początek.

- Nie wróci pan do Niemiec? - Była wstrząśnięta, kiedy pokręcił głową. - Nigdy?

- Nigdy. - Cicho westchnął. - Nie chcę więcej oglądać tego kraju.

Ariana uznała za dziwne, że ktoś mógłby pragnąć odciąć się bezpowrotnie od czegoś, co stanowiło całe jego dotychczasowe życie. Być może jednak Max postępował słusznie, tak stanowczo zatrzasnął za sobą drzwi. Zadawała sobie pytanie, czy ta decyzja nie jest odzwierciedleniem postawy ojca, który przed ubiegłym wieczorem ani razu nie wszedł do apartamentów matki. Były miejsca, do których się po prostu nie wracało, które budziły w duszy zbyt wielki ból.

- Czy po wojnie ty i ojciec odwiedzicie mnie w Ameryce? - zapytał.

Roześmiała się cicho.

- Jakież dalekosiężne plany pan snuje!

- Mam nadzieję, że wcale nie takie dalekosiężne. - Powodowany impulsem, wyciągnął rękę i ujął dłoń dziewczyny, Ariana zaś pochyliła się i pocałowała go w czubek głowy.

Nie potrzebowali słów: on ścisnął jej dłoń, ona delikatnie gładziła go po głowie. Niebawem pod pretekstem, że zbyt długa wizyta wiąże się z ryzykiem, Max skłonił Arianą do wyjścia, prawda jednak wyglądała tak, że zaczęły przychodzić mu do głowy myśli, na które nie mógł sobie pozwolić w domu starego przyjaciela.

Wieczorem przyszedł Walmar, znużony i jeszcze bardziej poszarzały na twarzy niż Max. Miał już dokumenty podróżne i niemiecki paszport wystawiony na nazwisko Ernsta Josefa Freia. Przybity na zdjęciu Maxa stempel wyglądał jak autentyczny.

- Doskonała robota - stwierdził z uznaniem Max, a potem przeniósł spojrzenie na Walmara, który sprawiając wrażenie zakłopotanego przysiadł na krześle. - Co tam jeszcze masz?

- Mapę i zezwolenie na wyjazd. Pociągami dotrzesz prawie do samej granicy i odtąd, przyjacielu, będziesz zdany na własne siły. Powinieneś dać sobie radę, a to - podał Maxowi kopertę zawierającą dość pieniędzy na kilkutygodniowe godziwe życie - może ci się przydać. Nie podjąłem więcej, żeby nie wzbudzić podejrzeń.

- Pomyślałeś o wszystkim, Walmarze - stwierdził z podziwem Max. Stary von Gotthard był

zdumiewającym człowiekiem.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz. Moje doświadczenie w załatwianiu podobnych spraw jest żadne, ale w końcu praktyka prowadzi do perfekcji.

- A zatem poważnie myślisz o wyjeździe? Dlaczego?

Walmar zmarszczył czoło.

- Z wielu powodów. Któż może wiedzieć, co nastąpi, kiedy przestaną panować nad sytuacją? No i muszę brać pod uwagę Gerharda, który jesienią skończy szesnaście lat. Mogą go powołać do wojska, jeśli nadal będzie wojna. W takiej sytuacji na pewno wyjedziemy.

Max w milczeniu pokiwał głową. Gdyby miał syna, postąpiłby tak samo.

Walmar jednak myślał nie tylko o Gerhardzie, lecz również o Arianie. Niepokoił go widoczny na ulicach Berlina zalew mundurów, bał się, że Ariana może stanowić cel niewybrednych zaczepek albo, co gorsza, wpaść w oko jakiemuś wyższemu oficerowi. Natomiast to, że niebawem miała skończyć szkołę i już pracowała ochotniczo w szpitalu imienia Martina Lutra, wręcz budziło w nim zgrozę.

- Walmarze, jak mogę ci się odwdzięczyć?

- Bądź bezpieczny. Zaczynaj nowe życie. To będzie dla mnie najlepsze podziękowanie.

- To żadne podziękowanie. Czy mogę do ciebie napisać, jeśli mi się uda?

- Wyślij pustą kopertę bez adresu zwrotnego. Zrozumiem. - Max skinął głową. - Twój pociąg wyjeżdża o północy. - Walmar sięgnął do kieszeni i wyłowił kluczyki do samochodu. - W garażu za domem znajdziesz starego granatowego forda. Należał do Kassandry. Sprawdziłem dziś rano... jakimś cudem wciąż jest na chodzie. Pewnie służba uruchamia go od czasu do czasu. Podjedź nim pod dworzec i tam zostaw. Rano zgłoszę na policji, że go skradziono, ale wtedy ciebie dawno już nie będzie. Położymy się dzisiaj wcześniej, tak że jak będziesz wyruszał około wpół do dwunastej, cały dom powinien już spać. I to wszystko, drogi przyjacielu... z jednym małym wyjątkiem.

Wszedł do sypialni Kassandry, zdjął ze ściany dwa obrazy, ostrożnie wyjął je z ram, a potem scyzorykiem odciął od blejtramów. Jedno z płócien było należącym jeszcze do jego matki małym Renoirem, drugie zaś - Corotem, którego przed dwudziestu laty, podczas podróży poślubnej, kupił żonie w Paryżu. Bez słowa zrolował oba obrazy i podał przyjacielowi.

- Weź je i zrób z nimi, co uznasz za stosowne: sprzedaj, zjedz, zastaw, wymień... Są warte mnóstwo pieniędzy, tyle, że wystarczy ci na rozpoczęcie nowego życia.

- Nie, Walmarze. Wszystkie pieniądze, jakie zostawiam w banku, nie są w stanie pokryć ich wartości.

- Musisz je wziąć. Wiszą tu bez żadnego pożytku, a zresztą nie potrafię na nie patrzeć bez

bólu. Są twoje, Maksie. Weź je. Jako dar od przyjaciela.

W tym momencie do pokoju bezszelestnie wśliznęła się Ariana: na widok łez w oczach Maxa przystanąła stropiona, puste ramy jednak wyjaśniły jej wszystko.

- Już pan wyjeżdża? - zapytała, patrząc nań szeroko otwartymi oczyma.

- Za kilka godzin. Twój ojciec właśnie... Brak mi słów, Walmarze.

- Auf wiedersehen, Maximilianie. Powodzenia. - Uścisnął dłoń Maxa i wyszedł.

Ariana podążyła za nim kilka minut później, przedtem jednak Max przytulił ją do siebie i pocałował.

Kolacja upłynęła w atmosferze powagi zakłócaną tylko przez Gerharda, który strzelał kulkami z chleba w plecy Bertholda, ilekroć ten się odwrócił. Skarcony przez ojca, wyszczerzył zęby i chwilę później posłał kulkę w stronę Ariany.

- Jeśli nie zaczniesz się przyzwoicie zachowywać, będziesz znowu jadał kolację w towarzystwie Fraulein Hedwig - przestrzegł go ojciec.

- Przepraszam, tato - odparł ze skrucą w głosie chłopiec. Później zaczął beztrząsko paplać, kiedy jednak jego wysiłki, by ożywić rozmowę przy stole, okazały się bezowocne, również popadł w milczenie.

Po kolacji Gerhard wrócił do swoich psot, Walmar do gabinetu, Ariana zaś do swojego pokoju. Miała ochotę raz jeszcze odwiedzić Maximiliana, lecz pomna przestróg ojca, zrezygnowała z tego pomysłu w obawie, że mogłaby ją zauważyć służba. Powodzenie ucieczki Maxa zależało od tego, czy nikt się nie dowie, gdzie w tej chwili przebywa; bezpieczeństwo von Gotthardów zaś od tego, czy nikt się nie dowie, gdzie przebywał w chwili, kiedy podjął próbę ucieczki. Siedziała więc przez kilka godzin w pokoju, a nawet, znów zgodnie z zaleceniami ojca, o wpół do jedenastej zgasła światło. Ale po prostu nie mogła wytrzymać... Dwadzieścia po jedenastej na paluszkach zeszła piętro niżej i bez pukania wkradła się do apartamentów matki.

Max jakby czekał na jej przybycie. Znowu pocałował ją, tym razem jednak był to pocałunek długi i mocny... tak mocny i tak długi, że Arianie zabrakło tchu w piersiach.

Wreszcie Max oderwał się od niej i zaczął zapinać płaszcz.

- Muszę już iść, Ariano - powiedział z ciepłym uśmiechem. - Uważaj na siebie, najdroższa. Do zobaczenia.

- Kocham cię - wyszeptala bezgłośnie, mówiąc wyraźnie oczyma to, co ledwie ośmieliły się wypowiedzieć usta. - Niech Bóg cię prowadzi.

Skinął głową, ujmując teczkę, na której dnie spoczywały owinięte w gazety bezcenne płótna.

- Do rychłego zobaczenia - powiedział takim tonem i z takim uśmiechem, jakby wybierał

się do biura. - Może w Nowym Jorku.

Zachichotała cicho.

- Wariat z ciebie.

- To zupełnie możliwe, ale... - spowaźniał nagle - ja też chyba cię kocham.

Było to prawdą; wkroczyła w jego życie akurat wtedy, kiedy najbardziej potrzebował ciepła, przyjaźni, miłości.

Nie mówiąc nic więcej, wyszli z pokoju, Ariana otworzyła, a potem zamknęła drzwi, raz jeszcze pozdrowiła gestem Maxa, który cicho szedł po schodach, a wreszcie pobiegła na górę. Nasłuchiwała tak długo, aż jej uszu dobiegł warkot samochodu wyjeżdżającego przez bramę.

- Auf wiedersehen, najdroższy - wyszeptała.

Stała w oknie jeszcze pół godziny, rozmyślając o pierwszym mężczyźnie, który ją pocałował, i w nieskończoność zadając sobie pytanie, czy go jeszcze kiedykolwiek zobaczy.

ROZDZIAŁ 10

Nazajutrz rano podczas śniadania nic w zachowaniu Ariany i Walmara nie wskazywało na to, że poprzedniego dnia miało miejsce jakieś szczególne wydarzenie. A kiedy po południu szofer zameldował grobowym głosem, że samochód Frau von Gotthard został skradziony z garażu, Walmar bezzwłocznie zawiadomił policję. Samochód, który nie poniósł najmniejszego uszczerbku, znaleziono już wieczorem w pobliżu dworca kolejowego. Walmar zasugerował chytrze, iż winowajcą może być Gerhard, co wywołało skryte rozbawienie policjantów i wzbudziło szczere oburzenie Gerharda. Tak czy inaczej stróże prawa, pożegnani serdecznymi podziękowaniami, pozostawili ostateczne wyjaśnienie sprawy członkom rodziny, samochód zaś wstawiono do garażu.

- Ale ja go nie wziąłem, ojczel! - po raz kolejny z ogniem w oczach zapewnił Walmara Gerhard.

- Naprawdę? W takim razie, jak sądzę, nie ma o czym rozmawiać.

- Ale ty jesteś przekonany, że wziąłem!

- To już nie ma znaczenia. Samochód wrócił do garażu. Niemniej życzyłbym sobie, abyś więcej ty czy twoi koledzy nie... mhm... wypożyczali auta mamy. - Mówił to wbrew sobie, lecz nie miał wyboru.

Ariana, rozumiejąc ojca, usiłowała pocieszyć Gerharda, kiedy we dwójkę wychodzili z pokoju.

- Ale to nie w porządku! Ja tego nie zrobiłem! - upierał się Gerhard. Po chwili przeciągle popatrzył na siostrę. - A może to twoja robota?

- Chyba żartujesz - odparła. - Przecież wiesz, że nie umiem prowadzić.

- A ja dam sobie rękę uciąć, że twoja!

- Straszny z ciebie głuptas, Gerhardzie.

Nagle oboje wybuchnęli śmiechem i w idealnej zgodzie powędrowali na górę. Gerhard żywił najgłębsze przekonanie, że samochód istotnie „wypożyczyła” siostra.

Rozbawienie Ariany wywołane rozmową z bratem było chwilowe i Walmar nie potrzebował wiele czasu, by dostrzec, iż jego córkę coś gryzie. Rankami była małomówna, a po powrocie ze szkoły albo szpitala natychmiast zaszywała się w swoim pokoju. Tydzień po wyjeździe Maxa przyszła z własnej inicjatywy do gabinetu ojca, mając na twarzy ślady łez.

- Miałaś jakieś wieści, tatusiu? - zapytała.

Walmar natychmiast wszystko zrozumiał; tego się właśnie obawiał.

- Nie, żadnych. Ale nadejdą. Zapewne chce się jakoś urządzać, zanim przekaże nam informację.

- To tylko twoje domysły - powiedziała z zadumą, opadając na fotel przy kominku. - Może po prostu zginął.

- Może - zgodził się cicho. - A może nie. Tak czy inaczej, Ariano, odszedł. Odszedł od nas, aby podążać własną drogą, gdziekolwiek go ta droga zaprowadzi. Zapomnij o nim. Stanowimy zaledwie częśćkę tego dawnego życia, z którym bezpowrotnie się rozstał. - Następne słowa wymknęły mu się z ust, zanim zdążył je zatrzymać: - Zadurzyłaś się w nim?

Wstrząśnięta niecodzienną bezpośredniością ojca, wyjąkała:

- Nie wiem... Ja... ja... - Mocno zacisnęła powieki. - Ja tylko strasznie się o niego niepokoję. Mógł... - uciekła spojrzeniem ku buzującym w kominku płomieniom. Nie znalazła w sobie dość siły, by powiedzieć ojcu prawdę.

- Bo mam nadzieję, że jednak nie. Uczucia nie słuchają głosu rozsądku, ale... - Jak miał to ująć? Jak jej powiedzieć? - Żyjąc w ciężkich czasach, miłość powinno się odkładać do nadejścia lepszych. Wojenne romanse mają w sobie coś nierzeczywistego i bywają nietrwałe. Może za kilka lat, jeśli spotkasz Maxa, stwierdzisz, że to zupełnie inny mężczyzna niż ten, którego zachowałeś w pamięci.

- Doskonale to rozumiem. - Właśnie dlatego unikała jak ognia dostrzegania młodych atrakcyjnych mężczyzn w rannych żołnierzach, z którymi stykała się w szpitalu. - Naprawdę rozumiem, ojczu.

- Bardzo się cieszę - rzekł z głębokim westchnieniem. Oto kolejny punkt zwrotny, jeszcze jedno rozwidlenie ich zdradzieckiej drogi. - Miłość do człowieka w położeniu Maxa niesie również ze sobą element ryzyka. Jest w tej chwili uciekinierem... być może niebawem będzie zwierzyną łowną, zaciekle ściganą przez faszystów. Trudno wykluczyć, że nie złączą prześladować i ciebie, jeśli się z nim zwiążesz. Gdybyś nawet nie została skrzywdzona w sensie fizycznym, udręka związana z taką sytuacją może się dla ciebie okazać zabójcza. Tak samo jak ból wynikły z utraty Sary omal nie okazał się zabójczy dla Maxa.

- Jak można karać za to, że kocha się akurat tę, a nie inną osobę? - zapytała z gniewem. - Czy ktokolwiek ma prawo przesądzać z góry, co jest dobre, a co złe?

Jej dziecinne pytanie, tak naiwne a zarazem celne, sprawiło, że Walmara zalał potop wspomnień związanych z Kassandra... Ją też przestrzegał, ona też była świadoma możliwych konsekwencji...

- Ojczu? - zagadnęła z niepokojem Ariana. Odnosiła wrażenie, że Walmar w okamgnieniu oddalił się od niej o setki tysięcy kilometrów.

- Musisz o nim zapomnieć - mruknął wreszcie. - To oczarowanie jest dla ciebie niebezpieczne.

- Ale pomogłeś mu, chociaż to też wiązało się z niebezpieczeństwem, tato.

- Masz trochę racji, ale tylko trochę. Bo mnie z Maxem nie łączy ta więź, która niesie ze sobą największe zagrożenie... miłość. - Przewiercił córkę spojrzeniem. - Mam nadzieję, że ciebie też nie.

Kiedy nie doczekał się odpowiedzi, podszedł do okna, skąd rozpościerał się widok na jezioro i skryty w oddali cmentarz. Jego oczy były jednak ślepe, oczyma duszy widział Kassandra. W chwili, kiedy ją ostrzegał... w przeddzień samobójstwa.

- Ariano, chcę ci powiedzieć coś, czego nie zamierzałem ci nigdy mówić. O cenie, jaką się płaci za miłość. O faszyzmie... i o twojej matce.

Mówił cicho, a jego głos w odczuciu Ariany, która widziała tylko plecy ojca, dobiegał z bardzo daleka.

- Nie feruję wyroków, nie zdobywam się na krytycyzm, nie czuję w tej chwili gniewu, a tym bardziej nie usiłuję obudzić w tobie poczucia wstydu. Łączyło nas wielkie uczucie, ale twoja matka, kiedy się z nią żeniłem, była bardzo młoda... Kochałem ją, lecz nie zawsze rozumiałem. Pod wieloma względami różniła się od kobiet owego czasu, w jej duszy pełgał płomyk gotów w każdej chwili przemienić się w ogień. - Odwrócił się i spojrzał na córkę. - Czy wiesz, że kiedy przyszedł na świat, pragnęła się tobą zająć osobiście, bez pomocy niańki? Rzecz naówczas w naszych kręgach niesłychana i w moim przekonaniu, świadcząca o braku rozsądku. Zatrudniłem zatem Fraulein Hedwig, wskutek czego, jak dziś sędzę, w twojej matce coś się nieodwracalnie zmieniło. Od tego momentu sprawiała wrażenie trochę zagubionej.

Znów popatrzył w okno i po chwili podjął:

- Nasze małżeństwo trwało już dziesięć lat, kiedy poznała mężczyznę, człowieka znacznie młodszego niż ja. Był słynnym pisarzem, przystojnym i bardzo inteligentnym... Zakochała się w nim. Wiedziałem o romansie prawie od początku. Może nawet wiedziałem, zanim się zaczął. Widywano ich ze sobą. I dostrzegałem w jej oczach coś nowego, coś emanującego życiem, podnieceniem, coś cudownego. I chyba wtedy... - ściszył głos... - pokochałem ją jeszcze mocniej.

- Przyczyną tragedii Kassandra nie był sam romans, lecz to, iż w kraju przejęli władzę faszyci, a mężczyzna, którego twoja matka obdarzyła tak szaleńczym uczuciem, był Żydem. Ostrzegałem ją dla dobra ich obojga, nie chciała go jednak porzucić. W istocie nie chciała porzucić żadnego z nas. Na swój sposób była lojalna wobec nas obu. Właściwie nie odczuwałem negatywnych skutków jej związku z tamtym mężczyzną. Była mi równie oddana jak przedtem, może nawet bardziej. Ale takie samo oddanie okazywała jemu. Nawet kiedy przestano wydawać jego książki, zaczęto traktować go jak pariasa, nawet wtedy... - głos Walmara załamał się i ostatnie słowa były ledwie słyszalne: - Nawet wtedy, kiedy go zamordowano.

- Była z nim, kiedy po niego przyszli, kiedy go pobili, wywlekli siłą z własnego domu... Pobili również twoją matkę i pewnie by ją w końcu zamordowali, gdyby w akcie rozpaczony nie powiedziała, kim jest. Wróciła jakoś do domu... Kiedy się z nią spotkałem, potrafiła tylko mówić, że okryła męża hańbą i naraziła mnie... nas wszystkich... na niebezpieczeństwo. Postanowiła więc nasze bezpieczeństwo okupić swoim życiem. Myślę też, że nie potrafiła żyć ze swoją i jego tragedią. Miałem tego dnia ważne spotkanie, musiałem wyjść z domu na dwie godziny. Kiedy wróciłem, leżała w swojej łazience martwa.

- Taka jest, Ariano, historia twojej matki, która pokochała mężczyznę upatrzony przez faszystów na ofiarę. Odsłoniła przed nią całą brutalność i szpetotę swojej gry, przepelnili takim strachem, że zaczęła obawiać się życia, i w rezultacie... - spojrzał córce w oczy -... zabili ją. Tak samo mogą zabić ciebie, jeśli obdarzysz uczuciem Maxa. Nie rób tego, Ariano... zaklinam cię na Boga... nie rób.

Ukrył twarz w dłoniach i - po raz pierwszy w obecności Ariany - zapłakał. Milcząco podeszła do ojca z drżeniem, otoczyła go ramionami i do jego łez dołączyła swoje.

- Tak mi przykro, tatusiu... tak mi przykro - zaczęła powtarzać raz za razem. Przerazona opowieścią ojca, dopiero teraz jednak ujrzała w matce kobietę z krwi i kości. - Tatusiu, przestań... proszę... przepraszam... Nie wiem, co się stało... Jestem kompletnie zagubiona. To było takie dziwne, kiedy samotny i wystraszony ukrywał się tutaj, w naszym domu. Chciałam mu pomóc. Litowałam się nad nim.

- Ja też. - Walmar uniósł w końcu głowę. - Ale musisz o nim zapomnieć. Pewnego dnia, w lepszych czasach, spotkasz mężczyznę. Dobrego i odpowiedniego mężczyznę.

Skinęła głową, wycierając chusteczką następny strumień łez.

- Myślisz, że jeszcze go kiedyś zobaczymy?

- Może pewnego dnia... - odparł i objął córkę ramieniem. - Mam nadzieję. Ale błagam, kochanie, bądź ostrożna, dopóki trwa wojna.

- Będę ostrożna. Obiecuję. - Obdarowała ojca wåtłym uśmiechem. - A poza tym nigdy cię nie opuszczę, tatusiu.

Roześmiał się cicho.

- I w tym postanowieniu, moja maleńka, nie wytrwasz wiecznie.

Dwa tygodnie później do biura Walmara przyszedł list bez adresu zwrotnego. Koperta zawierała arkusik, na którym widniało tylko jedno słowo: Locarno. Był to ostatni znak życia, jaki od swego przyjaciela Maxa otrzymał Walmar von Gotthard.

ROZDZIAŁ 11

Lato minęło bez większych wydarzeń: Walmar pracował w banku, Ariana zaś trzy razy w tygodniu w szpitalu. Wakacje pozwalały jej oddać się bez reszty działalności ochotniczej i prowadzeniu domu. Wszyscy troje - Ariana, Walmar i Gerhard - pojechali na tydzień w góry, a tuż po ich powrocie do domu Gerhard skończył szesnaście lat. Rankiem w dniu urodzin Walmar oświadczył z niejakim rozbawieniem, że teraz jego syn jest już mężczyzną. Podobnego zdania była widać hitlerowska armia, która podczas ostatniego rozpaczliwego zrywu jesienią 1944 roku powoływała w swoje szeregi wszystkich zdolnych do noszenia broni mężczyzn i chłopców. Cztery dni po tak radośnie we trójkę świętowanych urodzinach Gerhard otrzymał wezwanie do wojska. Miał się stawić w ciągu trzech dni.

- Nie do wiary - powiedział przy śniadaniu, wpatrując się w wezwanie. Był już spóźniony do szkoły. - Ależ oni nie mogą tego zrobić... prawda, że nie mogą, ojczy?

Walmar spojrzał nań posepnie.

- Wcale nie jestem pewien. Sprawdzimy.

Jeszcze tego samego dnia przed południem Walmar odwiedził swojego starego przyjaciela, pułkownika wermachtu, i usłyszał, że nic nie da się zrobić.

- Jest nam potrzebny, Walmarze. Wszyscy są nam potrzebni.

- A zatem sprawy stoją aż tak źle?

- Gorzej.

- Rozumiem.

Przez kilka chwil gwarzyli niezobowiązująco o wojnie, interesach Walmara i żonie pułkownika, następnie zaś Walmar udał się do banku. Po drodze, usadowiony na tylnej kanapie rolls - royce'a prowadzonego przez szofera, ważył w myślach, co musi zrobić. Bo nie zamierzał tracić syna. Dość już w życiu stracił.

Z biura dwa razy gdzieś zatelefonował, potem wpadł do domu na obiad i przy tej okazji wyjął jakieś dokumenty ze ściennego sejfu w swoim gabinecie, po czym wrócił do banku, w którym pozostał do wieczora. Kiedy po szóstej zjawił się w domu, znalazł swoje dzieci w położonej na drugim piętrze sypialni Gerharda. Ariana płakała, na twarzy zaś chłopca malowało się przerażenie i rozpacz.

- Nie mogą go zabrać, prawda, ojczy? - zapytała Ariana. Chociaż jednak żyła w przekonaniu, że Walmar potrafi przenosić góry, w jej oczach prawie nie było nadziei.

Nie było również nadziei we wzroku Walmara, gdy odpowiedział:

- Mogą.

Gerhard, zbyt oszołomiony tym, co go spotyka, nie mówił nic i tylko gapił się na wezwanie spoczywające na jego biurku. Od rana przeczytał je co najmniej sto razy. Z jego klasy powołano jeszcze dwóch chłopców. Milczał jednak zgodnie z poleceniem ojca, który nakazał mu powściągliwość w słowach, dopóki nie znajdzie się jakieś rozwiązanie problemu.

- Czyli muszę iść do wojska - wyjąkał wreszcie bezbarwnym martwym głosem, co sprawiło, że siostra zaszlochała z nową mocą.

- Owszem. - Mimo surowości w głosie Walmar czule spoglądał na dzieci. - Powinieneś być dumny, że możesz służyć ojczyźnie.

- Zwariowałeś? - Gerhard i Ariana popatrzyli na ojca z mieszaniną zaskoczenia i zgrozy.

- Bądźcie cicho - powiedział Walmar, zamykając drzwi sypialni. Przyłożył palec do ust, przywołał dzieci bliżej i wyszeptał: - Nie będziesz musiał iść do wojska.

- Naprawdę? Załatwiłeś?

- Nie. - Walmar z powagą pokręcił głową. - Nie zdołałem. Wyjeżdżamy.

- Co? - Na twarzy Gerharda znów odmalowało się zaskoczenie, ale jego ojciec i siostra wymienili porozumiewawcze spojrzenia. To miało być coś w rodzaju ucieczki Maxa sprzed kilku miesięcy. - W jaki sposób?

- Jutro zabiorę cię do Szwajcarii. Rozpowiemy, że jesteś chory i leżysz w domu. Masz zameldować się dopiero w czwartek, więc zostają nam trzy dni. Przeprowadzę cię przez granicę i oddam pod opiekę przyjaciół w Lozannie czy nawet w Zurychu, jeśli okaże się to konieczne. Potem wrócę po twoją siostrę. - Walmar czule popatrzył na córkę i musnął jej dłoń. Może koniec końców jeszcze zobaczy się z Maxem?

- Dlaczego nie pójdzie z nami od razu? - zapytał stropiony Gerhard.

Jego ojciec pokręcił głową.

- Nie zdołam w tak krótkim czasie wszystkiego przygotować. Obecność Ariany w domu będzie dowodzić, że nie zniknęliśmy na dobre. Zresztą wrócę po nią za dzień i wtedy ostatecznie zwiniemy żagle. Tylko musicie zachować absolutną dyskrecję na temat tych planów, bo od tego zależy nasze życie. Zrozumieliście?

Oboje z powagą pokiwali głowami.

- Gerhardzie, załatwiłem ci paszport na fałszywe nazwisko. W razie czego będziemy mogli posłużyć się nim na granicy. Tymczasem musisz udawać, że pogodziłeś się z pójściem do wojska. A nawet że jesteś z tego zadowolony. Dotyczy to również naszego domu.

- Nie ufasz służbie? - Mimo ukończonych szesnastu lat Gerhard wciąż był po dziecięcemu naiwny. Nie dostrzegał fascynacji Bertholda Partią i ślepej wiary Fraulein Hedwig w Adolfa Hitlera.

- Nie ufam, jeśli stawką jest nasze życie.

Gerhard wzruszył ramionami.

- W porządku.

- Nie pakujcie niczego. We wszystkie niezbędne rzeczy zaopatrzymy się na miejscu.

- Bierzemy pieniądze?

- Pieniądze już są w Szwajcarii. - Walmar był na taki rozwój wydarzeń przygotowany od lat. - Żałuję tylko, żeśmy zwlekali tak długo. Nie trzeba nam było wracać z wakacji - stwierdził z westchnieniem.

- Skąd mogłeś wiedzieć? - usiłowała go pocieszyć Ariana. - Kiedy wrócisz ze Szwajcarii, tatusiu?

- Mamy dziś poniedziałek, wyruszamy jutro rano, więc wrócę w środę wieczorem. A my wyjedziemy w czwartek wieczorem, kiedy wrócę z pracy. Powiemy, że idziemy na kolację... i nie wrócimy już nigdy. Czeka nas jednak nieco ekwilibrystyki, żeby przekonać służbę, że Gerhard poszedł do wojska bez pożegnań. Jeśli jutro i pojutrze zdołasz nie dopuścić Anny i Hedwig do pokoju Gerharda, powie się, że twój brat wyjechał w czwartek wczesnym rankiem. Nasza obecność powinna położyć tamę wszelkim podejrzeniom. Jeśli o mnie chodzi, spróbuję wrócić na kolację.

- Co powiedziałaś w banku?

- Nic. Nie muszę przed personelem tłumaczyć się z nieobecności. W dzisiejszych czasach odbywa się zresztą tyle potajemnych narad, że alibi nie stanowi problemu. No i co, wszystko jasne?

- Urwał, a po chwili dodał z zadumą: - Wojna dobiega końca, moi kochani, ale faszyści tonąc pociągną za sobą cały kraj. Nie chcę, byście i wy padli ofiarą ich szaleństwa. Czas odbudowy przyjdzie później. Gerhardzie, o jedenastej rano spotkamy się w tej kawiarni za rogiem banku. Stamtąd pójdziemy razem na dworzec. Zrozumiałeś?

- Tak. - Na twarzy chłopca nagle zagościła powaga.

- Ariano, dopilnujesz jutro Gerharda?

- Oczywiście, ojcze. Tylko jak niepostrzeżenie wyjdziemy z domu?

- Wyjdźcie o piątej rano. Zgoda, Gerhardzie?

- Zgoda, ojcze.

- Na drogę ubierz się ciepło. Ostatni odcinek będziemy musieli pokonać pieszo.

- Ty też, tato? - zapytała Ariana z troską, spoglądając ojcu w oczy.

- Ja też. Wyobraź sobie, moja droga, że jestem w stanie temu sprostać. Przypuszczalnie lepiej niż ten chłopiec. - Walmar wstał, zmierzwił włosy syna, ale pożegnalnego uśmiechu ojca nie odwzajemniła ani Ariana, ani Gerhard. - Nie martwcie się. Wszystko pójdzie dobrze. A kiedyś tu wrócimy.

Kiedy zamykał za sobą drzwi, Ariana nie potrafiła wyzbyć się wątpliwości, czy tak naprawdę będzie.

ROZDZIAŁ 12

- Pani Gebesen... - Walmar von Gotthard z kapeluszem w dłoni władczo popatrzył na swoją sekretarkę. - Wychodzę i dzisiaj już nie wracam. Konferencja... wiadomo gdzie.

- Oczywiście, Herr von Gotthard.

- Doskonale. - Pospiesznie wymaszerował z pokoju.

Sekretarka, wbrew swojemu przekonaniu, nie miała pojęcia, dokąd wybiera się szef. Zakładała, że do Reichstagu na kolejną naradę z ministrem finansów: gdyby nazajutrz nie zjawił się w biurze, uznałaby po prostu, że naradę wznowiono od samego rana, jak już bywało.

Walmar znakomicie wybrał dzień. Minister przez cały ten tydzień miał przebywać we Francji, zajęty analizą stanu paryskich finansów Rzeszy, a także inwentaryzacją masy zagrabionych dzieł sztuki czekających na wysyłkę do Berlina. Piękny łup wojenny.

Już rano oświadczył szoferowi, że nie będzie go potrzebował, i teraz pospiesznie skręcił za róg, gdzie mieściła się tania kawiarenka. Gerhard, zgodnie z planem, wyszedł o piątej rano, pocałunkiem pożegnał się z siostrą, raz jeszcze spojrzął przez ramię na dom, w którym dorastał, następnie zaś pokonał piechotą niemal dwadzieścia kilometrów dzielących go od centrum Berlina.

Wchodząc do kawiarni Walmar dostrzegł syna, nie pokazał jednak po sobie, że go poznaje. Po prostu z twarzą zacienioną rondem kapelusza i z neseserem w dłoni skierował się do toalety. Kiedy tylko zamknął za sobą jej drzwi, spiesznie zdjął garnitur, wkładając zabrane z garażu stare spodnie robocze, sweter i ciepłą kurtkę. Zastąpiwszy homburg niekształtną bekieszą, włożył garnitur do neseseru, kapelusz zaś wepchnął do kosza na śmieci. Chwilę potem podszedł do Gerharda i nieznacznym skinieniem głowy polecił mu iść za sobą.

Dojechali taksówką na dworzec, gdzie natychmiast roztopili się w zgiełkliwym tłumie, dwadzieścia minut później zaś - anonimowi, zaopatrzeni w legalne dowody tożsamości i dokumenty podrózne - zmierzali już w stronę granicy. W sercu Walmara narastała duma z Gerharda, który zachowywał się bez zastrzeżeń - z dnia na dzień przemieniony w uciekiniera, szybko się uczył, jak należy postępować, aby ucieczka zakończyła się powodzeniem.

- Fraulein Ariana?... Fraulein Ariana?

- Rozległo się pukanie do drzwi, a kiedy Ariana lekko je uchyliła, ujrzała twarz panny Hedwig. Ariana przyłożyła palec do ust i wysunęła się na korytarz.

- Co się dzieje?

- Psst... zbudzi go pani. Gerhard czuje się bardzo źle.

- Ma gorączkę?

- Chyba nie. Po prostu jest okropnie przeziębiony.

- Pozwoli panienka, że na niego zerknę.

- Nie mogę. Obiecałam bratu, że pozwolimy mu przespać cały dzień. Jest przerażony, że mógłby nie wyzdrowieć do czwartku, kiedy ma się stawić w wojsku. Chce po prostu przespać chorobę.

- Ależ oczywiście, rozumiem. Nie sądzi panienka, że powinniśmy wezwać lekarza?

- Nie - zaproponowała Ariana. - Chyba że mu się pogorszy.

Fraulein Hedwig, rada z okazywanej przez podopiecznego chęci służenia ojczyźnie, ze zrozumieniem pokiwała głową.

- Dobry z niego chłopiec.

Ariana uśmiechnęła się dobrotliwie i cmoknęła Fraulein Hedwig w policzek.

- To dzięki tobie.

Komplement sprawił, że Hedwig oblała się rumieńcem.

- Może mu przynieść herbaty?

- Nie, nie trzeba. Sama mu później zaparzę. W tej chwili śpi jak zabity.

- Ale proszę mnie wezwać, gdybym była potrzebna.

- To zrozumiałe samo przez się. Dziękuję, Hedwig.

- Bitte schön.

Chwilę później Fraulein Hedwig zniknęła zajęta swoimi sprawami, niemniej jeszcze dwukrotnie w ciągu tego popołudnia narzucała się Arianie ze swoimi usługami; za każdym razem Ariana mówiła, że jej brat obudził się wcześniej, zjadł coś i znowu zasnął.

Był już wtorkowy wieczór, tak więc grę należało toczyć jeszcze przez jeden dzień, do powrotu ojca. Wtedy będą bezpieczni - Walmar oświadczy, że o świcie osobiście odwiózł Gerharda do koszar. Pozostawała środa, jeszcze dwadzieścia cztery godziny. Da sobie radę. A we czwartek wieczorem wyjedzie razem z ojcem.

Kiedy późnym wtorkowym wieczorem schodziła na dół, czuła się znużona i obolała na całym ciele. Ileż napięcia wiązało się z całodziennym nasłuchiowaniem kroków Hedwig czy Anny, strzeżeniem pokoju Gerharda, powtarzaniem kłamstw! Musiała wymknąć się z drugiego piętra, choćby na kilka minut. Poszła więc do gabinetu ojca, usiadła i wbiła spojrzenie w popiół na kominkowej kracie. Czy ojciec był tu jeszcze dziś rano? Czy naprawdę tu właśnie się z nią żegnał? I chociaż na biurku leżały jak zwykle uporządkowane dokumenty, na półkach biblioteki zaś w zwykłym ordynku stały książki, pokój sprawiał wrażenie całkowicie odmienionego. Ariana wstała, spojrzała na jezioro i przywołała w pamięci pożegnalne słowa ojca: „Nie martw się, wrócę pojutrze. A Gerhardowi nic się nie stanie.”

- Nie martwię się o Gerharda, lecz o ciebie.

- Nie bądź niemądra. Czyżbyś nie wierzyła w swojego staruszka?

- Wierzę mocniej niż w kogokolwiek na świecie.

- To znakomicie, bo zupełnie takie same są moje uczucia wobec ciebie. I właśnie dlatego, najdroższa Ariano, zamierzam pokazać ci coś, co kiedyś bardzo może ci się przydać. Uważam, że powinnaś o tym wiedzieć.

Następnie pokazał jej tajny sejf w swojej sypialni, drugi w bibliotece i trzeci w pokoju matki, wciąż zawierający całą biżuterię Kassandry.

- Pewnego dnia będzie twoja - powiedział z powagą.

- Dlaczego właśnie teraz zdradzasz mi tę tajemnicę? - zapytała ze łzami w oczach. Nie chciała poznawać jej akurat teraz, kiedy ojciec wyruszał z Gerhardem na ryzykowną wyprawę.

- Ponieważ cię kocham i chcę, byś w razie czego wiedziała, jak dawać sobie radę. Gdyby coś się stało, utrzymuj z uporem, że o niczym nie wiesz. Powtarzaj, iż byłaś pewna, że Gerhard jest w swoim pokoju, że nie miałaś pojęcia o jego wyjeździe. Mów wszystko, co w danych okolicznościach będziesz musiała powiedzieć. Kłam. Ale broń się, wykorzystuj rozum, inteligencję i to... - pokazał plik nowiutkich banknotów i mały pistolecik. - Jeśli Niemcy upadną, pieniądze stracą wszelką wartość, ale wtedy biżuteria matki zapewni ci byt.

Wyjął zaopatrzonej w skrytkę tom Szekspira, mieszczący zaręczynowy pierścionek ze szmaragdem i brylantowy sygnet, który Cassandra zwykła nosić na prawej dłoni. Ariana mimowolnie wyciągnęła rękę, żeby go dotknąć; migotał znajomo... Była pewna, że wiele lat temu widziała go na palcu matki.

- Zawsze je nosiła - powiedział jakby do siebie Walmar.

- Pamiętam.

- Naprawdę? - Wydawał się szczerze zaskoczony. - A więc teraz zapamiętaj, że gdybyś ich potrzebowała, są tutaj. Robiąc z nich dobry użytek, najlepiej uczcisz pamięć swojej matki.

Ariana wyrwała się z rozmyślań o wydarzeniach dzisiejszego poranka i doszła do wniosku, że stojąc w gabinecie przez całą noc nie przyspieszy ani o minutę powrotu ojca; równie dobrze mogła położyć się spać.

Wyłączyła światło, bezgłośnie zamknęła drzwi i powędrowała na górę.

Na stacji w Mullheim Walmar delikatnie szturchnął Gerharda, który spał snem sprawiedliwego; przespał trzecią część trwającej dwanaście godzin podróży, a kiedy leżał tak wyciągnięty na kanapie, wsunąwszy głowę w róg przedziału, wyglądał bardzo młodzieńczo i niewinnie. Na kilku stacjach wsiadali żołnierze, aby dokonać kontroli dokumentów - wtedy Walmar określał Gerharda mianem „swojego młodego przyjaciela”, mówił z prostackim akcentem, oficerom zaś okazywał wielki szacunek.

Gerhard prawie się nie odzywał i tylko trwożnie spoglądał na żołnierzy, z których jeden zmierzwił mu włosy i żartobliwie przyrzekł rychły awans, co Gerhard skwitował głupawo - zawadiackim uśmiechem. Papiery ojca i syna były w porządku, żaden więc z patroli nie sprawił kłopotów.

Podczas krótkiego postoju w Mullheim nikt nie wsiadł do pociągu, Walmar jednak obudził syna, ponieważ była to ostatnia stacja przed celem ich podróży, Lorrach. Chłodne powietrze nocy otrzeźwi chłopca do reszty. Mieli przed sobą najtrudniejsze zadanie - piętnastokilometrowy marsz i najszybsze, jak to będzie możliwe, dotarcie do Bazylei, z której pociągiem wyruszą do Zurychu, tam bowiem Walmar postanowił zostawić Gerharda. On sam za dwa dni wróci z Arianą i wtedy całą trójką pojedą do Lozanny.

Walmar pragnął bez chwili zwłoki wyruszyć w drogę powrotną, Ariana bowiem nie mogła w zbyt długo toczyć swej gierki. Najpierw jednak należało bezpiecznie odstawić Gerharda do Zurychu, co oznaczało długi marsz z Lorrach. Mullheim od Lorrach dzieliło dwadzieścia pięć kilometrów, od chwili zatem gdy Gerhard drgnął, uniósł głowę i sennie popatrzył wokół siebie, do zatrzymania się pociągu minęło pół godziny. Koniec trasy.

O wpół do drugiej w nocy wysiedli wraz z garstką innych pasażerów. Walmar doświadczył przez moment osobliwego uczucia, że w zetknięciu z twardą ziemią jego nogi dygocą jak trzciny. Bez słowa mocniej nasunął czapkę na oczy, podniósł kołnierz i wyciągnąwszy ramię w stronę budynku dworca, ruszył przed siebie. Wyglądali po prostu jak stary człowiek i chłopak wracający do domu, ot, zwykli mieszkańcy okolic Lorrach... Mogły ich zdradzić tylko starannie przystrzyżone siwe włosy i nienagannie wymanikiurowane dłonie Walmara, ten jednak przez całą drogę nie zdejmował czapki, a jeszcze przed wyjazdem z Berlina solidnie usmolił ręce na brudnym dworcu.

- Głodny jesteś? - zerknął na Gerharda, który ziewnął i wzruszył ramionami.

- Nie bardzo. A ty?

Walmar uśmiechnął się i podał synowi jabłko pozostałe z posiłku, który kupił w pociągu. Gerhard wgrzył się w nie łapczywie i ruszyli przed siebie, nie mając w polu widzenia żywej duszy.

Pokonanie piętnastu kilometrów zajęło im pięć godzin. Gerhard mógłby maszerować szybciej, Walmar jednak - chociaż zdumiewająco sprawny jak na mężczyznę w swoim wieku - nie był już młodzieniaszkiem. W pewnym momencie bezkresna linia siatki i drutu kolczastego oraz majaczące w dali patrole grenzschtzu powiedziały im, że dotarli do granicy. Dwie godziny wcześniej zboczyli z drogi i teraz, w szarówce przedświt, sprawiali po prostu wrażenie dwóch rolników, którzy wcześniej wybrali się w pole. Nie mieli przy sobie nic, co mogłoby wzbudzić podejrzenia, w razie niebezpieczeństwa bowiem wystarczyłby jeden gest, by neseser Walmara wylądował w krzakach.

Walmar wyjął z kieszeni obcęgi i zaczął przecinać przytrzymywane przez Gerharda druty. Po kilku minutach powstała dziura dość duża, by mogli przez nią przepelznąć. Walmar czuł oszalały łomot swojego serca. Jeśli zostaną przyłapani w tej chwili - zginą... Nie przejmował się sobą, chodziło mu tylko o syna. Szybko, szybciej... Walmar usłyszał, jak drze się na kolcach jego kurtka, ale oto byli już w Szwajcarii, nie opodał kępy drzew. Walmar machnął dłonią i biegiem ruszyli w jej stronę.

Wydawało się, że biegną całe wieki. Nikt ich jednak nie ścigał, nikt nie usłyszał. Jeszcze dwa lata temu podobna przeprawa byłaby zadaniem o wiele cięższym, teraz wszakże, w obliczu odczuwanego przez armię głodu ludzi, granicy ze Szwajcarią strzegło znacznie mniej patroli niż kiedyś.

Po półgodzinnym marszu dotarli do Bazylei. Był świt, nad górami przepyszenie wschodziło słońce. Walmar przystanął nagle, otoczył ręką ramiona syna, by na chwilę skierować zachwycony wzrok ku jasnofioletowym i różowym jezorom liżącym rozświetlający się nieboskłon. Nigdy nie czuł się człowiekiem tak wolnym. Będą tu mieli, uznał, cudowne życie aż do końca wojny. A może jeszcze dłużej.

Na obolałych nogach dotarli do dworca chwilę przed odjazdem pierwszego pociągu. Walmar wykupił bilety do Zurychu i wygodnie rozsiadł się w przedziale. Zamknawszy oczy, jął wpadać w objęcia snu.

Miał wrażenie, że już po krótkiej chwili poczuł na ramieniu potrząsającą nim dłoń Gerharda - przez trwającą cztery i pół godziny podróż chłopak nie chciał budzić ojca i czuwał sam, zapatrzony na piękne pejzaże doliny Frick.

- Tatusiu... chyba jesteśmy na miejscu.

Walmar sennie wyjrzał przez okno na znajomy Bahnhof Platz, kontur odległej katedry Grossmunster i mający na horyzoncie masyw Uetlibergu. Przez chwilę poczuł się jak w domu.

- Ano, jesteśmy.

Kiedy wysiedli z pociągu, Walmar mimo obolałych stóp i pleców zapragnął wziąć syna w ramiona i zatańczyć. Zamiast tego po prostu przyciągnął go do siebie i szeroko się uśmiechnął. Udało się. Byli bezpieczni. Życiu Gerharda nic już nie zagrażało. Chłopak nie będzie służył w hitlerowskiej armii. Ci zbrodniarze nie zabiją jego syna.

Spiesznie skierowali się do małego pensjonatu, który Walmar zapamiętał, ponieważ kiedyś, czekając na pociąg, jadł w nim drugie śniadanie. Był dokładnie taki sam jak przed laty - mały, położony na uboczu, cichy, przyjazny. Idealne miejsce, by zostawić chłopca na tych parę dni, które jego ojciec będzie jeszcze musiał spędzić w podróży i w Berlinie.

Zjadłszy obfite śniadanie, poszli do pokoju. Walmar omiół go aprobującym wzrokiem,

potem zaś spojrzął na Gerharda. Chłopak w tak niedługim czasie z dziecka stał się mężczyzną! Był to zyciu ich obu moment szczególny.

Pierwszy przemówił Gerhard, patrząc z podziwem załzawionymi oczyma na ojca, który maszerował bezdrożami, przecinał druty kolczaste i przekradał się przez granicę po to tylko, aby go ocalić.

- Dziękuję ci, tato... dziękuję. - Zrzucił ręce na szyję ojca. Ojca żartobliwie nazywanego niekiedy przez przyjaciół staruszką. W tej chwili jednak nie tulił się do staruszka, lecz do mężczyzny, który w imię uratowania syna był gotów krwawić, ociekać potem, a nawet zginąć.

Po długiej chwili Walmar odsunął go od siebie na odległość wyciągniętego ramienia.

- Wszystko w porządku. Jesteś już bezpieczny - powiedział. Podeszedł do prostego biurka, wyjął swe starannie ukryte złote pióro wieczne i napisał coś na kartce papieru. - Dam ci adres i numer telefoniczny pana Mullera... na wypadek gdybyśmy się z Arianą nieco spóźnili. - Twarz Gerharda spochmurniała, Walmar jednak zignorował obawy chłopca. - Tylko na wszelki wypadek - dodał. Nawet przez myśl mu nie przeszło, by zostawić Gerhardowi numer Maxa. Muller był bankierem i starym znajomym Walmara. - Zostawię ci też neseser. Są w nim dokumenty i pieniądze. Nie sądzę zresztą, żeby w ciągu dwóch najbliższych dni były ci potrzebne.

On w drogę powrotną zabierał tylko trochę gotówki w portfelu, niczego zatem, co mogłoby posłużyć przeciwko niemu, gdyby został schwytany. A tym razem ryzyko będzie większe, czekała go bowiem przeprawa w biały dzień. Walmar wszakże za nic nie chciał zwlekać z powrotem do Ariany - zamierzał dotrzeć do domu jeszcze najbliższej nocy. Kiedy odwrócił się w stronę Gerharda, zobaczył, że chłopiec płacze. Mocno przytulił go do siebie.

- Przestań się tak o mnie bać. Prześpij się teraz, potem zjedz obiad i wyjdź pozwiedzać miasto. To wolny kraj, Gerhardzie, nie ma tu żadnych faszystów, żadnych opasek na ramionach. Baw się dobrze. Ja i Ariana będziemy tu jutro wieczorem.

- Myślisz, że Ariana podoła takiej wędrownicy z Lorrach? - zapytał Gerhard pamiętając, jak ciężką próbą okazała się dla nich.

- Da sobie radę. Powiem jej tylko, żeby nie wkładała tych swoich fikuśnych pantofelków na wysokich obcasach.

Gerhard uśmiechnął się przez łzy i po raz ostatni uściskał ojca.

- Mogę odprowadzić cię na dworzec?

- Nie, młody człowieku, w tej chwili możesz najwyżej iść do łóżka.

- A ty?

Walmar mimo wielkiego znużenia pokręcił głową.

- Będę spać w drodze do Bazylei, a potem prawdopodobnie do samego Berlina.

Wszystko już zostało powiedziane, toteż tylko przeciągle popatrzyli sobie w oczy.

- Auf wiedersehen, tatusiu - szepnął Gerhard, jego ojciec zaś pomachał dłonią i spieszenie zbiegł po schodach do foyer pensjonatu.

Pociąg do Bazylei odjeżdżał za dziesięć minut, drogę do stacji więc Walmar pokonał praktycznie biegiem. Kiedy zdyszany kupował bilet i wsiadał do pociągu, Gerhard w pobliskim pensjonacie spał już jak zabity.

ROZDZIAŁ 13

- No i cóż, jak się dzisiaj miewa? - zapytała z troską Fraulein Hedwig, kiedy Ariana wyszła na korytarz po tace ze śniadaniem.

Ariana pocieszająco uśmiechnęła się do starej niani.

- Znacznie lepiej, choć jeszcze trochę kaszle. Myślę, że drugi dzień w łóżku całkowicie postawi go na nogi.

- Tak, i jeszcze wizyta lekarza. Nie możemy przecież dopuścić, żeby zgłosił się do wojska z zapaleniem płuc. Oddałby Rzeszy niedźwiedzią przysługę.

- Jakie tam zapalenie płuc! - odparła Ariana pobłażliwie i z pewną dozą wyższości. - A jeśli rozdrażnienie może być jakimś dowodem, to jutro Gerhard będzie w doskonałej formie. - Odwróciła się, by zanieść tacę brata do ich wspólnego apartamentu, zamierzając za chwilę wrócić po swoje śniadanie. Fraulein Hedwig zdążyła ją jednak chwycić, chociaż Ariana zaprotestowała: - Nie fatyguj się, nianiu, zaraz ją zabiorę.

- Niechże z panienki nie będzie taka samosia. Zajmuje się panienka bratem od wczoraj i daję słowo, potrzebuje panienka pomocy. - Mrucząc i poprychując postawiła tacę na stole w niewielkim saloniku młodych von Gotthardów.

- Dziękuję, Hedwig - rzekła Ariana czekając, aż niania wyjdzie.

Ta jednak sięgnęła po tacę, którą Ariana wciąż trzymała w rękach:

- Zaniosę mu śniadanie.

- Nie będzie tym zachwycony - odparła Ariana, nie wypuszczając tacy z rąk. - Sama wiesz, że nie znosi, kiedy się go traktuje jak dziecko.

- Nie jest już dzieckiem, lecz żołnierzem - surowo oświadczyła Fraulein Hedwig. - I przynajmniej tyle mogę dla niego zrobić.

- Nie, naprawdę dziękuję, nianiu. Dał mi wyraźne polecenie. Obiecałam mu solennie, że nikogo nie wpuszczę do jego pokoju.

- Nie jestem „nikim” - burknęła Hedwig prostując sylwetkę. W każdych innych okolicznościach Ariana poczułaby się jak mała dziewczynka, tym jednak razem nie zamierzała dać za wygraną.

- Oczywiście, że nie - powiedziała pojednawczo - ale wiesz, jaki jest Gerhard.

- Najwyraźniej jeszcze bardziej rozpuszczony niż kiedyś. Wojskowa dyscyplina dobrze mu robi.

- Z pewnością przekażę mu twoją opinię. - Ariana uśmiechnęła się wesoło, zaniósł tacę do pokoju Gerharda i na wypadek nieustępliwości Hedwig podparła plecami drzwi. Chwilę później

wydała przeciągłe westchnienie ulgi słysząc, że drzwi z saloniku na korytarz zamykają się z trzaskiem. W duszy błagała niebiosa, by ojciec zgodnie z planem wrócił dzisiejszego wieczora. Dłuższe dawanie odporu Fraulein Hedwig wydawało się zadaniem nad siły.

Nerwowo przesiedziała trzy kwadransy w saloniku, a potem wystawiła na korytarz tace: obie nosiły ślady ataku głodomorów. Podziękowała Annie za czyste ręczniki, Bogu zaś za to, że Fraulein, Hedwig zjawiała się dopiero późnym popołudniem.

- Jak się czuje?

- O wiele lepiej. Na pewno do jutra będzie zdrow jak ryba. Może nawet przed wyjazdem wysadzi w powietrze pół domu, bo napomykał, żeby mu przynieść sprzęt laboratoryjny, to na pożegnanie jeszcze poeksperymentuje.

- Tylko tego nam potrzeba - stwierdziła Hedwig, śląc Arianie karcące, pełne dezaprobaty spojrzenie. W oczach świata dziewiętnastoletnia Ariana mogła sobie być dorosłą kobietą, w oczach Fraulein Hedwig jednak wciąż pozostawała nieopierzonym podlotkiem.

- Niech mu panienka powie, że jest mi winien wyjaśnienie, dlaczego zachowuje się jak uczeń i skrywa przede mną w pokoju.

- Na pewno mu powiem, niani.

- Tylko niech panienka nie zapomni. - Z tymi słowami Fraulein Hedwig wycofała się do swojej położonej na poddaszu służbówki.

Dwadzieścia minut później znowu rozległo się natarczywe pukanie do drzwi, które Ariana, spodziewając się ujrzeć utrapioną nianię, otworzyła z wymuszonym uśmiechem na twarzy. Pukał jednak Berthold, zasapany po wspinaczce na drugie piętro.

- Telefon z biura pana - oznajmił. - Chyba pilny. Zejdzie panienka na dół?

Przez moment Ariana zastanawiała się, czy powinna opuścić posterunek, lecz doszła do wniosku, że skoro chwilowo pozbyła się Hedwig, nie ma niebezpieczeństwa. Spieszenie zbiegła na dół i podniosła słuchawkę telefonu stojącego w wykuszu wielkiego holu.

- Słucham.

- Panna von Gotthard? - Głos należał do Frau Gebsen, sekretarki ojca.

- Tak. Czy coś się stało? - Arianie przebiegło przez myśl, że pani Gebsen może mieć wiadomość od ojca dotyczącą na przykład zmiany planów.

- Nie wiem... Proszę wybaczyć... Nie chcę pani niepokoić, ale pan von Gotthard... zakładam... napomknął, wychodząc z biura wczoraj rano... Stąd wyciągnęłam wniosek, że udaje się do ministerstwa finansów. Teraz widzę, że byłam w błędzie.

- Jest pani pewna? Może miał jakąś inną naradę? Czy to zresztą istotne?

- Nie wiem, naprawdę nie wiem. Mieliśmy pilny telefon z Monachium, usiłowałam więc

złapać pani ojca w ministerstwie, ale wcale go tam nie było. Minister przez cały ten tydzień przebywa w Paryżu.

- Może zatem opacznie pojęła pani słowa taty? - zapytała Ariana, słysząc łomot własnego serca. - Gdzie teraz jest?

- Dlatego właśnie dzwonię. Nie przyszedł rano do biura, nie ma go w ministerstwie, gdzie więc się podział? Sądziłam, że pani wie.

- Skąd mam wiedzieć? Przypuszczalnie na jakiejś innej naradzie. Z pewnością zadzwoni do pani później.

- Ależ nie odzywał się przez cały dzień, panno von Gotthard. Poza tym... - w jej głosie zabrzmiało zakłopotanie biorące się zapewne z wciąż bardzo młodego wieku Ariany. - Poza tym Berthold mi mówił, że nie wrócił na noc do domu.

- Droga pani Gebesen, pozwoli pani, że jej przypomnę, iż ani pani, ani Bertholda, ani nawet mnie nocne wyprawy taty nie powinny obchodzić. - Sprawiedliwe oburzenie przebijające ze słów Ariany skrywało bezrozumny strach.

- Oczywiście, panno von Gotthard. Jestem winna przeprosiny, ale ten telefon z Monachium... no i moja obawa, że może coś mu się stało. To doprawdy niezwykle; że pani ojciec nie odzywa się tak długo.

- Chyba że uczestniczy w tajnej konferencji, pani Gebesen. Minister finansów nie jest jedyną osobistością, z którą mój ojciec potrafi zniknąć na długie godziny. Ale naprawdę nie pojmuję, dlaczego ta sprawa ma dla pani tak wielkie znaczenie. Po prostu proszę oświadczyć tym z Monachium, że jest chwilowo nieosiągalny, a jak wróci do domu, co na pewno nastąpi niebawem, przekażę mu, by się z panią skontaktował.

- Miejmy nadzieję, że się pani nie myli.

- Oczywiście, że się nie mylę.

- Doskonale, proszę zatem powiedzieć panu von Gotthardowi, aby zechciał zadzwonić.

- Nie omieszkam.

Ariana delikatnie odłożyła słuchawkę i z wyrazem udanego oburzenia na twarzy, którym usiłowała zamaskować przerażenie, ruszyła po schodach; na pierwszym podeście musiała przystanąć na chwilę, by złapać oddech. Znalazszy się na podeście drugiego piętra, stwierdziła, iż drzwi wiodące do ich apartamentu są uchylone - pchnęła je gwałtownie i oto ujrzała, że przed otwartą sypialnią brata Hedwig i Berthold naradzają się nad czymś z ponurymi minami spiskowców!

- Co tu robicie? - zapytała podnosząc głos niemalże do krzyku.

- Gdzie on jest? - zapytała w odpowiedzi oskarżycielskim głosem Hedwig, której oczy były

zimne jak lód.

- Skąd mogę wiedzieć? Pewnie schował się gdzieś na dole. O ile sobie jednak przypominam, wyraźnie prosiłam, żeby...

- A gdzie jest pan? - włączył się Berthold.

- Co za dużo, to niezdrowo. Miejsce pobytu mojego ojca nie powinno obchodzić ani mnie, ani ciebie, Bertholdzie - odparła wyniośle, czując jednak, że jej twarz staje się trupio blada. Miała nadzieję, że jej głos nie drży zdradziecko. - A Gerhard... pewnie gdzieś pobiegł. Był tu jeszcze przed chwilą.

- To znaczy kiedy? - Hedwig nawet nie usiłowała skrywać podejrzliwości. - Ten chłopiec ani razu w życiu nie zaścielił swojego łóżka.

- Ja je zaścieliłam. A teraz proszę mnie zostawić. Chciałabym się zdrzemnąć.

- Ależ oczywiście, panienko - powiedział Berthold i skłoniwszy się nienagannie, gestem zachęcił Hedwig, by w ślad za nim wyszła z pokoju.

Kiedy zniknęli, Ariana blada i drżąca usiadła w ulubionym fotelu Gerharda. O Boże, co się teraz stanie? Zamknęła oczy i przycisnęła dłonie do ust, a tysiące chaotycznych i przerażających myśli przetaczały się przez jej głowę. To jednak, co nastąpiło pół godziny później, kiedy ktoś mocno zastukał do drzwi, było straszniejsze niż najokropniejsza z nich.

- Proszę mi nie przeszkadzać, odpoczywam - odpowiedziała na pukanie Ariana.

- Czyżby? A zatem będzie pani musiała wybaczyć, że wtargnę do jej prywatnego przybytku. - Mężczyzna, który wymówił te słowa, miał na sobie mundur z dystynkcjami podporucznika.

- Co to ma znaczyć? - Wstała zaskoczona, gdy ruszył w jej stronę. Czy przyszli po Gerharda? Co ten człowiek tu robi? I nie tylko on... W korytarzu drugiego piętra dostrzegła jeszcze trzech żołnierzy.

- Niestety, będzie mi pani musiała wybaczyć, Fraulein von Gotthard.

- Ach, tak... - Wstała z pewną siebie miną, zaczesła włosy w schludny koczek, narzuciła na ramiona granatowy sweterek z kaszmiru i niespiesznie skierowała się w stronę drzwi. - Czy nie moglibyśmy porozmawiać na dole?

- Ależ oczywiście - odparł z galanterią. - Po drodze będzie pani mogła zabrać płaszcz.

- Płaszcz? - powtórzyła, czując, że serce bije jej jak dzwon.

- Mój przełożony uznał, że uda nam się szybciej przejść do rzeczy w biurze, a nie tu, gdzie rozmowa miałaby charakter pogawędki przy herbacie.

Miał nieprzyjemne błyski w stalowoszarych oczach, oczach, które Arianie wydały się odpychające. Ten mężczyzna był faszystą do szpiku kości: od klap kurtki mundurowej po

najgłębsze zakamarki duszy.

- Czy coś się stało, poruczniku?

- Być może. Później nam to pani wyjaśni.

Czyżby schwytali Gerharda i ojca? Ale nie, to niemożliwe. Nie chciała uwierzyć w taką ewentualność, kiedy z pozornym opanowaniem schodziła za porucznikiem na dół. W pewnej chwili doznała olśnienia: chcą ją przesłuchać, ale sami jeszcze nic nie wiedzą. Na razie. A ona nic im nie może powiedzieć. Bez względu na wszystko.

ROZDZIAŁ 14

- I sądziła pani, że jej ojciec jest na tajnej naradzie, Fraulein von Gotthard? Doprawdy? To ciekawe. A z kim? - Kapitan Dietrich von Rheinhardt badawczo przypatrywał się Arianie. Ładna bestyjka.

O tym zresztą wiedział od Hildebranda, jeszcze zanim porucznik wprowadził ją do pokoju. I bardzo opanowana jak na dziewczynę tak młodą. Niewzruszona jak kamień i dama w każdym calu, od czubka koka upiętego z jasnoblond włosów po czarne pantofelki z krokodylej skóry. - Z kim zatem, wedle pani przekonania, naradzał się jej ojciec?

Taka rozmowa trwała już od niemal dwóch godzin, odkąd Ariana wysiadła z czarnego mercedesa na Königsplatzu zdominowanym przez odpychający przepych Reichstagu, a następnie została pospiesznie wprowadzona do tego imponującego gabinetu, który przed nią zmroził szpik w kościach wielu już osób. Ariana jednak nie pokazywała po sobie ani przestachu, ani gniewu, ani rozpacz. Po prostu w nieskończoność odpowiadała na pytania - uprzejmie, spokojnie, z niewzruszonym opanowaniem prawdziwej damy.

- Nie mam pojęcia, z kim naradza się mój ojciec, bo nie ma w zwyczaju zdradzać przede mną swych zawodowych tajemnic - Sądzi więc pani, że ma jakieś tajemnice?

- Tylko dotyczące swej pracy dla dobra Rzeszy.

- Jakże eleganckie sformułowanie. - Von Rheinhardt rozparł się wygodniej i zapalił papierosa. - Może miałaby pani ochotę na filiżankę herbaty?

Przez chwilę doznawała pokusy, by rzucić mu w twarz, że wedle słów porucznika Hildebranda, przywieźli ją tutaj, aby nie tracić czasu na pogawędki przy herbacie, koniec końców jednak tylko uprzejmie pokręciła głową.

- Nie, dziękuję, panie kapitanie.

- Więc może kieliszek sherry?

Ariana była odporna na wszystkie te umizgi. Jakże mogłaby się rozluźnić w sytuacji, gdy ze ściany wlepił w nią uporczywie wzrok olejny Hitler naturalnego rozmiaru?

- Nie, dziękuję, panie kapitanie.

- Wróćmy więc do potajemnych narad pani ojca... Proszę mi powiedzieć o nich coś więcej.

- Wcale nie twierdziłam, że uczestniczy w potajemnych naradach. Mówiłam tylko, że w niektóre dni wracał do domu dość późno. - Zaczynała odczuwać znużenie i mimo woli okazywać po sobie napięcie.

- Czyżby kobieta?...

- Wybacz pan, kapitanie, ale nie wiem.

- Oczywiście, że nie może pani wiedzieć. Była to z mojej strony bardzo grubiańska uwaga. - W jego oczach migotały jakieś szpetne, gniewne i chytre błyski. - A pani brat? Czy on również uczestniczy w potajemnych naradach?

- Cóż za pomysł? Ma zaledwie szesnaście lat.

- Ale, o ile się orientuję, nie uczestniczy również w zgromadzeniach młodzieżowych, prawda, panno von Gotthard? Czy zatem należy wykluczyć możliwość, że rodzina pani nie jest tak lojalna wobec Rzeszy, jakśmy dotąd sądzili?

- To nieprawda, panie kapitanie. Mój brat miał wiele problemów z nauką i chroniczną astmą, no i oczywiście... od śmierci matki... - Urwała w nadziei, że zniechęci von Rheinhardta do zadawania kolejnych pytań, daremnie się wszakże łudziła.

- A kiedy zmarła pani matka?

- Dziesięć lat temu. Za sprawą ludzi pańskiego pokroju.

- Ach, tak... Jakże poruszające, że chłopiec jeszcze pamięta matkę. Musi być młodzieńcem niebywale wrażliwym. - Skinęła głową, nie mając pojęcia, co powiedzieć, i uciekła spojrzeniem w bok. - A może zbyt wrażliwym, żeby sprostać służbie w wojsku? Czy nie powinniśmy liczyć się z możliwością, że pani ojciec i jej brat opuścili ojczyznę w potrzebie?

- Raczej nie. Przecież mnie by chyba nie zostawili?

- Tego od pani chciałbym się dowiedzieć. A skoro poruszyliśmy ten temat, to może usłyszałbym od pani coś na temat przyjaciela rodziny imieniem Maximilian, Maximilian Thomas? Ten młody człowiek zwykł od czasu do czasu odwiedzać pani ojca czy też panią...

- To stary znajomy taty.

- Który zaledwie pięć miesięcy temu zniknął z Berlina. Zastanawiające, że zniknął akurat w dniu, kiedy skradziono jeden z wozów pani ojca. Samochód znaleziono w pobliżu dworca. Oczywiście był to tylko fortunny zbieg okoliczności.

O Boże, pomyślała Ariana, wiedząc więc również o Maksie! Czyżby również powiązali ojca z jego ucieczką?

- Nie sądzę, żeby kradzież wozu miała związek z Maxem.

Von Rheinhardt głęboko zaciągnął się papierosem.

- Jeszcze na chwilkę wróćmy do pani brata: Jak pani przypuszcza, gdzie się podział? - Przemawiał śpiewnym głosem, jakby zwracał się do człowieka upośledzonego umysłowo lub małego dziecka. - Jak rozumiem, opiekowała się nim pani, kiedy przez dwa minione dni pozostawał w łóżku z powodu poważnego przeziębienia. - Skinęła głową. - A potem, w sposób zgoła cudowny, kiedy zeszła pani na dół, żeby odebrać telefon, brat po prostu zniknął. Irytujące. Zastanawiam się jednak, czy przypadkiem nie zniknął parę dni wcześniej. Na przykład wczoraj

rano, mniej więcej w tym czasie, kiedy po raz ostatni widziano w biurze pani ojca. Czy nie uważa pani, że mamy tu do czynienia ze zdumiewającym zbiegiem okoliczności?

- Bardzo mało prawdopodobnym, jak sądzę. Przez cały wczorajszy dzień przebywał w domu, w swoim pokoju. Był tam również przez noc i dzisiejsze przedpołudnie.

- Szczęściarzem z niego, że ma tak oddaną siostrę jak pani. Jak się orientuję, strzegła go pani z gorliwością lwicy broniącej swoich małych.

Te słowa sprawiły, że po plecach Ariany przepłynął zimny dreszcz. Mógł o tym wiedzieć tylko z jednego źródła: od Hedwig albo Bertholda. Ariana, ogarnięta nagłą falą mdłości, po raz pierwszy zrozumiała, po raz pierwszy stanęła z prawdą twarzą w twarz: zdradzili ją. Potem opanowała ją wściekłość. Nie mogła jednak okazać targających nią emocji, za wszelką cenę musiała toczyć swoją grę.

Von Rheinhardt tymczasem nie dawał za wygraną.

- Wie pani? Irytuje mnie, że pani ojciec i brat, uciekając z Berlina, by uchronić młodego Gerharda przed służbą w wojsku, a może z jakichś innych powodów, nie zabrali pani. Tak czy inaczej, została pani porzucona, moja droga. A jednak ich pani osłania. Czy dlatego, że wie pani, iż ojciec wróci? Zakładam, że tak właśnie sprawy stoją. Nie potrafię inaczej wytłumaczyć sobie pani powściągliwości.

Przesłuchanie zaczynało nadwierać już nerwy Ariany, która po raz pierwszy prychnęła gniewnie:

- Wypytuje mnie pan już dwie godziny, a ja po prostu nic nie wiem. Pańskie oskarżenia są mętne, zakładanie zaś, że mój ojciec i brat uciekli zostawiając mnie w Berlinie, to oczywista bzdura. Dlaczego mieliby tak zrobić?

- Prawdę mówiąc, moja droga, wcale nie sądzę, że tak zrobili. Dlatego właśnie spokojnie poczekamy na rozwój wydarzeń. A kiedy pani ojciec wróci, porozmawiam z nim o interesach.

- Jakich interesach? - Ariana wbiła w von Rheinhardta podejrzliwe spojrzenie.

- Powiedzmy, o małym handlu wymiennym. Jego czarująca córka za... cóż, nie wdawajmy się teraz w szczegóły. Będę niezmiernie rad, mogąc dobić targu z pani ojcem po jego powrocie. A teraz, jeśli zechce pani wybaczyć, porucznik Hildebrand odprowadzi panią do jej pokoju.

- Do mojego pokoju? To nie wrócę do domu? - Ariana z najwyższym wysiłkiem hamowała łzy.

Kapitan ze swym niemiłym fałszywym uśmiechem na ustach zdecydowanie pokręcił głową.

- Nie, wolimy okazać pani gościnność, przynajmniej do powrotu pani ojca. W naszych... hm... apartamentach nie zabraknie pani ptasiego mleka.

- Rozumiem.

- Tak. - Posłał jej ponure spojrzenie. - Chyba wreszcie pani rozumie. Kiedy, a raczej jeśli zobaczę pani ojca, będę musiał pogratulować mu córki. Osoby doprawdy zachwycającej, czarującej, inteligentnej i niezwykle dobrze wychowanej. Nie płakała pani, nie zanosila prósb i błagań. W istocie nasza mała pogawędka sprawiła mi wiele satysfakcji.

Ariana miała ochotę go spoliczkować: owa „mała pogawędka” to były dwie długie godziny uporczywego przesłuchania.

Raz, a po chwili jeszcze raz przycisnął brzęczyk na biurku, gdy jednak oczekiwany porucznik Hildebrand się nie pojawił, oświadczył beztrasko:

- Zaczny porucznik jest chyba zajęty, więc ktoś inny będzie musiał odprowadzić panią do jej pokoju.

Mówił takim tonem, jakby chodziło o apartament u Danielego w Wenecji, lecz Ariana doskonale zdawała sobie sprawę, że przeznaczono jej celę. Następnie, najwyraźniej poirytowany, skierował się ku drzwiom, błyskając cholewami swoich oficerek, szarpnął klamkę i wyjrzał na korytarz. Dochodziła już siódma i Hildebrand zapewne poszedł na kolację; jedyną osobą w korytarzu był wysoki jasnowłosy mężczyzna o surowej twarzy przeciętej długą blizną.

- Von Tripp, gdzie pozostali? - warknął von Rheinhardt.

- Przypuszczam, że poszli coś przekąsić. Jest... - zerknął na zegar ścienny, potem przeniósł spojrzenie na kapitana. - Zrobiło się późno.

- Świnie. Myślą tylko o swoich bandziach. Zresztą to nieistotne. Pan też się nada. A tak nawiasem mówiąc, dlaczego pan z nimi nie poszedł? - Omiótł porucznika poirytowanym wzrokiem, otrzymując w zamian wymuszony lodowaty uśmieszek.

- Mam dzisiaj służbę, panie kapitanie.

Von Rheinhardt pokazał przez ramię uchylone drzwi swojego gabinetu.

- Proszę zabrać ją na dół. Już skończyłem - polecił.

- Tak jest, panie kapitanie. - Von Tripp wyprężył się, zsalutował, stuknął obcasami i wszedł do pokoju.

- Wstać - powiedział krótko, na co Ariana mimowolnie podskoczyła na krześle.

- Zechce pan powtórzyć? - zapytała.

Oczy von Rheinhardta zajarzyły się złowróbnym blaskiem.

- Porucznik rozkazał pani wstać. Proszę z łaski swojej posłuchać, w przeciwnym razie obawiam się, że będziemy... cóż, sytuacja robi się nieprzyjemna... - Znacząco smagnął trzcinką cholewę buta.

Ariana, usiłując zapanować nad myślami, które chaotycznie napływały jej do głowy,

poderwała się na nogi. Co zamierzali z nią zrobić? Wysoki jasnowłosy oficer, który zwrócił się do niej tak brutalnie, napawał ją przerażeniem... do tego jeszcze ta blizna na policzku. Sprawiał wrażenie automatu całkowicie pozbawionego ludzkich emocji.

- Życzę miłego wieczoru, Fraulein von Gotthard - rzucił ze złośliwym uśmiechem von Rheinhardt, kiedy wychodziła z pokoju.

Ariana nic nie odpowiedziała. Na korytarzu wysoki porucznik mocno chwycił ją za ramię.

- Proszę ze mną iść i robić, co każę - oświadczył surowo. - Nie lubię dyskutować z więźniami, w szczególności z kobietami. Proszę więc nie utrudniać życia mnie i sobie.

Ariana zatem starała się dotrzymać mu kroku. Wyraził się najzupełniej jasno. Była teraz więźniem. Ni mniej, ni więcej. I nagle zaczęła się zastanawiać, czy nawet ojciec zdoła ją wyciągnąć z tych tarapatów.

Porucznik poprowadził ją dwoma długimi korytarzami, potem w dół długich schodów - wprost w trzewia budynku, gdzie nagle rozpanoszyły się wilgoć i chłód. W końcu zatrzymali się przed grubymi żelaznymi drzwiami, które otworzyły się dopiero wtedy, kiedy strażnik obejrzał ich przez okienko i aprobowo skinął głową. Po chwili drzwi za nimi zamknięto i zaryglowano, porucznik zaś sprowadził Arianę w dół po jeszcze jednych schodach. Dziewczyna miała wrażenie, że jest wiedziona do lochów, a kiedy pod koniec wędrówki ujrzała przed sobą celę, pojęła, że tak jest istotnie.

Porucznik nie odzywał się ani słowem stojąc z boku, kiedy kobieta z dystynkcjami sierżanta na mundurze rewidowała Arianę, wpychała ją do celi i zamykała drzwi. Z sąsiednich cel donosiły się krzyki i wołania innych kobiet, a w pewnym momencie Arianie się zdało, że słyszy dziecięce łkanie. Nie widziała żadnych twarzy, bo drzwi były płytami z litego żelaza, zaopatrzonymi w górnej części w małe zakratowane okienka. Nie potrafiłaby sobie wyobrazić okropniejszego miejsca, toteż kiedy zatrasnęły się za nią drzwi, musiała mobilizować każdą drobinę woli, by nie rozkrzyzczyć się na całe gardło i całkowicie utracić panowania nad sobą. W smużkach światła sączących się przez kratę dostrzegła coś, co zrazu uznała za toaletę, lecz już kilka chwil później okazało się pomalowanym na biało wiadrem. I wtedy ostatecznie pojęła, że jest więźniem.

W mroku i zaduchu zaczęła pochlipywać, aż wreszcie osunęła się na podłogę w kącie celi, ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła nieopanowanym płaczem.

ROZDZIAŁ 15

Na dworcu w Bazylei Walmar von Gotthard uważnie rozejrzył się dokoła, zanim podjął długi marsz do Lorrach. Bolały go wszystkie mięśnie i o ile wczoraj tylko udawał obdartusa, dzisiaj był nim naprawdę. W niczym nie przypominał prezesa banku Tildena, który konferował osobiście z ministrem finansów i był w istocie najgrubszą rybą berlińskiej bankowości. Sprawiał wrażenie starca u kresu długiej podróży; trudno było podejrzewać, że ma przy sobie więcej niż kilka marek.

Bez problemów dotarł do granicy około południa; teraz czekał go piętnastokilometrowy marsz do Lorrach i najbardziej ryzykowna część wyprawy - powrót koleją do Berlina. A potem powtórka całej tej okropnej podróży, tym razem w towarzystwie Ariany. Bo było mu obojętne, czy kiedy jego dzieci znajdą się bezpiecznie po szwajcarskiej stronie granicy, on padnie trupem czy nie. Przepelzając przez dziurę wcześniej wyciętą w drucie kolczastym nie mógł się oprzeć myśli, że będzie szczęściarzem, jeśli nie padnie trupem znacznie wcześniej.

Raz jeszcze zatrzymał się, rozejrzył dokoła i nastawił ucha. Raz jeszcze ruszył truchtem w stronę drzew. Nie dopisało mu wszakże szczęście - kiedy usłyszał kroki w odległości zaledwie kilku metrów od siebie, próbował skryć się głębiej wśród krzaków, ale żołnierze byli szybsi.

- Cześć, dziaduniu, dokąd to idziemy? - zapytał jeden. - Na odsiecz Berlinowi?

Usiłował przyoblec twarz w głupawy uśmiech, lecz i tak jeden z grenzschutzów zarepetował broń i skierował lufę w jego serce.

- Dokąd idziesz?

- Do Lorrach - odpowiedział z wieśniaczym akcentem.

- Po diabła?

- Moja siostra tam mieszka. - Czuł, jak serce obłądnie tańczy mu w piersi.

- Naprawdę? To cudownie.

Żołnierz machnął lufą karabinu, zachęcając kolegę do przeprowadzenia rewizji. Ten rozpiął kurtkę Walmara, obmacał kieszenie i koszulę.

- Dokumenty mam w porządku.

- Taa? No to rzućmy na nie okiem.

Walmar sięgał po papiery, kiedy dłoń rewidującego go żołnierza natrafiła na długi gładki przedmiot.

- Co to, dziaduniu? Próbuje coś ukryć? - Żołnierz zarechotał i puścił oko do kompana. Zabawne są te staruchy. A myślą, że takie cwane.

Żołnierz brutalnie rozdarł brudną teraz i pogniecioną koszulę, nie zwracając uwagi, z jak delikatnej tkaniny została uszyta. Dla niego Walmar był tylko starym wieśniakiem. To jednak, co

znalazł w ukrytym pod nią portfelu, wywarło na nim olbrzymie wrażenie - miał w ręku prawdziwy majątek w banknotach o większych i mniejszych nominałach.

- Niesiesz to Führerowi? - zapytał i ryknął śmiechem, w czym zawtórował mu kolega.

Walmar spuścił wzrok, żeby nie dostrzegli w nim gniewu. Miał nadzieję, że poprzestaną na odebraniu pieniędzy, ale wojna nauczyła żołnierzy, jak postępuje się w takich sytuacjach. Wymieniwszy szybkie spojrzenia, zrobili to, co należało uczynić: rewidujący cofnął się, a drugi strzelił. Walmar von Gotthard bez życia osunął się w wysoką trawę.

Zaciągnęli jego zwłoki w gęstwiny, zabrali dokumenty i pieniądze, w wartowni podzielili łup, a papiery cisnęli w ogień. Nie zadali sobie trudu, by je przestudiować. Nie obchodziło ich, kim był stary.

Obchodziło jednak Gerharda, który czekał w zurskim pokoju hotelowym. I Arianę, która przerażona siedziała w berlińskiej celi.

ROZDZIAŁ 16

Porucznik von Tripp gestem polecił żołnierzowi trzymającemu pęk kluczy otworzyć drzwi do celi Ariany. Drzwi uchyliły się ze zgrzytem i obaj mężczyźni z wysiłkiem opanowali odruch obrzydzenia wywołany dobywającym się ze środka smrodem. Podobnie cuchnęły wszystkie cele - nikt ich nigdy nie sprzątał, w dodatku w lochach panowała okropna wilgoć.

Wyrwana z macek ciemności Ariana na moment oślepla, gdy zabłysło światło. Nie miała pojęcia, ile czasu spędziła w celi, wiedziała tylko, że płakała przez cały czas. Na odgłos kroków jednak pospiesznie osuszyła oczy, przetarła rąbkami koronkowej halki ściekający po twarzy tusz i przyglądała włosy. Może są wieści o ojcu i Gerhardzie?...

Czekała zanosząc modły, aby rozległy się znajome głosy, lecz usłyszała tylko metaliczny zgrzyt klucza w zamku. Po chwili odzyskała wzrok i dostrzegła przed sobą niewyraźną sylwetkę jasnowłosego porucznika, który eskortował ją na dół.

- Proszę za mną - powiedział.

Chwiejnie wstała, przytrzymując się ścian, a czując, że się przewraca, omal nie wyciągnęła do niego ręki.

Porucznik uznał, że sprawia wrażenie niewiarygodnie drobnej i kruchej, chociaż oczy, w które zajrzał kilka sekund później, nie należały do błagającej o pomoc bezradnej piękności - były oczyma stanowczej młodej kobiety, gotowej walczyć o życie i zdeterminowanej zachować godność nawet w tych beznadziejnych okolicznościach. Włosy, jeszcze wczoraj zaczesane w schludny koczek, teraz spływały na ramiona i plecy pszeniczną rzeką; spódnica z drogiego materiału była usmolona i wymięta... a przecież mimo zaduchu, w którym dziewczyna spędziła niemal dwadzieścia cztery godziny, wciąż unosił się wokół niej wątyły aromat perfum.

- Pani przodem - powiedział odsuwając się na bok.

Kiedy podążał pół kroku za nią, doświadczał współczucia jeszcze silniejszego niż wczoraj. Stukając obcasami kroczyła po korytarzach i schodach z wysoko uniesioną głową, którą opuściła tylko raz, gdy potknęła się zamroczona. Potem podjęła marsz, porucznik zaś był rad, że nie krzyknął wtedy na nią ani jej nie popchnął.

Bo porucznik Manfred von Tripp, o czym Ariana nie mogła wiedzieć, różnił się od większości swych kolegów. Był dżentelmenem niezdolnym podnieść na kobietę głos lub rękę. Wielu go za to nie lubiło, w szczególności von Rheinhardt, co jednak nie miało większego znaczenia, ponieważ von Rheinhardt, jako starszy stopniem i przełożony, mógł zmusić von Trippa, by tańczył, jak mu zagra.

Kiedy skończyli wspinaczkę po schodach, von Tripp mocno ujął Arianę za ramię i

poprowadził znajomymi korytarzami. Von Rheinhardt, tak jak poprzednio rozparty za swoim biurkiem, krzywił usta w nieszczerym uśmiechu i nonszalancko palił papierosa. Porucznik zsalutował krótko, strzelił obcasami i wyszedł z gabinetu.

- Witam, Fraulein von Gotthard - powiedział kapitan. - Czy mile spędziła pani wieczór? Mam nadzieję, że nasz... hm... pokój gościnny nie wydał się pani zbyt skromny. - Ariana nie odpowiedziała. - Niechże pani siada, bardzo proszę. - Usiadła na krześle i popatrzyła mu w oczy. - Muszę panią z żalem poinformować, że nie mieliśmy wieści od pani ojca. I obawiam się, że niektóre z mych przypuszczeń okazały się słuszne, bo również pani brat się nie pokazał, tak że od dzisiaj uważany jest za dezertera. To wszystko stawia panią w nader kłopotliwym położeniu. Właściwie mógłbym powiedzieć, że w pewnej mierze jest pani zdana na naszą łaskę i niełaskę. Może więc dzisiaj zechce pani nieco szerzej otworzyć przed nami duszę?

- Nie mogę dodać nic więcej do tego, co powiedziałam wczoraj, kapitanie.

- To niefortunna okoliczność. I w tym wypadku, moja droga, nie będę trwoniał na dalsze przesłuchanie ani swojego, ani pani czasu. My będziemy czekać na wieści, pani zaś odda się w celi samotnym rozmyślaniami.

O Boże, jak długo? - pragnęła wykrzyknąć Ariana, jej twarz jednak nie zdradzała żadnych emocji.

Von Rheinhardt wstał, nacisnął guzik brzęczyka i chwilę później ponownie zjawił się von Tripp.

- Gdzie Hildebrand, do cholery? - warknął kapitan. - Pałęta się gdzieś, ilekroć go wzywam.

- Przykro mi, panie kapitanie. Przypuszczam, że poszedł na obiad - odparł von Tripp, nie mając w gruncie rzeczy pojęcia, gdzie się podział Hildebrand. Zresztą wcale go to nie obchodziło. Hildebrand nieustannie gdzieś przepadał, zrzucając na innych swe obowiązki chłopca od wszystkiego.

- Proszę zatem odprowadzić zatrzymaną do celi. I przysłać mi Hildebranda, jeśli go pan zobaczy.

- Tak jest, panie kapitanie - odparł porucznik wyprowadzając Arianą z gabinetu.

Wiedziała już, co ją czeka: długie korytarze, bezkresna wędrówka. Ale przynajmniej przez tych kilka chwil z dala od czterech ścian celi mogła oddychać, poruszać się, widzieć. Nie miałyby nic przeciwko temu, żeby powrót do więzienia trwał godzinami. Wszystko było lepsze aniżeli koszmary jej maleńkiej plugawej nory.. Na drugim biegu schodów natknęli się na uśmiechniętego i podśpiewującego Hildebranda, który z zaskoczeniem spojrział na von Trippa, a potem - tak samo jak poprzednio - omiółł Arianą wzrokiem od stóp do głów.

- Dobry wieczór, Fraulein von Gotthard. Miło się pani u nas mieszka? - zapytał.

Zmilczała, ale spojrzenie, które mu posłała, mogłoby przepalić na wskroś kamienną płytę. Skwitował to poirytowanym uśmiechem i zwrócił się do von Trippa:

- Odprowadzasz pensjonariuszkę?

Von Tripp niedbale skinął głową. Nie miał ochoty na pogawędkę z Hildebrandem. Nie znosił go, podobnie zresztą jak większości oficerów, z którymi współpracował, odkąd jednak został na froncie ciężko ranny; musiał kontentować się taką pracą i takim towarzystwem.

- Kapitan chce cię zobaczyć. Powiedziałem mu, że wyskoczyłeś na obiad.

- Bo wyskoczyłem, drogi Manfredzie. Ba! nawet poskakałem. - Uśmiechnął się szeroko, zasalutował niedbale i podjął wspinaczkę po schodach, obejrzał się jednak przez ramię, kiedy von Tripp i Ariana znikali w drzwiach wiodących na poziom więzienia.

Gdzieś w pobliżu krzyczała kobieta; Ariana zmusiła się, by nie słyszeć jej skowytu, i wreszcie z ulgą opadła na posadzkę celi.

Trzy dni później ponownie zaprowadzono ją do kapitana, który powtórzył informację, że jej ojciec i brat nie wrócili. Teraz przestała cokolwiek rozumieć: albo ją oszukują, gdyż mają ojca i Gerharda, albo też nastąpiła jakaś katastrofa. Bo jeśli mówią prawdę, to... Po kilku chwilach von Rheinhardt odesłał ją z powrotem do celi.

Tym razem Arianę eskortował Hildebrand. Przez cały czas ścisnął jej ramię, przy każdej okazji ocierając grzbiet dłoni o piersi dziewczyny, przez cały czas powarkiwał „wio”, „hajda”, „no”, jakby była zwierzęciem pędzonym na targ - zresztą nie próbował ukryć, że tak ją właśnie traktuje: miał w swoim repertuarze kopniaki, szturchańce, a w najgorszym razie, o czym nie omieszkął wspomnieć, pejcz.

Kiedy dotarli do drzwi celi, osobiście przeprowadził, chociaż nie było potrzeby, dokładną rewizję: przeciągał łapami po ramionach, piersiach, brzuchu i pośladkach Ariany, która cofała się, przejęta obrzydzeniem, i patrzyła z nienawiścią w oczy porucznika.

Gdy oddzieliły ich od siebie zatrzaśnięte i zaryglowane drzwi celi, Hildebrand uśmiechnął się oblesnie i powiedział:

- Miłych snów, Fraulein von Gotthard.

Ariana zamknęła oczy, nie umiała wszakże zamknąć uszu - usłyszała zgrzyt klucza w zamku, dwa lub trzy kroki, potem krzyki i błagania, świst pejcza przecinającego powietrze i wgryzającego się w ciało, w końcu przerażające posapywania i pomruki. Nie wydobywały się jednak z ust kobiety i nawet zmuszając wyobraźnię do największego wysiłku, Ariana nie potrafiła zrozumieć, co z nieszczęsną zrobił Hildebrand. Obił ją tak, że straciła przytomność? Zasmagał na śmierć? Wreszcie usłyszała ciche pochlipywanie i pojęła, że kobieta żyje.

Przyklejona do ściany celi nasłuchiwała dalej, przerażona, że kroki znów zaczną się

przybliżać... oddalały się jednak, a wreszcie całkiem ucichły. Ariana wydała ciche westchnienie ulgi i osunęła się na posadzkę.

Mijały dni i tygodnie, urozmaicane tylko regularnymi wizytami u kapitana von Rheinhardta, który informował Arianę, że wciąż nie ma wiadomości o jej ojcu. Wyczerpana, brudna i zagłodzona, nie potrafiła pojąć, co się stało, dlaczego ojciec po nią nie wrócił. A może von Rheinhardt kłamał? Może Gerhard i ojciec zostali pojmani i też są więźniami? Jedyna odpowiedź, której nie przyjmowała do wiadomości, była najgorszą z możliwych: że zginęli.

Pod koniec trzeciego tygodnia po kolejnej wizycie u von Rheinhardta Arianę znów odprowadzał do celi Hildebrand. Na ogół eskortował ją wysoki porucznik lub jakiś inny żołnierz, lecz nie tym razem. Ariana kilkakrotnie potykała się z wyczerpania, przeczesywała palcami o połamanych paznokciach zmierzwione włosy, roztaczała odór celi raczej aniżeli zapach perfum, mimo to Hildebrand nie spuszczał z niej szacującego wzroku hodowcy, który zamierza kupić stado krów czy owiec. Na ostatnich schodach przed więzieniem natknęli się na von Trippa. Porucznik lakonicznie pozdrowił Hildebranda i uciekł spojrzeniem w stronę sufitu, by uniknąć wzroku Ariany. Ilekroć ją widział, zawsze patrzył w górę, jakby jej twarz wcale go nie interesowała.

- Dobry wieczór, Manfredzie - rzucił beztrosko Hildebrand.

Von Tripp tylko zasalutował niedbale i mruknął:

- Dobry, dobry.

Znalazłszy się kilka stopni wyżej, przystanął i zerknął przez ramię. Ariana nie zwróciła na to uwagi, ale Hildebrand wyszczerzył zęby i posłał von Trippowi porozumiewawcze spojrzenie. Von Tripp odwrócił się, kilkoma susami pokonał schody i ruszył do swojego pokoju.

Po jakimś czasie zaczęła ogarniać go irytacja: Hildebrand zbyt długo ociągał się z powrotem. Odprowadził dziewczynę dwadzieścia minut temu, dlaczego wciąż go nie ma? Chyba że... powoli sływało nań olśnienie. Dureń! Był gotów wykręcić nawet taki numer! Czy nie zdawał sobie sprawy, kim jest ojciec dziewczyny? Kim jest ona sama, bez względu na to, jakie grzeszki popełnili członkowie jej rodziny? Jeśli nawet występki, jakich dopuszczał się wobec innych więźniarek, uchodziły mu płazem, tym razem przecież nie mógł na to liczyć! Zresztą odrażające wyczyny Hildebranda napawały von Trippa wstrętem bez względu na to, kto padał ich ofiarą.

Nie zastanawiając się, co robi, wyskoczył zza biurka i pognął korytarzem, a potem schodami. Pojmował w głębi duszy, że dla człowieka pokroju Hildebranda nie ma znaczenia, kim jest Ariana i kim jest lub był jej ojciec. Tacy jak on widzieli w niej tylko bezradną dziewczynę. Von Tripp złapał się na tym, że zanosí w duszy modły, aby nie było jeszcze za późno.

Wyrwał strażniczce klucze, a kiedy zaczęła wstawać z krzeselka, lekceważąco machnął ręką i warknął:

- Nie trzeba. Proszę siedzieć. - Potem obejrzał się przez ramię i zapytał: - Czy Hildebrand tam jest?

Kobieta skinęła głową, von Tripp zaś zbiegł jak burza ostatnimi schodami.

Dźwięki dochodzące z celi powiedziały mu, że Hildebrand jest w środku. Bez jednego słowa von Tripp przekręcił klucz, szarpnął drzwi i oto ujrzał półnągą, obszarpaną Arianą, z której twarzy ściekała krew. Hildebrand z oczyma płonącymi pożądliwością jedną ręką trzymał dziewczynę za włosy, w drugiej ścisnął pejcz. Ponieważ we wzroku Ariany wciąż gorzała chęć oporu, a jej biodra opinała spódnica, von Tripp doszedł do wniosku, że do najgorszego jeszcze nie doszło. Dziękował Bogu, że zdążył na czas.

- Wynoś się stąd! - huknął na Hildebranda.

- To nie twój zasrany interes, niech cię wszyscy diabli! - odparował Hildebrand. - Należy teraz do nas.

- Nie do nas, tylko do Rzeszy... jak ty, ja i wszyscy inni. - Głupie gadanie. Ja i ty nie siedzimy w tym kiciu.

- Dlatego postanowiłeś ją zgwałcić, co? - Dwaj mężczyźni patrzyli na siebie ogarnięci ślepą wściekłością, aż Ariana zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem Hildebrand nie zaatakuje von Trippa. Szaleństwo jednak nie odebrało Hildebrandowi rozumu do końca... -Kazałem ci się wynosić - powiedział von Tripp, ustępując z drzwi. - Pogadamy na górze.

Hildebrand mieląc w ustach przekleństwa wypadł z celi; Ariana i von Tripp zostali sami. Przez chwilę nie mówili nic - von Tripp wbijał wzrok w podłogę, Ariana zaś odgarniała włosy z twarzy, wycierała załzawione policzki i usiłowała okryć ciało strzępami odzieży.

Kiedy porucznik wyczuł, że nieco się uspokoiła, podniósł głowę i tym razem spojrzał wprost w fiołkowe oczy dziewczyny.

- Fraulein von Gotthard... proszę o wybaczenie... powinienem był przewidzieć. Dopilnuję, żeby nic takiego więcej się nie powtórzyło. Na pewno się nie powtórzy... - Po chwili dodał: - Nie wszyscy są tacy jak on. Brak mi słów, żeby wyrazić, jak bardzo ubolewam nad tym zajściem. - Mówił zupełnie szczerze. Chociaż sam dobiegał czterdziestki, miał siostrę zbliżoną wiekiem do Ariany. - Czy nic się pani nie stało? - Podał jej swoją chusteczkę, by wytarła krew wciąż skapującą z twarzy.

- Chyba nie. Dziękuję - odparła. Odczuwała większą wdzięczność, niżby potrafił sobie wyobrazić. Zrazu sądziła, że Hildebrand chce ją zabić; kiedy pojęła, że czeka ją gwałt, zaczęła błagać Boga, aby wcześniej zesłał jej śmierć.

Manfred von Tripp przeciągle popatrzył na dziewczynę, potem głęboko westchnął. Nienawidził wojny z taką samą siłą, z jaką kiedyś wierzył w jej sensowność. Zniszczyła wszystko,

co było dlań święte i czego nieustępliwie bronił. Przypominała kobietę, która na oczach kochającego ją mężczyzny przeobraża się w dziwkę.

- Czy mógłbym zrobić dla pani coś jeszcze? - zapytał.

Otulając się swetrem, Ariana popatrzyła na porucznika swoimi wielkimi, smutnymi oczyma elfa.

- Już zrobił pan dla mnie wszystko, co mógł - odparła. - Gdyby tylko jeszcze zdołał pan odnaleźć mojego ojca... - W nagłym przyływie odwagi postanowiła zapytać o prawdę: - Macie go? Jest uwięziony?

Von Tripp wolno pokręcił głową.

- Nic nie wiemy - odrzekł. - Może jeszcze wróci. Niech pani nie traci nadziei. Nigdy nie należy jej tracić.

- Po tym, co stało się dzisiaj, poruczniku, już nigdy nie stracę jej do końca.

Posłała mu uśmiech, on zaś z powagą skinął głową, wyszedł na korytarz i zaryglował drzwi.

Usiadłszy na podłodze, Ariana pograżyła się w rozmyślaniach o swoim okropnym przeżyciu i oficerze, który tak opatrnościowo przybył jej w sukurs. Stopniowo jej nienawiść do Hildebranda bladła wobec wdzięczności, jaką odczuwała do von Trippa. Mężczyźni są doprawdy niezgłębieni. Nigdy nie potrafi ich zrozumieć.

Dano jej spokój aż do końca następnego tygodnia, czwartego tygodnia więzienia. Ariana już pojmowała, że mogło się stać najgorsze - ojciec i Gerhard zginęli - ale wciąż nie umiała się pogodzić z taką ewentualnością. Potrafiła tylko myśleć o chwili obecnej. O wrogach. I o spotkaniu z najbliższymi.

Nieznajomy oficer brutalnie wywlókł ją z celi, popychał na schodach i bluznął plugawymi przekleństwami, kiedy potknęła się i upadła. Z niedożywienia i zmęczenia ledwie powłóczyła teraz nogami, zeszywniałymi z powodu braku ruchu. W gabinecie Dietricha von Rheinhardta zjawiała się kobieta stanowiąca przeciwieństwo owej wyniosłej i opanowanej młodej damy, która siedziała tu zaledwie miesiąc wcześniej... Von Rheinhardt popatrzył na Arianę z uczuciem bliskim obrzydzenia, mimo to widział, co kryje się pod brudem, łachmanami i zmierzwionymi włosami: piękna, inteligentna i znakomicie wychowana dziewczyna, warta tego, by uczynić z niej godny prezent dla największych prominentów Rzeszy. Jego nie interesowała zupełnie - miał inne potrzeby, inne przyjemności - dla mężczyzny wszakże o bardziej konwencjonalnych upodobaniach wciąż stanowiła łakomy kąsek. Jeszcze się tylko nie zdecydował, dla którego mężczyzny.

Tym razem nie tracił czasu na wersalskie uprzejmości.

- Stałaś się dla nas bezużyteczna - oświadczył bez ogródek. - Więzień przetrzymywany dla okupu, gdy nie ma nikogo, kto mógłby ten okup zapłacić, przechodzi niestety z kategorii aktywów

do uciążliwych pasywów. Nie ma powodów, dla których mielibyśmy zapewniać ci dłużej wikt i opierunek. Limit naszej gościnności wobec ciebie został wyczerpany.

Ariana doszła do wniosku, że czeka ją rozstrzelanie, lecz niezbyt się tym wzruszyła. Lepsze to niż upodlenie. Nie chciała być oficerską dziwką, a nie miała już w sobie dość siły, by szorować podłogi. Straciła rodzinę i straciła cel życia. Jeśli ją zastrzelą, wszystko wreszcie się skończy. Słuchała von Rheinhardta niemal z poczuciem ulgi.

Ale von Rheinhardt jeszcze nie skończył.

- Zostaniesz na godzinę odwieziona do domu, żeby zabrać swoje rzeczy osobiste. Nie możesz wziąć niczego wartościowego, żadnych pieniędzy, żadnej biżuterii, tylko to, co będzie ci niezbędne w najbliższej przyszłości. Potem rób sobie, co chcesz.

Czyżby nie zamierzali jej rozstrzelać? Dlaczego?... Z niedowierzaniem wlepiała wzrok w kapitana, który dorzucił:

- Zamieszkaż w koszarach dla kobiet i będziesz pracować jak wszystkie inne. Za godzinę ktoś zawiezie cię do Grunewaldu. Poczekaj na korytarzu.

Miała siedzieć na oczach wszystkich niemal półnaga, w tych strzępach odzieży, którą Hildebrand porwał tydzień temu?

Ponieważ przez ubiegły miesiąc praktycznie się nie odzywała, jej głos zabrzmiał zgrzytliwie i głucho:

- Co będzie z naszym domem?

Von Rheinhardt, zajęty dokumentami leżącymi na swoim biurku, podniósł głowę dopiero po dłuższej chwili.

- Zajmie go generał Ritter. I jego personel. - Ów personel składał się zasadniczo z czterech niezbyt cnotliwych niewiast, które Ritter zwerbował w ciągu minionych lat. - Mam nadzieję, że generał będzie szczęśliwy w nowej siedzibie.

- Bez wątplenia. - Tak samo jak oni: ojciec, brat, ona sama, a dawno temu również jej matka. Wszyscy byli szczęśliwi. Zanim te lotry zniszczyły ich życie... A teraz zabierają również dom. Do oczu napłynęły jej łzy. Może, pomyślała, podczas jednego z kolejnych nalotów na dom spadną bomby i pozabijają ich wszystkich.

- To już wszystko, moja droga - podjął von Rheinhardt. - W koszarach zamelduj się jeszcze dziś o siedemnastej. Mógłbym dodać, że nie jest to rozwiązanie obligatoryjne. Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś ułożyła sobie życie inaczej... w ramach struktur organizacyjnych armii, rzecz jasna.

Pojęła, do czego zmierza: gdyby zgodziła się zostać nałożnicą generała, pozwolono by jej zamieszkać we własnym domu. Pogarda i odrętwienie walczyły w niej o lepsze, kiedy siedziała w

korytarzu na długiej drewnianej ławce. Pocieszała się tylko myślą, że gdy obdarta, brudna, wygłodniała i pobita wróci do Grunewaldu, Hedwig i Berthold będą się mogli przekonać na własne oczy, czego dokonali. Czego dokonała wspinała Partia, w którą starzy głupcy tak bezgranicznie wierzyli. Do czego prowadzi to ich idiotyczne „Heil Hitler!”

Zbyt głęboko zatoneła w rozmyślaniach, by zauważyć, że stanął przed nią porucznik von Tripp.

- Fraulein von Gotthard?

Zaskoczona podniosła głowę. Nie widzieli się od dnia, gdy ocalił ją przed Hildebrandem, jego pejczem i żądzą.

- Jak mi wiadomo, mam panią zawieźć do domu - powiedział bez uśmiechu, ale też nie umykając oczyma przed wzrokiem Ariany.

- Ma pan zapewne na myśli koszary? - zapytała, przewiercając go lodowatym spojrzeniem. Po chwili jednak pożałowała swojej ironii i głęboko westchnęła. Przecież niczemu nie był winien. - Bardzo pana przepraszam.

Kiwnął głową.

- Kapitan polecił mi zawieźć panią do Grunewaldu po rzeczy osobiste. - Po chwili, na widok jej ogromnych oczu osadzonych w wychudzonej twarzyczce, odrzucił swoją beznamiętną służbistość i dodał łagodniejszym już głosem: - Jadła pani obiad?

Obiad? Praktycznie od wczoraj nic nie miała w ustach. Posiłki - obrzydliwą breję, przed którą wzdrygnęłaby się świnia - przynoszono do jej mrocznej, zatechłej celi raz dziennie. Bóg jeden wiedział, czy było to śniadanie, obiad czy też kolacja. Tylko lęk przed śmiercią głodową sprawiał, że brała to paskudztwo do ust. Von Tripp zrozumiał jej milczenie, mruknął bowiem tylko „Rozumiem”, po czym gestem polecił jej wstać i pójść za sobą.

Dygotały jej kolana i oślepił blask słońca, gdy wychodzili z gmachu. Głęboko wciągała powietrze w płuca, kiedy zaś wsiedli do samochodu, odwróciła głowę udając, że przygląda się domom wykorzystywanym obecnie jako koszary, aby porucznik nie zorientował się, iż płacze.

Po kilkuminutowej jeździe von Tripp zatrzymał auto, przez chwilę wpatrywał się w kark dziewczyny, która sprawiała wrażenie całkowicie nieświadomej obecności u swego boku tego przystojnego, arystokratycznego oficera z blizną na policzku, wreszcie powiedział:

- Za sekundę wracam - i otworzył drzwi wozu.

Ariana znów nic nie odpowiedziała, tylko mocniej owinąwszy się pledem, który dał jej von Tripp, opadła na oparcie fotela. Znów rozmyślała o ojcu i Gerhardzie, po raz tysięczny zadawała sobie pytanie, gdzie są w tej chwili. No i delectowała się komfortem, jakiego nie zaznała od miesiąca. Nie przejmowała się tym, co ją jeszcze spotka. Grunt, że zostawiła za sobą tę cuchnącą

cełę.

Von Tripp istotnie wrócił po kilku sekundach i bez słowa podał Arianie parujące zawiniątko; zawierało dwa serdelki, musztardę i duży glon ciemnego chleba. Ariana przeniosła wzrok z posiłku na porucznika. Dziwny człowiek... Tak jak Ariana mówił mało, a jednak widział wszystko; tak jak ona miała w oczach smutek - zrodzony z odczuwania całym sobą cierpień świata, a teraz również jej cierpień.

Chciała mu podziękować, w końcu jednak przyjąwszy zawiniątko, skinęła tylko głową. Mimo sympatycznych gestów nie potrafiła zapomnieć, kim jest: faszystowskim oficerem, który wiezie ją do domu, aby mogła zabrać swoje rzeczy... Swoje rzeczy... Jakie rzeczy? Co w tej chwili będzie mogła zabrać? A po wojnie? Co wtedy? Czy odzyska dom? Zresztą wobec możliwej śmierci ojca i Gerharda nie miało to dla niej znaczenia. Podczas jazdy, pochłaniając drobnymi łąpczywymi kęsami kielbasę i chleb, walczyła z doprowadzającym do szaleństwa natłokiem pytań i myśli. Miała ochotę wgrzyźć się w posiłek jak zwierzę, obawiała się jednak, że zwymiotuje po tygodniach więziennej głodówki.

- Czy pani dom leży nad jeziorem?

Przytaknęła. Dziwne, że pozwalają jej cokolwiek zabrać. Dziwne uczucie, kiedy człowiek przestaje być więźniem. I ta przerażająca świadomość, że „jej dom” nie jest już jej domem. Dzieła sztuki, srebra, biżuteria, którą uda im się znaleźć, samochody - to wszystko przejdzie w ręce generała i jego kochanek. Bo gotówkę i papiery wartościowe ojca zagarnęli już kilka tygodni wcześniej. W sumie więc mogą mówić o nader godziwych zyskach. Co się zaś tyczy Ariany... cóż, była ledwie dodatkiem, parą rąk do wykonywania brudnej roboty... - Chyba że wpadnie komuś w oko. W tej chwili doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Wolałaby jednak umrzeć, niż zostać kochanką faszysty. Wolałaby do kresu swych dni tyrać jak wół i mieszkać w koszarach.

- To tam - powiedziała. - Na lewo od szosy.

Raz jeszcze musiała odwrócić głowę, żeby ukryć łzy. Dojeżdżali do domu... domu, o którym tak rozpaczliwie marzyła przez wszystkie te godziny spędzone w ciemnej celi, domu, w którym bawiła się i śmiała z Gerhardem, czekając na powrót ojca z pracy, domu, w którym przy kominku Fraulein Hedwig czytała im bajki, domu, po którym we wspomnieniach sprzed wielu lat przesuwiał się cień matki... domu, który straciła. Na ich rzecz. Na rzecz faszystów. Z bezgraniczną nienawiścią zerknęła w stronę umundurowanej sylwetki siedzącej na sąsiednim fotelu. Dla Ariany ten człowiek był częścią wszystkiego, co kryło się pod pojęciem „faszyzm” - zgrozy, utraty, zniszczenia, gwałtu. Cóż z tego, że dał jej jeść i ocalił z łap Hildebranda? Był tylko ogniwem odrażającego łańcucha. W sprzyjających okolicznościach postąpiłby tak samo jak jemu podobni.

- Tutaj! - wykrzyknęła nagle pokazując ręką, kiedy minęli zakręt.

Von Tripp zwolnił i obydwójce spojrzeli na rodzinny dom Ariany - ona ze smutkiem i żalem, on zaś z szacunkiem i podziwem. Pragnął jej powiedzieć, że dom jest piękny i że on także mieszkał kiedyś w takim domu. I że w tym domu, położonym opodal Drezna, podczas bombardowań zginęła jego żona i dwoje dzieci... że on także nie ma się gdzie podziąć. Należący do jego rodziców zameczek został na początku wojny „wynajęty” przez pewnego generała, w związku z czym starsi państwo von Tripp musieli także zamieszkać pod Dreznem w rezydencji odziedziczonej przez żonę porucznika. Oni też zginęli pod alianckimi bombami. Natomiast generał żył nadal, bo prowincji nie bombardowano, chyba że przez przypadek...

Z chrzęstem żwiru, który Ariana tak dobrze pamiętała z powrotów do domu, mercedes von Trippa wtoczył się na podjazd. Zamknawszy oczy mogłaby sobie bez trudu wyobrazić, że jest niedziela i że we trójkę - ojciec, Gerhard i ona - wracają oto z niedzielnej przejażdżki wokół jeziora, odbywanej zwykle po mszy... Jej nie okrywają łachmany, lecz elegancka odświętna suknia. Berthold stoi wyprężony u drzwi, gotów podać herbatę, kiedy tylko znajdą się w środku... „To już nie wróci”, wyszeptała bezgłośnie Ariana, wysiadając z auta na żwirowy podjazd.

- Ma pani pół godziny - oznajmił von Tripp, czując do siebie wstręt za te słowa. Rozkazy von Rheinhardta były jednak jasne: dość już czasu stracili na tę dziewczynę; trzeba zakończyć jej sprawę jak najszybciej i wracać do roboty. Von Rheinhardt nie omieszkał jednak dodać, by porucznik nie spuszczał Ariany z oka. Po pierwsze chodzi o to, aby nie wyniosła z domu czegoś wartościowego, po drugie zaś może naprowadzić uważnego obserwatora na ślad ukrytych sejfów bądź ruchomych paneli boazeryjnych. Dom został wprawdzie przeczesany przez wyspecjalizowaną w takich zadaniach ekipę, ale nigdy nie wiadomo...

Ariana niepewnie przycisnęła guzik dzwonka, zastanawiając się, czy ujrzy znajome oblicze Bertholda. Drzwi otworzył adiutant generała - niemal zwierciadlane odbicie towarzyszącego jej oficera. Z zaskoczeniem popatrzył na obszarpaną kobietę, von Tripp zsalutował jednak i pośpiesznie wyjaśnił:

- To Fraulein von Gotthard, panie kapitanie. Przyjechała po swoją odzież.

- Niewiele jej zostało - odparł kapitan, adresując swoje słowa do von Trippa, nie zaś do Ariany, która słuchała tego z niedowierzaniem. Niewiele zostało? Z tych wszystkich szaf i garderób nabitych ubraniami po brzegi? Jakże jesteście niewiarygodnie łapczywi i szybcy!

- Potrzeby mam bardzo skromne - odparła z iskierkami gniewu w oczach, wchodząc do środka.

Wszystko było takie samo, a jednak inne - choć meble stały na swoich miejscach, brakowało znajomych twarzy i dźwięków: starczego szurania stopami Bertholda, coraz wyraźniejszego kuszykania Anny, bieganiny Gerharda, dostojnych kroków ojca na marmurowej

posadzce holu... Spodziewała się zobaczyć Hedwig, którą zapewne zatrzymano na służbie z powodu oddania Partii, lecz żadna z twarzy obracających się w stronę Ariany nie należała do starej niani. Dominowały mundury adiutantów, którzy wbiegali i wybiegali z głównego gabinetu lub czekali przed salonem, oraz ordynansów roznoszących na tacach kawę i napoje. Ariana zauważyła również kilka obcych pokojówek. Czuła się tak, jakby po powrocie z zaświatów znalazła ukochane miejsca zaludnione przez zupełnie nowe pokolenie. Dotknęła dłonią znajomej balustrady i pomknęła na górę; porucznik von Tripp zachowywał dyskretną odległość, ale jak cień podążał za nią.

Przystanąła na pierwszym piętrze, spojrzała na drzwi sypialni ojca i pomyślała z rozpaczą: Boże, co się z tobą stało?

- Czy to tu? - cicho zapytał za jej plecami von Tripp.

- Przepraszam, coś pan mówił? - gwałtownie odwróciła się na pięcie jak człowiek, który słyszy w swoim domu kroki intruza.

- Czy z tego pokoju zamierza pani wziąć swoje rzeczy?

- To... nie, mój pokój jest piętro wyżej. Ale będę musiała tu później wpaść. - Przypomniała sobie w ostatniej chwili. Może zresztą jest już za późno. Może książka zniknęła. Zresztą było jej to zupełnie obojętne. Straciła ojca, brata, dom... straciła więc wszystko.

- Nie mamy zbyt wiele czasu, Fraulein von Gotthard...

Skinęła głową, w paru susach pokonała schody i stanęła przed apartamentem, w którym zdradziła ją Hedwig, do którego, kiedy błagała niebiosy o szczęśliwy powrót ojca, swoim aroganckim krokiem wtargnął Hildebrand. Pchnęła drzwi do saloniku, odwracając wzrok od drzwi sypialni Gerharda, weszła do swojego pokoju. Nie miała czasu na nostalgię, zresztą takie uczucie byłoby w tej chwili zbyt bolesne.

Potrzebowała walizki, wyszła więc z pokoju i wspięła się schodami piętro wyżej, na poddasze, gdzie był mały składzik i mieszkania służby. Tam zobaczyła zdrajczynię: Hedwig z pochyloną głową spieszyła do swojego pokoiku.

Wołanie „Hedwig!” było jak włócznia ciśnięta w pochylone plecy uciekającej. Stara zatrzymała się na moment, potem ruszyła przed siebie, niezdolna znieść spojrzenia dziewczyny, którą wychowywała od kołyski. Ariana wszakże nie zamierzała okazywać pobłażliwości; ani teraz, ani kiedykolwiek. Jej słowa przypominały jadovitą pieszczotę, zachętę do wypicia trucizny, nagie ostrze owinięte w kosztowne futro.

- Nie potrafisz mi popatrzeć w oczy? Aż tak się boisz?

Hedwig przystanąła i odwróciła się bardzo powoli.

- Słucham, panienko. - Usiłowała zachować spokój, ale jej wzrok wyrażał przestach, a

dłonie ściskające kłęb pościeli, którą miała zacerować, wyraźnie drżały.

- A więc zaszywasz im prześcieradła? Muszą ci być bardzo wdzięczni za oddanie. Tak samo jak my byliśmy wdzięczni. Powiedz no, Hedwig... - Ariana zapomniała, że niegdyś kochała i szanowała tę kobietę. Teraz przepelniała ją tylko nienawiść do niej. - Powiedz, czy kiedy już pocerujesz im całą pościel i wychowasz ich dzieci, jeśli w ogóle będą je mieli, to także ich zdradzisz jak Judasz?

- Nie zdradziłam panienki.

- Ho, ho, jakże solenna deklaracja! A zatem to Berthold przyjął na siebie rolę donosiciela?

- Ojciec panienkę zdradził. Nie powinien był uciekać. A Gerhard powinien był spełnić swój patriotyczny obowiązek. Ich ucieczka była występkiem.

- A kimże ty jesteś, żeby ich osądzać?

- Niemką. My, Niemcy, mamy obowiązek sądzić się wzajemnie. - Oto do czego doprowadził hitleryzm, pomyślała Ariana. Brat przeciwko bratu. - Czujność wobec siebie jest naszym obowiązkiem i przywilejem. Musimy robić wszystko, żeby Rzesza nie została unicestwiona.

- Rzesza to trup! - prychnęła z odrazą Ariana. - Dzięki takim ludziom jak ty! Ludziom, którzy zniszczyli mojego ojca, brata i mój kraj. A ja... - załamał się jej głos i dokończyła niemal szeptem. - Ja nienawidzę was wszystkich.

Odwróciła się, wpadła do składziku, porwała pierwszą z brzegu walizę, wróciła do pokoju i pod okiem von Trippa, który jej nie odstępował, a teraz ze spokojem palił papierosa, zaczęła do niej pospiesznie wrzucać swetry, bluzki, bieliznę, koszule nocne i co solidniejsze trzewiki. Nie było miejsca na luksusowe fatałaszki. Luksus zniknął z życia Ariany von Gotthard.

Ale i tak były to rzeczy, które musiały stanowić dysonans w kobiecych koszarach - uszyte z najlepszych wełen szkolne spódnice, trzewiki z wybornej skóry, które wkładała na spacer z ojcem wokół jeziora bądź też wtedy, gdy szła pokibicować Gerhardowi grającemu w polo. Zerknęła przez ramię i cisnęła do walizki szczotkę do włosów ze srebra i kości słoniowej.

- Myśli pan, że pozwolą mi ją zabrać? To jedyna szczotka, jaką mam.

Zrazu lekko zakłopotany, po chwili wzruszył ramionami. Doznawał osobliwych uczuć widząc, jak się pakuje. Od chwili kiedy weszła do holu, było oczywiste, że to miejsce, do którego przynależy. Poruszała się tak władczo i pewnie, że człowiek mimo woli odsuwał się na bok i skłaniał głowę. Tak właśnie von Tripp czuł się w Dreźnie. Ich dom, który dwa lata po ślubie odziedziczyła żona, był niewiele mniejszy i równie, a może bardziej imponujący, styl życia Ariany więc von Tripp znał bardzo dobrze; tak samo jak jej cierpienie wynikłe z konieczności porzucenia rodzinnych kątów. Jeszcze miał w uszach płacz matki, kiedy „na okres wojny” musieli oddać

zameczek do dyspozycji armii. „Skąd możemy wiedzieć, że go nam zwróca?” - chlipiąc pytała ojca. „Odzyskamy go, Ilse, nie bądź głuptasem” - odpowiadał starszy pan von Tripp.

Teraz rodzice nie żyli. Posiadłość przypadnie Manfredowi, kiedy faszyci wyniosą się po wojnie. Kiedykolwiek miałyby to nastąpić. Tyle że teraz porucznikowi wcale na tym nie zależało. Nie miał do kogo wracać. Nie miał domu, do którego pragnąłby wrócić. Bo dom bez nich... bez jego żony, Marianny, bez dzieci... Po prostu nie potrafił o tym myśleć.

Zerknął na Arianę, która wpychała do walizki kolejną parę turystycznych trzewików.

- Wybiera się pani na obóz wędrowny, Fraulein von Gotthard?

- zapytał z uśmiechem, którym pragnął się odciąć od tragicznych wspomnień.

- Słucham?... Oczekuje pan, że będę sprzątać toalety w sukni balowej? Takie są zwyczaje prawdziwych hitlerówek? - zareplikowała z ironią, dorzucając do walizki kaszmirowy sweterek. - Nie miałam pojęcia, że takie z nich elegantki.

- Pewnie jest pani w błędzie, ale poważnie powątpiewam, czy kapitan planuje dla pani los sprzątaczk. Ojciec pani miał licznych przyjaciół, którzy zapewne o pani nie zapomną. Pewni oficerowie...

- W rodzaju porucznika Hildebranda, panie poruczniku? - przerwała mu bezceremonialnie, świdrując go lodowatym spojrzeniem. Po dłuższej chwili odwróciła głowę i szepnęła: - Przepraszam.

- Rozumiem panią. Miałem tylko na myśli, że...

Była tak młoda, tak piękna! Uważał, że wcale nie jest skazana na los sprzątaczk. Ale oczywiście miała słuszność. Postąpi rozsądniej skrywając się w koszarach. Bo istotnie znajdą się inni pokroju Hildebranda. Teraz, kiedy jest wolna, będzie takich nawet więcej. Dostrzegą ją, kiedy będzie polerować klamki, grabić liście, szorować sedesy, dostrzegą ogromne fiołkowe oczy, twarzyczkę o klasycznych rysach kamei, smukłe, pełne wdzięku palce. I zapragną jej - osiągalnej teraz dla wszystkich. Nic ich nie powstrzyma. A ona będzie bezbronna... Może nie aż tak bezbronna jak w cuchnącej celi, ale prawie. Stanowiła własność Trzeciej Rzeszy - jak przedmiot będący w ewidencji jednej z niezliczonych agend państwa - i mogła być wykorzystana jak przedmiot: łóżko albo krzesło, jeśli znajdzie się ktoś, kto zechce z niej skorzystać. Von Tripp miał stuprocentową pewność, że ktoś taki znajdzie się wcześniej czy później. Na samą myśl o takiej możliwości chciał mu się rzygać. Mruknął więc tylko:

- Może ma pani rację.

Skończyła pakowanie i postawiła walizkę na podłodze, pozostawiając na łóżku brązową spódnicę z grubego tweedu, ciemnobrązowy kaszmirowy sweter, ciepły brązowy płaszcz, komplet bielizny i brązowe pantofle na płaskich obcasach.

- Czy mam jeszcze czas, żeby się przebrać? - zapytała.

W milczeniu skinął głową, Ariana zniknęła więc w łazience. Teoretycznie nie powinien spuszczać jej z oczu, jego służbistość wszakże miała swoje granice: zapewne Hildebrand pospieszyłby za Arianą i po chwili, zaśliniony z pożądliwości, zacząłby ją obłapiać, lecz takie zachowanie nie leżało w naturze porucznika von Trippa.

Wróciła do pokoju kilka minut później, sprawiając wrażenie hieratycznego portretu w brązach rozjaśnionych tylko jasnozłocistym akcentem płoworudych włosów. Kiedy nakładała płaszcz, Manfred, zmieszany i dręczony wyrzutami sumienia, wielkim wysiłkiem woli pohamował odruch, by jej pomóc. Musiał również pozwolić, aby sama niosła walizkę. Postępował wbrew wszystkiemu, czego go w życiu nauczono, wbrew wszystkiemu, co odczuwał wobec tej drobnej kruchej nieznajomej, która na zawsze opuszczała rodzinny dom. Ocalił ją od gwałtu i zafundował jej posiłek - w tej chwili było to praktycznie wszystko, co mógł dla niej zrobić.

Ariana zatrzymała się na piętrze, spojrzała na drzwi apartamentu ojca, potem przeniosła wzrok na von Trippa.

- Chciałabym...

- Co tam jest? - zapytał, marszcząc brwi.

- Gabinet ojca.

Chryste, o co jej chodzi? O ukrytą gotówkę? biżuterię? miniaturowy pistolecik, który mogłaby wymierzyć w głowę prześladowcy lub własną?...

- Chce pani tam wejść z powodów czysto sentymentalnych? To w tej chwili osobisty gabinet generała... Naprawdę nie powinienem...

- Proszę.

Sprawiła wrażenie tak bezradnej i samotnej, że nie potrafił zdobyć się na odmowę, z westchnieniem więc skinął głową, po czym uchylił drzwi. W pokoju był ordynans zajęty przygotowywaniem galowego munduru generała.

- Jesteście tu sami, kapralu? - zapytał von Tripp.

- Tak jest, panie poruczniku.

- Wyjdziemy za kilka chwil.

Ariana spiesznie podeszła do biurka, niczego jednak nie dotknęła; potem, znacznie wolniej, zbliżyła się do okna i spojrzała na jezioro.

Przypomniała sobie, jak stojąc w tym samym miejscu ojciec mówił o Maksie Thomasie, później zdradzał jej prawdę o matce, a wreszcie, w przeddzień wyprawy z Gerhardem, inne tajemnice. Gdybyż wtedy wiedziała, że widzą się po raz ostatni!...

- Proszę pani... - Wpatrzona w błękitną gładź jeziora Grunewald, udała, że go nie słyszy. -

Musimy wracać.

Skinęła głową i dopiero wtedy przypomniała sobie, po co tu przyszła. Po książkę.

Obojętnie omiotła wzrokiem biblioteczkę; porucznik nie spuszczał jej z oka, mając w duszy nadzieję, że nie zdobędzie się na żaden rozpaczliwy gest bądź postępek, który mogłaby przypłacić powrotem do celi. Ale tylko muskała czubkami palców oprawne w skórę książki na półkach.

- Czy mogłabym wziąć jedną? - zapytała.

- Chyba tak. - Bo niby dlaczego nie? Czas naglił. - Musimy już wracać do Berlina. Spędziliśmy tu prawie godzinę.

- Tak, przepraszam... wezmę tę. - Zdecydowała się na oprawny w przetartą już skórę tom tłumaczonych na niemiecki utworów Szekspira.

Von Tripp zerknął na tytuł, skinął głową i otworzył drzwi.

- Proszę...

- Dziękuję, panie poruczniku.

Wychodząc na korytarz, wysoko trzymała głowę, mając nadzieję, że nie zdradzi jej triumfalny wyraz twarzy. Wraz z książką zabrała jedyny skarb, jaki jej pozostał: sygnet z brylantem i zdobny szmaragdami zaręczynowy pierścionek matki. Pospiesznie wsunęła książkę do głębokiej kieszeni tweedowego płaszcza. Oto, co pozostało jej z dawnego życia - książka po ojcu i dwa pierścionki mamy. Z głową pełną wspomnień Ariana lunatycznie kroczyła długim korytarzem, czując, jak ciężka walizka obija się jej o nogi. Nagle po prawej stronie otworzyły się drzwi i przed Arianą stanął obwieszony odznaczeniami niemłody generał Ritter - nowy pan domu, który należał niegdyś do jej ojca.

- Jak się pani miewa? - zaszczębiotał radośnie. Mogłoby się zdawać, że oto idąc na podwieczorek napotkał dawno nie widzianą znajomą. Ariana odruchowo podała mu rękę; potrząsnął nią ochoczo, a spojrzawszy w otchłanne fiołkowe oczy Ariany, szeroko się uśmiechnął, jakby znalazł coś, co sprawiło mu ogromną przyjemność.

- Jakże jestem rad, że panią widzę. - Bo i miał po temu powody, uznała Ariana. W należącym teraz do niego domu witał dawną jego właścicielkę. - Góra z górą... nie widzieliśmy się ładny kawał czasu.

- Czyżby? - Nie pamiętała, by się kiedykolwiek poznali.

- Ależ tak. Ostatnie nasze spotkanie miało miejsce... niechże się zastanowię... tak, bodaj na balu w operze, kiedy liczyła pani zaledwie szesnaście lat. - Omiotł ją od stóp do głów rozjarzonym wzrokiem. - Cudownie pani wygląda.

Ariana na ułamek sekundy straciła poczucie rzeczywistości. To był jej pierwszy bal... poznała na nim oficera, który wywarł na niej piorunujące wrażenie... ojciec niespecjalnie go

akceptował... Jakże on się nazywał?

- Zapewne pani nie pamięta - odparł generał. - To było trzy lata temu.

Ariana z uczuciem mdłości oczekiwała, że lada chwila uszczyplnie ją w policzek. Dziękowała Bogu za wychowanie, które nauczyło ją udawać. Koniec końców zawdzięczała Hedwig to i owo.

- Ależ pamiętam - odparła chłodno, aczkolwiek uprzejmie.

- Czyżby? - Generał sprawiał wrażenie uszczęśliwionego. - A zatem będzie pani musiała kiedyś do mnie wpaść. Może na jakieś małe przyjętko?

Te słowa spłynęły z jego języka jak mikstura powodująca wymioty i Ariana rzeczywiście poczuła mdłości. Lepiej umrzeć... Perspektywa śmierci kusila ją tym bardziej, im lepiej rozumiała, co ją w najbliższej przyszłości może spotkać. Nic nie odpowiedziała i cofnęła się o krok, kiedy generał ujął ją za ramię.

- Tak, tak - powiedział - mam nadzieję, że niebawem zobaczymy się ponownie. Planujemy sporo intymnych uroczystości, Fraulein von Gotthard, w których jako jeszcze do niedawna gospodyni tego domu, będzie pani musiała wziąć udział.

Niedawna, ty draniu? Obecna i przyszła - pomyślała Ariana, pragnąc wykrzyknąć te słowa na cały głos. Skromnie opuściła jednak oczy, aby nie dostrzegł gorejącej w nich wściekłości.

- Dziękuję, panie generale.

Ritter porozumiewawczo zerknął na von Trippa, po czym rzucił przez ramię do stojącego tuż za nim adiutanta:

- Proszę pamiętać, żeby zadzwonić do von Rheinhardta i przekazać mu... hmm... zaproszenie dla panny von Gotthard. Oczywiście jeśli miła dama nie ma innych zobowiązań towarzyskich.

Generał tym razem zachowywał ostrożność. Najnowsza konkubina, którą nieopatrznie wyrwał z haremu innego wojskowego dostojnika, sprawiła mu masę kłopotów. Gra w istocie nie była warta świeczki. Miał tyle innych problemów! Czymże jest ładna buzia wobec prywatnego transportu cennych płócien przypadkowo zbombardowanego przez aliantów? Nie ma się o co bić, chociaż chętnie dorzuciłby tę uroczą dziewczicę do swojej kolekcji. Uśmiechnął się serdecznie, zasalutował i zniknął za drzwiami.

Ariana wrzuciła walizę na tylne siedzenie auta, zajęła miejsce przy kierowcy i nie usiłując kryć łez przed porucznikiem, wybuchnęła płaczem. Niech widzi. Niech wszyscy zobaczą, co zrobili.

Pogrążona w niedoli, nie zwróciła uwagi, że także oczy von Trippa stały się szkliste. Porucznik aż za dobrze zrozumiał zaszyfrowane sygnały nadawane przez generała. Stary satyr

zamierzał uczynić z Ariany kolejną dziwkę w swoim prywatnym burdeliku.

Chyba że wcześniej zgłosi do niej roszczenia ktoś inny.

ROZDZIAŁ 17

- Skończył już pan z tą dziewczyną? - zapytał von Rheinhardt, zerkając z irytacją na von Trippa, który przechodził koło jego biurka.

- Tak jest, panie kapitanie.

- Wzięliście z Grunewaldu jej rzeczy?

- Tak jest, panie kapitanie.

- Przyjemna chałupka, prawda? Szczęściarz z tego generała. Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby sprezentowano mi podobny domek - stwierdził von Rheinhardt, chociaż nie miał powodów, by uskarżać się na los. Niedawno właściciele pewnej rezydencji, z której rozciągał się widok na jezioro Charlottenburger i zamek, mieli ten zaszczyt, że pozwolono im przepisać ją na kapitana.

Przeszli do innych spraw; rozmawiając z von Rheinhardtem Manfred co jakiś czas spoglądał na Hildebranda odbierającego telefony i zastanawiał się, czy któryś z nich nie jest od adiutanta generała Rittera. A potem nagle zadał sobie pytanie, co go to właściwie może obchodzić. Ta kobieta nic dla niego nie znaczyła, ot, była po prostu młodą dziewczyną, która popadła w tarapaty, straciła rodzinę i dom. No i co z tego? Tysiące jej podobnych jechały na tym samym wózku. Jeśli natomiast okazała się dość pociągająca, by wpaść w oko generałowi? Cóż, sama będzie musiała uporać się z tą sytuacją. Przegonić młodszego oficera, który zamierzał ją zgwałcić, to jedno, ale podprowadzić ofiarę spod nosa generałowi - coś całkiem innego. Mogły z tego wyniknąć poważne nieprzyjemności. Dla niego, von Trippa.

Przez całą wojnę Manfred von Tripp starannie unikał konfliktów z przełożonymi i kolegami. Nie aprobował wojny, lecz służył ojczyźnie. Był przede wszystkim Niemcem, który drożej niż wielu innych zapłacił za wielkogermańskie ciągoty władców kraju, nie kwestionował jednak rozkazów, trzymał buzię na kłódkę i poddawał się losowi. Pewnego dnia wojna się skończy, on zaś wróci w rodzinne strony i przejmie rodzinny zameczek; pragnął przywrócić mu cały średniowieczny splendor, wydzierżawić okoliczne grunta i na powrót tchnąć w nie życie. Wtedy będzie mógł dożywać swych dni, pogrążony we wspomnieniach o żonie, dzieciach i rodzicach. Chciał przetrwać tylko po to, żeby móc wspominać, nie miał innych potrzeb; nie interesowało go uczestnictwo w podziale faszystowskich łupów - zagrabionych dzieł sztuki, biżuterii, futer, samochodów, złota. To, co miał w życiu za najcenniejsze, dawno już stracił.

Nie dawała mu jednak spokoju świadomość, że Ariana jest tak niewinna i młoda. Różnili się wiekiem o dwadzieścia lat, ale pod wieloma względami drogi ich żywotów były bardzo podobne. Tyle że Manfred, chociaż stracił wszystko, ani przez moment nie był tak bezradny jak

Ariana teraz. Był udręczony, załamany, zrezygnowany - tak, lecz nie przerażony i samotny... Von Trippowi obilo się o uszy to i owo, znał z pogłosek zamiłowania generała - przypatrywanie się figlującym dziewczynom, orgietki ze swoim udziałem, szczypta brutalności, szczypta sadomasochizmu, jedno, drugie smagnięcie pejcem, trochę... Mdlilo go, kiedy o tym myślał. Co strzeliło do łbów tym wszystkim facetom? Co się stało z jego dawnymi towarzyszami broni? Boże, miał już dość. Miał tego wszystkiego po uszy.

Ledwie kapitan von Rheinhardt wyszedł z gabinetu, porucznik rzucił pióro i z westchnieniem opadł na oparcie krzesła. Właśnie wtedy zadzwonił adiutant generała Rittera. Hildebrand z szerokim uśmiechem wysłuchał, co ma mu do powiedzenia, odłożył słuchawkę i zapisał coś w notatniku.

- Prosił, żeby kapitan zadzwonił jutro rano - wyjaśnił von Trippowi. - Chodzi o jakąś kobietę. Chryste, ten stary pierdziel skończy wojnę stojąc na czele całej armii bab.

- Wymienił nazwisko? - zainteresował się von Tripp.

Hildebrand pokręcił głową.

- Chce wszystko załatwić z kapitanem. Chyba że, jak to ujął, jest już za późno. Bo zdaniem generała na to ciasteczko szybko znajdzie się chętny. Może już się znalazł. Znając generała, zaryzykowałbym twierdzenie, że kobitka może mówić o szczęściu, jeśli tak się stało. Ciekawe, która tym razem wpadła Ritterowi w oko.

- Ano, ciekawe.

Niebawem Hildebrand wyszedł z biura, ale von Tripp przesiedział jeszcze w gabinecie dwie godziny. Nie dawały mu spokoju słowa Hildebranda... Generał chciał mieć Arianę... chyba że na to ciasteczko znalazł się już chętny. Manfred wstał, nałożył płaszcz, zgasił światło, spiesźnie wypadł z biura i z gmachu, a wreszcie wielkimi susami przebiegł przez ulicę.

ROZDZIAŁ 18

Odnalazł Arianę bez trudu. Zrazu zamierzał zapytać o nią w dyżurce, nie okazało się to jednak konieczne - była na zewnątrz, zajęta grabieniem liści, które upychała do blaszanej beczki, żeby później spalić. Nietrudno było się zorientować, że pracę fizyczną wykonuje po raz pierwszy w życiu.

- Fraulein von Gotthard... - odezwał się oficjalnym tonem. Zresztą z tą swoją wyprostowaną sztywną sylwetką wyglądał również bardzo oficjalnie, jak człowiek zamierzający wygłosić doniosłe oświadczenie. Gdyby jednak Ariana знаła go lepiej, zapewne dostrzegłaby lęk przyczajony w jego stalowoszarych oczach. Ale nie znała go aż tak dobrze. W gruncie rzeczy wcale nie znała Manfreda von Trippa.

- Słucham, poruczniku? - odpowiedziała ze znużeniem, odrzucając z oczu długi jasny kosmyk włosów. Pracowała w cienkich brązowych rękawiczkach z zamszu, bo nie miała innych. Irracjonalnie doszła do wniosku, że von Tripp zjawił się po to, aby wydać jej nowe rozkazy. W ciągu tego jednego popołudnia wyszorowała dwie toalety, wymyła tace z jadalni i zniosła ze strychu do piwnic całą górę pudeł... A teraz to grabienie liści.

- Proszę, z łaski swojej, zabrać swój bagaż

- Moje co? - zapytała strapiona.

- Pani walizkę.

- Nie mogę trzymać jej tutaj?

Dopiero po chwili Arianie przyszło do głowy, że być może jej walizka, wykonana z doskonałej skóry, po prostu wpadła komuś w oko. Wyposażony w skrytkę tomik Szekspira najpierw trzymała w kieszeni płaszcza, lecz kiedy idąc do pracy musiała się z nim rozstać, z braku lepszych pomysłów ukryła go w leżącym pod łóżkiem stosie brudów. Komendantką koszar było ogromne babsko wyposażone przez naturę w głos, który byłby w stanie zawładnąć największym placem musztry. Ta herod - baba w mundurze zdołała w ciągu jednego popołudnia śmiertelnie Arianę przerazić.

- A więc ktoś ma apetyt na moją walizkę - rzekła wzgardliwie. - Niech ją sobie bierze. Chwilowo nigdzie się nie wybieram.

- Źle mnie pani zrozumiała - odparł łagodnie von Tripp, Ariana zaś wysiłkiem woli nakazała sobie pamiętać, że ten mężczyzna ocalił ją przed gwałtem. Bo gdyby zupełnie o tym zapomniała, stałby się jednym z tamtych... Właściwie był jednym z tamtych, stanowił wplecioną w większą całość część jej koszmaru. Nie potrafiła dostrzec, czym różni się od innych. Nie wierzyła już w nic i nikogo. Nawet w tego życzliwie uśmiechniętego oficera. - Poza tym jest pani w błędzie,

bo czeka panią mała podróż.

- Czyżby? - zapytała chłodno, choć ogarnęło ją przerażenie. Co teraz? Co znowu dla niej wymyślili? Obóz?... Potem nagle przeniknął ją radosny dreszcz. Czyżby...

- Ojciec się odnalazł? - wyszeptała bez tchu.

Za odpowiedź starczyło jego ponure spojrzenie.

- Przykro mi. - Na widok przerażenia na jej twarzy postarał się nadać głosowi kojące brzmienie. - Ale będzie pani bezpieczna.

Przynajmniej chwilowo. Rzecz nie do pogardzenia w tych czasach. Jedna chwila jest lepsza niż nic. A któż w ogóle jest bezpieczny w dniach, kiedy bomby spadają nieustannie?

- Co pan ma na myśli mówiąc, że będę bezpieczna? - zapytała z lękiem i podejrzliwością, rozpaczliwie ściskając w dłoniach trzonek grabi.

- Proszę mi zaufać - powiedział, usiłując spojrzeniem rozwiać jej lęki. - I niechże zechce pani wreszcie spakować walizkę. Poczekał na panią w holu.

Rozpacz Ariany zaczynała przemieniać się w desperację.

- Co mam powiedzieć komendantce? Jeszcze nie skończyłam roboty.

- Sam jej wszystko wyjaśnię.

Skinęła głową i pospieszyła w stronę budynku. Odprowadzając ją wzrokiem Manfred zadawał sobie pytanie, co on, do cholery, wyrabia. Czyżby ogarnęło go takie samo szaleństwo jak generała? Nie - odpowiedział sobie - postępuje tak a nie inaczej tylko dlatego, żeby chronić dziewczynę. Czy jednak jego intencje były stuprocentowo czyste? Nie pozostawał obojętny na piękno skryte pod nieefektywną odzieżą i maską rozpacz. Niewiele potrzeba, by przywrócić brylantowi jego pierwotne lśnienie... ale przecież nie dlatego zabierał Ariane do Wannsee. Chciał ją ocalić przed generałem, chciał zdjąć ciastko z wystawy, aby nie kusiło ewentualnych nabywców. Cokolwiek się stanie, Ariana von Gotthard będzie w Wannsee stuprocentowo bezpieczna.

Zwięźle i bezceremonialnie oznajmił komendantce, że zabiera dziewczynę, sugerując równocześnie - oględnie tym razem i metaforycznie - że dzieje się tak z przyczyn osobistych raczej niż administracyjnych. Komendantka znakomicie to rozumiała. Dziewczyny o urodzie Ariany w ciągu kilku dni znajdowały w korpusie oficerskim możliwych opiekunów; do czarnej roboty zostawały tylko brzydkie... Od początku nie miała złudzeń, że Ariana długo nie zabawi w koszarach. Czym się zresztą niezbyt przejmowała, bo panienka sprawiała wrażenie zbyt drobnej i kruchej, by sprostać ciężkim codziennym obowiązkom. Sprężyście więc zasałutowała porucznikowi i wyznaczyła inną dziewczynę do grabienia liści.

Ariana, mocno ściskając w dłoni rączkę walizki, zjawiła się w holu niespełna dziesięć minut później. Von Tripp bez słowa obrócił się na pięcie, szybko wyszedł z budynku - słusznie

mniemając, że Ariana podąży za nim - otworzył drzwi mercedesa, wrzucił walizkę na tylne siedzenie i uruchomił silnik. Po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna Manfred von Tripp sprawiał wrażenie radego z siebie.

Ariana ciągle nie pojmowała, co się dzieje; dopiero po dwudziestu minutach, kiedy prawie dojeżdżali do domu Manfreda, zorientowała się, że ich celem jest Wannsee. To, co z początku było tylko niejasnym podejrzeniem, wreszcie zmieniło się w pewność... A więc po to zabrał ją z koszar. A więc dlatego wtedy, w celi, uratował ją przed Hildebrandem. Ciekawe, czy on również używa pejcza. Może stąd właśnie wzięła się ta cienka blizna, biegnąca równolegle do szczęki?

Kilka chwil później zatrzymali się przed niewielkim domkiem, porządnym i dostatnim, choć nie luksusowym; w środku panowała ciemność. Manfred wziął walizkę z tylnego siedzenia i gestem polecił Arianie wysiąść z auta. Sztywnym krokiem automatu ruszyła w stronę drzwi frontowych. A więc przeznaczyl ją dla siebie. Ciekawe, myślała, na stałe czy też tylko na jedną noc?

Otworzył drzwi, puścił Arianę przodem, wszedł za nią, włączył światło i omiółt spojrzeniem wnętrze: prezentowało się nienagannie, przychodząca każdego ranka sprzątaczką i tym razem wywiązała się ze swoich obowiązków.

Na parterze znajdował się skromnie, lecz wygodnie urządzonej salon - było tam wiele książek, kwiatów, biurko, na którym leżała księga sprawiająca wrażenie dziennika, kominek i stos przygotowanych polan - dalej zaś kuchnia, mały gabinet i jeszcze mniejsza, ale niezwykle przytulna jadalnia. Z wszystkich tych pomieszczeń proste okna dawały widok na ukwiecony ogród. Z sieni wąskie drewniane schody, wyłożone poprzecieranym, lecz pięknym chodnikiem, prowadziły na piętro, gdzie Ariana dostrzegła wysoko sklepiony hol.

Manfred, jakby spodziewając się, że Ariana właściwie oceni jego intencje, w milczeniu oprowadził dziewczynę po całym parterze, następnie zaś, niepewny, co mówią mu jej gniewne fiołkowe oczy, przystanął u podnóża schodów. Wciąż miała na sobie płaszcz i cienkie zamszowe rękawiczki; ze starannie upiętego koczka wysunął się kosmyk płowych włosów.

- Teraz pokażę pani górę - powiedział cicho, wykonując dłonią zapraszający gest. Nie chciał jej mieć za plecami, była bowiem zbyt wystraszona, zbyt wściekła, a nawet dziecko ogarnięte desperacją może okazać się niebezpieczne dla dorosłego mężczyzny...

Na piętrze było niewiele do pokazywania: łazienka i dwoje drzwi, które wydały się Arianie złowieszcze.

- Niechże się pani rozejrzy - rzekł łagodnie, choć wyzbył się złudzeń, że ton jego głosu zdoła rozproszyć obawy dziewczyny.

Przerażenie czyniło ją praktycznie głuchą na jego słowa. Jak mógłby ją pokrzepić? Jak

mógłby ją przekonać o uczciwości swoich intencji? Ale zdawał sobie sprawę, że wreszcie zrozumie... wcześniej czy później. Pchnął drzwi swojej sypialni, spartańskiego pokoju utrzymanego w brązach i granatach. Cały dom, pozbawiony wszelkich ekstrawagancji, był jednak wygodny i przytulny, spełniał zatem wszelkie wymogi, jakie von Tripp stawiał swojej berlińskiej kwaterze - miała być miejscem ucieczki przed codziennymi troskami, miejscem, gdzie wieczorem mógłby spokojnie zasiąść przed kominkiem i zapalić fajkę. Teraz fajka leżała na stoliku nocnym, obok kominka i starego wygodnego fotela o przetartej tapicerce. Ariana wszakże jakby niczego nie widziała: stała niczym mumia, przyciskając ręce do boków.

- To moja sypialnia - wyjaśnił von Tripp. Ogromne fiołkowe oczy posłały mu przerażone spojrzenie. Lekko dotknął ramienia Ariany, minął ją i na oścież otworzył drzwi czegoś, co początkowo uznała za garderobę. - Proszę wejść - powiedział.

Niepewnie, z drżeniem, podążyła za von Trippem i ujrzała następny niewielki pokój. Było tam łóżko, krzesło, stół, sekretarzyk tak maleńki, że właściwie dziecięcy, w oknie zaś wisiała zasłona w róże z tej samej tkaniny co narzuta i o identycznym wzorze co tapeta. To wszystko sprawiało krzepiące, sympatyczne wrażenie.

- A to jest pani sypialnia, Fraulein von Gotthard - oświadczył porucznik, wnosząc jednak z przełkniętego spojrzenia Ariany, że dziewczyna wciąż nic nie rozumie. Uśmiechnął się i głęboko westchnął. - Niechże pani usiądzie, wydaje się pani bardzo zmęczona. - Skinął dłonią w stronę łóżka, na którym po chwili wahania sztywno usiadła. - Chciałbym pani coś wyjaśnić, bo przypuszczam, że wyrobiła sobie pani błędną opinię o całej tej sytuacji...

Nagle wydał się Arianie innym człowiekiem: nie surowym bezdusznym oficerem, który eskortował ją po schodach i długich korytarzach ponurego gmachu, lecz najzwyczajniejszym mężczyzną - jednym z tych, co po powrocie z pracy jedzą kolację, a potem, znużeni całodzienną krzątaniem, zapadają w fotel przy kominku i zasypiają nad gazetą. Tak, sprawiał wrażenie zwykłego człowieka, ale wciąż budził w Arianie lęk.

- Przywiozłem tu panią, bo uznałem, że grozi pani niebezpieczeństwo. - Powoli przysiadł na krześle, mając nadzieję, że Ariana wreszcie się rozluźni i przestanie spoglądać nań tym przerażonym wzrokiem. - Jest pani piękną kobietą, Fraulein von Gotthard, a raczej piękną dziewczyną. Ile ma pani lat? Osiemnaście, dwadzieścia?

- Dziewiętnaście - wyszeptała bez tchu.

- Niewiele się zatem pomyliłem. Otóż - podjął z powagą - są tacy, dla których pani wiek nie ma znaczenia. Na przykład nasz przyjaciel, porucznik Hildebrand. Zachowywałby się tak samo, gdyby była pani dwunastolatką. Nie on jeden zresztą... - Tak, pomyślał, jesteś zbyt młoda i niedoświadczona, by wiedzieć, jak stawiać czoło nieszczęściu, które cię spotkało. Zmarszczył brwi

i Ariana uznała, że wygląda teraz raczej jak zatroskany ojciec aniżeli mężczyzna, który zamierza ją zgwałcić. On zaś przypomniał sobie, jak grabiła przed koszarami opadłe liście. Sprawiała wtedy wrażenie czternastoletniej dziewczynki. - Czy teraz pani rozumie?

- Nie, panie poruczniku - odparła. Miała śmiertelnie pobladłą twarzyczkę i rozszerzone do granic możliwości oczy. Po młodej wyniosłej damie, która tak dzielnie dawała odpór von Rheinhardtowi, nie pozostał ślad. Von Tripp nie rozmawiał w tej chwili z kobietą, lecz z dzieckiem.

- Otóż obilo mi się dzisiaj o uszy, że może być pani nakłaniana do... hm... do poszukania opieki pod skrzydłami generała Rittera. - Na twarzy Ariany odmalowała się jeszcze większa zgroza niż dotąd, lecz von Tripp uspokajająco podniósł dłoń. - Uznałem, że byłby to mało obiecujący początek pani samodzielnego życia, w związku z czym... - ogarnął wzrokiem pokój, który dla niej przeznaczyl - przywiozłem panią tutaj.

- Ale czy jutro nie zmuszą mnie, żebym zamieszkała z generałem? - zapytała z rozpaczą, von Tripp zaś z wysiłkiem oderwał oczy od nieskazitelnego złota jej włosów.

- Nie, to bardzo mało prawdopodobne, generał bowiem nie jest człowiekiem usiłującym dopiąć celu za wszelką cenę. Zapewne zabrałby panią z koszar, skoro jednak pani zniknęła, raczej nie podejmie poszukiwań. - Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. - A może nie miałyby pani nic przeciwko temu? Może byłaby pani skłonna zapłacić nawet taką cenę za przywilej mieszkania we własnym domu?

Stanowczo pokręciła głową. - Nie potrafiłabym znieść widoku tyłu kręcących się po nim obcych, jeśli natomiast chodzi o generała, to... - słowa uwięzły jej w krtani. - Wolałabym się zabić niż zostać jego... jego nałożnicą.

Manfred skinął głową, a widząc jej szacujące spojrzenie - mogło się zdawać, że Ariana usiłuje ocenić, jaki towar dostała w zamian - parsknął śmiechem. Ariana zaś zrozumiała wreszcie, że nie zamierza zedrzeć z niej ubrania i zgwałcić. - Czy odpowiada pani obecny układ? - zapytał łagodnie.

- Chyba tak - westchnęła. Na co liczył? Na podziękowanie za to, że ocaliłszy ją przed generałem, chce z niej zrobić swoją kochankę?

- Przykro mi, że w ogóle doszło do takiej sytuacji. Ta wojna jest straszna... dla nas wszystkich - rzekł błędząc myślami gdzieś daleko.

- Proszę za mną, pokażę pani kuchnię.

Kiedy na schodach zapytał Arianę o jej umiejętności kulinarne, uśmiechnęła się z zażenowaniem.

- Nie gotowałam nigdy w życiu, bo nie było potrzeby. Zajmowała się tym służba.

- Drobiazg. Nauczę panią. Nie będę wprawdzie zmuszać pani do grabienia liści i szorowania sedesów, bo codziennie przychodzi tu sprzątaczką, ale byłbym szczerze rad, gdyby w ramach podziału obowiązków domowych zajęła się pani gotowaniem. Sądzi pani, że da sobie radę?
- zapytał z powagą.

Ariana poczuła się nagle bezgranicznie znużona. Była teraz jego konkubina. Niewolnicą, którą kupił na targu.

- Chyba tak - odparła z westchnieniem. - A pranie?

- Będzie panią interesować wyłącznie własne. Chodzi mi tylko o przyrządzanie posiłków.

To niewielka cena za poczucie bezpieczeństwa, pomyślała Ariana. Gotowanie i zaspokajanie jego żądz. Bo jakżeby inaczej?

Przyglądała się, jak Manfred przyrządza kolację, kiedy zaś ją zjedli, zajęła się zmywaniem. Słyszała, że porucznik rozpala w kominku, potem siada przy biurku. Gdy wróciła do salonu, von Tripp notował coś w dzienniku - chwilami podnosił głowę, spoglądał na fotografię jednego z dzieci i znów wracał do pisania.

- Nie miałyby pan ochoty na filiżankę herbaty? - zapytała, czując się dość osobliwie: w gruncie rzeczy jak pokojówka. A jednak wspomnienie koszarnej celi, w której spędziła miesiąc, sprawiło, że nagle podziękowała Bogu za to, iż koniec końców znalazła się w tym domu. - Panie poruczniku?

- Słucham, Ariano? - Z lekka się zaczerwienił. Wyrwany z zadumy, po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu. Przez chwilę nie miał nawet pewności, czy powiedział „Ariana”, czy też „Marianna”. - Przepraszam.

- Nie ma za co. Pytałam, czy nie napiłby się pan herbaty.

- Chętnie. - Wolałby wprawdzie kawę, ale ostatnimi czasy była nieosiągalna. - Pod warunkiem, że pani również się napije.

Do tej chwili nawet nie śmiała myśleć, że mogłaby chociaż pokosztować herbaty, będącej praktycznie na wagę złota, zachęcona jednak przez porucznika, pobiegła do kuchni i naląła sobie filiżankę aromatycznego wywaru. Przez miesiąc mogła tylko marzyć o takich luksusach.

Von Tripp zastanawiał się, jak brzmi jej śmiech. Czy go kiedykolwiek usłyszy? Dwa razy w ciągu tego wieczora zdołał sprawić, że kąciki ust dziewczyny z lekka drgnęły i uniosły się do góry. Była tak bezgranicznie smutna, nieszczęśliwa, tak rozstrojona dramatycznymi przeżyciami ostatnich tygodni!...

Jej wędrujące po pokoju oczy zatrzymały się na zdobiących biurko porucznika fotografiach chłopca i dziewczynki.

- Czy to pańskie dzieci? - zapytała.

Bez uśmiechu skinął głową, zaproponował, by wypić jeszcze filiżankę herbaty, zapalił fajkę i wyciągnął długie nogi w stronę kominka.

Był to dziwny wieczór dwojga rozbitków życiowych. Przesiedzieli, właściwie nie odzywając się do siebie, do jedenastej wieczorem: Ariana powoli godziła się ze swoją nową sytuacją, von Tripp zaś z rozkoszą smakował świadomość, że w jego domu przebywa prócz niego jeszcze jedna żywa istota ludzka. I jego spojrzenie często wędrowało ku Arianie, która wpatrzona w ogień zdawała się błędzić duchem po odległej i nierzeczywistej przeszłości.

Przed północą Manfred wstał i zaczął gasić światła.

- Muszę jutro wstać bardzo wcześnie - wyjaśnił.

Z nowym strachem w oczach zerwała się jak pchnięta sprężyna. Co teraz? Właśnie tej chwili obawiała się najbardziej przez cały wieczór.

Puścił ją przodem, kiedy jak lunaticzka wychodziła z salonu. Na górze zatrzymali się przy drzwiach pierwszej sypialni; von Tripp zawahał się przez chwilę, potem z nieznacznym uśmiechem pełgającym na twarzy wyciągnął rękę. Oszołomiona, podała mu dłoń. Ta sytuacja stanowiła tak absolutne zaprzeczenie wszelkich obaw Ariany, że dziewczyna omal nie rozdziawiła ust.

- Mam nadzieję, że pewnego dnia zostaniemy przyjaciółmi - rzekł von Tripp. - Proszę zrozumieć, że nie jest pani moim więźniem. Po prostu uznałem, że takie rozwiązanie będzie najszczęśliwsze... dla pani. Niechże mi pani uwierzy.

Jej twarz pojaśniała nagle, a potem rozpromieniła się w uśmiechu.

- Chce pan powiedzieć, że...

- Tak, to właśnie chcę powiedzieć. - Dopiero w tej chwili zaczęła pojmować, że nie jest złym człowiekiem. - Czy naprawdę pani sądziła, że zamiast generała proponuję pani siebie? Czy była pani przekonana, że potrafiłbym zdobyć się na tak odrażający postępek? Jak już wspomniałem, nie jest pani moim więźniem, lecz... - strzelił obcasami i skłonił głowę - miłym gościem. Dobrej nocy, Fraulein von Gotthard.

Ariana odprowadziła go oszołomionym spojrzeniem, kiedy zamykał za sobą drzwi, po czym bezgłośnie ruszyła w stronę swojej sypialni.

ROZDZIAŁ 19

Von Rheinhardt wlepił w Hildebranda poirytowany wzrok.

- No to gdzie się podziała, do jasnej cholery? Von Tripp mówił, że odprowadził ją tam wczoraj. Pytał pan komendantkę? - warknął.

- Nie, bo jej nie zastałem.

- No więc niech pan wraca i zapyta. Rany boskie, mam na głowie poważniejsze sprawy niż takie idiotyzmy.

Hildebrand wypełnił rozkaz i godzinę później stawiał się ponownie w gabinecie przełożonego, który powitał go kolejnym wściekłym spojrzeniem.

- I czego dowiedział się pan od komendantki? - zapytał. Wszystko szło mu dzisiaj jak po grudzie. Ma gdzieś generała i tę cholerną von Gotthardównę. Dla niego to zamknięta karta, a jeśli Ritterowi tak wpadła w oko, niechaj wyśle na poszukiwania swojego adiutanta.

- Że zniknęła.

- Co to, do diabła, znaczy „zniknęła”? - Von Rheinhardta zaczynała ogarniać wściekłość. - Uciekła czy jak?

- Nic z tych rzeczy, panie kapitanie. Ktoś ją zabrał. Komendantka powiedziała, że jakiś oficer, ale nie potrafiła przypomnieć sobie nazwiska.

- Sprawdził pan w rejestrze?

- Nie. Mam iść jeszcze raz?

- Daj pan sobie spokój, Hildebrand. Zniknęła, to zniknęła. Nie minie tydzień, a generał znajdzie tuzin innych, na które ma ochotę. A może się okazać, że skórka nie jest warta wyprawki. Wciąż istnieje możliwość, choć raczej odległa, że pewnego dnia wróci stary von Gotthard i jeśli stwierdzi wtedy, że z jego córeczki Ritter zrobił jeszcze jedną odaliskę w swoim haremie, rozpęta się piekło.

- Naprawdę pan myśli, że stary żyje? - zapytał z ciekawością Hildebrand.

Von Rheinhardt wzruszył ramionami.

- Wcale nie myślę. Niech pan już wraca do roboty, Hildebrand.

Przed wieczorem jednak kapitan osobiście pofatygował się do koszar, po kilku chwilach rozmowy komendantka potulnie wyciągnęła rejestr i von Rheinhardt uzyskał informację, po którą przyszedł. Czyżby - rozmyślał wracając do biura - von Tripp koniec końców wracał pomiędzy żywych? A już przypuszczał, że nigdy nie otrząśnie się po utracie rodziny, a także ciężkiej kontuzji, jaką odniósł przed rokiem. Wydawało się wtedy, że dał za wygraną, stał się odludkiem, ludzkim strzępem. Może jednak teraz... ciekawa historia... Potwierdziły się więc jego

przypuszczenia. Uwadze kapitana Dietricha von Rheinhardta umykało niewiele rzeczy.

- Von Tripp?

- Tak jest, panie kapitanie? - Zaskoczony Manfred gwałtownie podrzucił głowę. Zajęty w innym pokoju poszukiwaniem jakichś zagubionych akt, nie miał pojęcia, że von Rheinhardt wyszedł z biura.

- Proszę do mojego gabinetu.

Manfred podążył za nim, pełen złych przeczuć. Von Rheinhardt nie tracił czasu.

- Manfredzie - oświadczył - zerknąłem przypadkiem do rejestru w koszarach dla kobiet.

Von Tripp, który zdawał sobie sprawę, że kapitan niczego nie robi „przypadkiem”, mruknął tylko:

- Ach, tak?

- Właśnie. Ma ją pan?

Trudno było cokolwiek wyczytać z jego twarzy, ale Manfred skinął głową.

- Tak jest.

- Czy wolno mi zapytać o motywy pańskiego postępowania, poruczniku?

- Miałem na nią chrapkę, panie kapitanie - odparł Manfred, świadom, że von Rheinhardt bez oporów przełknie takie prostackie wyjaśnienie.

- Oczywiście rozumiem, czy jednak zdawał pan sobie sprawę, że pańskie... mhm... zainteresowanie podziela generał Ritter?

- Nie, panie kapitanie. Nie miałem pojęcia. Wprawdzie podczas bytności w Grunewaldzie spotkaliśmy go na korytarzu, ale nie pokazał po sobie, że...

- Dobra, dobra, dajmy temu spokój. - Przez dłuższy czas przewiercał podwładnego wzrokiem. - Wie pan, że mógłbym pana zmusić do oddania dziewczyny Ritterowi?

- Mam nadzieję, że pan tego nie zrobi, panie kapitanie - odparł von Tripp. Było to niedopowiedzenie stulecia.

Długą chwilę milczeli, wreszcie von Rheinhardt mruknął:

- Nie zrobię, von Tripp. - Potem rozciągnął usta w szerokim uśmiechu. - Miło znowu widzieć pana wśród żywych. Miło widzieć, że coś znowu zaczyna pana obchodzić. Od trzech lat powtarzałem, że tego pan właśnie potrzebuje.

- Tak jest, panie kapitanie. - Von Tripp zdobył się na zupełnie przekonujący uśmiech. - Dziękuję, panie kapitanie.

- Nie ma za co. - Von Rheinhardt zachichotał pod nosem. - Dobrze tak Ritterowi. Jest najstarszy z nas, a załapuje się na najmłodsze dziewczyny. Niech się pan nie przejmuję, podeślę mu inną. I to taką, że będzie miesiącami pisał ze szczęścia. - Zarechotał donośnie i odprawił

Manfreda gestem dłoni.

A więc... wygrał, i to w końcu dzięki kapitanowi. Von Tripp westchnął przeciągle i rozejrzał się po gabinecie, uświadamiając sobie, że najwyższy czas wracać do domu.

- Czy to pan, poruczniku?

- Dobry wieczór, Ariano. - Wydawał się nieznośnie sztywny, kiedy patrzył w wielkie fiołkowe oczy witające go w półmroku sieni niespokojnym spojrzeniem.

- Czy... jak... - nie potrafiła z siebie wydusić sensownie sformułowanego pytania, ale z przerażenia bijącego z bladej twarzyczki zwieńczonej upiętą we wdzięczny kok złotą czupryną natychmiast domyślił się, o co Arianie chodzi.

- Wszystko w porządku. Sprawa załatwiona.

- Bardzo się złościł? - Te fiołkowe oczy, pomyślał, są jeszcze większe niż zwykle i odzwierciedlają każde okropieństwo, przez jakie w ciągu minionego miesiąca przeszła Ariana. Tak często sprawiała na poruczniku wrażenie wyjątkowo dzielnej osóбки, w tej chwili wszakże wyglądała po prostu jak bezbronna dziewczynka.

- Powiedziałem przecież, że wszystko w porządku. Teraz będzie tu pani zupełnie bezpieczna.

Korciło ją, żeby zapytać, jak długo, nie znalazła w sobie jednak śmiałości i tylko skinęła głową.

- Dziękuję - wyszeptwała. - Miałby pan ochotę na filiżankę herbaty?

- Tak, ale znów pod warunkiem, że i pani się napije.

Zniknęła w kuchni, by wrócić po kilku chwilach z dwiema parującymi filiżankami. Po miesiącu spędzonym w celi traktowała herbatę niemal z nabożeństwem, jak największy luksus; drugim z tych, które oferował jej dom von Trippa, była możliwość mycia się i brania kąpieli. Już wcześniej pozwoliła sobie na wypicie niewielkiej filiżaneczki, kiedy bez celu wędrując z kąta w kąt saloniku, spoglądała na książki, pogrążona znów w rozmyślaniach o ojcu i Gerhardzie. Ani na moment nie umiała wyrzucić ich z myśli, ani na moment z jej twarzy nie zniknął wyraz cierpienia i smutku.

Manfred patrzył na nią łagodnie, świadom, jak mało pocieszających słów mógłby jej powiedzieć. Aż za dobrze znał z własnego doświadczenia, co znaczy borykać się z potwornym brzemieniem, jakim jest utrata najbliższych. Westchnął cicho, sięgnął po jedną ze swoich fajek i usiadł.

- I cóż pani robiła przez cały dzień? - zapytał.

- Cóż... nic... tylko... przeglądałam pańskie książki.

Odpowiedź Ariany przywołała Manfredowi na myśl wspaniałą bibliotekę, którą widział w

jej domu, oraz zapamiętaną ze znacznie odleglejszych czasów własną. Postanowił wziąć byka za rogi. Zapalił fajkę i spojrzał Arianie prosto w oczy.

- To piękny dom - stwierdził.

Natychmiast pojęła, o jakim domu mówi.

- Dziękuję.

- Pewnego dnia wróci w pani ręce. Wojna nie może trwać wiecznie. - Odłożył fajkę i usiłując wzrokiem przekazać Arianie, że dzieli jej uczucia, dodał: - Dom moich rodziców również został zarekwirowany przez armię.

- Naprawdę? - zapytała z iskierką budzącego się zainteresowania. - Gdzie jest ten dom?

- Opodal Drezna - odparł i uprzedzając jej pytanie wyjaśnił: - Nie ucierpiał od bombardowań.

Zameczek nie ucierpiał, ale wszystko inne i wszyscy inni - tak. Wszyscy: dzieci, Theodor i Tatiana, żona, rodzice, siostra... Wszyscy. Wszyscy odeszli. Tak samo jak ojciec i brat Ariany. Równie nieodwracalnie. Na zawsze.

- Dopisało panu szczęście.

Zaskoczony jej słowami podniósł głowę i dopiero po chwili uzmysłowił sobie, że mówią przecież o zamczku.

- Tak.

- A co z pańską rodziną?

Gwałtownie zaczerpnął powietrza.

- Jej niestety nie dopisało szczęście... - Ariana długo czekała na dalszy ciąg w gęstniejącym pomiędzy nimi milczeniu, na koniec jednak Manfred podjął: - Dzieci, żona i rodzice byli w mieście. - Wstał i podszedł do kominka, tak że Ariana widziała tylko jego plecy. - Wszyscy zginęli.

- Jakże panu współczuję - wyszeptwała cichutko.

Odwrócił się w jej stronę.

- Nie bardziej, niż ja współczuję pani.

- Czy... - zaczęła z drżeniem. Brakło jej sił, by zadać pytanie, ale musiała wiedzieć. Musiała. - Czy były jakieś wiadomości?

Pokręcił głową. Najwyższy czas, by spojrzała prawdzie w oczy; podejrzewał, że w duszy i w sercu nie chce jej przyjąć do wiadomości.

- Pani ojciec... cóż, nie sądzę, żeby ot, tak, o pani zapomniał. Z tego, co o nim wiem, jasno wynika, że nie był człowiekiem zdolnym do czegoś takiego.

- Wiem - szepnęła. - Coś im się musiało przydarzyć. - Wyzywająco podrzuciła głowę. - Ale ich odnajdę... po wojnie.

Patrzył na nią z troską wzrokiem zasnuwanym mgiełką wzruszenia.

- Nie sądzę - powiedział. - I chyba powinna pani zdać sobie z tego sprawę. Nadzieja, płonna nadzieja, bywa uczuciem bardzo okrutnym.

Serce zabiło jej jak młotem.

- A zatem coś pan słyszał?

- Nic nie słyszałem. Ale... mój Boże, proszę się tylko zastanowić. Wyjechał, żeby uchronić chłopca przed wojskiem, prawda? - Milczała. Może zastosowali zdradziecki podstęp, by w końcu zdradziła ojca? Ona go jednak nie zdradzi. Nawet przed tym mężczyzną, któremu zaczynała już ufać. - No dobrze, proszę nie mówić. Ale zakładam, że tak właśnie było. - I powiedział coś, co Ariana wstrząsnęło: - Sam postąpiłbym tak samo. Postąpiłby tak każdy człowiek przy zdrowych zmysłach, żeby uratować syna. Pani ojciec na pewno zamierzał wrócić po panią, Ariano, a przeszkodzić mu w tym mogła tylko śmierć. Jego i chłopca. Nie miał szans przedostać się do Szwajcarii, nie miał szans wrócić. Widać obaj wpadli w ręce straży granicznej.

- Czy jednak w takim wypadku nie dotarłyby do nas jakieś wieści? - zapytała szeptem, czując, jak po policzkach zaczynają spływać jej łzy.

- Niekoniecznie. Żołnierze strzegący granicy nie są elitą naszego wojska. Jeśli zabili pani bliskich, a tak zapewne zrobili, po prostu w taki czy inny sposób pozbyli się zwłok. Widzi pani - dodał z zakłopotaniem - próbowałem zasięgnąć języka, ale niczego nie zdołałem ustalić. Stąd wnioskuję, że zginęli.

Z pochyloną głową i drżącymi ramionami odwróciła się powoli, wyszła z saloniku, po chwili zaś Manfred usłyszał, jak zamyka za sobą drzwi pokoju.

Stała szlochając bezgłośnie, w końcu padła na łóżko i rozplakała się na dobre. Pierwszy raz, odkąd rozpoczął się cały koszmar, Ariana całkowicie się rozkleiła. Potem zapadła w odrętwienie.

Nie widziała się już z Manfredem tego wieczoru, nazajutrz rankiem zaś unikała jego wzroku. Nie chciała widzieć jego litości, współczucia, a także jego rozpacz - potrzebowała wszystkich sił, by uporać się z własną.

W ciągu następnych kilku tygodni często widywała, jak von Tripp patrzy na fotografie dzieci, i wtedy z bólem serca i świadomością, że nie zobaczy ich nigdy więcej, myślała o Gerhardzie i ojcu. Gdy zaś przesiadywała w saloniku samotnie, miała wrażenie, że uśmiechnięte buzie dzieci Manfreda prześladowają ją, niemo wyrażają urazę, że jest z ich ojcem, podczas gdy one już być nie mogą.

Chwilami miała im za złe, że tak się w nią uporczywie wpatrują, obojgu - dziewczynce z warkoczykami i piegowatemu chłopcu o jasnych włosach i chyba niebieskich wielkich oczach... Miał na imię Theodor. Najbardziej jednak miała im za złe to, że jakoś w jej oczach ucłowieczwały

porucznika, czyniły kimś rzeczywistym. Nie chciała, by tak było. Nie chciała nic o nim wiedzieć, przejmować się jego losem. Mimo tego, co dla niej zrobił, wciąż był tylko kimś w rodzaju strażnika więziennego. Nie chciała widzieć go w innym świetle, nie chciała znać jego marzeń, nadziei czy trosk, tak samo jak nie chciała się z nim dzielić swoimi. Nie miał prawa znać całej bezdennej głęбини jej rozpacz, i bez tego aż nazbyt często był świadkiem jej przeżyć, bólu, bezradności. Widział ją w celi zdaną na łaskę i niełaskę Hildebranda, był jej stróżem i świadkiem ostatnich, pełnych udręki chwil spędzonych we własnym domu. Widział zbyt wiele, a nie miał do tego prawa. Nikt nie miał i przed nikim już nie zamierzała odsłonić najmniejszej cząsteczki siebie.

Manfred von Tripp wyczuwał to w Arianie i kiedy widział, że skrywa się za murem obronnym swego cierpienia, palił tylko fajkę i spoglądał w ogień, odzywając się z rzadka lub wcale.

Mieszkała u niego od trzech tygodni, gdy pewnego wieczoru ku bezgranicznemu zaskoczeniu Ariany odłożył fajkę, wstał i zapytał:

- Nie miałaby pani ochoty na przechadzkę?

- Teraz?

Była zaskoczona i trochę wystraszona. Czy to pułapka? Dokąd zamierza ją zabrać i po co?

Wyraz jej oczu, który Manfred natychmiast prawidłowo odczytał, zranił porucznika do żywego: a zatem po tylu spokojnych dniach dziewczyna wciąż ma w sobie tak wiele strachu i nieufności? Z pewnością trzeba będzie długich lat, zanim koszmary podziemi Reichstagu zatrą się w jej pamięci. Tak samo jak jemu, nim zapomni o owych okropnych chwilach, kiedy w Dreźnie przeszukiwał ruiny swojego domu, znajdując lalki zmiażdżone belkami stropowymi, poskręcane i osmalone srebra, z których tak dumna była Marianna, pojedyncze sztuki biżuterii... strzępy marzeń. Z najwyższym trudem zmusił się, by wrócić do terażniejszości i spojrzeć w fiołkowe oczy Ariany.

- Nie sądzi pani, że przydałaby się jej odrobina ruchu? - Wiedział, że Ariana, wciąż śmiertelnie wystraszona, ani razu nie wypuściła się dalej niż do ogródka.

- A jeśli będzie nalot?

- Ukryjemy się w najbliższym schronie. Niechże się pani niczego nie obawia. Będzie pani ze mną zupełnie bezpieczna.

Poczuła się głupio, kwestionując pomysł tego mężczyzny o głębokim spokojnym głosie i łagodnych oczach; skinęła głową. Będzie to jej pierwsze wyjście na świat od dwóch miesięcy: po miesiącu spędzonym w celi i prawie miesiącu w Wannsee, gdzie wciąż była przejęta zbytnim lękiem, aby wystawić nogę poza próg domu. Upiory strachu osaczały ją zewsząd.

Dopiero tego wieczoru Manfred zdał sobie w pełni sprawę, ile ich jest i jak są straszne. Przyglądał się Arianie, kiedy wkładała płaszcz, potem popatrzył na nią ciepło i pokiwał głową.

Ariana nie mogła wiedzieć, że w taki sam sposób zwykł patrzeć na córkę, kiedy wyczuwał, że Tatianę coś przepęlnia lękiem.

- Świeże powietrze dobrze zrobi nam obojgu - stwierdził.

Przez cały wieczór, jak coraz częściej ostatnimi czasy, bił się z myślami. Z myślami nie tylko o żonie i dzieciach, lecz również o tej niezwyklej zagubionej dziewczynie. Z myślami, które po raz pierwszy nawiedziły go przed kilkoma tygodniami.

- Gotowa?

Przytaknęła, a kiedy wyszli na chłodne wieczorne powietrze, wsunęła pod jego ramię drobną dłoń w rękawiczce. Udawał, że nie dostrzega, iż przy okazji kurczowo zacisnęła palce na tkaninie jego rękawa.

- Piękny wieczór, prawda? - zagadnęła spoglądając na niebo z uśmiechem na twarzy tak niezwykle, że Manfred też się uśmiechnął.

- Piękny. I jak pani widzi, nie ma nalotu.

Kiedy jednak pół godziny później zbierali się już do powrotu, zabuczały syreny i z domów powypadali ludzie, kierując się spieszenie do najbliższych schronów. Manfred otoczył Ariane ramieniem i pobiegł z innymi.

Pozwalała się prowadzić, lecz w głębi serca było jej obojętne, czy dotrze do bezpiecznego ukrycia, czy też nie. Właściwie po cóż miała żyć?

W schronie płakały kobiety, krzyczały niemowlęta, większe dzieci zaś wymyślały sobie zabawy. Bali się tylko dorośli, one bowiem rosły podczas wojny i z wojną. Jakiś chłopiec ziewał, dwóch innych wyśpiewywało bzdurną piosenkę do wtóru syreny, a później spadających w oddali bomb. Manfred, który nie spuszczał z oka spokojnej smutnej twarzy towarzyszki, w pewnej chwili instynktownie wyciągnął rękę i ujął dłoń Ariany. Nie cofnęła jej. W roztargnieniu patrzyła na ukrytych w schronie ludzi, zastanawiając się, po co właściwie żyją, dlaczego nie dają za wygraną.

Kiedy na zewnątrz zapadła cisza, Manfred wstał i powiedział:

- Chyba jesteśmy już bezpieczni.

Podążyła z nim i pospieszyli do domu. Już w sieni popatrzyli na siebie. Ich oczy miały wyraz inny niż dotąd. Ale Manfred tylko skłonił głowę, odwrócił się na pięcie i ruszył po schodach na górę.

ROZDZIAŁ 20

Kiedy nazajutrz wieczorem wrócił do domu, Ariana była w kuchni. Stojąc na krześle rozpaczliwie usiłowała dosięgnąć pojemnika ustawionego na najwyższej półce. Pospiesznie wszedł do kuchni, zdjął pojemnik, podał go Arianie, następnie zaś machinalnie ujął ją pod boki i lekko postawił na podłodze. Podziękowała, lekko zarumieniona na twarzy, i przystąpiła do parzenia zwyczajowej już herbaty. Ale i ona wyczuła, że coś się w ich stosunkach zmieniło.

Jakiś fluid, powstały nagle lub dotąd po prostu uśpiony i nie uświadamiany, przepłynął oto między dwojgiem życiowych rozbitków, których myśli ich osobiste tragedie zajmowały do tego stopnia, że nie brali pod uwagę, iż można przebudzić się do życia. Podając Manfredowi filiżankę, Ariana zapomniała o posłodzeniu herbaty; zarumieniona jeszcze mocniej, odwróciła się i pobiegła do kuchni po cukierniczkę.

Po kolacji, którą zjedli w milczeniu i pewnym napięciu, Manfred znowu zaproponował spacer. Tym razem wrócili do domu bez przeszkód, ale nalot dla odmiany zaskoczył ich w łóżkach. Obudzili się bardzo szybko, zbyt jednak późno, by dobiec do schronu, owinięci zatem w szlafroki, z ciężkimi butami na nogach, ukryli się w piwnicy. Manfred trzymał tam na wszelki wypadek walizkę z pełną zmianą odzieży. Teraz uświadomiwszy sobie, że w razie czego Ariana pozostałaby tylko w tym, co ma na sobie, zasugerował, żeby i ona przygotowała sobie niezwłocznie „zestaw ewakuacyjny”. Wzruszyła ramionami, co dostrzegł w anemicznej czerwonej poświacie sączącej się z cybucha fajki. Zrazu stropiony tym gestem, wnet jednak zrozumiał jego znaczenie.

- Nie zależy pani na przetrwaniu, Ariano? - zapytał.

Powoli pokręciła głową.

- Dlaczego miałyby mi zależeć?

- Bo jest pani bardzo młoda. Stworzy sobie pani nowe życie. Wszystko będzie przed panią, kiedy ten koszmar się skończy.

Nie wyglądała na przekonaną, zwłaszcza że miała przed oczyma wyraz jego twarzy, kiedy wpatrywał się w fotografie żony i dzieci.

- A czy dla pana przetrwanie jest naprawdę tak ważne?

- Ważniejsze teraz niż jeszcze nie tak dawno - odparł cicho. - I w pani wypadku będzie podobnie.

- Dlaczego? Po co się przejmować? To... - oboje słyszeli huk bombardowania. - To się nigdy nie skończy.

I dobrze, pomyślała. Niech trwa, dopóki bomby nie wybiją wszystkich faszystów. Wtedy ona będzie wolna... lub martwa. Nie wydawała się wystraszona - tylko bezgranicznie smutna.

- Skończy się, i to niebawem, Ariano, ma pani moje słowo.

Tak jak poprzedniego wieczoru ujął dłoń Ariany - teraz wszakże drżącą - i powoli zaczął przyciągać dziewczynę do siebie. Nie miała sił, by się opierać, nie miała dość woli, by go odepchnąć. Mając wrażenie, że oto staje się coś, czego zawsze pragnęła, pozwoliła, by otoczyły ją silne ramiona, a na jej wargach spoczęły ciepłe męskie usta. Pulsowanie krwi w uszach zagłuszało nawet odległy huk bomb, bez oporu pozwalała pieścić się i całować. Po długiej chwili, gorączkowo chwytając powietrze, wysunęła się z objęć Manfreda. Zapadło kłopotliwe milczenie, potem Manfred wyszeptał:

- Wybacz... tak mi przykro, Ariano... przepraszam, nie powinienem...

Ale ku jego bezgranicznemu zdumieniu zamknęła mu pocałunkiem usta i bezszelestnie wyszła z piwnicy.

Nazajutrz żadne nie wspomniało słowem o wieczornym zajściu, niemniej odtąd coś jakby ich przyciągało z coraz większą i coraz bardziej nieodpartą siłą.

Wreszcie zbudziwszy się pewnego ranka, Ariana ujrzała, że w jej pokoju stoi von Tripp.

- To ty, Manfredzie? - Rozespana jeszcze, nie zorientowała się, że pierwszy raz zwróciła się do niego po imieniu. - Czy coś się stało?

Przecząco pokręcił głową i wolno zaczął podchodzić do łóżka. Miał na sobie granatową jedwabną piżamę i takiż szlafrok. Z początku nie wiedziała, o co mu chodzi, nie miała pojęcia, co powiedzieć, wnet jednak dotarło do jej świadomości, że rozpaczliwie pragnie tego mężczyzny... Tak, uzmysłowiła sobie oto, że zakochała się bez pamięci w swoim strażniku, poruczniku Manfredzie von Trippie. Manfred zaś, patrząc na Arianę z mieszaniną pożądliwości i smutku, pojął, że popełnił straszliwy błąd, zanim więc zdążyła się odezwać, zawrócił na pięcie i ruszył ku drzwiom.

- Manfredzie... - zawołała za nim. - Co robisz?... Dokąd...

Przystanął i obejrzał się przez ramię.

- Przepraszam... nie powinienem był...

Wyciągnęła ku niemu ramiona. Już nie ramiona dziecka, lecz kobiety. On zaś popatrzył jej w oczy, podszedł do łóżka i rzekł z łagodnym uśmiechem:

- Nie, Ariano... jesteś za młoda. Nie wiem, co się ze mną stało. Leżałem, godzinami rozmyślając o tobie i... i chyba postradałem zmysły.

Wyślizgnęła się z łóżka i stanęła przed nim w swej prostej flanelowej koszuli nocnej. Miała na wargach lekki uśmiech. Czekala, aż Manfred do niej podejdzie, aż zrozumie...

- Ariano? - Ciągle nie wierzył w to, co dostrzegł w jej oczach. - Najdroższa?

Odpowiedział mu szept słaby jak tchnienie zamierającego wiatru. Zbliżył się, wziął ją w

ramiona i odnalazł jej usta.

- Kocham cię, Manfredzie. - To, co jeszcze chwilę wcześniej wydawało się Arianie złudą czy urojeniem, teraz okazywało się niepodważalną prawdą.

Niebawem leżeli wtuleni w siebie. Manfred posiadał ją z czułością i delikatnością mężczyzny głęboko zakochanego. Później jeszcze raz... i jeszcze...

Delektując się swoim prywatnym światem, nawet nie zauważyli, że nadciąga Boże Narodzenie. Ariana całymi dniami krzątała się po domu i ogrodzie, wieczorami jadal kolacje, potem na krótko przysiadali przed kominkiem, a wreszcie - znacznie wcześniej niż niegdyś, ponieważ teraz nieodparcie kusily ich cudowności czekające w łóżku - biegli na górę. Ich miłość, romantyczna i zmysłowa zarazem, sprawiała, iż Ariana, mimo utraty ojca i brata, nigdy w życiu nie czuła się szczęśliwsza, Manfred zaś naprawdę powrócił do świata żywych, tryskał radością, witalnością i humorem. Tym, którzy poznali go już po śmierci rodziny, trudno byłoby uwierzyć, że mają do czynienia z tym samym człowiekiem. Nad ich trwającym dwa miesiące szczęściem wisiała tylko jedna niewielka chmurka: perspektywa świąt, podczas których nieuchronnie powrócą duchy zmarłych najbliższych.

- No i co zrobimy z Bożym Narodzeniem? Nie chcę, żebyśmy siedząc w domu popadali w przygnębienie z powodu tego, czego żadne z nas nie jest w stanie odmienić - rzekł z powagą Manfred przy porannej herbacie, którą ostatnio pijali w łóżku. - Chcę, żebyśmy świętowali to, co jest, zamiast opłakiwać to, co minęło. A tak nawiasem mówiąc, co byś chciała dostać pod choinkę?

Do Bożego Narodzenia pozostały jeszcze dwa tygodnie, ale zima, wionąca mrozem i szronem, zdążyła już rozpanoszyć się na dobre.

Uśmiech Ariany był niemal odczuwalną pieśczęcią.

- Wiesz, co chcę pod choinkę, Manfredzie?

- Co, najdroższa? - Stanowiła dlań nieodpartą pokusę, kiedy naga, tak jak w tej chwili, słała mu oczyma wyrazy miłości i zachęty.

- Dziecko. Twoje dziecko.

Zamilkł na chwilę; ta myśl i jemu nie była obca.

- Mówisz poważnie, Ariano? - Wciąż była tak młoda! I tyle mogło się jeszcze zmienić. A po wojnie? Nie lubił o tym myśleć, bo zdawał sobie sprawę, że wtedy Ariana nie będzie potrzebować już jego opieki, może się jej trafić ktoś młodszy i... Przerażająca wizja.

Popatrzyła na niego z wielką powagą.

- Jak najpoważniej, kochany. O niczym tak nie marzę jak o twoim synu.

Przytulił ją, przez dłuższą chwilę nie mogąc wydusić z siebie słowa. On też tego pragnął... ale w przyszłości, nie teraz, nie w tych okropnych czasach.

- Kochanie... - odparł, odsuwając się nieco od Ariany, aby lepiej ją widzieć. - Obiecuję, że kiedy wojna się skończy, będziesz mieć dziecko. Będziesz mieć swój prezent.

- Naprawdę obiecujesz?

- Jak najsolennie - odparł.

Przywarła do niego i roześmiała się srebrzyście, co tak uwielbiał.

- No to skoro tego pragnę najbardziej na świecie, nie chcę pod choinkę nic innego.

- Ale jak powiedziałem, na ten prezent będziesz musiała poczekać. - Wesołość Ariany była zaraźliwa i Manfred też się roześmiał. - Może więc jest coś, na co miałabyś choć odrobinę mniejszą ochotę?

- Nie. Z jednym wyjątkiem - odparła z błyskiem w oczach.

- Słucham.

Była jednak zbyt zakłopotana, żeby odpowiedzieć. O ile mogła zwierzyć się Manfredowi ze swych marzeń o dziecku, o tyle nie potrafiła i nie chciała poprosić go, aby się z nią ożenił. Lecz i w tej kwestii myśli Manfreda biegły podobnymi szlakami. Ze wszystkich sił pragnął poślubić Ariane, nie teraz jednak, później, kiedy w kraju zapanuje pokój. Wojna, jak mówił i wierzył, nie mogła trwać wiecznie, a ogromnie zależało mu na tym, aby ślub odbył się w jego rodzinnym zameczku.

Co do gwiazdki natomiast nie podzielał poglądów Ariany i kiedy nadeszła Wigilia, pod choinką znalazło się pół tuzina paczek. Trzy zawierały dary od Ariany - sweter zrobiony przez nią na drutach, zwinięty w rolkę cykl wierszy miłosnych, które napisała dla Manfreda, a wreszcie pudło jego ulubionych ciasteczek, tradycyjnych świątecznych Lebkuchen rozmaitych kształtów, po części w czekoladowej polewie, po części zaś zdobnych kolorowymi lukrami. Poświęciła kilka poranków, zanim zdołała osiągnąć właściwe rezultaty. Te skromne prezenty, w których jednak zawarła ogrom miłości i oddania, poruszyły Manfreda do głębi.

Jego prezenty okazały się znacznie bardziej wyrafinowane. Ariana obmacywała paczki z radością i zniecierpliwieniem.

- Którą powinnam otworzyć najpierw? - zapytała.

- Tę dużą - odparł. W istocie miał dla niej trzy duże pudła, ale pragnąc, by cieszyła się prezentami stopniowo, dwa schował chwilowo w szafie.

„Ta duża” zawierała przepiękną bladobłękitną suknię ze stójką i długim klinowatym wycięciem na plecach. Była czymś tak odmiennym od noszonych ostatnio przez Ariane grubych spódnic, ciężkich swetrów i solidnych trzewików, że dziewczyna aż pisnęła z radości.

- Manfredzie, włożę ją dziś do kolacji!

Skąd mogła wiedzieć, że tego właśnie oczekiwał? W drugim pakunku znalazła śliczny naszyjnik z akwamarynów, w trzecim zaś oszłamiające srebrne pantofelki wieczorowe.

Kiedy przykładając do siebie i podziwiając wspaniałą kreację legła na łóżku i z filiżanką herbaty uniesioną na kształt kieliszka szampana zaczęła gardłowo podśpiewywać, roześmiany Manfred poszedł po resztę prezentów. Dwa ostatnie pudła zawierały białą kaszmirową sukienkę - piękną, lecz znacznie skromniejszą od bladoniebieskiego cuda - prosty kostium z czarnej wełny, dorównujący jakością jej ubraniom zabranym z domu, wygodne czarne pantofle, czarną torebkę z krokodylej skóry, a wreszcie efektowny, lecz nie ekstrawagancki czarny płaszcz. Ogarnięta gorączką, przymierzała jeden łaszek po drugim.

- Ach, jaka będę w tym elegancka! - wykrzyknęła, mocno ściskając Manfreda.

- Już jesteś elegancka - sprostował, w tej chwili bowiem miała na sobie srebrzyste pantofelki, suknię wieczorową, naszyjnik z akwamarynów i narzucony na ramiona płaszcz. - Powiedziałbym nawet, że wyglądasz szalowo! Czegoś mi tu jednak brakuje... - Sięgnął do kieszeni i wyłowił niewielkie pudełeczko, a następnie wsunął je Ariannie do ręki.

- Co to jest? - zapytała.

- Otwórz i zobacz.

Kiedy z namaszczeniem rozwinęła papier i podniosła wieczko, w jej oczach rozblęskło szczęście kobiety, która czuje się naprawdę kochana: pudełko zawierało prześliczny pierścionek zaręczynowy od Louisa Wenera z Kurfurstendammu.

- Och, Manfredzie, wariat z ciebie!

- Czyżby? A ja po prostu pomyślałem sobie, że skoro pragniesz mieć ze mną dziecko, to nasze zaręczyny nie byłyby posunięciem całkowicie pozbawionym sensu.

- Jest naprawdę cudowny.

- Tak jak ty - powiedział, wsuwając pierścionek z okrągłym brylantem na palec Ariany.

Arianna uniosła się lekko na łóżku i wsparła na łokciu.

- Gdybyśmy poszli na jakieś przyjęcie, mogłabym się pochwalić nowymi fataląszkami - rzekła z zadumą, bez krzty nacisku. Przez trzy minione miesiące poprzestawali na przechadzkach wokół Wannsee i innych jeziorek w okolicy, kilka razy poszli na obiad do restauracji, ale w gruncie rzeczy wiedli pustelniczy żywot, najszcześliwsi wtedy, kiedy przebywali ze sobą w domu. Otrzymała jednak w prezencie wspaniała kreacja sprawiła nagle, że Arianna doznała nieodpartej pokusy, by znowu pokazać się światu.

- Naprawdę miałabyś ochotę? - zapytał ostrożnie Manfred.

Żywo pokiwała głową.

- Naprawdę.

- Bo wiesz, dzisiaj jest pewne przyjęcie.

- Gdzie?

W istocie było ich kilka - u von Rheinhardta, u generała Rittera w grunewaldzkiej rezydencji von Gotthardów, u dwóch innych wyższych oficerów, a wreszcie uroczysta kolacja w sztabie. Mogli iść na każde z tych przyjęć, które uczciwie - pomijając wieczór u Rittera - Manfred wyliczył Arianie; wspólnie wybrali trzy. - Włożę błękitną suknię, naszyjnik i... pierścionek zaręczynowy - oświadczyła wniebowzięta Ariana i w tejże chwili o czymś sobie przypomniała. - Manfredzie? - Miała w oczach wahanie i niepewność.

- Słucham, najdroższa? - Twarz Ariany spoważniała tak nagle, że nie wiedział, co ma myśleć. - Czy coś się stało?

- Nie rozgniewasz się na mnie, jeśli ci coś pokażę?

- To zależy od tego, co mi pokażesz - odparł rozbawiony.

- A jeśli się rozgniewasz?

- Spróbuję nad sobą zapanować.

Kiedy pobiegła do swojego pokoju, by kilkanaście sekund później wrócić z oprawnym w skórę tomem, jęknął i zapytał z niedowierzaniem:

- Zamierzasz mi w święta czytać Szekspira?

- Nie żartuj!... Muszę ci coś pokazać. Pewnie pamiętasz dzień, kiedy byliśmy w Grunewaldzie, a ja zabrałam tę książkę. Otóż w przeddzień wyjazdu z Gerhardem tatuś... - Już dawno wyjawiała mu wszystko; z tym jednym wyjątkiem. - Tatuś zostawił mi je na wszelki wypadek, ot, gdyby coś się stało. Należały do mamy.

Otworzyła skrytkę, ukazując dwa pierścienie - z brylantami i ze szmaragdem. Nie zabrała wtedy pistoletu - gdyby znaleziono przy niej broń, byłoby to równoznaczne z wyrokiem śmierci - lecz wepchnęła go za książki na półce. Ale pierścionki były jej skarbem, wszystkim; całym jej stanem posiadania.

Zaskoczony Manfred z podziwu aż rozchylił usta.

- Dobry Boże, Ariano, czy ktoś wie, że je masz? - Pokręciła głową. - Pewnie są warte majątek.

- Nie wiem. Tatuś mówił, że mogę je sprzedać, gdybym znalazła się w potrzebie.

- Ariano, chcę, żebyś i teraz ukryła tę książkę. Jeśli sprawy potoczą się złym torem, jeśli, a raczej kiedy przegramy wojnę, za te pierścionki będziesz musiała może kupić sobie życie albo opłacić nimi ucieczkę tam, gdzie będziesz bezpieczna.

Popatrzyła nań swymi wielkimi smutnymi oczyma.

- Mówisz tak, jakbyś zamierzał mnie opuścić.

- Oczywiście, że nie zamierzam, ale kto wie, co przyniesie przyszłość? Na przykład możemy zostać rozdzieleni... - Albo ja mogę zginąć, pomyślał, nie chciał jednak podczas świąt

przypominać o tym Arianie. - Po prostu pilnuj ich jak oka w głowie. A skoro jest pani taką mistrzynią w dochowrywaniu tajemnic, Fraulein von Gotthard - posłał jej żartobliwie karcące spojrzenie - sędzę, że i ja mogę pani pewną powierzyć.

Wysunął szufladę komody i pokazał Arianie ukryty za nią niewielki pistolet i kopertę z pieniędzmi.

- Już wiesz, gdzie są, gdybyś ich kiedykolwiek potrzebowała - podjął. - Może chcesz tu schować również pierścionki matki?

Skinęła głową, podała mu oba klejnoty, zostawiając tylko ten trzeci - który dostała od niego.

I tak w Wigilię Bożego Narodzenia roku 1944 Ariana Alexandra von Gotthard zaręczyła się z porucznikiem Manfredem Robertem von Trippem.

ROZDZIAŁ 21

Zaczęli wieczór w gmachu opery położonej przy tak bliskiej sercu Ariany alei Unter den Linden, szerokim pięknym bulwarze oflankowanym drzewami i zamkniętym z jednej strony Bramą Brandenburską.

Manfred z przyjemnością patrzył, jak Ariana dosłownie wyfruwa z auta, spowita w lodowy błękit swej sukni - po raz pierwszy od kilku miesięcy miała na sobie coś, co choćby odlegle przypominało jej dawne kreacje - i nie mógł się oprzeć refleksji, że to coś zgoła cudownego, kiedy człowiek chociaż na jeden wieczór może zapomnieć o swoich tragediach.

Mocno ścisnęła ramię Manfreda, kiedy ten, przebijając się przez morze mundurów, oddawał honory dygnitarzom wojskowym i witał się ze znajomymi. Poznała dwóch generałów, kilku pułkowników i całą gromadę kapitanów; podczas każdego aktu bardzo formalnej prezentacji stała z wysoko uniesioną głową i dystyngowanie podawała dłoń oficerom, których przedstawiał jej Manfred, pęczniejący z dumy na widok zachwyty, jaki w męskich oczach wywołuje jego towarzyszka. Świadoma, że w swej roli „uwięzionej księżniczki” budzi powszechną, choć dyskretną ciekawość, zachowywała opanowanie i tylko Manfred wiedział, jak w głębi serca jest przerażona, kiedy więc trzymając w dłoni drżącą rękę Ariany prowadził ją na parkiet, szepnął z łagodnym uśmiechem:

- Niczego się nie obawiaj, najdroższa, ze mną jesteś zupełnie bezpieczna.

Podbródek Ariany uniół się jeszcze odrobinę wyżej.

- Mam wrażenie, że wszyscy się na mnie gapią - odparła.

- Tylko dlatego, że wyglądasz tak prześlicznie.

Wiedziała jednak, że już nigdy nie odzyska poczucia całkowitego bezpieczeństwa, że ci ludzie mogą dosłownie wszystko - odebrać jej następny dom, zabić Manfreda, zamknąć ją w celi. Ale już w chwilę później przypomniawszy sobie, że są święta, że przynajmniej dziś powinna odsunąć od siebie katastroficzne wizje, i wtedy walc, w którego rytmie wirowali wśród innych par, przywołał pewne wspomnienie. Ariana uśmiechnęła się i spojrzała Manfredowi w oczy.

- Czy wiesz, że właśnie tu byłam na swoim pierwszym balu? Z ojcem - powiedziała. Dobrze pamiętała swój trwożny zachwyty owego cudownego wieczoru.

- I zapewne dała mi pani mnóstwo powodów do zazdrości, Fraulein von Gotthard?

- Gdzie tam! Miałam wtedy ledwie szesnaście lat - odparła wyniośle.

Parsknął śmiechem.

- Oczywiście, głupiec ze mnie! Nie pomyślałem przecież, że dziś mam do czynienia z osobą o wiele, wiele starszą.

Ariana istotnie była o wiele starsza, i to nie tylko w kategoriach wieku. Między tamtą dziewczyną, która przed trzema laty tańczyła w białej organtynowej sukience na tej samej sali, a dzisiejszą Arianą legła przepaść, w której mogłoby utonąć tysiąclecie...

Wyrwana z rozmyślań oślepiającym błyskiem, wzdrygnęła się i zamrugła powiekami.

- Co to było? - zapytała Manfreda.

- Zrobili nam zdjęcie. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu? - Zwyczajem owych czasów fotografowano wszystkie pary uczestniczące w ważniejszych imprezach towarzyskich; później zdjęcia trafiały do prasy, gazetek w kantynach i klubach oficerskich czy wreszcie albumów rodzinnych. - Nie masz nic przeciwko temu? - powtórzył Manfred, w którego oczach pojawił się cień rozczarowania. Jeszcze pół roku temu zakipiałby ze złości, gdyby sfotografowano go w towarzystwie jakiegokolwiek kobiety, teraz jednak wyobrażał sobie zdjęcie z Arianą jako materialny dowód na to, że ich związek nie jest ułudą.

Zrozumiała to, wiedzona kobiecą intuicją, i z nieznacznym uśmiechem pokręciła głową.

- Oczywiście, że nie mam - odparła. - Byłam po prostu zaskoczona. Dostaniemy to zdjęcie? Przytaknął, znów rozpogodzony.

Po półtoragodzinnym pobycie w operze Manfred zerknął na zegarek, szepnął coś do Ariany i poszedł po jej szal. Mieli przed sobą clou programu, bal w gmachu opery był ledwie rozgrzewką, podczas której Manfred chciał oswoić Arianą z morzem mundurów, ciekawskimi spojrzeniami i nagłymi błyskami fleszy krzeszącymi przed oczyma ciemne iskierki. Czekają ją to samo, tylko w jeszcze większym natężeniu; Manfred podejrzewał również, iż tam, gdzie się udają, może pojawić się sam Hitler.

Kiedy podjeżdżali pod pałac królewski, pierwszym, co rzuciło im się w oczy, był kordon wartowników z doborowej formacji SS i czarny mercedes 500 K, którym zwykł jeździć Führer. Nagle otoczona zwierciadlanym i złotym przepychem sali tronowej, Ariana mocniej przywarła do boku Manfreda, on zaś obdarzył ją ciepłym uśmiechem i uspokajająco poklepał po dłoni. I znów meandrując wśród tłumu, witali wyższych oficerów oraz ich żony albo kochanki, i znów Manfred pęczniał z dumy widząc, z jakim wdziękiem i dystynkcją Ariana pochyla główkę i wyciąga smukłe palce.

W pewnym momencie zacisnęła się na nich dłoń kogoś, kto wydał się Arianie znajomy.

- Ach, Fraulein von Gotthard... cóż za urocza niespodzianka - oświadczył generał Ritter, obrzucając Arianą spojrzeniem rozradowanego satyra. Na Manfreda natomiast popatrzył z niejaką dezaprobatą. - Witam pana, poruczniku.

Manfred strzelił obcasami i skłonił głowę.

Bagatelizując jego obecność, generał ponownie zwrócił się do Ariany:

- Serdecznie zapraszam na małe przyjętko, które nieco później wydaję w swoim domu.

Jego dom! Na widok iskierok gniewu w oczach Ariany Manfred mocniej przycisnął jej ramię, a następnie lekko manipulując lewą dłonią towarzyszkę; błysnął generałowi zaręczynowym pierścieniem.

- Żałuję ogromnie, panie generale - odparł miodowym tonem - ale ja i moja narzeczona nieopatrznie przyjęliśmy już na siebie pewne zobowiązania towarzyskie na dzisiejszy wieczór, może jednak - z jego głosu przebijała teraz nadzieja - innym razem?

- Oczywiście, drogi poruczniku. Zawsze rad... Narzeczona, powiada pan? - Mówił do Manfreda, ale nie spuszczał oczu z Ariany, która czując na ciele dreszcz obrzydzenia, miała wrażenie, że rozbiera ją wzrokiem.

Tym razem uprzedziła Manfreda, a jej odpowiedź, chociaż uprzejma, zabrzmiała chłodno i wyniośle:

- Tak, panie generale, jesteśmy zaręczeni.

- Cudowna wiadomość - stwierdził Ritter, z niesmakiem krzywiąc usta. - Pani ojciec byłby z niej zapewne ogromnie rad. - „Byłby znacznie szczęśliwszy wiedząc, pomyślała Ariana, że raczyłeś się rozpanoszyć w jego domu, ty obleśny żołdaku...” Miała ochotę wymierzyć policzek w to odpychające uśmiechnięte oblicze. - Pozwolą państwo, że im powinszuję.

Manfred skłonił się ponownie, Ariana lekko pochyliła głowę i oboje poześlowali w przeciwnym kierunku niż generał.

- Uważam, że uporaliśmy się z problemem nader zręcznie - stwierdziła uśmiechnięta Ariana.

- Prawda? - Rozbawiony Manfred z bezgraniczną miłością, dumą i opiekuńczością popatrzył na towarzyszkę. To cudowne, że Ariana chciała gdzieś wyjść. - Czy bawisz się choć znośnie, najdroższa?

Kiwnęła głową.

- Ależ tak, tak.

- Doskonale. Zatem po świętach wyruszamy na zakupy.

- Dobry Boże, po co? Dostałam dziś trzy suknie, płaszcz, naszyjnik i... i pierścioneł zaręczynowy. - Jak dziecko zafascynowane nową zabawką nieustannie bawiła się klejnotem.

- Proszę nie oponować, Fraulein von Gotthard. Najwyższy czas, żebyśmy zaczęli bywać.

W tejsze chwili na sali zapanowała niezwykle cisza i skądś z daleka dobiegł huk eksplodujących bomb. Wojna towarzyszyła im nawet podczas świąt. Nagle Manfred przyłapał się na tym, że z rozpaczą zadaje sobie w duchu pytanie, jaki właśnie zniszczyła zabytek, czyj dom, czyje dzieci zabiła. Bombardowanie dobiegło końca równie nagle, jak się zaczęło, orkiestra ani na

chwile nie przestała grać i nikt nie musiał szukać schronienia w podziemiach gmachu. Udawano przed sobą i innymi, że to najzwyczajniejszy świąteczny wieczór, chociaż niedawno legł w gruzach Grosses Schauspielhaus, a z dnia na dzień ubywało znajomych domów, sklepów i kościołów. Niemal od roku berlińczycy kładli się do łóżek kompletnie ubrani, mając na podorędziu walizki z najpotrzebniejszymi rzeczami, a nie brakło i takich, którzy regularnie nocowali w schronach. Alianci coraz dotkliwiej dawali się we znaki. Manfreda przerażeniem napawała myśl, że pewnego dnia Berlin może się stać drugim Dreznem, że zanim wojna dobiegnie kresu, nieszczęście może spotkać również Ariane.

Znów odgadła jego nastrój, bo szybkim ruchem wzięła go za rękę, podniosła nań swe wielkie ufne oczy i powiedziała z czułym, a zarazem zmysłowym uśmiechem:

- Nie martw się, Manfredzie, wszystko będzie dobrze.

Rozchmurzył się i odparł:

- A więc po świętach ruszamy na zakupy.

- Zgoda, jeśli to ci poprawi samopoczucie. - Wspięła się na palce i wyszeptła mu do ucha:

- Czy nie moglibyśmy wrócić do domu?

- Już? - Zaskoczony z początku, po chwili szeroko się uśmiechnął i odpowiedział też szeptem: - Jak pani nie wstyd, Fraulein von Gotthard?

- Ano, nie wstyd. Wolę posiedzieć z tobą w domu, niż czekać tu, żeby pooglądać sobie Führera.

Manfred położył palec na ustach.

Ariane było jednak pisane zobaczyć Hitlera, który zjawił się w otoczeniu świty w chwili, kiedy zbierali się do wyjścia. Był niepozornym ciemnowłosym mężczyzną z wąsikami, mimo to jego widok zelektryzował tłum i oto Ariana stała się świadkiem, jak tężeją ciała, narasta szum, który w pewnym momencie eksploduje gromowym „Heil Hitler”, a mężczyźni w mundurach i kobiety w sukniach balowych ogarnia zbiorowe szaleństwo. Poczekali, aż na powrót zapanuje względny spokój, i dopiero wtedy zaczęli przebijać się ku wyjściu: Byli prawie przy drzwiach, kiedy Ariana poczuła na ramieniu lekki dotyk i ujrzała, że ręka Manfreda jak sprężyna wystrzeliwuje w powietrze. Tym, który ją dotknął, był Hitler... Kroczył majestatycznie i z dobrotliwym uśmiechem świętego rozdawał błogosławieństwa.

W milczeniu wyszli z gmachu i dopiero w samochodzie Ariana z niedowierzaniem powiedziała do Manfreda:

- Ci ludzie zachowywali się jak szaleńcy.

Pokiwał głową.

- Wiem. Zawsze tak na niego reagują. - Zamilkł, a po chwili zapytał: - Widziałas go już

kiedyś?

- Nie, tatuś nie chciał, żebym miała cokolwiek wspólnego z tym całym obłudem - odparła i natychmiast ugryzła się w język, przejęta niepokojem, że Manfred uzna jej słowa za krytykę pod własnym adresem.

On wszakże znów pokiwał tylko głową; rozumiał taki punkt widzenia.

- Miał słuszość. A jak wyglądało to w wypadku twojego brata?

- Podobnie, ale myślę, że lęk taty o mnie był trochę innej natury.

- Zrozumiałe - stwierdził Manfred. Przez jakiś czas prowadził w milczeniu, wreszcie zapytał: - Wiesz, na jakie atrakcje mogą dziś liczyć goście generała Ritтера? Na gołe girdlaski i transwestytów. Słyszałem od Hildebranda, że to stały element „przyjątek” u generała. - Mówiąc to, miał na twarzy wyraźny niesmak.

- Co to są girdlaski i transwestyci? - spytała Ariana, patrząc na Manfreda po dziecięcemu zaokrąglonymi oczyma.

- O słodka niewinności, jakże cię kocham! - wykrzyknął wesoło. Dopiero w takich jak ta chwilach przypominał sobie, że Ariana przyszła na świat zaledwie pięć lat wcześniej niż jego córka. - Girdlaski tańczą nago lub półnago dla męskiej przyjemności, a ich taniec bywa nader... sugestywny. Transwestyci zaś to mężczyźni, którzy przebierają się w damskie łąszki, na ogół wieczorowe, a potem dają program taneczno - wokalny. Też bardzo sugestywny.

Na widok miny Manfreda Ariana parsknęła śmiechem.

- Muszą być strasznie zabawni.

Wzruszył ramionami.

- Czasem są, ale znacznie częściej nie, zresztą Ritter nie zatrudnia „zabawnych”, tylko prawdziwych. Po występach wszyscy biorą udział w ogół... - Nagle przypomniał sobie, z kim rozmawia. - Zresztą dajmy temu spokój, Ariano, to dosyć obrzydliwe rozrywki, nie warto o nich mówić.

Niemniej rozrywki owe stawały się coraz popularniejsze i ostatnimi czasy orgie odbywały się nie tylko w grunewaldzkiej siedzibie generała Ritтера. Dając upust najniższym instynktom i ucieleśniając najbardziej wyuzdane fantazje, oficerowie Rzeszy starali się zapomnieć o coraz bardziej katastrofalnej sytuacji na wszystkich frontach. Manfred nie chciał, by Ariana chociaż otarła się o ten plugawy świat. Mimo to na nowo docenił przyjemność, jaką daje uczestniczenie w życiu towarzyskim z piękną kobietą u boku, która jak magnes przyciąga pełne zachwyty spojrzenia innych mężczyzn. Było to miłe, a zarazem przez kontrast sprawiało, że ich samotnia w Wannsee nabierała powabu jeszcze większego niż dotąd.

- Nie jesteś rozczarowany, że zrezygnowaliśmy z innych przyjęć, Manfredzie?

Beztrasko pokręcił głową.

- W charlottenburskim pałacu letnim może być zupełnie sympatycznie, ale i tak na pewno nie sięga do pięt pewnej kameralnej imprezie, jaka odbędzie się w Wannsee - odparł.

Spiesznie pobiegli na górę i wtuleni w siebie runęli na łóżko.

Nazajutrz Manfred miał wolny dzień, bo służba przypadała Hildebrandowi, toteż po śniadaniu, podczas którego Ariana była zamyślona i cicha, poszli na długi spacer do Tiergarten. Manfred namówił Ariana, by poszli na ślizgawkę na Neuer See: roześmiani jak dzieci, długo jeździli na łyżwach wśród ładnych dziewcząt i młodych mężczyzn w mundurach, później pojechali autem na Kurfurstendamm, zdaniem Ariany - berlińskie Pola Elizejskie, i zasiedli w kawiarni odwiedzanej przez niewielu pozostałych w mieście literatów i malarzy. I tu zresztą nie brakowało mundurów, w przytulnym wnętrzu jednak panowała beztraska atmosfera.

- Jesteś zmęczona, kochanie? - zapytał Manfred, kiedy Ariana przeciągnęła się leniwie i stłumiła ziewnięcie.

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo w tej samej chwili rozległ się świst i huk spadających bomb. Pospiesznie wyszli z kawiarni i wsiedli do samochodu. Chwilę później, kiedy wciąż jeszcze byli na Kurfurstendammie, Ariana przytuliła się do Manfreda i wsunęła dłoń pod jego ramię.

- Widzisz ten kościół? - zapytała, pokazując ruchem głowy znajomą sylwetę kościoła - pomnika cesarza Wilhelma.

- Tak. Może jesteś dzisiaj w religijnym nastroju? - zapytał żartobliwie.

- Po prostu chcę ci zakomunikować, że życzę sobie pewnego dnia wziąć z tobą ślub właśnie w tym kościele.

- U Wilhelma?

- Tak. - Zerknęła na swój pierścionek zaręczynowy.

Czule otoczył ją ramieniem.

- Będę to mieć na uwadze, najdroższa. I co, jesteś szczęśliwa? - zapytał, patrząc jej w oczy.

Bomby, chwilowo przynajmniej, przestały spadać i w ciszy zakłócanej tylko monotonnym pomrukiem silnika odpowiedź Ariany zabrzmiała głośno i wyraźnie:

- Jestem szczęśliwa jak nigdy w życiu.

Zdjęcia z balu, które niebawem im przysłano, potwierdzały prawdziwość jej słów: twarzyczka Ariany, zwrócona w stronę obiektywu, emanowała szczęściem i bezgraniczną miłością.

Z oblicza Manfreda zaś biła duma.

ROZDZIAŁ 22

Pod koniec poświęconego tygodnia Manfred dopiął swego i pojechali na zakupy. Musiał zaopatrzyć Arianę w większy wybór sukien, bo przede wszystkim kapitan von Rheinhardt mocno go ostatnimi czasy przyciskał, aby przestał wreszcie stronić od towarzyszy broni i rzucił się w wir życia towarzyskiego.

- Czy on się na ciebie gniewa? - zapytała Ariana z troską, kiedy wyjeżdżali do centrum.

Manfred tylko poklepał ją po dłoni.

- Nie - odparł z uśmiechem - ale chyba wyczerpałem już limit pustelniczego trybu życia. Nie musimy wychodzić co wieczór, trzeba będzie jednak przyjąć kilka zaproszeń. Sądysz, że jesteś w stanie stawić temu czoło?

- Jasne. A więc możemy już pooglądać transwestytów generała Rittera? - zapytała przewrotnie.

Z trudem pohamował śmiech.

- Ależ z ciebie numerek, Ariano!

Trzy godziny później wytoczyli się ze sklepu Grunefeldta tak objuczeni pakunkami, że z najwyższym trudem zdołali dotrzeć do samochodu. Kupili jeszcze jeden płaszcz, żakiet, pół tuzina ślicznych wełnianych sukienek, trzy kreacje koktajlowe i jedną balową, zupełnie boski - kostium wieczorowy, w którym góra była czymś na kształt męskiego smokingu, dół zaś - długą wąską spódnicą z rozcięciem na udzie. A do tego jeszcze, w rodzaju hołdu złożonego matce Ariany, długą połyskliwą suknię ze złotej lamy.

- Mój Boże, Manfredzie, kiedy ja to wszystko wynoszę? - jęknęła Ariana.

Psuł ją bezgranicznie, ale wynikało to z uczucia, że pod wieloma względami - wszystko ich bowiem łączyło, dzieliło zaś bardzo niewiele - znowu ma żonę, kobietę; którą należy rozpieszczać właśnie i hołubić, ubierać, chronić i zarzucać propozycjami rozrywek.

Okazało się, że miała wiele okazji do prezentowania nowych strojów - kilkakrotnie poszli na koncert do filharmonii, zostali, wraz z członkami parlamentu i elitą stacjonujących w Berlinie oficerów, zaproszeni na uroczystą galę w Reichstagu, byli na wystawnym przyjęciu w zamku Bellevue, a wreszcie na paru kameralnych przyjęciach w samym Wannsee, do którego w poszukiwaniu spokoju przeniosło się wielu znajomych Manfreda. Stopniowo Arianę i Manfreda powszechnie zaakceptowano jako parę i nikt nie wątpił, że zaraz po wojnie wezmą ślub.

- Rany boskie, Manfredzie, po co zwlekać? - zapytał podczas któregoś z przyjęć młody oficer. - Dlaczego nie zrobić tego teraz?

Manfred westchnął i opuścił wzrok na prosty złoty sygnet, który nosił na palcu lewej dłoni.

- Bo jest jeszcze taka młoda, Johannie! To właściwie dziecko. - Westchnął po raz drugi. - Żyjemy w szczególnych czasach, a ja chcę, żeby decyzję mogła podjąć w normalnych. - Pokręcił głową. - Jeśli doczekamy kiedykolwiek normalnych czasów.

- Masz słuszość, Manfredzie. Czasy są fatalne i właśnie dlatego jestem zdania, że postąpiłbyś rozsądniej żeniąc się z Arianą już teraz. - Pochylił głowę i wyszeptał konspiracyjnie: - Nie będziemy trzymać się wiecznie.

- Obawiasz się Amerykanów?

Johann pokręcił głową.

- Znacznie bardziej niepokoją mnie Rosjanie. Jesteśmy martwi, jeśli dotrą tu pierwsi. Kto przeżyje oblężenie, skończy w obozie. Ale jako małżeństwo macie chociaż niewielką szansę, że nie zostaniecie rozdzieleni, a tacy Amerykanie z pewnością potraktują Arianą lepiej, jeśli nie będzie kochanką, lecz żoną oficera pokonanej armii.

- A więc myślisz, że jest aż tak beznadziejnie?

Johann odwrócił wzrok i po dłuższym milczeniu odparł:

- Chyba tak. I moim zdaniem świadomi są tego również ludzie z najbliższego otoczenia Führera.

- Jak długo, według ciebie, zdołamy jeszcze wytrwać?

Johann wzruszył ramionami.

- Dwa miesiące... trzy... a jeśli nastąpi cud, może nawet cztery. Ale to prawie koniec. Niemcy już nigdy nie będą tym, do czego obaj przywykliśmy.

Manfred w zadumie pokiwał głową. W jego oczach Niemcy od dawna nie były już takie jak dawniej, nie były krajem, który kiedyś kochał. Może teraz, jeśli nie zostaną całkowicie unicestwione przez aliantów, będą miały szansę na odrodzenie.

Przez kilka następnych dni Manfred ostrożnie zasięgał języka. Wszystkie wpływowe osobistości, które znał na tyle dobrze, by w rozmowie z nimi podjąć ten drażliwy temat, jednomyślnie potwierdziły opinię Johanna. Pytanie teraz nie brzmiało, czy Berlin padnie, lecz kiedy to nastąpi.

Kilka słówek szepniętych do właściwych uszu zdołało sprawić, że niebawem zmaterializowała się pierwsza pozycja z listy najważniejszych zakupów. Dwa dni później Ariana pisnęła z radości na widok nowego nabytku.

- Manfredzie, jest cudowny! Ale chyba nie musiałeś zrezygnować z mercedesa?

Przed domem stał szpetny szary volkswagen, trzyletni, a więc jeden z pierwszych, jakie wyprodukowano. Człowiek, od którego Manfred go kupił, utrzymywał, że jest w doskonałym stanie i naprawdę niezawodny. Przestał być potrzebny poprzedniemu właścicielowi, gdy ten w

wyniku nalotu stracił obie nogi, ale o tym Manfred nie wspomniał Arianie ani słowem, lecz pokiwał tylko głową i otworzył drzwi auta.

- Zatrzymuję mercedesa, Ariano. Ten wóz jest dla ciebie.

Pojeździli trochę po najbliższej okolicy i Manfred stwierdził z satysfakcją, że Ariana nieźle daje sobie radę. Od miesiąca już uczył ją jeździć, a volkswagen był do prowadzenia autem nieporównanie łatwiejszym niż mercedes.

Kiedy wysiadali przed domem, Ariana zorientowała się, że Manfred jest w bardzo poważnym nastroju.

- Dlaczego kupiłeś ten wóz? - spytała. Domyślała się prawdy, ale pragnęła usłyszeć to z jego ust. Czyżby mieli wyjechać? Uciec?

Odwrócił głowę i popatrzył na Ariane z bólem i troską.

- Wojna niebawem się skończy i wszystkim nam wtedy ogromnie ulży. - Chwytał ją za ramiona i mocno przytulił. - Zanim to jednak nastąpi, najdroższa, mogą nas czekać prawdziwe okropieństwa. Berlin zapewne zostanie zdobyty, ale nasza armia nie odda go bez walki. Nie powtórzy się Anschluss, a w przeciwieństwie do Francuzów, Niemcy będą się bić na śmierć i życie. Tak samo jak Amerykanie i Rosjanie... Finał może się okazać najbardziej krwawym momentem całej wojny.

- Ale razem będziemy bezpieczni, Manfredzie - powiedziała Ariana. Nie lubiła, kiedy się bał; w tej chwili nie miała wątpliwości, że się boi.

- Może tak, może nie. Nie chcę ryzykować. Jeśli stanie się coś złego... miastu albo mnie... chcę, żebyś wsiadła do tego samochodu i wyjechała. Najdalej, jak zdołasz. - Powiedział to z taką nieugiętą stanowczością, że w oczach Ariany nagle zaślniło przerażenie. - A kiedy nie będziesz mogła już jechać, najdroższa, zostaw wóz i idź pieszo.

- Miałabym cię tu zostawić? Chyba zwariowałeś. Dokąd zresztą miałabym uciekać?

- Dokądkolwiek. Do najbliższej granicy. Może do Alzacji, z której bez trudu przedostaniesz się do Francji. W razie czego będziesz mogła powiedzieć Amerykanom, że jesteś Alzatką. Nie zorientują się, że kłamiesz.

- Do diabła z Amerykanami, Manfredzie. Powiedz, co będzie z tobą?

- Kiedy uporządkuję sprawy tutaj, zacznę cię szukać. Ja nie mogę uciekać, Ariano... służba przede wszystkim, cokolwiek się stanie.

Jestem oficerem.

Ze zrozumieniem pokiwała głową i mocniej niż kiedykolwiek dotąd przytuliła się do Manfreda.

- Nigdy cię nie opuszczę, Manfredzie. Nigdy - wyszeptowała. - Nie opuszczę cię, choćbym

miała zginąć, choćby cały Berlin miał się obrócić w ruiny. Zostanę z tobą do samego końca. Później niech się dzieje, co chce.

- Nie dramatyzuj. - Poklepał ją po ramieniu. Wiedział, że to, co mówi, przeraża Arianę, ale przecież nie mógł milczeć. W ciągu trzech miesięcy, jakie upłynęły od świąt, sytuacja uległa zasadniczemu pogorszeniu: Brytyjczycy i Kanadyjczycy dotarli do Renu, Amerykanie byli w Arbrucken. - Skoro jednak jesteś tak zdecydowana, by mnie nie opuszczać... - Uśmiechnął się łagodnie. Postanowił posłuchać rady Johanna. Może istotnie ten krok chociaż troszeczkę zwiększy bezpieczeństwo Ariany. - Skoro jesteś tak beznadziejnie uparta, młoda damo, skoro tkwimy w tym razem po uszy i na dobre... to może zdołam jakoś skłonić cię do wstąpienia w związek małżeński z moją skromną osobą?

- Teraz? - Zaskoczona popatrzyła na Manfreda, pomna jego uporu, by ślub wzięli dopiero po wojnie, kiedy wszakże pokiwał głową, radośnie się uśmiechnęła. Za wszelkie odpowiedzi na pytanie o powody czy motywacje wystarczał jej wyraz jego oczu.

- Tak, teraz. Mam już dość czekania.

- Hurra! - Przywarła do Manfreda, rozpromieniona zaczęła go radośnie poklepywać po plecach, wreszcie odchyliła głowę i zapytała z niewinnym uśmiechem: - Rozumiem, że teraz możemy już mieć dziecko?

Manfred roześmiał się na całe gardło.

- Och, kochanie, czy nie sądzisz, że to może poczekać do końca wojny? A może uważasz, że będę wtedy za stary? Czy dlatego tak ci spieszno, najdroższa?

Stanowczo pokręciła głową.

- Nigdy nie będziesz dla mnie za stary, Manfredzie. Przenigdy. - Zamknęła oczy. - Zawsze będę cię kochać, zawsze, aż do końca swoich dni.

- Ja też zawsze będę cię kochał, najmilsza - odparł, zanosząc w duszy modły, aby to „zawsze” nie potrwało zbyt krótko.

ROZDZIAŁ 23

Dwa dni później, w pierwszą sobotę kwietnia, Ariana pod rękę z Manfredem kroczyła środkiem położonego opodal Kurfurstendammu prześlicznego kościoła pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny Królowej. Nikt nie oddawał Ariany oblubieńcowi, nie było też druhen - tylko Johann, przyglądający się ceremonii z dyskretnej odległości, i sędziwy kapłan czekający przy ołtarzu.

Ariana miała na sobie prosty biały kostium z watowanymi ramionami, dodający dostojęstwa jej drobniutkiej sylwetce, delikatny welon misternie wpięła w uczesane w walek złote włosy, które niczym drogocenna rama otaczały jej twarzyczkę. Jakimś cudem Manfred zdobył kilka białych gardenii - dwie Ariana miała w klapie, jedną we włosach. W tym szczególnym dniu prawą dłoń ozdobiła brylantowym sygnetem matki, lewą zaręczynowym pierścieniem. Manfred uznał, że nigdy dotąd nie wyglądała tak pięknie.

Pod koniec ceremonii wsunął oblubienicy na palec wąską złotą obrączkę ślubną kupioną u Louisa Wenera i pocałował Arianę, przepełniony ulgą. Stało się, zrobili to, Ariana została żoną Manfreda Roberta von Trippa, co w przyszłości mogło korzystnie wpłynąć na jej losy, nawet gdyby wydarzyło się najgorsze. Przez krótki moment pomyślał o swej poprzedniej żonie, Mariannie - o ileż, z pozoru, starszej i silniejszej od tej porcelanowej dziewczyny - i nie mógł się oprzeć wrażeniu, iż znał ją i kochał w jakimś innym życiu.

Nikogo dotąd nie darzył taką miłością i przywiązaniem jak Arianę; kiedy spojrział jej w oczy, zobaczył wyraźnie, że ona odczuwa to samo.

- Kocham cię, najdroższa - wyszeptał, gdy po wyjściu z kościoła, machając na pożegnanie Johannowi, wracali do auta, aby pojechać do restauracji przy Kurfurstendammie, gdzie wedle planów Manfreda, miało się odbyć ich kameralne „wesele” tylko we dwoje. Twarz Ariany rozświetliły płynące z głębi serca promienie, jakie mogą być tylko wyrazem bezgranicznego niekłamane szczęścia.

Skręcali właśnie w Kurfurstendamm, kiedy świat wokół nich eksplodował z potężnym hukiem. Ariana rozpaczliwie wczepiła się w ramię Manfreda i odwróciła głowę na czas, by dostrzec, jak kościół rozpryskuje się w miliony kamiennych i ceglanych odłamków. Manfred polecił Arianie skulić się na podłodze mercedesa, fruwający bowiem gruz mógł rozbić szybę auta, i poranić dziewczynie twarz następnie zaś z całą mocą wcisnął pedał gazu.

- Nie podnoś się, Ariano! - krzyknął, lawirując między ogarniętymi paniką przechodniami i nadjeżdżającymi już wozami straży pożarnej.

Zrazu Ariana była zbyt wstrząśnięta, by jakkolwiek zareagować, lecz po chwili,

uświadomiwszy sobie, że śmierć ominęła ich zaledwie o włos, zaczęła cicho płakać. Manfred zatrzymał wóz dopiero w Charlottenburgu, podniósł Arianę z podłogi i delikatnie przytulił.

- Kochanie, tak mi strasznie przykro - powiedział.

- Manfredzie... - wyjąkała wśród histerycznego płaczu. - Mogliśmy... kościół...

- Już dobrze, najdroższa, już po wszystkim... Po wszystkim, Ariano.

- Ale co z Johannem? Czy sądzisz, że...

- Jestem pewien, że zdołał odejść dostatecznie daleko - odparł Manfred. W gruncie rzeczy jednak wcale nie był pewien. Po kilku dalszych minutach jazdy ogarnęło go bezgraniczne znużenie. Miał już dość tej wojny, naprawdę dość. Niszczyła wszystko, co człowiekowi bliskie - ludzi, domy, pomniki, miasta.

Do domu dojechali w milczeniu: Ariana drżała, a gardenie w jej włosach i przy białym kostiumie słały w stronę Manfreda swój wątły egzotyczny aromat. I wtedy Manfred pojął, że zapach tych kwiatów już zawsze będzie mu przypominał ślub i cudowne ocalenie przed śmiercią - nagle zapragnął krzyknąć, by dać wyraz uczuciu ulgi, przerażenia, troski o tę śliczną drobniutką dziewczynę, którą niewiele minut temu uczynił swoją żoną.

Zamiast tego jednak po prostu wziął ją na ręce, mocno przytulił i przez drzwi, sień, po schodach wniósł do sypialni, gdzie tym razem poniechawszy wszelkiej ostrożności i lęków, myśląc tylko o sobie, stopili się w całkowitą jedność.

ROZDZIAŁ 24

Kiedy nazajutrz Manfred wrócił z pracy, Ariana popatrzyła nań z niepokojem i zapytała:

- No i co, znalazłeś Johanna?

Obawiając się, że Ariana rozpozna kłamstwo, odparł lakonicznie:

- Tak, świetnie się miewa.

W istocie Johann zginął przed kościołem przysypany zwałami gruzu. Manfred przez godzinę dygotał ze zdenerwowania, nie mogąc pogodzić się z faktem, że oto odeszła jeszcze jedna osoba, która na swój sposób była mu bliska. Z westchnieniem usiadł ciężko w swoim ulubionym fotelu.

- Ariano - rzekł - chciałbym pomówić z tobą o pewnej bardzo poważnej sprawie.

W pierwszej chwili miała ochotę odpowiedzieć jakimś żartem, chociaż odrobinę rozchmurzyć męża, kiedy jednak spojrzała mu w oczy, pojęła, że nie miałyby to sensu. Już samo życie w Berlinie było ostatnimi czasy bardzo poważną sprawą. Usiadła więc posłusznie i wyczekująco popatrzyła na Manfreda.

- Słucham?

- Chciałbym przedstawić ci plan, żebyś wiedziała, jak postępować, gdyby stało się coś złego. Chcę, żebyś była przygotowana w każdej chwili. I Ariano, ja nie żartuję... musisz posłuchać.

Pokiwała głową.

- Dobrze, posłucham.

- Znasz skrytkę w sypialni. W razie czego masz wziąć pieniądze, broń, pierścionki swojej matki i uciekać.

- Dokąd? - zapytała, wyraźnie spłoszona taką ewentualnością.

- W stronę granicy... masz mapę w swoim aucie. Pilnuj, żeby zbiornik był zawsze zatankowany do pełna. Mam dla ciebie w garażu dodatkowy kanister.

Skinęła głową, ale nie miała zamiaru stosować się do tych okropnych instrukcji. Nigdzie nie wyjedzie. Nigdy nie porzuci Manfreda.

- Tylko powiedz, z łaski swojej, jak sobie to wszystko wyobrażasz? - zapytała. - Że po prostu wsiądę do auta i odjadę nie oglądając się na ciebie? Absurd.

- Ariano, może się okazać, że nie będzie innego wyjścia. Jeśli stawką będzie twoje życie, musisz stąd uciec za wszelką cenę. Nawet nie masz pojęcia, jakie rozpęta się piekło, kiedy alianci zdobędą Berlin. Dojdzie do rabunków na masową skalę, gwałtów, zabójstw.

- W twoich ustach brzmi to tak, jakby miało powrócić średniowiecze.

- To będzie najmroczniejszy moment w dziejach naszego kraju i naprawdę nie wyobrażasz

sobie, jaka będziesz bezradna, jeżeli nie zdołam do ciebie dotrzeć. W Reichstagu mogę ugrzęznąć na całe tygodnie, a przynajmniej na długie dni.

- I sądzisz, że pozwolą mi ot, tak, odjechać tym śmiesznym samochodzikiem razem z pierścionkami mamy i twoim pistoletem? Chyba zwariowałaś, Manfredzie.

- To ty przestań wariować, do jasnej cholery, i słuchaj, co mówię! Dojedź samochodem najdalej, jak będziesz mogła, porzuć go byle gdzie, a potem biegnij, maszeruj, czołgaj się, skradnij rower, kryj się w lasach, bylebyś tylko zabrała się z Niemiec do stu diabłów! Moim zdaniem najbezpieczniejsza będziesz we Francji... Szwajcaria już chyba nie wchodzi w rachubę... i chcę, żebyś dotarła do Paryża. Jestem pewien, że przez linie alianckie przedostaniesz się bez większych kłopotów.

- Do Paryża? - zapytała stropiona. - Ależ, Manfredzie, to tysiąc kilometrów stąd!

- Wiem. Ale nie ma znaczenia, ile czasu zajmie ci podróż; ważne tylko, żebyś dotarła do celu. Mam w Paryżu przyjaciela, kolegę ze szkoły... - Wyjął notes i wyraźnie napisał nazwisko.

- Skąd wiesz, że żyje i nadal mieszka w Paryżu?

- Przez całą wojnę dowiadywałem się o niego. Jest kaleką, w dzieciństwie przeszedł chorobę Heinego-Medina, nie służył więc w wojsku. Wiem, że jako wysoki urzędnik francuskiego ministerstwa kultury doprowadzał do apopleksji niektóre nasze wyspecjalizowane służby.

- Sądzisz, że współpracował z Ruchem Oporu? - spytała zaintrygowana.

- Znając Jeana - Pierre'a, zaryzykowałbym twierdzenie, że to zupełnie możliwe. Jest jednak człowiekiem dostatecznie inteligentnym, żeby się z tym nie obnosić. Otóż, Ariano, jeśli ktoś w ogóle może ci pomóc, to właśnie on. Zostań w Paryżu, jeżeli ci powie, żebyś została, wyjedź, jeśli tak ci każe. Ufam mu bezgranicznie. - Wyrwał z notesu karteczkę i podał Arianie. Nazwisko francuskiego przyjaciela Manfreda brzmiało Jean-Pierre de Saint-Marne.

- A co potem? - Z nieszczęśliwą miną obracała kartkę w palcach. W jej duszy powoli kiełkowała myśl, że być może Manfred ma jednak rację.

- Poczekaj. To nie potrwa długo - odparł z czułym uśmiechem. - Obiecuję. - Po chwili jego rysy znowu stwardniały. - Ale odtąd masz być zawsze gotowa. Pamiętaj: broń, pierścionki, pieniądze, adres Jeana - Pierre'a, trochę ciepłej odzieży, tyle jedzenia, ile zdołasz udźwignąć, pełny zbiornik w samochodzie.

- Tak jest, panie poruczniku - odpowiedziała salutując niezgrabnie.

Manfred się jednak nie uśmiechnął.

- Mam nadzieję, że to wszystko nie okaże się konieczne - mruknął.

- Ja też - skinęła głową, poważna już i zamyślona, by po chwili dodać: - Kiedy wojna się skończy, spróbuję odnaleźć brata.

W głębi ducha żywiła nadzieję, że Gerhard zdołał jednak przeżyć - ryzyko ponoszone przez ojca było w końcu dwukrotnie większe.

Manfred ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Zrobimy wszystko co w ludzkiej mocy - obiecał.

Resztę wieczoru przesiedzieli prawie w milczeniu, nazajutrz rano zaś wyruszyli na długi spacer brzegiem pobliskiego jeziora. Strandbad nad Grosser Wannsee należał latem do najpopularniejszych berlińskich kąpielisk, teraz wszakże na rozległej plaży prócz Manfreda i Ariany nie było żywej duszy.

- Może za rok znów będziemy tu odpoczywać - powiedziała z nadzieją w głosie do męża, który schylił się, by podnieść muszelkę. Podał ją Arianie, a ta stwierdziła, że ma tę samą szaroniebieską barwę, co oczy Manfreda.

- Taką mam właśnie nadzieję, Ariano - odparł i popatrzył na wodę.

- Pojedziemy do twojego zameczku? - zapytała takim rzeczowym tonem, że poczuł rozbawienie.

- Jeśli go do tego czasu odzyskam. Miałabyś ochotę?

Żywo pokiwała głową.

- Jeszcze jaką!

- Dobrze, a więc prosto z plaży pojedziemy do zamku.

Często prowadzili ze sobą podobne rozmowy, które stawały się czymś w rodzaju gry: łudzili się, że przyspieszą koniec wojny i początek nowego życia, jeśli tylko będą tego dość mocno pragnąć i z dostatecznym przekonaniem rozprawiać o tym, co uczynią „później”.

Następnego rana, zgodnie z przyrzeczeniem złożonym Manfredowi, Ariana przygotowała wszystko, co miała przygotować - pistolet, pierścionki w ich stałej skrytce, pieniądze, adres, żywność, odzież - i wyszła przed dom, by sprawdzić, czy volkswagen jest zatankowany do pełna. Gdzieś w dali, znacznie jednak bliżej niż wczoraj czy kilka dni temu, ponuro huczały działa.

A po południu na miasto znów spadły bomby i kiedy wcześniej niż zwykle do domu wrócił Manfred, zastał Arianę w piwnicy, gdzie jak zawsze podczas alarmów lotniczych słuchała radia.

- Co się stało? - powiedziała na widok męża. - W radiu mówili, że...

- Nie zwracaj sobie głowy tym, co mówią w radiu. Jesteś gotowa, Ariano?

- Tak - odparła z przerażeniem w głosie.

- Wieczorem muszę być w Reichstagu... Do obrony gmachu wezwano wszystkich zdolnych trzymać broń. Nie wiem, kiedy wrócę. Musisz być teraz dzielna. Czekaj na mnie, gdyby jednak miasto padło, rób, jak ci kazałem.

- Jak mam się wydostać, jeśli zdobędą Berlin?

- Wydostaniesz się jakoś. Pozwolą wyjść cywilom, w szczególności kobietom i dzieciom.

Tak się robi zawsze.

- A ty?

- Odnajdę cię, kiedy będzie po wszystkim.

Zerknął na zegarek, wbiegł na górę po niezbędne rzeczy osobiste, potem wrócił do saloniku.

- Muszę już iść - powiedział.

Tulili się do siebie nieskończenie długo, Ariana zaś była bliska tego, żeby zacząć błagać Manfreda o pozostanie. Niech diabli wezmą Hitlera, armię, Reichstag, niech diabli wezmą to wszystko! Chciała tylko mieć Manfreda przy sobie, z dala od niebezpieczeństwa.

- Manfredzie... - zaczęła, a on domyślił się z paniki brzmiącej w jej głosie, jaki będzie dalszy ciąg.

Uciszył Arianę przeciągłym pocałunkiem i pokręcił głową.

- Nie mów tego, najdroższa. Muszę teraz iść, ale niebawem wrócę.

Była zapłakana, kiedy odprowadzała go do mercedesa. Wytarł dłonią jej mokre policzki.

- Nie płacz, kochanie - powiedział. - Wrócę cały i zdrowy, obiecuję.

Zarzuciła mu rękę na szyję.

- Nie przeżyję, jeśli coś ci się stanie.

- Nic mi się nie stanie, masz moje słowo. - Uśmiechem usiłując zatuszować ból, Manfred zsunął z palca swój sygnet i położył go na dłoni Ariany. - Pilnuj go do mojego powrotu - powiedział, pocałował ją raz jeszcze, wsiadł do auta, ostatni raz pomachał dłonią i ruszył w kierunku centrum Berlina, do Reichstagu.

* * *

Dzień po dniu Ariana wysłuchiwała w radiu wiadomości o bojach toczonych w każdym zakątku Berlina; nie ominęły nawet Grunewaldu i Wannsee, jak zakomunikowano dwudziestego szóstego kwietnia. Spędzając całe dnie w piwnicy, słyszała coraz bliższy huk dział i wystrzały karabinowe. Z radia wiedziała wprawdzie, że Rosjanie posuwają się po Schönhauserallee ku Stargardenstrasse, nie wiedziała jednak, że z powodu braku jakichkolwiek planów ewakuacji w całym mieście ludzie tacy jak ona kryją się po piwnicach i norach, przeważnie bez żywności, wody, a nawet powietrza. Nie wiedziała również - bo nie wiedział prawie nikt - że dowództwo naczelne umknęło z Berlina.

Nocą pierwszego maja nadano komunikat o śmierci Hitlera, a potem, mieszając się z hukiem coraz potężniejszego ostrzału artyleryjskiego, uszu odrętwiałej i oszołomionej ludności dobiegły płynące z głośników aparatów radiowych majestatyczne tony Siódmej Symfonii Wagnera i Brucknera. Ariana miała wrażenie, że spotyka ją coś nierzeczywistego, gdy uświadomiła sobie, iż

przed laty wspólnie z ojcem i Gerhardem słuchała tego samego utworu w gmachu opery. Teraz nie kwitowały go oklaski, lecz pomruki eksplodujących pocisków, teraz siedziała w piwnicy czekając na koniec i zadręczając się myślą, gdzie wśród owego piekła, jakie rozpętało się nad Berlinem, jest jej Manfred. Przed świtem dowiedziała się o śmierci całej rodziny Goebbelsów: minister propagandy i jego żona otruli sześcioro dzieci, a potem popełnili samobójstwo.

Drugiego maja w trzech językach przekazano przez radio wiadomość o zawieszeniu broni. Ariana nie rozumiała, gdy podawano ją po rosyjsku, nie potrafiła uwierzyć, gdy powtórzono po niemiecku. Dopiero po wysłuchaniu wersji angielskiej pojęła wreszcie, że to koniec. A jednak coś tu się nie zgadzało - w dali wciąż strzelały działa, znacznie bliżej zaś toczyły się, sądząc po odgłosach, walki uliczne. W istocie były to nie tyle walki co napady rabunkowe i z różną intensywnością trwały jeszcze trzy dni. Wtedy wreszcie zapadła cisza, z rzadka tylko zakłócana pojedynczym okrzykiem.

Kiedy piątego maja pierwsze promienie słońca rozpełzły się po skąpanych w niesamowitej ciszy ulicach Berlina, Ariana postanowiła wyruszyć na poszukiwanie Manfreda. Musiała go odnaleźć. Skoro alianci zdobyli miasto, przestała istnieć Rzesza, a zarazem - konieczność obrony centrum jej władzy, Reichstagu.

Po raz pierwszy od wielu dni Ariana weszła na górę, nałożyła jedną ze swych ciepłych nieładnych spódnic, wełniane pończochy, znoszone solidne buty i sweter. Chwyła również kurtkę i wsunawszy do jej kieszeni pistolet, przykryła go rękawiczką. Niczego nie zabierała: chciała tylko odnaleźć Manfreda, w razie fiaska zaś miała zamiar wrócić do domu i czekać. Kilka chwil później wyszła na dwór i z ulgą zaczerpnęła powietrza, w którym natychmiast wyczuła silny gorzki odór dymu. Wsiadła do volkswagena, przekręciła kluczyk w stacyjce i nacisnęła pedał gazu.

Potrzebowała zaledwie dwudziestu minut, by dotrzeć do śródmieścia, gdzie przeżyła wstrząs: ulice były zasłane gruzem, wszystko na pozór leżało w ruinie. Dopiero po pewnym czasie zorientowała się, że część domów jednak ocalała, chociaż najczęściej kosztem ogromnych uszkodzeń. Długo z niedowierzaniem rozglądała się wokół siebie, aż wreszcie pojęła, że nie zdoła się przedrzeć przez ten chaos. Wycofała zatem, wjechała w boczną uliczkę i zaparkowała w miejscu możliwie najmniej rzucającym się w oczy. Wsunęła kluczyki do kieszeni, pomacała pistolet i zawiązała chustkę na głowie, po czym wysiadła z auta. Myślała wyłącznie o tym, by odnaleźć Manfreda.

Idąc w stronę Reichstagu widziała tylko grupy żołnierzy angielskich lub amerykańskich, a także gromady berlińczyków, którzy albo ciekawie przypatrywali się z bram zdobywcom, albo też z tobołkami na plecach wyruszali na tułaczkę. Dopiero będąc już blisko celu ujrzała pierwszych żołnierzy niemieckich: brudni, wyczerpani, obdarci, pod strażą równie brudnych i wyczerpanych

żołnierzy amerykańskich czekali na ciężarówki, które wywiozą ich z miasta. I wówczas Ariana uświadomiła sobie w pełni, jak zażarte toczono tu walki. Oto, pomyślała, jaki los zgotowali krajowi faszyci. Z pięciu tysięcy żołnierzy broniących Reichstagu poległa połowa...

Stała w rozterce, nie wiedząc, co robić, gdy nagle w gromadzie prowadzonych obok jeńców dostrzegła Hildebranda. Miał podbite oko, zakrwawiony bandaż na głowie, nieobecny wzrok. Gorączkowo pomachała ręką, usiłując zwrócić na siebie jego uwagę, potem puściła się biegiem w ślad za maszerującą kolumną. Z pewnością Hildebrand wie coś o losie Manfreda... Kiedy dwaj Amerykanie zatrzymali ją lufami karabinów, zaczęła ich błagać po niemiecku, a pojąwszy, że jej nie przepuszczą, krzyknęła do Hildebranda. Odwrócił głowę.

- Gdzie Manfred?... Hildebrand... Hildebrand!... Gdzie on jest?

Hildebrand strzelił oczyma w bok, Ariana podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem i zobaczyła coś, co nieomal zbiło ją z nóg: stos zmasakrowanych zwłok, spalonych i postrzępionych mundurów, kalejdoskop twarzy stężyłych w grymasie śmierci. Tę, której szukała, zobaczyła niemal natychmiast, ledwie postąpiła kilka kroków... jak gdyby było jej to pisane. Świadectwo serca było szybsze niż świadectwo zmysłów i mózgu.

Stała długo przykuta do ziemi otwierając usta w krzyku, który nie zdołał się narodzić. Amerykański wartownik był bezradny, nie potrafił zmusić jej do odejścia. Opadła przy Manfredzie na kolana i starła brud z jego twarzy.

Klęczała niemal godzinę, zanim pojęła, co znaczy dla niej ta śmierć - przejęta nagłą zgrozą, po raz ostatni ucałowała zamknięte oczy, musnęła dłonią bezkrwistą twarz i co sił popędziła w stronę uliczki, gdzie zostawiła samochód. Kiedy dotarła na miejsce, przekonała się, że próbuje go uruchomić dwóch berlińczyków. Krzyknęła coś drżącym głosem, wyszarpnęła z kieszeni pistolet i wycelowała w niedoszłych złodziei, ci zaś podnieśli ręce, wysiedli z auta i cofnęli się o kilka kroków. Spokojnie siadła za kierownicą, zablokowała od środka drzwi, po czym nie wypuszczając pistoletu z ręki, drugą uruchomiła samochód, wycofała z uliczki i pełnym gazem ruszyła przed siebie.

Nie miała już nic do stracenia, nie miała żadnego celu w życiu. Martwym wzrokiem patrzyła na szabrowników, po części Niemców, po części zaś zwycięskich żołnierzy, także rosyjskich. Jej miasto czekało jeszcze jedno piekło. Ariana nie stała o życie. Jeśli ją zabiją... Cóż, niech się dzieje co chce. Ale obiecała Manfredowi, że spróbuje znaleźć bezpieczne schronienie. Spróbuje zatem, by dotrzymać obietnicy.

Dojechała do Wannsee najszybciej, jak to było możliwe, i pospiesznie zapakowała do auta przygotowane ubrania i trochę żywności: gotowane ziemniaki, chleb, odrobinę duszonego mięsa. Wzięła również pieniądze, adres Francuza i książkę z ukrytymi pierścionkami. Zaręczynowy,

obrączkę ślubną i sygnet Manfreda wsunęła na palce. Niech je tylko ktoś spróbuje jej odebrać, a przypłaci to życiem! Zacisnęła zęby, położyła pistolet na kolanach i znów uruchomiła samochód, potem, czując w gardle narastający płacz, po raz ostatni spojrzała na dom, do którego pewnego dnia przywiózł ją Manfred. Przywiózł i ocalił. Teraz odszedł... Odszedł na zawsze. Ta świadomość była tak bolesna, że Ariana miała wrażenie, iż zaraz umrze.

Zabierała ze sobą jedyny list od niego, list pełen czułości i obietnic, list, który napisał po ich pierwszej nocy. Zabierała także zdjęcia, ich wspólne zdjęcia - z balu w operze, w pałacu królewskim, z Tiergarten. Zabrała nawet zdjęcia dzieci Manfreda i jego zmarłej żony. Nikt nie miał prawa ich oglądać. Należały tylko do Manfreda... i do niej.

ROZDZIAŁ 25

Wraz z tysiącami innych uciekinierów, wędrujących pieszo, jadących na rowerach lub z rzadka samochodami, Ariana opuściła miasto i skierowała się na zachód. Zgodnie z zapewnieniami Manfreda, alianci nie zatrzymywali kobiet, dzieci i starców. Ariana nie potrafiła znieść tragicznych widoków przewijających się przed jej oczyma, raz za razem zatrzymywała się więc, by udzielić komuś pomocy, ponieważ jednak podczas każdego postoju usiłowano odebrać jej samochód, uznała wreszcie, że po prostu dłużej nie może tego robić. Uczyniła jeden wyjątek, podwożąc dwie starsze panie, milczące przez całą drogę i przepelnione wdzięcznością. Mieszkały w Dallem i pragnęły tylko wydostać się z Berlina po tym, jak ich sklep przy Kurfurstendammie został zburzony, mężowie zaś zginęli w ruinach. Bardzo obawiały się o swoje życie.

- Amerykanie pozabijają nas wszystkich - powiedziała przez łzy starsza.

Ariana miała na ten temat inne zdanie, lecz była zbyt zmęczona i zrozpaczona, by podejmować dyskusję. Gdyby Amerykanie naprawdę chcieli „pozabijać wszystkich”, jak to ujęła staruszka, wystarczyłoby rzucić kilka bomb na zatłoczone przez uchodźców szosy. Przebijanie się przez bezkresne kolumny pieszych ogromnie spowalniało jazdę, wreszcie jednak, wykorzystując po części boczne drogi, Ariana dotarła do Kassel, położonego około trzystu kilometrów od Berlina. I tam definitywnie skończyło się jej paliwo.

Jeszcze w Kalbe rozstała się ze swoimi pasażerkami, serdecznie, lecz wśród płaczu powitanymi przez rodzinę. Przypatrywała się temu z rodzajem zazdrości, w przeciwieństwie bowiem do obu starszych pań nie miała na świecie dosłownie nikogo. Później już tylko pędziła przed siebie, aż silnik zakrztusił się raz, potem drugi, wreszcie umilkł. W kanistrze leżącym na tylnym siedzeniu także nie było już kropli benzyny. W sumie przebyła więc połowę drogi z Berlina do Saarbrücken, miasta położonego na północ od Strasburga, gdzie wedle planów Manfreda miała przekroczyć granicę - pozostało jej do pokonania trzysta kilometrów. Przez chwilę siedziała nieruchomo, rozmyślając o wylewających się z Berlina tłumach uchodźców - była teraz jeszcze jedną anonimową twarzą w ludzkim mrowisku, wygnańcem bez przyjaciół, majątku i miejsca na ziemi - potem chwyciła swoje tobołki, wysiadła, przez mgłę przesłaniającą jej oczy spojrzała raz jeszcze na szare wierne autko i rozpoczęła długą wędrówkę do Francji.

Potrzebowała dwóch dni, aby przebyć dystans siedemdziesięciu kilometrów dzielący ją od Marburga; stąd stary lekarz wiejski podwiózł ją do Mainzu. Niewiele rozmawiali podczas trzygodzinnej podróży, ale na miejscu lekarz ze współczuciem popatrzył na Ariana i zaproponował, że podrzuci ją jeszcze do Neunkirchen, bo nie będzie musiał nadłożyć zbyt wiele drogi. Przyjęła jego ofertę z wdzięcznością.

Gdy w Neunkirchen, patrząc nań nieprzytomnymi oczyma, dziękowała mu za życzliwość, czuła, że chce powiedzieć coś więcej niż tych kilka zdawkowych słów, nic wszakże nie zdołała z siebie wydusić. Ogarnął ją jakiś wewnętrzny paraliż, na który podczas nieskończonej długich godzin jazdy i wędrówki złożyło się poczucie utraty, głęboka rozpacz, zawiedzione nadzieje. Ucieczkę tłumaczyła sobie tylko w ten sposób, że jako żona Manfreda musi mu być posłuszna, a on kazał jej uciekać... Powiedział, żeby dotarła do Paryża - dotrze więc. Może ten francuski przyjaciel Manfreda zna odpowiedź na dręczące ją pytania, może zapewni, że to, co przed trzema dniami widziała o świcie, było złudzeniem. A może sam Manfred czeka już na nią w Paryżu?

- Panienko?...

Stary lekarz zauważył obrączkę, lecz trudno mu było uwierzyć, że Ariana jest mężatką. Wydawała się taka młoda! Może nosiła obrączkę dla ochrony? Chociaż z jego strony nie groziło jej nic, a żołnierze nie przejmowali się obrączkami. Z uśmiechem patrzył, jak sięga po swój tobołek.

- Bardzo panu dziękuję - powiedziała głucho.

- Da pani sobie radę? - Przytaknęła. - Chce pani, żebym za kilka dni zabrał ją z Neunkirchen? Będę wracał do Marburga.

Ale ona nie zamierzała wracać. Jej wędrówka miała tylko jeden kierunek.

Pokręciła głową.

- Zatrzymam się u matki. Jeszcze raz panu dziękuję. - Nie zamierzała go informować, że ucieka z kraju. Nikomu nie ufała, nawet temu życzliwemu staruszkowi.

- Jak pani sobie życzy - odparł.

Uprzejmie uściśnęła mu dłoń, odstąpiła o krok i odprowadziła spojrzeniem odjeżdżający samochód. A więc jeszcze tylko trzydzieści kilometrów do Saarbrücken, piętnaście do granicy francuskiej i będzie bezpieczna.

Tym razem nie trafiła się żadna okazja, toteż Arianie ten etap zabrał aż trzy długie dni. Miała obolałe nogi, była znużona, zziębnięta i głodna, bo żywność skończyła się jej już pierwszego dnia. Dwukrotnie napotkała wystraszonych rolników: jeden dał jej dwa jabłka, drugi tylko pokręcił głową. W końcu jednak, sześć dni po rozpoczęciu podróży, dotarła do granicy. Zdołała tego dokonać... zdołała... zdołała... Wystarczy tylko przekraść się przez druty i będzie we Francji. Zrobiła to powoli, z sercem bijącym jak młotem, z obawą, że ktoś ją dostrzeże i zastrzeli. Ale wyglądało na to, że wojna naprawdę dobiegła kresu i nikt nie zainteresował się brudną wyczerpaną dziewczyną, która w podartej spódnicy i swetrze przepelzała pod zasiekami. Półżywa ze zmęczenia, rozejrzała się dokoła, wyszeptała bezgłośnie: „Witamy we Francji” i położyła się, by odpocząć.

Obolała i sztywna na całym ciele, obudziła się sześć godzin później na dźwięk dzwonów

kościelnych. Ledwie trzymała się na nogach: stworzone przez ojca cieplarniane warunki, a później troskliwa opieka Manfreda nie przygotowały jej do takich trudów. Ciężko ruszyła przed siebie, by pół godziny później zemdleć z wyczerpania na skraju drogi. Starsza kobieta, która znalazła ją po dwóch godzinach, była z początku przekonana, że Ariana nie żyje, ale wyczuwszy przez sweter słabe bicie serca, poszła po synową i wspólnie z nią zaciągnęła nieprzytomną dziewczynę do domu.

Długo musiały ją masować, klepać po policzkach i ogrzewać, zanim odzyskała przytomność; wtedy natychmiast zaczęły nią wstrząsać okropne torsje, po których przyszła trwająca dwa dni wysoka gorączka. Były chwile, kiedy wydawało się, że Ariana umrze. Staruszka wiedziała tylko, że jest Niemką - doszła do tego wniosku na podstawie znalezionej przy niej niemieckiego pistoletu oraz marek, stanowiących większą część ukrytego w tobołku pliku banknotów - ale nie miało to dla niej znaczenia. Jej syn od czterech lat pracował dla profaszystowskiego rządu Vichy. Ludzkie losy różnie układały się podczas wojny, która zresztą dobiegła wreszcie końca. Nie wnikając zatem w motywy ucieczki Ariany, obie kobiety pielęgnowały ją jeszcze przez dwa dni. W końcu oświadczyła, że przyszła do siebie na tyle, by podjąć podróż. Powiedziała to po francusku, bezbłędnie i z doskonałym akcentem, równie dobrze więc - doszły do wniosku jej opiekunki - mogła pochodzić ze Strasburga, jak i z Berlina.

Starsza kobieta popatrzyła na nią z powagą.

- Dokąd się wybierasz? - zapytała.

- Do Paryża.

- To przeszło trzysta kilometrów. W tym stanie na pewno nie dasz rady.

Ariana była wycieńczona, a straszne torsje i późniejszy ból w okolicach oczu tłumaczyła sobie tym, że zapewne podczas upadku doznała wstrząśnienia mózgu. No i wyglądała dziesięć lat starzej niż na początku wyprawy.

- Mimo to spróbuję. Może ktoś mnie podwiezie.

- Czym? Niemcy zabrali nam prawie wszystkie auta osobowe i ciężarówki, a co zostało, zarekwirowali Amerykanie - powiedziała starsza kobieta.

Wtedy jej synowa przypomniała sobie, że wieczorem miejscowy proboszcz wybiera się bryczką do Metz. Może Arianie dopisze szczęście i zechce ją ze sobą zabrać?

Arianie dopisało szczęście, lecz kiedy rankiem docierali do Metz, znów była okropnie schorowana po wielogodzinnej jeździe wyboistymi wiejskimi drogami. Zbyt schorowana, żeby jeść, i zbyt schorowana, żeby iść... Wprawdzie nie wzięła nic do ust, ale dzielnie ruszyła przed siebie, zanosząc w duszy modły, by na sześćdziesięciokilometrowym odcinku do Bar-le-Duc trafiła się jej jakaś okazja.

I tym razem modły Ariany zostały wysłuchane, a odpowiedzią na nie był wieśniak na

drabiniastym wozie. Kiedy zatrzymała go machaniem ręki i zaproponowała nieco francuskich pieniędzy za podwiezienie, zatrzymał konia i pozwolił jej wsiąść na wóz. Nie był ani młody, ani stary, ani przyjacielski, ani wrogi - powoził w zupełnym milczeniu, aż po wielu godzinach, o zachodzie słońca, które przez cały dzień prażyło obolałą głowę Ariany, mruknął „Prrrr!” i zatrzymał wóz.

- Czy to już Bar - le - Duc? - spytała zaskoczona Ariana.

- Nie, alem się zmordował. Konisko też. Kapkę odpoczną, a potem ruszymy dalej. Ma coś panienska naprzeciw? - zapytał, chociaż zdążył już rzucić na ziemię swoją kurtkę i szykował się do posiłku, złożonego z chleba i sera.

Oczywiście nie miała wyboru.

Jadł łapczywie i niechlujnie, ani myśląc o poczęstowaniu Ariany, choć ona i tak nie zdołałaby przełknąć ani kęsa - sam widok jedzenia przyprawiał ją o mdłości. Z bezcennym tobołkiem pod głową położyła się w pewnej odległości od wieśniaka i zamknęła oczy. Rychło zapadła w drzemkę, uśpiona ciepłym aromatem trawy, którą cały dzień grzało mocne majowe słońce.

Kiedy tak leżała, naraz poczuła na sobie czyjąś rękę. Zanim się połapała, mężczyzna zadart jej spódnicę, zwałił się na Arianę całym ciałem i chociaż odpychała go oburącz i drapała paznokciami po twarzy, zaczął z niej zdierać bieliznę. Nie zważając na nic, napierał ciałem, rękoma, nogami i czymś jeszcze, gorącym i pulsującym... Już, już dopiąłby swego, gdy rozległ się krzyk i strzał w powietrze. Mężczyzna przewalił się na plecy, wstał i z bezdennie głupią miną zagapił się na swoje opuszczone spodnie i obnażoną chwałę. Ariana zerwała się na nogi jak pchnięta sprężyną, natychmiast jednak zachwiała się i omal nie upadła, czując okropne zawroty głowy. Silne dłonie chwyciły ją za ramiona i posadziły na ziemi.

- Nic się pani nie stało? - usłyszała po angielsku. A więc jest w amerykańskich rękach! Pokręciła głową i jednocześnie ją pochyliła, nie chcąc, by wybawca zobaczył jej twarz. Uznał widać, że go nie zrozumiała, bo powtórzył pytanie w łamanej francuszczyźnie. Ariana musiała powstrzymać mimowolny uśmiech, kiedy wreszcie podniosła wzrok.

- Dziękuję panu - powiedziała. Miał sympatyczną twarz i wymykające się spod hełmu gęste kasztanowe włosy. W pewnej odległości stał dżip z trzema innymi żołnierzami.

- Zdążył panią skrzywdzić? - Ariana pokręciła głową, młody Amerykanin zaś wziął obszerny zamach i potężnym ciosem w twarz powalił Francuza na ziemię. - Przyda mu się mała nauczka - stwierdził.

Wkurzało go, że nieustannie oskarżano amerykańskich żołnierzy o gwałcenie miejscowych dziewcząt, podczas gdy specjalistami w tej dziedzinie byli ich rodacy. Popatrzył na drobniutką

kobietę, która stała przed nim, strząsając trawę i kurz z pysznych złocistych włosów.

- Podwieźć gdzieś panią?

- Tak - odparła ze słabym uśmiechem. - Do Paryża.

- A może być Chalons - sur - Marne? To mniej więcej sto mil od Paryża, ale myślę, że zdołam pani załatwić jakiś transport.

Czyżby miał wydarzyć się cud? Ze łzami w oczach patrzyła na młodego żołnierza.

- Okay? Dobrze będzie? - Miał życzliwe oczy i obnażył w uśmiechu wszystkie zęby, kiedy żywo pokiwała głową. - No to prosimy.

Francuz dźwigał się z ziemi i otrzępywał, kiedy Ariana w ślad za Amerykaninem szła w stronę dżipa.

Czterej młodzi żołnierze okazali się kompanią zgiełkliwą i beztroską: gadali przez całą drogę, podśpiewywali, a od czasu do czasu zerkali ukradkiem na milczącą Arianę, zaciekawieni jej delikatną twarzyczką, złotymi włosami i smutnymi oczyma. Ten, który uratował Arianę przed Francuzem, nazywał się - jak informowała naszywka na jego mundurze polowym - Henderson. On to w Chalons ugadał dwóch swoich kolegów, aby zabrali ją do Paryża.

- Oddaję panią w dobre ręce - zapewnił Arianę po francusku, kalecząc słowa, i na pożegnanie wyciągnął dłoń.

- Bardzo panu dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Ariana podążyła za żołnierzami, których misja - jedna z przynajmniej trzech dziennie - polegała na tym, by przekazać ważną wiadomość od pewnego pułkownika w Chalons pewnemu pułkownikowi w Paryżu. Odprowadzając dziewczynę wzrokiem, Henderson nie myślał jednak o dwóch pułkownikach, lecz o bezdennej rozpacy, jaką dostrzegł w oczach Ariany i na jej wybladłej twarzy, o rozpacy, z którą stykał się nie raz w czasie tej wojny. A głęboko zapadnięte fiołkowe oczy, otoczone ciemnymi obwódkami, i naciągnięta skóra na policzkach powiedziały mu coś jeszcze - w tej dziewczynie niewiele było chęci do życia...

ROZDZIAŁ 26

Amerykańscy żołnierze oświadczyli Arianie, że jadą na rue de la Pompe, i spytali, gdzie ją podrzucić. Wyjęła karteczkę otrzymaną od Manfreda - jego przyjaciel mieszkał na rue de Varenne.

- To chyba na lewym brzegu - stwierdził jeden z Amerykanów - ale nie jestem pewien.

Okazało się jednak, że miał rację.

Paryż również nosił na sobie piętno wojny, ale pod żadnym względem nie przedstawiał tak wstrząsającego widoku jak Berlin. Tu największe szkody wyrządziły nie bomby, lecz zachłanne niemieckie ręce - każdy wartościowy obiekt, który dał się ruszyć z miejsca, wywieziono do berlińskiej Pinakoteki bądź prywatnych zbiorów większych i mniejszych hitlerowskich dygnitarzy.

Staruszek na rowerze wyjaśnił Amerykanom, gdzie jest ulica, której szukała Ariana, a nawet dzielnie zaproponował, że im pokaże drogę. Ariana nie była w Paryżu od czasu, gdy jeszcze w dzieciństwie przyjechała tu z ojcem i Gerhardem, ale w tej chwili odczuwała zbyt wielkie znużenie, by rozkoszować się widokami czy choćby atmosferą i pięknem miasta. Łuk Triumfalny, plac Zgody, most Aleksandra III uciekały obok niej jak przydrożne drzewa, ona zaś zamknęła oczy i pozwalala się unosić dżipowi. Słyszała tylko, jak stary paryżanin wykrzykuje kolejne wskazówki, Amerykanie - podziękowania.

W końcu wóz stanął i Ariana otworzyła oczy. Nie miała wyboru - musiała wysiąść, choć wolałaby drzemać w nieskończoność na tylnym siedzeniu samochodu. W sumie jej ucieczka z Berlina trwała dziewięć dni... i oto wreszcie jest w Paryżu nie mając pojęcia, po co tu przybyła, jaki jest człowiek, do którego skierował ją Manfred, i czy w ogóle żyje. Odnosiła wrażenie, że poumierali już wszyscy. Stojąc przed wielkimi zdobnymi odrzwiami, mocniej niż kiedykolwiek dotąd zatęskniła za przytulnym domkiem w Wannsee, domkiem jej i Manfreda. Musiała powtórzyć sobie bolesną prawdę, że tęskni do czegoś, co nie istnieje - bo nie ma już ani ich domu, ani Manfreda.

- Oui, mademoiselle - powiedziała tłusta siwowłosa kobieta otwierając bramę, za którą ukazał się piękny dziedziniec, niewysokie marmurowe schody i wręcz cudowny osiemnastowieczny hotel particulier o zapraszająco rozświetlonych oknach. - Vous desirez?

- Chcę się zobaczyć z panem Jeanem-Pierre'em de Saint-Marne - odparła Ariana po francusku, ale kobieta zrobiła taką minę, jakby jej nie rozumiała. - Czy go zastałam?

- Nie. - Gruba niewiasta pokręciła głową. - A zresztą wojna już się skończyła, mademoiselle, i nie ma powodów, żeby nadal niepokoić pana de Saint-Marne.

Miała naprawdę dość tych wszystkich ludzi, którzy przychodzili ze swoimi sprawami i błaganiami. Niechże teraz zaczną zwracać głowę Amerykanom, bo w przeciwnym razie ich

nużące historie, tragedie i uczucia wreszcie wykończą biednego pana. Żerują na jego dobroci, ot co!

Ariana nie potrafiła zrozumieć reakcji kobiety.

- Ja... bardzo przepraszam - wyjąkała - ale mój mąż był starym przyjacielem pana de Saint-Marne. Radził, żebym skontaktowała się z panem de Saint - Marne, jeśli znajdę się w Paryżu, więc...

- Wszyscy tak mówią - oświadczyła stara, myśląc, że dziewczyna nawet wygląda tak samo jak wszyscy inni. Niezdrowa, wychudzona, śmiertelnie blada, w podartym ubraniu, znoszonych butach, z małym tobołkiem w dłoni. Boże, chyba nie kąpała się od tygodnia. Co prawda Monsieur jest zamożny, ale to przecież nie znaczy, że musi się dzielić swoim majątkiem z każdym zabiedzonym uciekinierem! - Sprawdzę, czy pan jest w domu - dodała, chociaż nie było czego sprawdzać, o czym świadczył stojący na dziedzińcu elegancki rolls - royce. - Proszę tu poczekać.

Ariana z ulgą opadła na wąską ławeczkę, drżąc z lekka w chłodnym wieczornym powietrzu. Ale przywykła już do zimna, zmęczenia i głodu, czyż bowiem kiedykolwiek jej nie dokuczały? Nie potrafiła sobie przypomnieć takiego momentu. Zamknęła oczy i miała wrażenie, że minęły godziny, zanim ktoś potrząsnął ją za ramię. Podniosła wzrok i ujrzała przed sobą wydęte z dezaprobatą wargi starej konsjerżki, która pokiwała głową i oznajmiła:

- Monsieur panią przyjmie.

Ariana poczuła przemożną falę ulgi - nie dlatego, że zobaczy się z panem de Saint-Marne, lecz dlatego, że tej nocy nie będzie musiała już nigdzie iść. Taką przynajmniej żywiła nadzieję. Czowała, że nie byłaby w stanie ująć kilkunastu kroków. Było jej obojętne, czy będzie spać na strychu, czy w piwnicy, byleby pozwolono jej zostać.

Kiedy w ślad za kobietą weszła po marmurowych schodach, majestatyczny lokaj otworzył drzwi i odsunął się na bok; pod wieloma względami przypominał Bertholda, ale miał cieplejsze oczy. Oszacował Ariane krótkim spojrzeniem, zawrócił na pięcie i oddalił się szybko.

Konsjerżka znów niechętnie pokręciła głową i mruknęła do Ariany:

- Poszedł panią zaanonsować. Zaraz wróci. Na mnie już czas.

- Dziękuję pani - odparła Ariana.

Ale kobietę jej podziękowania obchodziły tyle co zeszłoroczny śnieg.

Po chwili wrócił lokaj i powiódł Ariane przez obszerny przedpokój pełen aksamitnych zasłon i porozwieszanych na ścianach portretów odleglejszych i bliższych przodków pana de Saint-Marne, które Ariana omiatała niewidzącym wzrokiem. Na koniec zatrzymali się, lokaj otworzył lustrzane drzwi i oczom Ariany ukazał się salon, który przywiódł jej na pamięć berliński pałac królewski - tutaj też były złożone panele boazeryjne, putta, intarsje i markieterie, marmurowe

okapy, niezliczone zwierciadła, a w centrum tego przepychu siedział na wózku inwalidzkim poważny mężczyzna o czole porysowanym głębokimi zmarszczkami. Znacznie delikatniejszej budowy niż Manfred, był jednak jego rówieśnikiem.

- Czy mam przyjemność z panem de Saint - Marne? - zapytała Ariana, ogarnięta takim znużeniem, że przestrzeganie zasad etykiety, jakie narzucało to imponujące wnętrze, było niemal zadaniem ponad jej siły.

- Tak. - Popatrzył na nią poważnie, lecz zarazem jakoś dziwnie ciepło. - Tak się istotnie nazywam. Z kim jednak mam przyjemność?

- Jestem Ariana... - zawahała się. - Ariana von Tripp - odparła cicho, patrząc wprost w oczy gospodarza. - Manfred powiedział, że mam tu przyjść, gdyby Berlin upadł. Przepraszam, miałam nadzieję, że...

Wózek przybliżył się szybko i przystanął o krok od Ariany; de Saint-Marne wyciągnął rękę.

- Witam panią, Ariano - powiedział bez uśmiechu. Był pewien, że ta dziewczyna ma mu do powiedzenia coś więcej i wcale nie był przekonany, że będą to dobre wieści. - Proszę spocząć.

Usiadła wpatrując się w twarz Francuza. Mimo kalectwa był mężczyzną przystojnym, ale tak pod każdym względem odmiennym od Manfreda, że trudno było uwierzyć, iż kiedykolwiek się przyjaźnili. Znow ogarnęła ją bezgraniczna tęsknota za człowiekiem, którego już nigdy nie ujrzy.

- Ile czasu zajęła pani podróż? - zapytał, badawczo się w nią wpatrując. Ileż widział już takich kobiet, chorych, wyczerpanych, załamanych, przejętych lękiem!...

- Dziewięć dni - odparła z westchnieniem.

- Jak pani tu dotarła?

- Autem, wozem konnym, dżipem... - „I pieszo przez zasieki” pomyślała.

Wtedy de Saint-Marne zadał pytanie, które chciał postawić na samym wstępie.

- A co z Manfredem?

Opuściła wzrok, jej głos zaś zabrzmiał w olbrzymiej sali jak bezgłośny szept:

- Nie żyje. Zginął... podczas oblężenia Berlina. - Podniosła głowę i popatrzyła gospodarzowi w oczy. - Przedtem jednak polecił, żebym udała się do pana. Nie wiem, dlaczego właściwie uciekłam z Niemiec... może dlatego, że nic mnie już z nimi nie wiąże.

- Nawet rodzina?

Wydała z siebie ochryple westchnienie.

- Przypuszczam, że ojciec nie żyje. Matka zmarła jeszcze przed wojną. Ale mój brat... istnieje możliwość, że jest w Szwajcarii. Ojciec zabrał go tam w sierpniu zeszłego roku, żeby uniknąć wojska.

Ojciec nie wrócił, a od Gerharda nie miałam żadnych wieści. Nie wiem, czy żyje czy nie.

- Gerhard zatem miał pozostać w Szwajcarii? - Przymknęła. - A ojciec zamierzał wrócić?

- Tak, po mnie. Ale... nasza niania... tak, chyba właśnie ona powiadomiła faszystów. Aresztowali mnie i zatrzymali dla okupu. Liczyli, że ojciec wróci. - Podniosła głowę. - Po miesiącu zostałam zwolniona. Manfred i ja... - urwała, zanim do oczu napłynęły jej łzy.

Jean - Pierre westchnął i z roztargnieniem zaczął rolować w palcach arkusik papieru.

- Przypuszczam, że właśnie dlatego panią do mnie wysłał.

Ariana jakby się stropiła.

- A ja sądziłam, że wysłał mnie do pana, ponieważ byliście przyjaciółmi i będę tu bezpieczna.

Jean - Pierre de Saint - Marne uśmiechnął się ze znużeniem.

- Manfred - powiedział - był istotnie moim serdecznym przyjacielem, ale zarazem człowiekiem bardzo mądrym i świadomym tego, czym zajmowałem się podczas wojny. Pozostawaliśmy w kontakcie, bardzo dyskretnym rzecz jasna. Jak pani widzi - wskazał na wózek - jestem trochę upośledzony fizycznie, lecz mimo kalectwa dawałem sobie radę zupełnie dobrze i zyskałem pewną sławę jako, powiedzmy, filantrop wyspecjalizowany w łączeniu rodzin, niekiedy za granicą, a także... hmm... organizator wakacji w ciepłych krajach.

Skinęła głową, doskonale pojmując eufemizmy, jakimi posługiwał się de Saint - Marne.

- Innymi słowy, pomagał pan uciekać osobom prześladowanym z takich czy innych względów?

- Powiedzmy. A teraz prawdziwe łączenie rodzin powinno mi dostarczyć zajęcia na kilka najbliższych lat.

- Czy zatem mógłby mi pan pomóc w odnalezieniu brata?

- Spróbuję. Proszę mi powiedzieć wszystko, co pani wie, a ja zobaczę, co da się zrobić. Uważam jednak, że powinna pani pomyśleć również o sobie. Co pani zamierza? Wrócić do Niemiec?

Wolno pokręciła głową i martwo spojrzała na Saint - Marne'a.

- Nikogo tam nie mam - odparła.

- Na jakiś czas może się pani zatrzymać u mnie.

Ariana wszakże doskonale pojmowała, że nie na zawsze. A co potem? Nie zastanawiała się nad tym, w gruncie rzeczy nie zastanawiała się nad niczym.

Saint - Marne ze zrozumieniem i współczuciem pokiwał głową, potem zaś spieszenie poczynił jakieś notatki.

- Dobrze więc - powiedział. - Rano zobaczę, co mógłbym dla pani zrobić, ale jeśli chce pani, żebym odnalazł Gerharda, muszę wiedzieć na jego temat wszystko. - Przymknięta rozwójem

wydarzeń, z roztargnieniem skinęła głową. - A tymczasem - ciągnął łagodnym tonem - mam do pani pewną prośbę. -- Jaką? - Próbowała odwzajemnić uśmiech, lecz bez powodzenia, bo zbyt wiele wysiłku kosztowało ją patrzeć gospodarzowi w oczy i pilnowanie się, by nie zasnąć w nieprzyzwoicie wygodnym fotelu.

- Otóż w tej chwili, droga Ariano, musi pani odpocząć, bo wygląda pani na bardzo, bardzo zmęczoną.

- Jestem zmęczona.

Jak wszyscy, którzy tu przychodzili - pomyślał. Ale za dzień czy dwa odzyska siły. Cóż za prześliczna istota... i jakże trudno uwierzyć, że Manfred poślubił dziewczynę tak kruchą, eteryczną i młodą. Marianna prezentowała się znacznie bardziej imponująco. Z początku zresztą Saint - Marne był zaszokowany, że Manfred powtórnie się ożenił. Jego rozpacz po utracie najbliższych zdawała się wskazywać, że już nigdy nie założy rodziny. Z drugiej wszakże strony, mając przed oczyma tę dziewczynę - tak zjawiskową, tak śliczną mimo brudu i podartej odzieży - nietrudno było zrozumieć namiętność Manfreda. Jean - Pierre żałował, że nie było mu dane zobaczyć ich razem w lepszych czasach.

Kiedy został sam w swoim imponującym gabinecie, zaczął się zastanawiać, dlaczego właściwie stary przyjaciel wysłał doń swoją żonę. Żeby czekała na przybycie Manfreda, jeśli ten zdoła przeżyć oblężenie Berlina? A może z jakiegoś innego powodu? Czyżby chodziło o ochronę albo pomoc w odnalezieniu brata? Czuł, że przybycie Ariany jest rodzajem przesłania i rozpaczliwie pragnął je rozszyfrować. Może z czasem, pomyślał, wszystko się wyjaśni.

W tej samej chwili Ariana spała już twardo w pokoiku z widokiem na kamienny dziedziniec. Kiedy miła kobieta w średnim wieku, ubrana w falbaniastą spódnicę i fartuch, zdjęła z łóżka ozdobną narzutę, odsłaniając koce, poduszkę i czyste prześcieradła, Ariana uznała, że nie widziała w życiu czegoś równie pięknego, po czym nie myśląc już o niczym, wsunęła się do łóżka i zapadła w głęboki sen.

ROZDZIAŁ 27

Nazajutrz po śniadaniu Ariana zjawiała się w gabinecie Jeana - Pierre'a. Miała szarozieloną twarz i w świetle dnia nie ulegało wątpliwości, że jest chora.

- Czy chorowała pani w chwili wyjazdu z Berlina, Ariano? - zapytał de Saint - Marne.

- Nie, byłam zupełnie zdrowa.

- To być może jest pani tylko wyczerpana podróżą... i przeżyciami - stwierdził. Często obserwował, że reakcją na tragedię osobistą bywają torsje, poty, zawroty głowy. Widywał dojrzałych mężczyzn, którzy z ulgi, że dotarli wreszcie do bezpiecznego azylu w jego domu, popadali w nagłe omdlenie. W tej chwili jednak bardziej przejmował się stanem psychicznym Ariany niżli jej kondycją fizyczną. - Później wezwę do pani lekarza - powiedział. - Najpierw chciałbym poznać jak najwięcej szczegółów na temat pani brata: wzrost, wygląd, budowa, waga, co miał na sobie, kiedyście się rozstawali, co zamierzał, kogo znał w Szwajcarii.

Patrząc mu w oczy, dokładnie odpowiedziała na wszystkie pytania, następnie zaś zrelacjonowała plan ojca: dojazd pociągiem do Lórrach, piesza przeprawa przez granicę, podróż z Bazylei do Zurychu, a wreszcie pozostawienie Gerharda w Szwajcarii i samotny powrót.

- Co w tym czasie miał robić brat?

- Nic. Po prostu czekać.

- Co zamierzaliście później, będąc już we trójkę?

- Pojechać do Lozanny, do przyjaciół ojca.

- Byli uprzedzeni?

- Nie jestem pewna. Tatuś nie chciał korzystać z telefonu w domu czy w biurze, może więc planował po prostu, że zadzwoni do nich z Zurychu.

- Czy pani zdaniem podał Gerhardowi ich telefon?

- Na pewno.

- I nie miała pani znaku życia od nikogo: ani od ojca, ani od brata, ani od tych znajomych?

Pokręciła głową.

- Od nikogo. Manfred powiedział później, że jego zdaniem ojciec nie żyje.

Wyczuł w jej głosie, iż pogodziła się już z tym; teraz była przytłoczona śmiercią męża.

- Ale mój brat... - podniosła na Jeana - Pierre'a błagalne spojrzenie.

- Zobaczymy. Muszę teraz podzwonić, a pani niech lepiej wraca do łóżka. Dam znać, jeśli się czegoś dowiem.

- Naprawdę mnie pan obudzi?

- Słowo.

Okazało się, że nie miał powodów, by ją budzić, toteż Ariana spała aż do wieczora. Kiedy wreszcie Saint - Marne usłyszał od Lisette, że się ocknęła, wjechał wózkiem do jej pokoju.

- Witam, Ariano, jak się pani miewa? - zapytał.

- Lepiej. - Tyle że wcale nie wyglądała lepiej; ba! wyglądała znacznie gorzej. Jeszcze zieleńsza na twarzy niż z rana, musiała nieustannie powstrzymywać nawracające torsje. To się rzucało w oczy. - Udało się coś ustalić? - wyszeptała.

Zwlekał z odpowiedzią zaledwie kilka sekund, to wystarczyło wszakże, by zrozumiała. Popatrzyła nań szeroko otwartymi oczyma.

- Nie, nie - uniósł dłoń w uspokajającym geście. - Niczego się nie dowiedziałem. Powiem pani, co ustaliłem, ale to w gruncie rzeczy mniej niż nic. Chłopak zniknął.

- Zginął? - wyjąkała. Wbrew opinii Manfreda, nie traciła nadziei, że Gerhard jednak żyje.

- Być może. Nie wiem. Zadzwoiłem do człowieka, którego nazwisko mi pani podała, i dowiedziałem się, że wraz z żoną zginął w wypadku samochodowym dwa dni przed wyjazdem z Berlina pani ojca i brata. Był bezdzietny, ale Gerhard nie skontaktował się ani z nowymi właścicielami jego domu, ani ze współnikami. Tak samo pani ojciec. Jeśli przyjmujemy, że dotarł z chłopcem do Szwajcarii, a zginął w drodze powrotnej, wydaje się logiczny następujący bieg wydarzeń: Gerhard dzwoni pod numer pozostawiony przez ojca, dowiaduje się, że osoba, z którą miał się skontaktować, nie żyje, w związku z czym albo próbuje zwrócić się o pomoc do współpracowników zmarłego, albo zakasuje rękawy i łapie pierwszą lepszą pracę, żeby przeżyć. Ale nie ma po nim śladu, Ariano, ani w Zurychu, ani w komendzie głównej policji, ani w Lozannie w środowisku finansjery. - Popatrzył na nią z rezygnacją. Bezskutecznie szukał przez cały dzień i nie znalazł nic; nie zdołał nawet zlokalizować Maxa Thomasa, którego nazwisko również mu podała. Zupełne fiasko. - Próbowałem kanałów rutynowych, a nawet, nazwijmy to tak, specjalnych. Chłopak rozwiął się jak dym, co może być albo dobrym, albo bardzo złym znakiem.

- Pana zdaniem?...

- Zginął wraz z ojcem między Lórrach a Bazyleą. - Widząc, że jego słowa wprawiły dziewczynę w nieme odrętwienie, dodał pospiesznie, by nie stracić z nią kontaktu: - Ariano, nie może się pani zatrzymywać... trzeba iść przed siebie.

- Ale dokąd?... Do kogo?... Po co? - parsknęła przez łyzy. - Nie chcę iść przed siebie. Nikt mi nie został. Jestem sama.

- Ale można żyć i samotnie. Ja właśnie tak żyję.

- Pan też? - popatrzyła nań z niedowierzaniem i wysiąkała nos.

- Tak. Moja żona była Żydówką. Niemcy zabrali ją na samym początku okupacji... - odparł łamiącym się głosem i tak odwrócił wózek inwalidzki, by nie patrzeć na Ariane. - Ją... i naszą

córeczkę.

Ariana mocno zacisnęła powieki, czując, jak nagle jej dusza pęka na tysiące maleńkich kawałeczków. To nie do zniesienia! Ileż tragedii, ileż bezgranicznego cierpienia! Ten mężczyzna, Manfred, Max, ona sama... wszyscy stracili najbliższych i kochanych - dzieci, żony, braci, ojców. Poczwała, że pokój wiruje wokół niej i ona również zaczyna wirować. Usiłując jakoś utrzymać się w rzeczywistości, opadła na łóżko. Jean - Pierre podjechał wózkiem i zaczął czule gładzić jej włosy.

- Wiem, jak to jest, ma petite, dobrze wiem.

Nie wspomniał Arianie o jedynym tropie, na jaki natrafił, świadom, że trudniej byłoby jej znieść straszną prawdę. Pewien recepcjonista z zuryskiego hotelu przypomniał sobie chłopca, który pasował do opisu Gerharda, co więcej - pamiętał, iż chłopak wspomniał w rozmowie, że czeka na bliskich. Czekał dwa tygodnie, później jednak wyjechał z rodziną, która wreszcie się zjawiała. A zatem nie mógł to być Gerhard, bo nie miał żadnej rodziny prócz ojca i Ariany. Gdyby chodziło o zamierzoną mistyfikację, Walmar von Gotthard - człowiek, zdaniem Jeana - Pierre'a, nie pozostawiający nic przypadkowi - zapewne byłby o niej wspomniał córce. Wedle relacji recepcjonisty rodzina, z którą wyjechał chłopak, składała się ze starszych państwa i ich córki. Stanowczo więc zagadkowym młodzieńcem nie był Gerhard. Ot i wszystko... Jean - Pierre nie natrafił na inne tropy, na żadne inne znaki, które mogłyby pozostawiać choć szczyptę nadziei. Gerhard przepadł i Ariana, jak miliony innych mieszkańców Europy, została na świecie sama.

- Mam pewien pomysł - podjął Jean - Pierre po długiej chwili milczenia. - Decyzja będzie zależeć od pani, od tego, czy nie zabraknie pani odwagi. Gdybym był młodszy, bez wahania umknąłbym na kraj świata przed tym wszystkim, co wokół nas zostało zniszczone, zdeformowane, rozbite na strzępy, wtłoczone w kratery po bombach. Uciekłbym i zaczął życie na nowo. Moim zdaniem tak właśnie powinna pani postąpić.

Podniosła głowę i wytarła łzy, przerażona jego radą.

- Dokąd miałabym uciec? - zapytała. Nie myślała o ucieczce, chciała zostać tu, otoczona kokonem wspomnień.

- Do Stanów - odparł cicho. - Jutro z inicjatywy pewnej nowojorskiej organizacji wypływa do Ameryki statek wiozący uciekinierów. Działacze tej organizacji będą czekać w porcie i zajmą się rozlokowaniem i najbliższą przyszłością pasażerów.

- A co z domem mojego ojca w Grunewaldzie? Nie sądzi pan, że mogłabym go odzyskać?

- Naprawdę pani tego chce? Potrafiłaby pani w nim mieszkać? Gdyby oczywiście zdołała go pani odzyskać, w co poważnie wątpię.

W tejże chwili Jean - Pierre zrozumiał przesłanie Manfreda, powód, dla którego przyjaciel z lat młodości wysłał doń żonę: Manfred zakładał, że on, Jean - Pierre, stworzy Arianie przyszłość...

Pytanie tylko, czy Ariana podoła trudom podróży. Z doświadczeń sześciu minionych lat Saint - Marne wiedział, iż miną miesiące, zanim dziewczyna dojdzie do siebie. Straciła zbyt wiele, a wstrząs wywołany śmiercią Manfreda i dziewięciodniową odyseją przez Niemcy i Francję dopełniły miary. Oto było prawdziwe źródło jej choroby - wyczerpanie, głód, zbyt wiele rozpacz, zbyt wielkie straty. Nie należało jednak zapominać, że następny statek odpłynie być może dopiero za kilka miesięcy.

- Zrobi pani tak? - zapytał, ani na chwilę nie odrywając wzroku od oczu Ariany. - Proszę pomyśleć, czeka panią zupełnie nowe życie.

- Ale co z Gerhardem? Nie uważa pan, że jednak pojechał do Lozanny? Albo został w Zurychu?... Może go znajdę, jeśli sama pojedę do Szwajcarii? - pytała, lecz trudno było się dopatrzeć w jej twarzy śladów nadziei.

- Jestem pewien, że stało się tak, jak powiedziałem, Ariano. Gdyby żył, zostawiłby za sobą jakieś ślady. Z pewnością zginął wraz z ojcem.

Kręciła głową, ale okrutna prawda stopniowo wypierała z jej serca resztki nadziei. Straciła wszystkich; teraz mogła albo dać za wygraną i też umrzeć, albo... ruszyć przed siebie.

Walcząc z mdłościami i zawrotami głowy, spojrzała na Jeana - Pierre'a, który w wózku inwalidzkim siedział przy jej łóżku, potem wolno skinęła głową.

Zdawało jej się, że odpowiedź wyszła z podświadomości, a głos, którym ją wypowiedziała, nie należał do niej.

- Dobrze. Pojadę.

ROZDZIAŁ 28

Wielki czarny rolls - royce dostojnie wtoczył się do portu w Hawrze, wioząc na tylnym siedzeniu Jeana - Pierre'a i bladą milczącą Arianę.

Na szosie z Paryża do Hawru było tłoczno od dżipów i ciężarówek, które w niewielkich konwojach kursowały pomiędzy stolicą a jej morskim oknem na świat, wożąc sprzęt, żywność i ludzi; gdyby nie szaroburo - zielone barwy pojazdów wojskowych, sprawiałaby zupełnie normalne wrażenie.

Jean - Pierre uważnie obserwował Arianę przez większą część podróży i po raz pierwszy od wielu lat, które poświęcił uciekinierom - bezdomnym, zrujnowanym i przerażonym - zabrakło mu słów pocieszenia. Jasno czytał w jej oczach, że żadne słowa nie są w stanie zmniejszyć ciężaru jej cierpień.

Do Ariany zaś powoli docierała rzeczywistość. Nie miała na świecie nikogo drogiego sercu, nie miała się do kogo zwrócić; żaden żyjący człowiek nie stanowił części jej przeszłości, nie wiedział, czym są dla niej wspomnienia o bracie, ojcu, domu w Grunewaldzie, matce, Fraulein Hedwig, o letnich miesiącach spędzanych nad jeziorem, prześmiewkach z Bertholda za jego plecami. Nikt prócz niej nie pamiętał smrodu, jaki rozniósł się po domu, kiedy eksplodowało chemiczne laboratorium Gerharda. I nie było nikogo, kto znał Manfreda - przynajmniej w tym nowym świecie, do którego wyruszała. Nikt nie zrozumie tam, co czuła, gdy ją więziono w celi, gdy została napadnięta przez Hildebranda, a potem ocalona przez Manfreda i wreszcie wywieziona do cichej przystani w Wannsee. Z kim mogłaby się podzielić wspomnieniem o gulaszu, który przyrządzała z wątrobianki? o kolorze pościeli w tamtym pokoju? o wyrazie oczu Manfreda, kiedy się kochali po raz pierwszy? o muśnięciu czubkami palców martwej twarzy, gdy przed Reichstagem widziała go po raz ostatni?... Nie będzie tam nikogo, kto wie cokolwiek o jej przeżyciach z ostatniego roku, o jej przeżyciach z ostatnich dwudziestu lat. Trwała w głębokim przekonaniu, że nigdy nikomu nie wyjawia tych swoich tajemnic.

- Ariano? - odezwał się Jean - Pierre swoim głębokim głosem. Dotąd prawie nie próbował nawiązywać rozmowy. Rankiem zdołała wstać z najwyższym trudem; poprzedniego dnia dwukrotnie straciła przytomność. Jean - Pierre zauważył, że teraz sprawia wrażenie odrobinę silniejszej, i zanosił modły, by przeżyła rejs do Nowego Jorku. Byleby tylko przeżyła... Stany Zjednoczone z otwartymi ramionami witały rozbitków wojennych. - Ariano? - powtórzył miękko.

- Tak? - odparła, odrywając się od swoich myśli.

- Jak długo była pani z Manfredem?

- Prawie rok.

Pokiwał głową.

- W tej chwili, jak przypuszczam, ten rok wydaje się pani wiecznością, tak jednak zwykle bywa, kiedy człowiek ma dwadzieścia lat. Ale za dwadzieścia lat bardzo się skurczy.

- Sugeruje pan - zapytała lodowatym tonem - że zapomnę o Manfredzie?

- Nie, moja droga, nie zapomni pani - odparł, mając w pamięci, że lata nie zatarły w jego sercu bólu po utracie żony i córki. - Z pewnością pani nie zapomni, ale z czasem cierpienie stanie się mniej dojmujące, łatwiejsze do zniesienia. - Otoczył ją ramieniem. - Niechże pani dziękuje Bogu, Ariano, że jest taka młoda. Nic się jeszcze dla pani nie skończyło.

Robił, co mógł, aby ją pocieszyć, lecz nie dostrzegał w wielkich fiołkowych oczach najmniejszej isierki nadziei.

Kiedy wjechali na pirs, nie wysiadł z samochodu, bo po pierwsze, wyciągnięcie z bagażnika wózka inwalidzkiego było skomplikowanym zabiegiem, po drugie zaś - nie był w stanie zrobić dla Ariany nic więcej. Załatwił jej miejsce na statku; reszta należała do nowojorskiej agencji Kobiecej Organizacji Dobroczynnej.

Przez otwarte okno wozu wyciągnął rękę do Ariany, która stała nieruchomo z tekturową walizką, znaną przez gospozię w piwnicy i wypełnioną teraz ubraniami po żonie Jeana - Pierre'a. Żadne prawdopodobnie nie pasowało na tę jak dziecko drobną istotę o olbrzymich fiołkowych oczach w subtelnej twarzyczce. Patrząc na nią, Saint - Marne zadał sobie pytanie, czy przypadkiem nie popełnił błędu namawiając dziewczynę na tę wyprawę. Skoro jednak zdołała stawić czoło pułapkom tysiąckilometrowej podróży z Berlina, da sobie radę i teraz, podczas trwającej zaledwie tydzień przeprawy przez ocean. Zwłaszcza że warto ją odbyć - chociażby po to, by zostawić za sobą dawne koszmary i w nowym świecie zacząć nowe życie.

- Napisze pani do mnie, jak się jej układa, prawda? - zapytał tonem ojca wysyłającego jedynaczkę do szkoły za granicą.

Z wolna niewesoły uśmiech wykwitł na ustach, a potem w oczach Ariany.

- Tak, napiszę. I Jean - Pierre... dziękuję... za wszystko, co pan dla mnie zrobił.

Kiwnął głową.

- Żałuję tylko, że... że sprawy nie potoczyły się inaczej. - Gdybyż tylko, pomyślał, Manfred mógł teraz stać u boku swojej młodej żony!

Ariana zrozumiała go w pół słowa.

- Ja też.

- Au revoir, Ariano. Bezpiecznej podróży - wyszeptał.

Odwróciła się, weszła po trapie, potem spojrzała przez ramię, uroczyście pomachała dłonią i przez łzy ściekające po policzkach bezgłośnie powiedziała:

- Adieu...

Księga trzecia

Ariana

Nowy Jork

ROZDZIAŁ 29

Parowiec „Pilgrim's Pride”, „Chluba Pielgrzyma”, nazywał się wyjątkowo trafnie, wyglądał bowiem tak, jakby woził do Ameryki kolonistów na długo przedtem, zanim ci zaczęli korzystać z usług „Mayflower”. Był mały, wąski, cuchnący pleśnią, ale zarazem sprawny, posłuszny sterom i... nabity ludźmi od dziobu po rufę. Zakupiony wspólnym wysiłkiem kilku amerykańskich stowarzyszeń charytatywnych, lecz zawiadywany głównie przez nowojorską Kobiecą Organizację Dobroczynną, zdołał, obsadzony godną zaufania załogą, w czterech rejsach przewieźć do Stanów Zjednoczonych przeszło tysiąc uchodźców, którym na miejscu zapewniano opiekę i możliwość rozpoczęcia nowego życia.

Pasażerowie statku byli bez wyjątku w kiepskim stanie i rekrutowali się tak z samej Francji, jak i z innych krajów udręczonej wojną Europy. Jedni mieli za sobą wielomiesięczne piesze wędrówki, inni - przeważnie dzieci - kilkuletnią włóczęgę bez domu i rodziny. Mało kto pamiętał, kiedy ostatni raz najadł się do syta, jeszcze mniej liczni widzieli w życiu morze, takich zaś, którzy kiedykolwiek płynęli statkiem, można było policzyć na palcach.

Nie mogąc znaleźć lekarza gotowego zamustrować na statek, zatrudniono wykwalifikowaną pielęgniarkę, która podczas czterech poprzednich rejsów miała pełne ręce roboty, przyjęła bowiem dziewięć porodów, asystowała przy kilku poronieniach, czterech zawałach i sześciu zgonach. Nancy Townsend musiała stawiać czoło obsesyjnej nostalgii, wyczerpaniu, głodowi, zabiedzeniu, krótko mówiąc wszystkim dolegliwościom ludzi zbyt długo doświadczanych przez wojnę.

Podczas ostatniej przeprawy przez Atlantyk miała pod opieką cztery kobiety trzymane przez prawie dwa lata w więzieniu gestapo - rejs przeżyły tylko dwie. W chwili zaokrętowania Nancy widziała na pierwszy rzut oka, który z pasażerów dotrze do Nowego Jorku, który zaś nie powinien podejmować podróży; oczywiście zdarzały się wyjątki - czasem osoby z pozoru silne nagle umierały bądź padały zmożone słabością na ostatnim etapie swojej peregrynacji. Nancy miała przecucie, że taki właśnie los czeka drobną blondyneczkę, która zajmowała kajutę wespół z dziewięcioma innymi kobietami.

Młoda dziewczyna z Pirenejów odnalazła siostrę Townsend i oznajmiła histerycznym głosem, że na dolnej koi ktoś umiera. Nancy pobiegła do zatłoczonej kajuty, dotknęła dłonią rozpalonego i wyschniętego na pergamin czoła chorej... Tak, ta filigranowa kobieta naprawdę umierała, chociaż trudno było powiedzieć, czy przyczyną jej stanu jest choroba morska, wygłodzenie czy też ból. Tak czy inaczej, oczy uciekały jej pod czaszkę, a to mogło świadczyć tylko o jednym.

Siostra ujęła nadgarstek umierającej, żeby zbadać puls, równocześnie gestem polecając

oddalić się jej współpasażerkom. Usłuchały, mocno zakłopotane. Czyżby coś takiego miało się przydarzyć jeszcze raz? Przed dwoma dniami, czwartego zatem od wyjścia z Hawru, wyzionęła ducha wycieńczona i chuda jak trzcina kilkunastoletnia Żydówka, która pieszo zdołała dotrzeć do Paryża z Bergen-Belsen.

Dwadzieścia minut później siostra Townsend poleciła przenieść Arianę do izolatki, gdzie gorączka chorej skoczyła jeszcze o kilka kresiek, jej ramionami zaś i nogami zaczęły wstrząsać drgawki. Nancy obawiała się, że to początek przedśmiertnych konwulsji, w ostatnim dniu rejsu jednak temperatura nagle spadła. Ariana wymiotowała bez ustanku, ilekroć zaś usiłowała sięść na łóżku, ciśnienie krwi spadało jej do tego stopnia, że traciła przytomność. Angielski uleciał jej z głowy, zwracała się więc do pielęgniarki po niemiecku, a z potoku wyrzucanych przez nią tchnących rozpaczą słów Nancy rozumiała tylko te, które powtarzały się w nieskończoność: Manfred, tata, Gerhard, Hedwig... Ostatniemu towarzyszyło zazwyczaj przeraźliwie wykrzykiwane „Nein”. Później majaczenie przerodziło się w niemożliwy do ukojenia płacz. Chwilami Nancy przychodziło do głowy, że dziewczyna jest tak chora, bo straciła wszelką wolę życia. W takim razie nie byłaby ani pierwszą, ani ostatnią.

Jej oczy, kiedy uniosła powieki ostatniego poranka rejsu, były mniej rozgorączkowane, lecz bodaj przepełnione jeszcze większą udręką niż dotąd.

- Mam nadzieję, że czujesz się lepiej - powiedziała z łagodnym uśmiechem Nancy Townsend.

Ariana niewyraźnie skinęła głową i znowu zapadła w sen, nie widziała więc, jak statek wchodzi do portu, witany rozbłyskami słońca na uniesionym ramieniu i pochodni Statuy Wolności. Nie widziała też, jak w poczuciu bezgranicznej ulgi wiwatują i płaczą ze szczęścia pasażerowie stłoczeni na pokładzie. Nie widziała wreszcie, jak wchodzi po trapie funkcjonariusz urzędu imigracyjnego, przybyły do portu specjalnie z jej powodu.

Ogół uchodźców niemal bezzwłocznie odsyłano do opiekunów, kto wszakże - jak Ariana - mógł nosić w sobie chorobę zakaźną, musiał zostać najpierw poddany badaniom i hospitalizacji. Urzędnik pochwalił pielęgniarkę za umieszczenie Ariany w izolatce, popatrzył na śpiącą dziewczynę i pytająco uniósł brwi.

- Co to może być, pani zdaniem?

Siostra Townsend gestem pokazała drzwi, a kiedy wyszli na korytarz, odparła:

- Nie mam pewności, ale niewykluczone, że poddawano ją torturom, być może w obozie koncentracyjnym. Po prostu nie wiem. Trzeba ją wziąć na obserwację.

Urzędnik współczująco zerknął przez uchylone drzwi izolatki i ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Żadnych otwartych ran, infekcji, obrażeń?

- Nic nie zauważyłam. Ale wymiotowała przez cały rejs i nie można tego zbagatelizować. Może doznała jakichś urazów wewnętrznych. Przykro mi - dodała z zakłopotaniem - ale o tym przypadku nie umiem powiedzieć nic konkretnego.

- Proszę się nie przejmować, panno Townsend, zajmą się nim inni. I tak miała z nią pani na pewno pełne ręce roboty.

- Tak - odparła z nieznacznym i trochę nieobecny uśmiechem - ale żyje. I sądzę - przeniosła wzrok z portu na swego rozmówcę - że będzie żyć. Chwilami jednak było...

- Wyobrażam sobie - stwierdził zapalając papierosa.

Po chwili zjawili się dwóch sanitariuszy, którzy delikatnie przenieśli Arianę z łóżka na nosze. Drgnęła przy tym, otworzyła oczy i popatrzyła na pielęgniarkę, która utrzymała ją przy życiu.

Nie miała pojęcia, dokąd ją niosą. Zresztą nic jej to nie obchodziło.

ROZDZIAŁ 30

- Ariano! Ariano?... Ariano!

Głos zdawał się dobiegać z bardzo daleka i Ariana nie potrafiła określić, kto ją woła - matka czy Fraulein Hedwig, i tak zresztą brakło jej sił, by odpowiedzieć. Czuła ogromne zmęczenie i ociężałość, wybrała się w jakąś daleką podróż, z której wcale nie miała ochoty wracać.

- Ariano... - nie dawał za wygraną głos.

Marszcząc czoło przez sen, Ariana pojęła, że jednak będzie musiała wrócić i odpowiedzieć, chociaż wcale nie miała ochoty... Właściwie czego od niej chcą?

- Ariano!?

Po czasie na pozór nieskończenie długim otworzyła oczy i ujrzała nad sobą uczesaną w kok wysoką siwowłosą kobietę w czarnej spódnicy i takimże swetrze. Ta kobieta gładziła ją po głowie chłodnymi silnymi dłońmi. Kiedy je cofnęła, Ariana zobaczyła na lewej duży pierścionek z brylantem.

- Ariano?

Nie mogła dobyć z siebie głosu, więc w odpowiedzi tylko skinęła głową. Nic nie potrafiła sobie przypomnieć. Gdzie jest w tej chwili i gdzie była ostatnio? Co to za kobieta?... W głowie kłębiły się jej nieskładne odpowiedzi, pozbawione kontekstu. Na statku? W Berlinie?

- Wiesz, gdzie jesteś? - zapytała kobieta z uśmiechem równie czułym jak jej dłonie. Mówiła po angielsku i Ariana zaczęła sobie przypominać. Przynajmniej tak się jej zdawało. Pytając popatrzyła na nieznajomą, ta zaś wyjaśniła: - Jesteś w Nowym Jorku, w szpitalu. Musieliśmy sprawdzić, co ci dolega.

Rzecz osobliwa: w kategoriach medycznych, jak stwierdzili lekarze, nie dolegało jej nic.

W tej chwili Ruth Liebman wiedziała aż za dobrze, iż wielu uchodźców nosi w sobie i zawsze będzie nosić tajemnice, o które osoba postronna po prostu nie ma prawa pytać.

- Czujesz się lepiej?

Lekarz dyżurny poinformował Ruth, że nie zdołano ustalić innych przyczyn wyczerpania, senności i osłabienia Ariany niż, co oczywiste, gorączka i torsje dręczące ją podczas całego rejsu. Uznano za sprawę krytycznie ważną, by ktoś spróbował odciągnąć dziewczynę znad przepaści, nad którą balansuje straciwszy wszelką wolę życia. I to spróbował szybko, zanim będzie za późno. Jako szefowa wolontariuszek Kobiecej Organizacji Dobroczynej, Ruth postanowiła przyjrzeć się Arianie na własne oczy. Teraz była u niej już drugi raz - podczas pierwszej wizyty Ariana nawet nie drgnęła, chociaż tak jak dziś Ruth powtarzała jej imię i głaskała ją po głowie. Wykorzystując sen chorej, uniosła blade ramię, lecz nie znalazła wytatuowanego numeru, może zatem Ariana

należała do tych nielicznych szczęściarzy, którzy uniknęli okropnego losu. Może przechowała ją jakaś rodzina, a może przypadł jej los ofiary szczególnego rodzaju? Uśmiechnięta spokojna twarz prześlicznej filligranowej blondynki nie zdradziła jednak żadnego ze swych sekretów i Ruth wciąż znała zaledwie nazwisko dziewczyny, a także orientowała się, że wysłała ją za ocean i znalazła dla niej opiekunów paryska organizacja de Saint - Marne'a, kalekiego francuskiego arystokraty, który podczas wojny stracił żonę i dziecko.

Odkąd Pearl Harbor wciągnął Amerykę do wojny, Ruth Liebman sama poznała smak tragedii osobistej. Przed napaścią japońską miała czwórkę zdrowych szczęśliwych dzieci; teraz pozostało ich tylko troje - dwie córki i syn. Simon został zestrzelony nad Okinawą. Paula omal nie straciła na Guam. Kiedy przyszedł telegram, dziewczęta były na górze, Sam zaś w pracy. Bliska omdlenia Ruth zamknęła się w gabinecie męża, trzymając w drżących dłoniach świstek papieru tak podobny do tego pierwszego i - jak pierwszy - przynoszący wieści o losie syna. Postanowiła stawić im czoło w samotności. Gdy rozłożyła arkusik, niepewność i rozpacz ustąpiły miejsca przemożnemu poczuciu ulgi: Paul był tylko ranny i za kilka tygodni miał wrócić do Stanów! Ogarnięta histeryczną radością, zadzwoniła do Sama. Nie musiała już silić się na kamienne opanowanie. Dla Liebmanów wojna była skończona.

Nagła radość nasyciła całe życie Ruth, jej uczynki i myśli nową treścią, otworzyła przed nią nowe horyzonty. Przerażające doniesienia z Niemiec i to szczególne poczucie winy, że zostały jej oszczędzone męki, na które faszyzm skazał Żydów z Europy, pchnęły ją w wir działalności dobroczynnej. Teraz patrzyła na uchodźców z jeszcze większym niż dotąd współczuciem i miłością, a niezliczone godziny, jakie im poświęciła - oswajając ich z nową rzeczywistością, ekspediując do opiekunów z Południa czy Środkowego Zachodu albo odwiedzając w szpitalach, jak w tej chwili tę drobną przerażoną dziewczynę - były, z jej punktu widzenia, rodzajem modlitwy dziękczynnej za ocalenie Paula.

Ariana próbowała skoncentrować wzrok na twarzy nieznajomej, zaraz jednak zamknęła oczy.

- Dlaczego tu jestem? - zapytała.

- Bo ciężko chorowałaś na statku, Ariano. Chcieliśmy mieć pewność, że nie będzie żadnych powikłań.

Ariana z trudem zdobyła się na ironiczny uśmiech. Dobre sobie, nie będzie żadnych powikłań... Jakby wszystko nie było już powikłane!

Przy pomocy nieznajomej dźwignęła się do pozycji siedzącej, wypila nieco bulionu przyniesionego przez pielęgniarkę, po czym śmiertelnie wyczerpana tym niewielkim przecież wysiłkiem ciężko opadła na poduszkę. Ruth Liebman wygładziła pościel, spojrzała w udręczone

fiołkowe oczy i nagle zrozumiała, co miał na myśli lekarz - te oczy słały przerażającą wieść, że leżąca nieruchomo dziewczyna wyzbyła się już wszelkiej nadziei.

- Czy jesteś z Niemiec, Ariano?

Skinęła głową i znów zamknęła oczy. Jakież w tej chwili znaczenie miało to, że jest z Niemiec? Była uciekinierką, jak inni.

Po drzeniu powiek Ruth zorientowała się, że w dziewczynie budzą się wspomnienia. Delikatnie dotknęła bezkrwistej dłoni i powieki powoli się uniosły. Trzeba, uznała, wciągnąć ją w rozmowę, skłonić, by zrzuciła z siebie ciężar, odegnała prześladowające ją widma przeszłości.

- Wyjechałaś z Niemiec sama? - zapytała, starannie wymawiając słowa. Pielęgniarka powiedziała jej, że Ariana zna angielski, nie potrafiła wszakże określić stopnia tej znajomości.

Ariana pokiwała głową.

- Okazałaś wiele odwagi. To była pewnie daleka podróż?

Ariana, w której z początku zbudziła się podejrzliwość, postanowiła jednak odpowiedzieć, chociaż mimo woli przypomniawszy sobie wielogodzinne przesłuchanie, jakiemu poddał ją kapitan von Rheinhardt. Równocześnie z tym wspomnieniem przyszło inne... Manfred. Mocno zacisnęła powieki, a kiedy je uniosła, z oczu spłynęły dwie duże łzy.

- Przejechałam tysiąc kilometrów - odparła. - Do Francji.

Ruth nie ośmieliła się zapytać, skąd Ariana rozpoczęła wędrówkę. Nie ulegało wątpliwości, że każde odwołanie się do przeszłości na nowo budzi cierpienia Ariany.

Ruth nigdy nie traciła nadziei do końca i o sensowności swej postawy umiała skutecznie przekonywać innych; dlatego tak wspaniale wywiązywała się z misji, którą na siebie przyjęła. Jako młoda kobieta pragnęła podjąć pracę w opiece społecznej, lecz jako żona Samuela Liebmana musiała znaleźć dla siebie inne formy samorealizacji.

Siedząc w milczeniu i uważnie przypatrując się Arianie, usiłowała zrozumieć naturę jej dramatu, a zarazem znaleźć metodę pozwalającą udzielić dziewczynie skutecznej pomocy.

- Co z twoją rodziną, Ariano? - zapytała cicho po dłuższej chwili.

Natychmiast stało się oczywiste, że pytanie to padło przedwcześnie.

Ariana raptownie usiadła na łóżku, pokręciła głową i wyrzuciła z siebie przez łzy:

- Nikogo już nie mam... nikogo... ani ojca... ani brata... ani... - słowo „męża” nie zdołało jej przejść przez usta. - Nikogo... nikogo. Nie mam nikogo... nic... nigdzie.

Osunęła się na poduszkę zanosząc modły, aby Bóg położył wreszcie kres jej rozpacz i udreće.

Ruth przytuliła ją i powiedziała miękko:

- Nie patrz w przeszłość, Ariano, lecz przed siebie: Zaczynasz nowe życie w nowym kraju...

a osoby, które kochałaś w starym życiu i starym kraju, nigdy cię nie opuszczą. Zawsze będą przy tobie... duchem. - Tak jak przy mnie Simon, pomyślała, mój najstarszy chłopiec.

Optymizm i wiara tej kobiety były wręcz namacalne, zaraźliwe. W otaczającym ją mroku Ariana zaczęła dostrzegać maleńką iskierkę nadziei.

- Co mam teraz zrobić?

- A co robiłaś dotąd? - bez namysłu zareplikowała Ruth, znów uświadamiając sobie za późno, że zadała niemądre pytanie. Mimo postarzałej z trudów i cierpień twarzy ta dziewczyna nie mogła mieć więcej niż osiemnaście lat. - Pracowałaś?

Ariana pokręciła głową.

- Mój ojciec był bankierem - odparła z westchnieniem. Dziś zakrawało to na kpiny. Podobnie jak wszystkie te rozbite w proch i pył niezbyt ważne marzenia. - Miałam po wojnie wstąpić na uniwersytet.

Wiedziała jednak, że wykształcenie byłoby czystą formalnością. Jak inne kobiety z jej sfery, miała wyjść za mąż, urodzić dzieci, wydawać podwieczorki, grywać w karty. Nawet u boku Manfreda nie robiłaby nic innego, może tylko z tym wyjątkiem, że dzieliłaby czas pomiędzy zameczek a rezydencję w mieście, pilnując, aby i tu, i tam wszystko szło po myśli męża.

Mocno zacisnęła powieki.

- Ale to było strasznie dawno temu. Dziś nie ma o czym mówić.

- Ile masz lat, Ariano?

- Dwadzieścia.

Paul jest tylko o dwa lata starszy, Simon miałby dwadzieścia cztery, pomyślała Ruth, zadając sobie pytanie, jak dziewczyna zdołała przeżyć i w jakich okolicznościach straciła rodzinę. Nagle, z dojmującym bólem serca i świeżym przypiływem współczucia, znalazła przynajmniej jedną odpowiedź. Ariana z tymi wielkimi smutnymi oczyma była nawet w obecnym stanie tak oszałamiająco piękna, że... Tak, na pewno wykorzystali ją faszyci. I dlatego jej nie zabili, nie okaleczyli, nie napiętnowali tatuażem. Ruth z najwyższym trudem powstrzymała łzy i mdłości, bo niespodziewanie wyobraziła sobie na miejscu Ariany jedną ze swoich córek.

Po długiej, naprawdę długiej chwili milczenia delikatnie ujęła dłoń Ariany.

- Musisz zapomnieć o wszystkim, co składa się na twoją przeszłość - powiedziała. - O wszystkim. Daj sobie szansę na rozpoczęcie nowego życia.

Bo w przeciwnym razie, miała pewność, rany nigdy się nie zagoją, zgotowany przez faszystów koszmar zniszczy jej życie. Ariana może skończyć jako alkoholiczka, prostytutka, pacjentka szpitala psychiatrycznego... Jeśli oczywiście nie wybierze śmierci, tu, w szpitalu Beth David. Ściskając w dłoni wychudzoną rękę dziewczyny, Ruth złożyła w duszy przysięgę, że przed

tą drobną nieszczęśliwą istotą otworzy przyszłość.

- Od dziś, Ariano - podjęła - wszystko jest dla ciebie nowe. Nowy dom, nowy kraj, nowi przyjaciele, nowa rzeczywistość.

Ariana, niezbyt dobrze rozumiejąc słowa Ruth, popatrzyła na nią szeroko otwartymi oczyma.

- A co z moimi opiekunami? - spytała.

- Jeszcze do nich nie dzwoniłam, bo nie chciałam, żeby się niepokoiли stanem twojego zdrowia - skłamała Ruth.

Żydowskie małżeństwo, które uczyniło coś, co poczytywało sobie za obowiązek, nie wykazywało jednak najmniejszego entuzjazmu wobec perspektywy przyjęcia pod swój dach młodej dziewczyny rokującej niewielkie nadzieje jako pomoc w rozlicznych interesach, a w dodatku pochodzącej z nienawistnych Niemiec. Ludzie ci wyraźnie dali do zrozumienia, że jeśli już ma być dziewczyna, to niechże będzie przynajmniej z Francji. Bo co u licha mają z nią zrobić, skoro leży w szpitalu? Przechodzi rutynowe badania, zapewniła Ruth, nic poważnego. Okazali się opryskliwi i niesympatyczni, toteż Ruth powątpiewała, czy przygarną Arianę, która w takim wypadku znalazłaby się w kłopotcie. Chyba że... Ta myśl przyszła jej do głowy zupełnie niespodziewanie. Chyba że dałoby się przekonać Sama.

- Ale dochodzę do wniosku - podjęła Ruth, prostując swoją okazałą sylwetkę - że powinnam ich jeszcze dziś odwiedzić osobiście. - Na jej dużej dobrotliwej twarzy rozlał się ciepły uśmiech, kiedy poklepała Arianę po ręce. - Nie wątpię, że wszystko pójdzie jak po maśle.

- Jak długo będę tu jeszcze musiała zostać? - spytała Ariana i omiotła spojrzeniem spartański pokój. Dotąd, głównie dlatego, że dręczona koszmarami krzyczała po nocach, trzymano ją w izolatce, ale to przecież nie mogło trwać wiecznie. Lekarz przebąkiwał coś o przeniesieniu jej na salę ogólną.

- Zapewne kilka dni, bo musimy mieć pewność, że całkowicie odzyskałaś siły - odparła Ruth. - Nie spiesz się za bardzo z tym wychodzeniem ze szpitala, Ariano, to by się mogło skończyć naprawdę poważną chorobą. Okaż cierpliwość i odpoczywaj.

Ruth szykowała się już do wyjścia, gdy Ariana przytomniejszym niż dotąd wzrokiem rozejrzała się dokoła i nagle wykrzyknęła z rozpaczą:

- Boże, gdzie moje rzeczy?!

- Są bezpieczne, Ariano. Pielęgniarka ze statku przekazała twoją walizkę kierowcy ciężarówki. Teraz, jak się orientuję, jest w szpitalnym depozycie. Na pewno nic z niej nie zginęło, Ariano, nie martw się.

Ariana wszakże niepokoiła się o pierścionki po matce. I w tejże chwili zerknęła na swoje

palce - zniknęła z nich obrączka, pierścionek zaręczynowy i sygnet Manfreda.

Z obłędem w oku przeniosła spojrzenie na Ruth, ta zaś pojmując, o co chodzi, wyjaśniła:

- Twoją biżuterię schowano w sejfie. Zaufaj nam choć trochę. - Jej głos złagodniał. - Wojna skończona, dziecko. Jesteś teraz bezpieczna.

Kilka minut później, już po wyjściu Ruth Liebman, Ariana dzwonkiem wezwała pielęgniarkę, ta zaś przybiegła co żywo, ciekawa, jak wygląda dziewczyna, o której mówił cały szpital, dziewczyna, która wyrwała się z niemieckiego piekła i przespała cztery dni pod rząd. Ariana poprosiła o swoją walizkę, a otrzymawszy ją po paru chwilach, zapytała:

- Gdzie są moje pierścionki? Z moich rąk? - Od początku wojny nie brała lekcji, jej angielski więc trochę zardzewiał. - Przepraszam... - dodała. - Miałam pierścionki.

- Tak? Zaraz sprawdzę.

Pielęgniarka wypadła z pokoju i zaraz wróciła z kopertą, którą podała Arianie, po czym nie czekając nawet na zdawkowe „dziękuję” - wyszła.

Ariana drżącymi dłońmi otworzyła kopertę. Były wszystkie: obrączka, która połączyła ją z Manfredem, pierścionek zaręczynowy i sygnet. Zazwyczaj nosiła go na samym spodzie, żeby nie spadł. Teraz, gdy je nałożyła na palec, zsunęły się wszystkie. Ariana pojęła, jak wielkich spustoszeń w jej organizmie dokonała trzytygodniowa pielgrzymka. Dziewięć dni wędrówki z Berlina do Paryża, dwa dni snu i majaków w domu Jeana - Pierre'a, siedem dni torsji podczas przeprawy przez ocean, w końcu cztery dni w szpitalu. W sumie dwadzieścia dwa dni. Miała wrażenie, że każdy był długi jak rok. Miesiąc temu Manfred trzymał ją w ramionach - a teraz go już nie ma i nigdy nie będzie.

Mocno zaciskając pierścionki w dłoni, wstrząsana szlochem, wzięła się w garść i otworzyła walizkę.

Ubrania dostarczone przez gospozię Jeana - Pierre'a leżały równie schludnie jak w chwili wyjazdu z Paryża; po dwóch dniach na statku Ariana nie miała sił, żeby się przebierać. Pod nimi były buty, na samym spodzie zaś to, czego tak rozpaczliwie szukała - zawiniątko ze zdjęciami i oprawnym w skórę tomem ze skrytką, w której wciąż spoczywały klejnoty: wielki pierścień ze szmaragdem i nieco mniejszy sygnet z brylantami.

Ariana wyjęła je niespiesznie, ale nie nałożyła na palce. Wystarczyło, że trzymając je na dłoni mogła się w nie wpatrywać. Były wszystkim, co pozostało jej z przeszłości, z tego utraconego na zawsze świata.

Pierścionki... Dwa po matce, obrączka, zaręczynowy, złoty sygnet Manfreda.

A do tego plik fotografii, z których większość przedstawiała przystojnego mężczyznę w mundurze i promiennie uśmiechniętą dziewiętnastoletnią dziewczynę.

ROZDZIAŁ 31

W biurze przy Wall Street sekretarka Sama Liebmana strzegła szefa jak nieustępliwy i srogi anioł stróż. Nikt, nawet żona i dzieci, nie miał prawa wstępu do gabinetu, jeśli nie został oficjalnie zaproszony. W domu Sam bez ograniczeń oddawał się do dyspozycji najbliższych, miejsce swojej pracy wszakże traktował jak niedostępne dla innych sanktuarium. Wszyscy o tym wiedzieli, toteż Ruth bywała w biurze męża tylko wtedy, kiedy sprowadzały ją sprawy o najwyższym znaczeniu. Jak właśnie w tej chwili.

- Może być zajęty jeszcze bardzo długo - oświadczyła Rebecca Greenspan, spoglądając z niejakim rozdrażnieniem na żonę szefa, która siedziała w sekretariacie już od dwóch godzin. Pan Liebman wyraźnie powiedział, że nie życzy sobie, by mu przeszkadzano.

- Jeśli dotąd nie wychodził na lunch, Rebecco, wcześniej czy później zechce coś przekąsić, a przy tej okazji będą mogła zamienić z nim kilka słów - odparła Ruth.

- Czy to nie może poczekać do wieczora?

- Gdyby mogło, tobym tu nie siedziała, prawda? - zareplikowała Ruth, uśmiechając się dobrotliwie do kobiety o połowę od siebie młodszej i niemal połowę niższej. Ruth Liebman bowiem była niewiastą imponującej postury, choć mimo wysokiego wzrostu i szerokich ramion określenie „baba - huzar” zupełnie do niej nie pasowało; taki wizerunek skutecznie niweczyło życzliwe spojrzenie dużych oczu i ciepły uśmiech. Przy mężu zresztą wydawała się osobką niemal drobną. Sam Liebman mierzył bez mała dwa metry wzrostu, miał bary jak szafa i stanowiącą często przedmiot kpin dzieci prawdziwie lwią grzywę ognistorudych włosów, które w miarę upływu lat nieco zmatowiały, osiągając barwę starego brązu, mocno już teraz inkrustowanego siwizną. Rude włosy odziedziczył po nim tylko najstarszy syn, Simon; pozostała trójka miała ciemne włosy matki.

Sam Liebman, człowiek mądry, życzliwy i hojny, zajmował w świecie nowojorskiej finansjery znaczącą pozycję, stworzony zaś przezeń bank inwestycyjny Langendorf & Liebman zyskał opinię firmy godnej najwyższego zaufania i skutecznie stawił czoło nawet kryzysowi z dwudziestego dziewiątego roku. Pewnego dnia, marzył Sam, jego stanowisko szefa zajmie Paul, choć oczywiście wedle pierwotnych zamierzeń miał kierować bankiem wspólnie z Simonem. Teraz, ledwie stanie jakoś na nogi, całe brzemień spadnie na jego barki.

O trzeciej drzwi gabinetu otworzyły się wreszcie i do sekretariatu wkroczył ubrany w prążkowany garnitur olbrzym z neseserem i kapeluszem w dłoni.

- Rebecco, idę na naradę - oświadczył i w tejże chwili dostrzegł Ruth, cierpliwie siedzącą na krześle. Na moment zawładnęło nim przerażenie. Co się znowu stało?

Przestał się niepokoić, gdy obdarzyła go przekornym uśmiechem. Kiedy sekretarka

dyskretnie zniknęła, odwzajemnił uśmiech i pocałował żonę w usta.

- Dostojni starsi państwo z pewnością nie powinni się tak zachowywać, Ruth - powiedział. -
A w szczególności o trzeciej po południu.

Otoczyła ramieniem jego szyję.

- No to udawajmy, że jest później.

- W takiej sytuacji w ogóle nie poszedłbym na spotkanie, na które i tak jestem spóźniony -
odrzekł, śmiejąc się cicho. - W porządku, pani Liebman, co pani leży na wątrobie? - Usiadł i zapalił
cygaro. - Daję ci dokładnie dziesięć minut, więc streszczaj się, z łaski swojej. Sądysz, że to
możliwe?

Uśmiechnęła się, patrząc mu w oczy roziskrzone nad ognikiem cygara. Liebmanowie
słynęli z długotrwałych bojów, jakie toczyły ze sobą ich jednakowo silne osobowości. Ruth
miewała swoje opinie na temat pewnych spraw, Sam natomiast swoje, a jeśli opinie te nie były
zgodne - co stanowiło regułę raczej niż wyjątek - konflikt mógł się ciągnąć całymi tygodniami.

- A zatem - dodał Sam rozciągając usta w szerokim uśmiechu - spróbujmy tym razem
załatwić rzecz z marszu.

Niemal trzydziestoletnie życie nauczyło ich oboje, że koniec końców jedynym
sensownym rozwiązaniem jest kompromis.

- Z największą chęcią. Ale to zależy od ciebie.

- Dobry Boże, Ruth, tylko nie to. Ostatnim razem, kiedy oświadczyłaś, że coś „zależy ode
mnie”, chodziło o ten samochód dla Paula... pamiętasz, zanim poszedł do wojska. „Zależy ode
mnie” dobre sobie! Obiecałaś chłopakowi wóz, zanim bąknęłaś mi na ten temat chociażby słówko.
„Zależy ode mnie”... - zachichotał. - W porządku, o co chodzi tym razem?

Poważniejąc nagle, postanowiła bez ogródek przejść do rzeczy.

- Chcę zostać oficjalnym opiekunem dziewczyny, którą ściągnęliśmy ostatnio z Europy. Od
wylądowania leży w szpitalu Beth David, a dotychczasowi opiekunowie chyba zmienili zdanie. -
Gniewnie zmarszczyła brwi. - Życzą sobie Francuzki. Może francuskiej pokojówki rodem z
hollywoodzkiego filmu, a może po prostu francuskiej kurewki.

- Ruth! - mruknął z dezaprobatą, nie nawykły do takich słów w ustach żony. - A skąd jest ta
dziewczyna?

- Z Niemiec - odparła cicho Ruth.

Sam skinął głową.

- Leży w szpitalu, więc jest zapewne poważnie chora? - zapytał.

- Otóż chyba nie. - Ruth wstała z westchnieniem i zaczęła krążyć po pokoju. - Nie mam
pojęcia, Sam, ale sądzę, że chyba raczej załamana. Lekarze nie stwierdzili u niej żadnej konkretnej

dolegliwości. Ona... - zawahała się. - Sam, od niej bije taka bezgraniczna rozpacz, że... Ma dwadzieścia lat i straciła całą rodzinę. Serce człowiekowi pęka.

Błagalnie popatrzyła na męża.

- Przecież losy ich wszystkich są prawie takie same - odparł, mając w pamięci nieustannie teraz napływające i coraz straszniejsze w szczegółach wieści o tym, co w swych obozach koncentracyjnych zgotowali ludziom faszyci. - I dobrze zdajesz sobie sprawę, że nie zdołasz zaopiekować się wszystkimi.

- Sam, proszę...

- Czy pomyślałaś o Julii i Debbie?

- Co pomyślałam?

- Jak się poczują, kiedy w ich domu zamieszka osoba całkiem nieznaną?

- A jak by się poczuły, gdyby straciły całą rodzinę, Sam? Uznam, że jako rodzice ponieśliśmy okropną klęskę, jeśli nie potrafimy przynajmniej dostrzec we właściwym wymiarze tragizmu losów swoich bliźnich. Mamy za sobą wojnę, Sam, i powinny zdać sobie z tego sprawę. Konsekwencje musimy ponieść wszyscy.

- One już poniosły konsekwencje - odparł Liebman, myśląc o najstarszym synu. - Tak samo jak ty i ja. Stawiasz rodzinie ogromne wymagania, Ruth. Jak zareaguje Paul, kiedy wróciwszy ze wszystkimi swoimi problemami na głowie, a myślę, że kontuzja nogi jest najmniejszym z nich, zastanie w domu obcą osobę? W dodatku... - urwał nagle, lecz Ruth doskonale pojęła, do czego zmierza. - Czy mamy prawo zwiększać jego stres, fundując mu obecność tej dziewczyny?

Ruth uśmiechnęła się do męża.

- W przeciwieństwie do ciebie ja dostrzegam plusy takiej sytuacji, ale mniejsza z tym. Chodzi o dziewczynę. Nie zaprzeczysz, że mamy dość miejsca, aby przyjąć ją pod swój dach, pytanie zatem brzmi: czy zgadzasz się, żebyśmy to zrobili?

- Na jak długo?

- Nie wiem. Realistycznie rzecz biorąc, na sześć miesięcy, może na rok. Nie ma wprawdzie rodziny ani majątku, sprawia jednak wrażenie osoby starannie wykształconej i nieźle mówi po angielsku. Przypuszczam, że kiedy otrząśnie się z szoku, zdoła znaleźć pracę i rozpocząć samodzielne życie.

- A co z nią zrobimy, jeśli nie zdoła? Zatrzymamy ją na zawsze?

- Oczywiście, że nie. Może powinniśmy z nią to omówić. Zaproponujemy jej sześciomiesięczną gościnę z możliwością przedłużenia jej o pół roku, podkreślając zarazem z całą mocą, że to wszystko, co możemy zaoferować.

Sam pojął, że jego żona odniosła zwycięstwo. Jak zawsze, praktycznie rzecz biorąc.

Zwyciężała bowiem nawet wtedy, gdy to on uważał, iż zdołał przeforsować swój punkt widzenia.

- Pani Liebman - oświadczył - jestem przerażony pani talentami perswazyjnymi i dziękuję Bogu, że nie pracuje pani dla konkurencji.

-Czy to znaczy, że się zgadzasz?

- To znaczy, że się jeszcze zastanowię - odparł, a po chwili dodał: - Mówiłaś, że gdzie ona leży?

- W szpitalu Beth David. Kiedy zamierzasz ją odwiedzić?

Sam Liebman ciężko westchnął i odłożył cygaro.

- Może wracając wieczorem do domu. Myślisz, że rozpozna moje nazwisko, jeśli się przedstawię?

- Zapewne. W końcu przesiedziałam u niej całe przedpołudnie. Postąpisz jednak najlepiej, jeśli po prostu powiesz, że jesteś mężem wolontariuszki o imieniu Ruth. - A zauważywszy niepokój w oczach Sama, zapytała: - O co chodzi?

- Czy jest... kaleką?

Wstała, podeszła do męża i musnęła dłonią jego policzek.

- Oczywiście, że nie - odparła.

Uwielbiała te dostrzegalne w nim niekiedy słabości i lęki, bo z jednej strony czyniły Sama w jej oczach jeszcze bardziej ludzkim, z drugiej zaś - akcentowały wyraźniej całą potęgę jego charakteru. W takich chwilach kochała go najbardziej.

Uśmiechnęła się z lekka i puściła oko.

- Jest bardzo ładna. Ale zarazem tak beznadziejnie samotna... zresztą zrozumiesz, kiedy ją zobaczysz. Mogłoby się zdawać, że utraciła wszelką nadzieję.

- Zrozumiałe po tym, co przeszła. W kogóż miałaby wierzyć, skoro jej i innym zgotowano taki los? - powiedział Sam Liebman z ogniem w oczach. Ilekroć myślał, jakich potworności dopuściły się te sukinsyny, ogarniała go pasja. Kiedy przeczytał pierwsze doniesienia z Oświęcimia, przez całą noc siedział w swoim gabinecie rozmyślając, modląc się i płacząc na zmianę. Sięgnął po kapelusz i spojrzał na Ruth: - Myślisz, że ci ufa?

Ruth przez minutę zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Chyba tak - odrzekła wreszcie. - W takim stopniu, w jakim w ogóle może komukolwiek ufać.

- A więc dobrze - oświadczył, ujmując neseser. - Wpadnę do niej wieczorem. - Kiedy zmierzali do windy, ciepło popatrzył na żonę i oznajmił: - Kocham cię, Ruth Liebman. Jesteś cudowną kobietą i bardzo cię kocham.

Musnęła ustami jego policzek i wyszeptwała:

- Ja też cię kocham, Sam. Kiedy poznam twoją decyzję?

Uniósł oczy ku niebu i lekko popchnął Ruth do windy.

- Wieczorem, po powrocie do domu. Może być?

Radośnie skinęła głową, a zanim się rozstali, pocałowała go jeszcze raz.

ROZDZIAŁ 32

Całe przedpołudnie Ariana przesiedziała nieruchomo na łóżku, wpatrując się najpierw w rozświetlone od słońca okno, potem w podłogę. W pewnej chwili zjawiała się pielęgniarka, która zachęciła, a właściwie zmusiła ją do małej przechadzki: Ariana powlokła się po korytarzu, rozpaczliwie chwytając dłońmi barierki i klamki, lecz zaraz wyczuła z siłą, musiała wrócić do łóżka.

Po lunchu powiadomiono ją, że zostanie przeniesiona, wieczorem leżała już na tłocznej i zgiełkowej sali ogólnej. Siostra oznajmiła wprawdzie, że nic tak dobrze nie robi choremu jak kontakt z ludźmi, już niebawem wszakże Ariana poprosiła, by otoczono jej łóżko parawanem.

Kiedy uczyniono tej prośbie zadość, nieszczęśliwa i walcząca z mdłościami leżała bez ruchu, mając w uszach śmiech i zgiełk rozmów, w nozdrzach zaś zapach roznoszonej kolacji. Gdy przyciskając ręcznik do ust walczyła z kolejnym atakiem torsji, ktoś zapukał w drewnianą ramę parawanu oddzielającego Arianę od reszty sali. Ogarnięta paniką, odłożyła ręcznik i podniosła głowę.

- Kto tam? - zapytała, natychmiast zdając sobie sprawę, że to pytanie nie ma sensu, skoro w tym miejscu i w tym kraju nie zna właściwie nikogo.

Nigdy nie czuła się mniejsza i bardziej przerażona niż w owej chwili, kiedy zza parawanu wyłoniła się ogromna męska sylwetka. Ariana dygotała jak liść osiki i musiała mobilizować całą siłę woli, by nie wybuchnąć płaczem. Kim był ten człowiek w filcowym kapeluszu i ciemnym garniturze? Wyglądał tak oficjalnie, że miała pewność, iż jest z policji lub biura imigracyjnego. Czyżby zatem mieli zamiar odesłać ją do Francji? Olbrzym jednak miał łagodne oczy i uśmiechał się ciepło.

- Czy panna Tripp? - zapytał.

Tak brzmiało jej nazwisko w dokumentach. Saint - Marne przezornie pominął „von”.

- Tak - wyszeptała ledwie słyszalnie.

- Jak się pani czuje?

Nie znalazła w sobie odwagi, by odpowiedzieć, a dygotała tak bardzo, że Samuel Liebman nie był wcale pewien, czy powinna tu pozostać. Dziewczyna była chora, wystraszona, samotna... rozumiał teraz, dlaczego obudziła w Ruth taką opiekuńczość. No i była prześlizniętym dzieckiem; tak, nie miał wątpliwości, że wciąż jest prawie dzieckiem.

- Panno Tripp - powiedział - jestem mężem Ruth Liebman.

Chciał wyciągnąć do niej rękę, lecz sprawiała wrażenie tak spiętej, przerażonej, gotowej do ucieczki, że obawiał się, iż spłoszona jego gestem może zerwać się z łóżka.

- Wie pani, tej, która była tu rano. Wolontariuszki.

Mimo paniki Ariana skojarzyła nazwisko.

- Tak... tak.. wiem... była tutaj... dziś rano.

Angielski Ariany brzmiał poprawnie, nawet dystygowanie, ale dziewczyna mówiła tak cicho, że Sam słyszał jej słowa z najwyższym trudem.

- Poprosiła, żebym wracając do domu złożył pani wizytę.

„Wizytę? - pomyślała zdumiona. - Dlaczego? Czyżby istniało jeszcze coś takiego jak wizyta?” Ariana przez chwilę z oszołomieniem wpatrywała się w gościa, potem, przypomniawszy sobie o dobrych manierach, pokiwała głową.

- Dziękuję panu - wyszeptała i z wielkim wysiłkiem wyciągnęła doń swoją wychudłą rączkę zabiedzonego elfa.

- Cała przyjemność po mojej stronie - upewnił ją Sam, chociaż zdawał sobie sprawę, że w tej okropnej sali, gdzie nieustanny gwar rozmów przerywały od czasu do czasu krzyki i jęki, ta formułka brzmi wręcz absurdalnie. Kiedy Ariana gestem poprosiła, by usiadł w nogach łóżka, uczynił to z wielkim zakłopotaniem, usiłując za wszelką cenę zachowywać się naturalnie. - Czy mógłbym coś dla pani zrobić? Może czegoś pani potrzeba? - zapytał.

W jego oczy wwierciło się spojrzenie jej wielkich oczu i Ariana pokręciła głową, Sam zaś zganił się za nieprzemyślane słowa. Prawdziwych potrzeb dziewczyny nie można było zaspokoić drobnym upominkiem.

- Bo musi pani wiedzieć, że pragniemy z żoną udzielić pani wszelkiej możliwej pomocy - oświadczył. Westchnął ciężko i podjął: - Moim rodakom nie jest łatwo uwierzyć w to, co się stało w Europie... ale jesteśmy poruszeni... głęboko poruszeni... I ogromnie jesteśmy radzi, że jakimś cudem przetrwała pani ten koszmar. Pani i wszyscy, którzy ocaleli, pozostaną czymś na kształt pomnika okrutnych czasów pogardy, a także pomnika tych innych... Musi pani teraz zacząć żyć. Dla siebie i dla nich.

Przypatrywała się Samowi szeroko otwartymi oczyma. Co miał właściwie na myśli? Czy wiedział o jej ucieczce z Berlina? Kim byli ci „inni”, o których mówił? Czyżby po prostu Niemcami, którzy przeżyli wojnę? Bez względu jednak na to, co miał na myśli i o kim mówił, nie ulegało wątpliwości, że jest człowiekiem dobrym i życzliwym. Z tym swoim ogromnym wzrostem i zmierzwioną grzywą w niczym nie przypominał Walmara, Ariana wszakże z miejsca poczuła doń sympatię i dojrzała w nim kogoś w rodzaju starego niezawodnego przyjaciela. Miał w sobie godność i współczucie; wzbudził w Arianie szacunek i była pewna, że taki sam szacunek wzbudziłby w jej ojcu.

Impulsywnie dźwignęła się z łóżka, położyła dłonie na jego szerokich barach i delikatnie pocałowała go w policzek.

- Dziękuję, panie Liebman. Dzięki panu jestem rada, że dotarłam do Stanów.

- Naprawdę powinna się pani cieszyć - odparł poruszony do głębi jej spontanicznym gestem. - To wspaniały kraj. Ariano... - po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu, ale w tej chwili czuł, że ma już do tego prawo. - Ariano, przekonasz się, że mam rację. To nowy świat, a dla ciebie zupełnie nowe życie. Poznasz tu nowych ludzi, zdobędziesz nowych przyjaciół.

Ale jej oczy posmutniały. Nie chciała nowych ludzi, tęskniła za dawnymi - a ci odeszli na zawsze.

Widząc cierpienie, które na powrót pojawiło się w oczach dziewczyny, Sam dotknął jej dłoni.

- Ruth i ja jesteśmy teraz twoimi przyjaciółmi. Dlatego właśnie tu przyszedłem.

Dopiero wtedy zrozumiała sens jego słów. Samuel Liebman przyszedł tu, do szpitala, na tę odrażającą salę ogólną, bo nie chciał zostawić Ariany samej, bo przejmował się jej losem. Do oczu napłynęły jej łzy, spod których jednak wyzierał uśmiech, kiedy mówiła:

- Dziękuję, panie Liebman.

On też miał kłopoty z oczyma. Podniósł się powoli i lekko uściskał jej dłoń.

- Muszę już iść, Ariano, ale Ruth przyjdzie do ciebie z samego rana, a i ja zobaczę się z tobą niebawem.

Niczym dziecko opuszczane przez ojca, z wątlym wymuszonym uśmiechem skinęła głową powstrzymując łzy, a wtedy Liebman, który od pewnego już czasu z najwyższym trudem panował nad swoimi emocjami, pochwycił ją w niedźwiedzi uścisk i tulił, rozdygotaną i zapłakaną, przez niemal pół godziny.

Kiedy przestała szlochać, podał jej chusteczkę, Ariana zaś wysiękała nos i szepnęła:

- Tak mi przykro... nie chciałam...

- Psst... przestań - odparł, czule gładząc ją po głowie. - Nic mi nie musisz wyjaśniać, Ariano, wszystko rozumiem.

Patrząc na tę złotowłosą zjawiskową dziewczynę zadawał sobie pytanie, jak zdołała przetrwać. Sprawiała wrażenie tak kruchej i słabej, że wydawało się niemożliwe, by zdołała przejść zwycięsko przez choćby najłatwiejszą próbę. A przecież wyczuwał, iż za delikatnie rzeźbionymi rysami i smukłą sylwetką kryje się kobieta, która była i jest zdolna stawić czoło każdemu przeciwnictwu, jakie mógłby zgotować jej los. Przeżyła, bo było w niej coś twardego i nieustępliwego.

Patrząc na dziewczynę, która właśnie stała się jego trzecią córką, Sam Liebman dziękował Bogu, że Ariana ma w sobie owo tajemnicze „coś”.

ROZDZIAŁ 33

Przygotowania do przyjęcia Ariany podjęto z mieszaniną radości i obawy.

Po powrocie do domu Sam nakazał Ruth zabrać dziewczynę ze szpitala już nazajutrz pod warunkiem, rzecz jasna, iż nie jest zdaniem lekarzy zakaźnie chora, co mogłoby narazić na szwank zdrowie jego własnych dzieci. Po kolacji wezwał córki do swego gabinetu i wyjaśnił im, że Ariana zamieszka pod ich dachem, że pochodzi z Niemiec, gdzie straciła całą rodzinę, i że przez jakiś czas należy się z nią obchodzić wyjątkowo delikatnie.

Podobnie jak ich rodzice, Julie i Debbie były osobami skłonnyymi do okazywania współczucia, też przerażały je wieści napływające z Niemiec i też pragnęły pomagać uchodźcom. Nazajutrz błagały matkę, by wzięła je ze sobą do szpitala, Ruth wszakże odmówiła stanowczo: na oglądanie Ariany będą miały czas, kiedy dziewczyna znajdzie się w domu, bo w tej chwili nadmiar wrażeń mógłby tylko pogorszyć jej stan. Zresztą i tak, zgodnie z zaleceniami lekarzy, zamierzała przynajmniej na tydzień położyć ją do łóżka. Potem, kiedy odzyska nieco sił, będzie ją można zabrać na jakiś lunch, kolację czy do kina.

Zjawiwszy się w szpitalu, Ruth oświadczyła Arianie, że zabiera ją do siebie - nie, jak wcześniej mówiła Samowi, na pół roku, lecz na tak długo, jak długo Arianie będzie potrzebna rodzina.

Ariana spoglądała na Ruth szeroko otwartymi ze zdumienia oczyma, pewna, że zawiodła ją znajomość angielskiego.

- Że co? - wyjąkała.

Ruth ujęła w swoje silne dłonie wychudzone rączki dziewczyny i przysiadła na skraju łóżka.

- Mój mąż i ja pragniemy, żebyś u nas zamieszkała, Ariano. I żebyś mieszkała tak długo, jak zechcesz.

- W pani domu?

Dlaczego ta kobieta zdobywa się na taki gest? Przecież i tak dość czasu poświęciła już Arianie, która poza tym ma opiekunów.

- Tak, w naszym domu, z naszymi córkami, Deborą i Julie, a za kilka tygodni również z naszym synem. Paul walczył na Pacyfiku, chwilowo leży w szpitalu z odłamkami w kolanie, ale już niedługo będzie zdolny do podróży.

Ruth nie wspomniała o Simonie doszedłszy do wniosku, że to na razie niepotrzebne. Paplała dalej o swoich dzieciach, dając Arianie czas na uporządkowanie myśli.

- Pani Liebman... - zaczęła Ariana. - Nie wiem, co powiedzieć, ale... - Nieświadomie

przeszła na niemiecki, Ruth jednak zdołała ją zrozumieć dzięki znajomości jidysz.

- Nic nie musisz mówić, Ariano, chociaż - rozciągnęła wargi w uśmiechu - jeśli już nie potrafisz się powstrzymać, mów po angielsku, bo dziewczęta cię nie rozumieją.

- Znow mi się to przydarzyło? Przepraszam - wybąkała Ariana, oblewając się rumieńcem, i pierwszy raz od tygodni zdołała się uśmiechnąć. - Naprawdę zabiera mnie pani do siebie? - Ruth tylko mocniej uściśniła jej dłonie. - Ale dlaczego pani to robi? Z jakiego powodu? Taki sobie państwo sprawicie kłopot.

I wtedy wspomniała Maxa Thomasa, ukrywanego przez dwa dni w grunewaldzkiej rezydencji... Tylko że wtedy jednak sprawy wyglądały inaczej. Max był starym znajomym ojca, ten zaś nie oferował mu gościny na zawsze. Po chwili namysłu Ariana doszła do wniosku, że zapewne postąpiłby tak w razie potrzeby. Może w tej chwili miała do czynienia z takim samym odruchem?

Ruth popatrzyła na nią z powagą.

- Ariano, chcemy to zrobić - odparła. - Bo to wszystko, co się stało, przepełnia nas ogromnym bólem.

- Ależ to nie pani wina, pani Liebman - zaproponowała Ariana. - To była... po prostu... wojna.

Sprawiała w tym momencie wrażenie tak bezradnej, że Ruth otoczyła ją ramieniem i pogładziła po złocistych włosach.

- Nawet tu doświadczyliśmy okrucieństw wojny, niesprawiedliwości, jaką ze sobą niesie, zgrozy, rozpaczy... Ale czymże to jest wobec tego, przez co wy musieliście przejść? Może w miarę naszych sił zdołamy chociaż troszeczkę ulżyć twojemu brzemieniu, pomóc ci rozpocząć nowe życie. - Popatrzyła na Arianę z bezgraniczną czułością. - Jesteś taka młoda!...

Ariana powoli, z uporem pokręciła głową.

- Już nie jestem - odparła.

Kilka godzin później prowadzony przez szofera daimler Sama Liebmana majestatycznie powiózł Arianę do domu przy Piątej Alei. Central Park kuśił majową zielenią i wielobarwnymi kobiercami kwiatów, w toczących się po alejach dwukółkach siedzieli przytuleni do siebie młodzi ludzie... Taki właśnie Nowy Jork ukazał się oczom Ariany. Wyglądała niczym dziewczynka, kiedy siedziała w limuzynie wciśnięta pomiędzy Sama i Ruth.

Sam wcześniej wyszedł z biura, by pojechać do szpitala, i to on własnoręcznie zniósł do auta żalną tekturową walizeczkę Ariany, zawierającą ubogie fatalaszki. Ariana nie musiała ich jednak wkładać, wcześniej bowiem Ruth wpadła do sklepu Besta, a pudło, jakie w rezultacie tej wizyty z dumą wręczyła Arianie, zawierało śliczną letnią sukienkę, równie niemal błękitną, jak oczy nowej właścicielki, białe rękawiczki, słomkowy kapelusz i lekkie pantofelki. W tym stroju Ariana znow zaczęła przypominać księżniczkę z bajki, a kiedy wsiadła do eleganckiego auta, trzeba

by mocno wysilić wyobraźnię, by dostrzec w niej nie bogatą turystkę, lecz uciekinierkę ze zniszczonej wojną Europy.

Przez chwilę Ariana czuła się tak, jakby puszczała wodze fantazji... Zamknawszy oczy mogłaby bez trudu uwierzyć, że jest w Berlinie i wraca do Grunewaldu z niedzielnej przejażdżki. Nie, to nie jest dobry pomysł, uznała, rany są jeszcze zbyt świeże na takie iluzje. Lepiej mieć oczy otwarte i chłonąć w siebie rzeczywistość.

Piętnaście minut po wyjeździe ze szpitala limuzyna dotarła na miejsce, szofer zaś - pełen godności Murzyn w czarnym uniformie, czapce z daszkiem i białej koszuli z muszką - otworzył drzwi i wyciągnął ramię, aby pomóc wysiąść Ruth, która jednak podziękowała mu nieznacznym gestem i z troską spojrzała na Arianę, wciąż śmiertelnie bladą.

- Dobrze się czujesz, moja droga? - zapytała.

- Świetnie, dziękuję - odparła Ariana.

Prawda wszakże wyglądała inaczej: w szpitalu nie była w stanie ubrać się na stojąco, a pewnie i siedząc nie zdołałaby tego dokonać bez pomocy Ruth.

Sam podzielał troskę żony, ale równocześnie dostrzegł w Arianie coś jeszcze: grację ruchów, opanowanie, spokój. Kiedy wsiadała do samochodu, można było odnieść wrażenie, że wkracza do świata dobrze znanego, jej własnego świata. Nie była po prostu dobrze wychowaną i nieźle wykształconą dziewczyną, lecz najprawdziwszą młodą damą, diamentem czystej wody... Tym tragiczniejsze, pomyślał Sam, że utraciła wszystko. No, ale teraz ma ich. Uśmiechnął się szeroko, rad z podjętej decyzji.

Ariana zaś, patrząc na rozciągający się po drugiej stronie ulicy park, myślała o Grunewaldsee, łódkach i zielonych drzewach nad brzegiem jeziora. To wszystko było takie dalekie, takie bezgranicznie dalekie!

- Idziemy?

Ariana skinęła głową i Ruth powoli wprowadziła ją do wysokiego na dwie kondygnacje holu, obwieszzonego aksamitnymi draperiami i wyposażonego w antyki, które Liebmanowie przywozili z podróży do Europy - stare obrazy, rzeźby, perskie dywany. Nie brakło tu nawet niewielkiej marmurowej fontanny. W głębi zaś, na szerokich spiralnych schodach, stały dwie smukłe ciemnowłose dziewczyny, wpatrzone w wejście szeroko otwartymi oczyma.

Przez dłuższą chwilę przenosiły wzrok z Ariany na matkę i z powrotem, wreszcie, niepomne wcześniejszych ustaleń, zbiegły na dół i wśród śmiechu i podskoków zaczęły zgiełkliwie witać Arianę.

- Ariano, witaj w domu! - przekrzykiwała jedna drugą.

Dzięki nim właśnie chwila dla ich rodziców pełna powagi, dla Ariany zaś słodko - gorzka

przemieniła się w prawdziwe święto. Przygotowały baloniki i serpentyny, Julie upiekła tort, Debbie nacięła w ogrodzie róż i ułożyła z nich bukiet, wspólnie zaś wyruszyły z samego rana na zakupy, aby zaopatrzyć Arianę we wszystko, czego w ich mniemaniu mogła potrzebować prawdziwa młoda dama: szminki, pudry, róże, szpilki do włosów, szylkretowe grzebyki i przybory do makijażu. Kupiły nawet siateczkę na włosy, zdaniem Debbie - najnowszy krzyk mody. Wszystkie upominki, osobno popakowane, piętrzyły się teraz na toalecie w pokoju, który poprzedniego wieczoru Ruth przygotowała dla Ariany.

Ten pokój tak bardzo przypominał grunewaldzki buduar Kassandry, że Arianie znowu napłynęły do oczu łzy: też był rajem wymoszczonym jedwabiami i atlasami i też dominowały w nim rozmaite odcienie różu. Łóżko - znacznie większe niż w Grunewaldzie - miało baldachim z białej organdy i prześliczną białą - różową atlasową narzutę. Umeblowania sypialni dopełniało misternie rzeźbione biurczko, wielka zabytkowa szafa, kominek z białego marmuru i wiszące nad nim lustro w złożonych ramach, a wreszcie rozstawione to tu, to tam zgrabne krzeselka o różowych obiciach. Za sypialnią znajdowała się niewielka garderoba, z której drugie drzwi prowadziły do łazienki wyłożonej różowawym marmurem. Gdziekolwiek spojrzeć, pyszniły się świeże róże, na stoliku zaś stał tort.

Niezdolna wyrazić słowami swoją wdzięczność, Ariana najpierw wyściskała obie dziewczyny, potem zaś raz jeszcze Sama i Ruth. Jakież cud sprawił, że trafiła do takiego domu? Miała wrażenie, że jej życie zatoczyło pełny krąg, by od imponującej siedziby von Gotthardów, przez celę w podziemiach Reichstagu, domek Manfreda, pustkę wędrowni i szpitalną salę doprowadzić ją na powrót do luksusu, jaki znała od dziecka, do świata służby, limuzyn i łazienek z różowego marmuru. Takich jak ta, na którą spoglądała teraz z niedowierzaniem, i trwożnym zachwytem. Tak, wszystko było takie samo - z jednym wyjątkiem. Odbita w lustrze twarz nie należała już do młodej ślicznej dziewczyny, lecz do jakiejś zabiedzzonej znużonej kobiety, stanowiącej zgrzyt w tych przepysznych wnętrzach. Ariana zdała sobie sprawę, że nie ma już na ziemi swojego miejsca i nie należy do nikogo... Skoro Liebmanowie pragną okazać jej dobroć - zgoda, przyjmie ją z wdzięcznością, ale już nigdy świata różowych łazienek nie uzna za własny.

W uroczystym nastroju zasiedli do tortu - ozdobionego przez Julie napisem „Ariana” ułożonym z lukrowych płatków róży - ale nie po raz pierwszy Ariana przekonała się, że nie potrafi bez mdłości przełknąć kęsa. Była zatem rada, gdy wreszcie Ruth dobrodusznie przepędziła córki, mówiąc, że Sam musi wracać do biura, one są umówione z babcią na lunch, Ariana zaś powinna natychmiast położyć się do łóżka.

Ariana w oszołomieniu spoglądała na kolejne zakupy, poczynione w sklepie Besta: jedwabny szlafrok i cztery koszule nocne: z białej koronki i atlasu, różowej koronki, niebieskiego

atłasu, białego. Były czymś doskonale znajomym, a zarazem zachwycająco nie znanym i nowym.

- Jak się czujesz, Ariano? - zapytała poważnym tonem Ruth.

- Doskonale - odparła Ariana, zapadając się w miękką pościel. - Wszyscy byliście tak dla mnie dobrzy... że... że nie wiem, co powiedzieć.

- Nie mów nic. Po prostu rozkoszuj się tym, co usiłujemy ci dać. - Po chwili milczenia dodała z zadumą: - Myślę, że po prostu usiłujemy w ten sposób uporać się z naszym poczuciem winy. -

Jakiej winy? - zapytała stropiona Ariana.

- Winy biorącej się ze świadomości, że żyliśmy tu sobie bezpiecznie, podczas gdy wy w Europie... - zająknęła się, lecz zaraz podjęła: - Jesteście tacy sami jak my, a przecież to wy zapłaciliście najwyższą cenę za żydowskie pochodzenie.

Ariana wreszcie pojęła. Uznali ją za Żydówkę! Dlatego byli dla niej tak dobrzy, dlatego potraktowali ją jak własne dziecko - bo myślą, że jest Żydówką. Z udręką, nagle wyzbyta złudzeń, wpatrywała się w Ruth Liebman. Musi jej powiedzieć, musi wyprowadzić ją z błędu... Ale co właściwie ma powiedzieć? Że jest Niemką?... Najprawdziwszą Niemką? Przedstawicielką narodu, który mordował Żydów? Co sobie wtedy o niej pomyśla? Ale przecież nie jest faszystką! Nie był faszystą jej ojciec... ani Gerhard. Nigdy tego nie zrozumieją - pomyślała ze łzami w oczach. - Nigdy... Odtrąca ją, z powrotem wyślą do Europy.

Arianą wstrząsnął konwulsyjny szloch. Ruth podbiegła, przytuliła ją i wyszeptwała:

- O mój Boże, wybac, Ariano... tak mi przykro. Nie powinniśmy teraz o tym rozmawiać.

Ale musiała jej powiedzieć... musiała...

I wtedy rozległ się w jej duszy jakiś ledwie słyszalny głos: Jest jeszcze za wcześnie. Może zrozumieją, kiedy poznają cię lepiej.

Była zbyt wyczerpana, by podejmować spór z tym głosem. Bezwolnie pozwoliła się położyć i z długim chrapliwym westchnieniem zapadła w sen.

Przebudziwszy się, znów stawiała czoło swojej rozterce: powiedzieć czy milczeć?

Ale było już za późno, bo Julie przyniosła jej napisany przez siebie wiersz, a Debbie herbatę i kawałek tortu.

Ariana poczuła, że została wpleciona pomiędzy nich.

ROZDZIAŁ 34

- Co tam znowu wyprawiacie? - zapytała Ruth, spoglądając na trzy siedzące w pokoju rozchichotane dziewczyny. Ariana uczyła Debbie i Julie, jak się nakłada róż. - Aha, malujecie się!

Ze swą porcelanową urodą i spadającymi po dziewczęcemu na ramiona złocistymi włosami Ariana z różem na policzkach wyglądała jeszcze zabawniej niż obie siostry - nie pasował do całości.

Julie, długonogi zmysłowy żrebak o wielkich brązowych oczach, które sprawiały, że wyglądała na więcej niż swoje szesnaście lat, bardzo ładna zdaniem Ariany, choć nieco egzotyczna, a poza tym niezwykle szczerą, uczciwą, inteligentną i dowcipną, błagalnie popatrzyła na Ruth.

- Mamo, możemy wziąć jutro Arianę do miasta? - zapytała.

Kiedy Ruth poczuła na sobie równie błagalne spojrzenie Debbie - też ładnej, choć znacznie spokojniejszej niż siostra, marzycielskiej i w przeciwieństwie do Julie, nie zainteresowanej jeszcze chłopcami z wyjątkiem ukochanego brata, który w przyszłym tygodniu miał wrócić do domu - po namyśle wyraziła zgodę. Tak, oświadczyła, Ariana może wychodzić, kiedy zechce, ale zarazem ma jak najwięcej wypoczywać. Zdawała sobie sprawę, że bywały chwile, gdy mimo zaprzeczeń Ariana wolałaby położyć się do łóżka i zostać sama.

- Ariano, nadal czujesz się niezdrowa czy po prostu bardzo zmęczona? - zapytała pewnego dnia przepełniona obawą, że przeżycia pozostawiły na zdrowiu dziewczyny jakiś niezacieralny ślad. Chociaż coraz aktywniej wpadała w wir rodzinnego życia, nie ulegało wątpliwości, że jeszcze nie całkiem doszła do siebie. Ruth wymogła na niej obietnicę, że odwiedzi lekarza, jeśli do przyszłego tygodnia nie nastąpi znaczna poprawa jej zdrowia i samopoczucia.

- Ależ daję słowo, to drobiazg, jestem tylko zmęczona... pewnie po tej chorobie morskiej, która dokuczała mi przez cały rejs.

Ruth wszakże wiedziała, iż nie ma to nic wspólnego z rejsem: choroba dotknęła serca Ariany.

A przy tym dziewczyna nigdy się nie uskarżała. Codziennie pomagała Julie i Debbie w lekcjach, sprzątała swój pokój, szyła, a raz Ruth znalazła ją na dole, gdy pomagała gosposi w porządkowaniu kredensów nabitych stosami obrusów, prześcieradeł i serwetek. Stanowczym tonem nakazała jej wtedy wracać do łóżka, ale już godzinę później przyłapała Arianę w pokoju Paula na szyciu nowych zasłon, które sama kiedyś zaczęła i nie miała czasu skończyć. Było jasne, że Ariana, tak samo jak wszyscy domownicy, pragnie wziąć aktywny udział w święcie powrotu do rodzinnych pieleszy jedynej w tej chwili męskiej latorośli Liebmanów.

Siedząc tamtego dnia w pokoju młodego człowieka, Ariana zastanawiała się, jaki właściwie

jest ten Paul. Wiedziała tylko, że ma zaledwie dwa lata więcej niż ona, rozwieszona zaś na ścianie pokoju zdjęcia pokazywały wysokiego, barczystego licealistę o figlarnie roześmianych oczach. Niebawem, bo już w sobotę, miała go poznać osobiście: wracał wreszcie do domu, z rozpaczliwą tęsknotą wyczekiwany przez rodziców i siostry. Ruth w ostrożnych słowach opowiedziała jej o śmierci Simona i Ariana zdawała sobie sprawę, jak bezcennym skarbem jest teraz dla Liebmanów Paul. Na jego powrocie miał się jednak położyć cień.

Otóż, wedle relacji Ruth, Paul był ogromnie zapatrzonego w starszego brata i starał się go we wszystkim naśladować, Simon zaś idąc na wojnę, był zaręczony. Kiedy więc przed dwoma laty Paul szedł do wojska, on także zaręczył się z dziewczyną, którą znał właściwie całe życie.

- To urocza osóbką - powiedziała z westchnieniem Ruth - ale oboje mieli wtedy zaledwie po dwadzieścia lat, a pod wieloma względami Joan była dojrzała niż Paul. - I w tejże chwili, patrząc w oczy Ruth, Ariana wszystko zrozumiała. - Pół roku temu wyszła za innego. To nie koniec świata, rzecz jasna, niemniej... zataiła to przed Paulem. Byliśmy przekonani, że do niego napisała, ale dopiero kilka dni temu, podczas przypadkowego spotkania, powiedziała mi, że nie.

- A więc Paul wciąż o niczym nie wie? - zapytała ze współczuciem Ariana. Ruth smętnie pokręciła głową. - Och, mój Boże. A więc dowie się po przyjeździe?

- Tak. Dreszcz przechodzi mnie na myśl, że będę musiała mu powiedzieć.

- A nie mogłaby porozmawiać z nim tamta dziewczyna? Przecież nie musi mówić, że jest mężatką. Po prostu niech oficjalnie zerwie zaręczyny, a jeśli nawet później Paul dowie się całej prawdy, to...

Ruth uśmiechnęła się niewesoło.

- Byłoby to z pewnością najlepsze rozwiązanie - odparła - tyle że Joan jest - w ósmym miesiącu ciąży. Tak że niestety brzemię spada na mnie i Sama.

Ariane ciekawiło, jak Paul przyjmie nowiny. Wiedziała od jego sióstr, że jest bardzo uczuciowy i niekiedy bywa porywczy. No i jak zareaguje na obecność w domu nowej osoby? Bo była dla niego obca, chociaż jego dobrze już poznała. Nie miała wprawdzie pojęcia, jaki jest naprawdę i jak wygląda teraz, lecz słyszała dziesiątki anegdot o jego dzieciństwie, figlach, kawałach, niejako na kredyt więc darzyła go przyjaźnią. Ale czy może liczyć na wzajemność? Czy Paul nie odtrąci jej tylko dlatego, że Ariana skojarzy mu się z nienawistnym słowem „Niemcy”? Czy może liczyć na jego akceptację i zaufanie, które - miała pewność - Liebmanowie okazują tylko przedstawicielom swojej rasy?

Dlatego właśnie dotąd nie wyprowadziła ich z błędu co do swojego pochodzenia. Po wielu dniach milczącej udręki podjęła decyzję, świadoma, że wyznanie prawdy zniweczy wszystko. Zbyt zaślepieni i wstrząśnięci potwornościami, jakich dopuścił się faszyzm, nie potrafiliby uwierzyć, że

wśród Niemców także bywają porządni ludzie. Milczenie, nawet za cenę wyrzutów sumienia, było zatem najlepszym rozwiązaniem. Gdyby im wyjawiała, że jest Niemką, poczuliby się zdradzeni, a przecież naprawdę ich kochała. Poniosła równie wielkie straty jak ci z ich narodu, którzy ocaleli. Nie, nie mogła im powiedzieć... nie mogła stracić również i tej rodziny. Miała tylko nadzieję, że Paul nie odwróci się od niej. Chwilami żywiła obawy, że zada jej zbyt wiele pytań... ale czy tak naprawdę będzie, pokaże przyszłość.

Myśli Ruth biegły zupełnie innymi torami, przyszło jej bowiem do głowy, że obecność w domu tak pięknej dziewczyny może mieć na Paula terapeutyczny wpływ. Mimo wciąż nie najlepszej formy, Ariana rozkwitła w ciągu dwóch minionych tygodni: miała atlasową cerę bez jednej skazy, dzwięczny krystaliczny śmiech, smukłe pełne wdzięku ciało, bystry umysł... Tak, przyniosłaby chlubę najbardziej wymagającej matce i - Ruth mając w pamięci Paula, uśmiechała się na tę myśl - każdemu mężczyźnie. Były wszakże pewne niepokojące sprawy.

Ruth zmrzyła oczy i wbiła je w Arianą, która poczuła się pod tym spojrzeniem jak mała dziewczynka.

- Chciałabym usłyszeć, młoda damo - zapytała Ruth - dlaczego to od służby dowiaduję się, że wczoraj rano straciłaś przytomność? Kiedy podczas lunchu pytałam, jak się czujesz, oświadczyłaś, że świetnie.

- Bo wtedy już naprawdę czułam się świetnie - odparła Ariana z uśmiechem, którego jednak Ruth nie odwzajemniła.

- Chcę wiedzieć, kiedy coś takiego się zdarza, rozumiesz, Ariano?

- Tak, ciociu.

- Ile razy zemdliałaś?

- Tylko raz albo dwa. Kiedy byłam bardzo zmęczona albo nic nie jadłam.

- Co, jak się orientuję, stanowi raczej regułę niż wyjątek. Jesz tyle co wróbel, młoda damo.

- Tak, ciociu.

- No cóż, dajmy temu spokój, ale jeśli jeszcze kiedyś zdarzy ci się zemdleć, chce usłyszeć o tym od ciebie, nie zaś od służących. Czy to jasne?

- Tak, przepraszam. Nie chciałam cię niepokoić, ciociu.

- Masz zapomnieć o swojej delikatności. Znacznie bardziej niepokoję się wtedy, kiedy przemilczasz takie historie. - Jej głos złagodniał. - Proszę, kochanie, naprawdę martwię się o ciebie. Jeśli teraz zadbamy, żeby twoja rekonwalescencja przebiegała prawidłowo, być może ślady strasznej przeszłości znikną na zawsze. Bo jeśli nie, mogą ci towarzyszyć przez całe życie.

- Naprawdę bardzo przepraszam, ciociu.

- Nie przepraszaj, tylko uważaj na siebie. A jeśli jeszcze raz zemdlejesz, pójdziemy do

lekarza. Zgoda?

- Zgoda. Następnym razem na pewno ci powiem. Ale nie zwracaj sobie mną głowy, ciociu, w przyszłym tygodniu będziesz miała aż nadto problemów z Paulem. Jego też zamierzasz położyć do łóżka?

- Nie, chyba nie, zakładając, rzecz jasna, że będzie na siebie uważał. Czuję, że za wami obojgiem będę musiała chodzić krok w krok.

Ruth niewiele musiała nachodzić się za Paulem: po powrocie do domu, przytłoczony nowinami, zamknął się w pokoju i nie wychodził przez dwa dni. Kiedy wreszcie ukazał światu i bliskim swoje zmarniałe, nie ogolone oblicze, wyglądał wręcz upiornie. Do opuszczenia samotni skłonił go ojciec, zarzucając mu egoizm i dziecinadę; wzburzenie wywołane słowami Sama sprawiło, że skorupa, którą otoczył się Paul, wreszcie pękła.

Kiedy nazajutrz zszedł na śniadanie, miał wciąż zaczerwienione oczy i śmiertelną błądź na twarzy, był jednak starannie ogolony i ubrany. To nic, że odzywał się monosylabami i wszystkich traktował grubiańsko - liczyło się, że zszedł na dół, dołączył do grona żywych. Tocząc wokół stołu gniewnym spojrzeniem, długo jakby nie dostrzegał Ariany, po czym naraz, jak człowiek przebudzony ze snu, wlepił w nią wzrok.

Przez chwilę nie wiedziała, jak się zachować, niemal sparaliżowana owym wzrokiem, który zdawał się pytać, co ona robi w tym domu i przy tym stole. Ulegając podszeptom instynktu, opuściła głowę, a kiedy ją podniosła, ujrzała w jego oczach tysiąc pytań.

- Z której części Niemiec pochodzisz? - rzucił bez wstępów i bez związku z toczoną przy stole rozmową.

Popatrzyła mu prosto w oczy.

- Z Berlina.

Skinął głową i zmarszczył brwi.

- Widziałaś miasto po upadku?

- Tylko przez krótką chwilę.

Sam i Ruth wymienili zakłopotane spojrzenia, Ariana wszakże zachowywała spokój i tylko jej dłonie, kiedy smarowała masłem grzanek, lekko drżały.

Bo pytanie wywołało w jej umyśle obraz stosu martwych ciał pod Reichstagem: zamknęła oczy, jakby w ten sposób mogła odegnać od siebie wspomnienia. Na chwilę przy stole zapadła paralizująca cisza, którą wreszcie stanowczo przerwała Ruth.

- Chyba nie powinniśmy rozmawiać o tych sprawach. A przynajmniej nie teraz, przy śniadaniu.

Popatrzyła na Ariane, która otworzyła oczy przymglone łzami. Dziewczyna pokręciła głową

i odruchowo wyciągnęła nad stołem rękę do Paula.

- Przepraszam... - wyjąkała. - To... to dla mnie... bardzo trudne... nie potrafię sobie przypomnieć... - Łzy jedna za drugą staczały się teraz po jej policzkach. - Straciłam tak wiele!...

Nagle Paul, w którego oczach też zakręciły się łzy, gwałtownie chwycił dłoń Ariany.

- To ja przepraszam - wyrzucił z siebie. - Zachowałem się gruboskórnie i głupio. Już nigdy nie będę zadawał ci takich pytań.

Obszedł stół i Inianą chusteczką wytarł mokrą twarz Ariany. W tej właśnie chwili zrodziła się między nimi trudna do zdefiniowania więź.

Był równie wysoki jak ojciec, lecz wciąż po chłopięcemu szczupły, miał brązowe oczy matki i kruczoczarne włosy sióstr, ale uśmiech - Ariana wiedziała o tym ze zdjęć - jedyny w swoim rodzaju: rozlewał się po twarzy, poza tym poważnej i surowej, niczym maźnięcie pędzla umoczonego w białej farbie. Tego ranka przy śniadaniu Ariana widziała tylko jedno oblicze Paula: zgorzkniałe, gniewne, zaczepne. Chłopak miał ściągnięte brwi, a jego oczy sprawiały wrażenie burzowych chmur, z których w każdej chwili mogą spaść pioruny.

Godzinę później Ariana myślała o tym z niejakim rozbawieniem, nakładając białą bawełnianą sukienkę i sandały na korkowych podeszwach, kolejne zakupy poczynione za namową Ruth. Nie miała pojęcia, jak odplaci hojność Liebmanów. Przychodziło jej do głowy tylko jedno rozwiązanie: prowadzić możliwie dokładną ewidencję, a później, kiedy stan zdrowia umożliwi jej podjęcie pracy, stopniowo zwracać pieniądze za każdy płaszcz, spódnicę, parę butów czy sztukę bielizny, jaką jej kupili. A kupili sporo, bo szafa w sypialni była już pełna po brzegi.

Nie myślała na razie o sprzedaży ukrytych pierścionków matki - traktując je jak polisę ubezpieczeniową, obracała czasami w palcach, ale chociaż doznawała pokusy, by pokazać je Ruth, nie zrobiła tego z obawy, że starsza pani może uznać, iż się przechwała. Z pierścionkami Manfreda sprawa wyglądała inaczej - stanowiły, jak Manfred, część jej duszy, pragnęła je nosić, tyle że wciąż zsuwały się z wychudzonych palców. Bardzo pragnęła opowiedzieć Liebmanom o samym Manfredzie, tyle że było już za późno. Nie potrafiłaby w tej chwili wydusić z siebie, że miała męża, który poległ... Liebmanowie zresztą nie byłiby pewnie zachwyceni takimi wiadomościami.

- Nad czym tak się zadumałaś, Ariano? - spytała Julie, wślizgując się do pokoju.

- Nad niczym szczególnym. Ładne masz buciki.

Julie nosiła takie same sandały, jakie przed chwilą włożyła Ariana.

- Mnie też się podobają. Wskoczysz z nami i z Paulem?

- A nie wolicie iść tylko we trójkę?

- Nie, Paul jest zupełnie inny niż Simon. Najpierw naskakuje na mnie, potem na Debbie, a potem wrzeszczymy na siebie wszyscy. - Obdarowała Arianą swoim na poły kobiecym, na poły

dziewczęcym uśmiechem. - Czy nie brzmi to zachęcająco? Chodź, zabawisz się na sto dwa.

- A nie wzięłaś pod uwagę, że twoje przewidywania co do jego charakteru mogą okazać się błędne? W końcu był na wojnie dwa lata i trudno wykluczyć, że bardzo się zmienił.

Julie uniosła brwi.

- Sądząc po reakcji na tę historię z Joan, wcale nie. Rany, Ariano, to w gruncie rzeczy kretyńka. Odbiło jej i zadała się z jakimś innym facetem. - Zachichotała złośliwie. - Powinnaś ją teraz zobaczyć. Odkąd zaszła w ciążę, wygląda jak zapasiony słoń. Spotkałyśmy ją z mamą w zeszłym tygodniu.

- Czyżby? - rozległ się od drzwi lodowaty głos. - Byłbym wdzięczny, gdybyś nie omawiała tej sprawy... ani ze mną, ani z nikim innym spośród domowników.

Paul wkroczył do pokoju kipiąc z wściekłości, a Julie, przyłapaną na ploteczkach, zalała się rumieńcem wstydu.

- Przepraszam. Nie miałam pojęcia, że tu jesteś.

- To się rzuca w oczy.

Kiedy wyniośle spoglądał na siostrę, Ariana pojęła, że po prostu gra. Był chłopcem, który udawał mężczyznę; był urażonym chłopcem. Pod wieloma względami przypominał jej Gerharda. Uśmiechnęła się na tę myśl, a zauważywszy to, Paul również się uśmiechnął.

- Wybacz, że zachowałem się grubiańsko, Ariano - powiedział. - Od powrotu do domu byłem taki chyba wobec wszystkich.

Naprawdę coraz bardziej przypominał jej Gerharda.

- Miałeś powody. Długo cię nie było, nastąpiły ogromne zmiany.

- Niektóre zdecydowanie na lepsze - odparł z uśmiechem.

Pojechali do Sheepshead Bay na ostrygi, potem na Manhattan, by obejrzeć Statuę Wolności, której Ariana nie widziała dotąd z powodu choroby, potem na Piątą Aleję, potem na Trzecią, gdzie na ulicy biegnącej pod torami metra Paul mógł pokazać, co potrafi jako kierowca. W czasie tej próby szybkościowej Ariana pozieleniała na twarzy.

- Wybacz, staruszko - bąknął Paul.

- Nic nie szkodzi - odparła z zakłopotaniem.

Paul wyszczerzył zęby od ucha do ucha.

- Ale byłby numer, gdybyś puściła pawika w nowym aucie mamy!

Ta uwaga sprawiła, że Ariana mimo mdłości parsknęła śmiechem.

Na koniec pojechali do Central Parku, urządzili sobie piknik przy stawie, a wreszcie poszli do zoo.

Świeciło cudowne czerwcowe słońce, byli młodzi i po raz pierwszy od utraty Manfreda

Ariana poczuła się naprawdę szczęśliwa.

Wieczorem, przy kolacji, Paul poruszył istotny temat.

- Słuchajcie no - powiedział - co robimy latem? Tkwimy w mieście jak kołki?

Jego rodzice wymienili spojrzenia; Paul był zawsze tym, który obruszał lawinę zdarzeń.

- Jeszcześmy się nie zastanawiali nad wakacyjnymi planami, kochanie - odparła Ruth, nakładając sobie ze srebrnego półmiska porcję pieczeni wołowej. - Myślałam o wynajęciu domu w Connecticut czy na Long Island, ale dotąd nie przedyskutowałam tej sprawy z twoim ojcem.

Liebmanowie jeszcze do niedawna mieli dom letni w górnej części Stanu Nowy Jork, sprzedali go jednak, bo budził w nich zbyt wiele bolesnych wspomnień związanych z Simonem.

- A skoro zacząłeś o tym mówić - wtrącił Sam - to weź z łaski swojej pod uwagę, że ty także musisz podjąć kilka decyzji. Ale z tym nie ma pośpiechu, Paul. Dopiero przecież wróciłeś do domu.

Najwyraźniej miał na myśli podjęcie przez Paula pracy w banku.

- Chyba powinniśmy porozmawiać o kilku sprawach, tato - odparł Paul, patrząc ojcu w oczy.

- Tak sądzisz? Może zatem wpadłbyś do mnie jutro na lunch?

- Z przyjemnością.

Sam Liebman nie miał pojęcia, że syn zamierza omówić z nim zasadniczo dwie kwestie: długie wakacje przed rozpoczęciem pracy i prezent w postaci sportowej odkrytej wersji cadillaca. Musiał zresztą przyznać, że oba życzenia miały sens. Gdyby dwudziestodwuletni w tej chwili Paul kończył właśnie college - a kończyłby z pewnością, gdyby nie poszedł na wojnę - miałby wszelkie prawo oczekiwać takich właśnie gratyfikacji. A zresztą... wrócił cały i zdrowy - to było warte każdych pieniędzy.

O czwartej po południu Paul stanął w drzwiach pokoju Ariany, zaskoczony, że dziewczyna jest sama.

- Udało się - oświadczył zwycięskim tonem.

- Co się udało, Paul? - zapytała z uśmiechem, wskazując mu krzesło.

- Staruszek obiecał mi solidne wakacje przed rozpoczęciem pracy w banku - odparł, promieniejąc jak chłopiec, któremu udało się z procy ustrzelić gołębia - i kabriolet cadillaca. I co na to powiesz?

- Niesamowite. - Przed wojną widziała w Niemczech tylko jednego cadillaca i nie była pewna, czym jest kabriolet. - Jak wygląda to auto?

- Prawdziwy cud. Umiesz prowadzić, Ariano?

- Tak - odrzekła, ale jej spojrzenie pomrocniało.

Natychmiast pojął, że poruszył jakąś nie do końca zabliźnioną ranę. Ujął jej dłoń.

- Wybacz - powiedział rozzłoszczony na siebie. - Chwilami zapominam, że nie powinienem zadawać ci pytań dotyczących przeszłości.

- Głuptas z ciebie. Przecież nie możesz mnie traktować jak paczuszkę z porcelaną, nie możesz się wiecznie bać zadawania mi pytań. Z czasem ból minie... chociaż na razie niektóre wspomnienia są zbyt okrutne.

On miał takich wspomnień niewiele, mimo to - chociaż tylko strata Simona była porównywalna z doświadczeniami Ariany - doskonale rozumiał, co dziewczyna ma na myśli.

Ariana podniosła głowę i popatrzyła na Paula z tym swoim na poły dziecięcym uśmiechem.

- Czasami przypominasz mi brata.

Uniósł brwi; po raz pierwszy z własnej inicjatywy napomknęła o swojej przeszłości.

- Jaki on był?

- Chwilami nieznośny. Kiedyś robił jakiś eksperyment chemiczny i spowodował eksplozję w swoim pokoju. Innym razem - w jej oczach zaiskrzyły się łzy - korzystając z nieuwagi szofera usiadł za kierownicą rollsa taty i władował się na drzewo. Długo wmawiałam sobie... - zamknęła oczy, jakby to, co zamierzała powiedzieć, sprawiało jej nieznośny ból. - Wmawiałam sobie, że taki chłopak jak Gerhard nie mógł zginąć, że jakimś cudem zdołał utrzymać się przy życiu... przetrwać.

Podniosła zapłakaną udręczoną twarz.

- Ale teraz, przez ostatnie miesiące - podjęła - wmawiam sobie co innego, coś, o czym wszyscy mnie przekonują: że powinnam wyzbyć się wszelkiej nadziei, że Gerhard umarł... Umarł, chociaż był taki wesoły... Umarł, chociaż był taki ładny, młody i silny. - Jej głos zmienił się w ochryply szept, ledwie słyszalny przez łzy. - Kochałam go... a jednak nie żyje.

Zapadła długa chwila ciszy, wreszcie Paul wyciągnął ramiona i przytulił zapłakaną Ariane, potem zaś, podobnie jak przy śniadaniu, delikatnie wytarł jej twarz swoją chusteczką.

Kiedy się odezwał, usiłował nadać swojemu głosowi beztroskie i lekko nonszalanckie brzmienie.

- A więc byliście na tyle zamożni, żeby jeździć rollsem? - zapytał.

- Nie wiem, jak byliśmy zamożni - odparła. - Europejczycy nie chwalą się zbyt swoimi majątkiem. Ojciec był szanowanym bankierem. - Westchnęła głęboko, po czym usiłując znaleźć we wspomnieniach coś, co nie wywoła łez, powiedziała cicho: - Pamiętam, że kiedy byłam mała, moja matka miała amerykański samochód, chyba forda.

- Coupe?

- Nie wiem - wzruszyła ramionami. - Pewnie tak. Chybaby ci się spodobał. Później przez wiele lat stał w garażu.

I znów w głowie Ariany zaczął się rozwijać łańcuszek wspomnień: samochód matki, Max i jego ucieczka, volkswagen zdobyty przez Manfreda... Jedno nieuchronnie wywoływało następne. To było niebezpieczne, pchało ją bowiem w objęcia świata, który już nie istniał.

- O czym myślisz, Ariano?

Popatrzyła mu w oczy. Był przyjacielem. Powinna być wobec niego uczciwa.

- Myślałam, jakie to dziwne, że to wszystko odeszło, nie istnieje. Ludzie, miejsca... Ludzie umarli, miejsca legły w gruzach...

- Ale ty żyjesz. I jesteś tutaj. - Mocno ścisnął jej dłoń i spojrzał w oczy. - A ja chcę, żebyś wiedziała, jak bardzo się cieszę, że tu jesteś.

- Dziękuję.

Zapadła cisza, którą przerwała dopiero Julie, dobijając się do drzwi pokoju.

ROZDZIAŁ 35

Tydzień później Paul przyprowadził do domu ciemnozielony kabriolet i zabrał Arianę na pierwszą przejażdżkę. Potem przyszła kolej na Debbie, Julie, Ruth, a wreszcie znów na Arianę. Wóz miał skórzane kremowe fotele i roztaczał miły jej nozdrzom zapach nowości.

- Jest cudowny, Paul! - stwierdziła.

- Prawda? - zachichotał radośnie. - I mój własny. Tata powiada wprawdzie, że dopóki nie rozpocznę pracy, mam traktować wózek jako pożyczkę, ale wiem swoje. To prezent.

Zdołał również nakłonić rodziców do wynajęcia odpowiedniego domu na lato i w tej chwili przygotowania do jedno -, może nawet dwumiesięcznych wakacji szły pełną parą.

- A od jesieni zaczniesz się katorga - oświadczył, kiedy po raz kolejny okrążali Central Park.

- Zamierzasz znaleźć sobie własne mieszkanie?

- Chyba tak. Jestem ciut za stary, żeby mieszkać pod skrzydłami rodziców.

Ze zrozumieniem kiwnęła głową. Był również bardzo dojrzały i w pełni gotów podążyć własnym szlakiem. Nie miała co do tego wątpliwości.

- Nie ucieszysz się z twojej wyprowadzki. Szczególnie Ruth i dziewczęta - stwierdziła.

Posłał jej dziwne spojrzenie i zaraz potem zjechał do krawężnika.

- A ty, Ariano? - zapytał. - Ty też będziesz za mną tęsknić?

- Oczywiście, Paul - odparła cicho. Zwłaszcza, pomyślała, po wczorajszej rozmowie, kiedy tak ją ujął. Nie chciała go teraz tracić.

- Ariano... czy jeśli wyprowadzę się z domu, zechcesz się ze mną czasem widywać?

- To zrozumiałe.

- Ale nie na przyjacielskiej stopie.

- Paul, co usiłujesz powiedzieć?

- Że jesteś dla mnie kimś szczególnym - odrzekł, patrząc jej w oczy. - Kimś bardzo, bardzo droгим. Że przyciągasz mnie jak magnes od dnia, kiedy cię ujrzałem.

Natychmiast przypomniała sobie tamto śniadanie, gdy najpierw doprowadził ją do płaczu pytając o Berlin, a później wycierał jej załzawioną twarz. Od tej chwili ją też do niego ciągnęło, chociaż ze wszystkich sił opierała się pokusie.

- Wiem, co sobie myślisz - powiedział, nie spuszczać oczu z Ariany, nadzwyczaj pięknej w obcisłej jedwabnej bluzce. - Że prawie się nie znamy, a jeszcze kilka tygodni temu byłem zaręczony z inną. Myślisz, że usiłując zaleczyć rany, za bardzo się spieszę...

- Niezupełnie, Paul.

- Ale przynajmniej częściowo?

Skinęła głową.

- Naprawdę wcale mnie nie znasz.

- Ależ znam, znam. Jesteś dowcipna, dobra, życzliwa i mimo tego wszystkiego, przez co przeszłaś, wcale nie zgorzkniałaś. Pochodzimy z takich samych światów i oboje jesteśmy Żydami.

Jej duszę przeszył ból. Ilekroć któreś z nich mówiło coś takiego, przypominała sobie swoje kłamstwo. Ale jej „żydowskie pochodzenie” znaczyło dla nich tak wiele! Mogło się wydawać, że tylko będąc Żydówką zasługuje na ich miłość. Często o tym rozmyślała. Wszyscy znajomi Liebmanów, wszyscy koledzy i koleżanki dziewcząt, wszyscy kontrahenci Sama byli Żydami. To stanowiło pewnik, rzecz zrozumiałą samą przez się... Nie do pomyślenia, aby Ariana, która zyskała ich miłość, mogła nie być Żydówką.

Sam i Ruth nienawidzili Niemców. Z ich punktu widzenia każdy nieżydowski mieszkaniec Niemiec był faszystą. Ariana szybko to pojęła i ta świadomość wciąż była dla niej bolesna. Bolesna również w tej chwili. Odwróciła od Paula głowę.

- Nie... przestań, Paul, proszę - wyszeptwała.

- Dlaczego? - Delikatnie położył dłoń na jej ramieniu. - Czyżby naprawdę było za wcześnie? Nie podzielasz moich uczuć?

Zwlekała z odpowiedzią. Dla niej zawsze będzie za wcześnie. W duszy wciąż była mężatką. Gdyby Manfred żył, pewnie zaczęłaby teraz zastanawiać się nad pierwszym dzieckiem. Nie, nie chciała myśleć o innym mężczyźnie - ani w tej chwili, ani przez jeszcze długi czas.

Obróciła na Paula udręczone spojrzenie.

- Paul, są w mojej przeszłości sprawy... być może nigdy nie będę gotowa, żeby... nie mogę dawać ci nadziei...

- Czy mnie jednak lubisz, chociażby w roli przyjaciela?

- Tak, i to bardzo.

- W porządku, a więc dajmy sobie trochę czasu. Nie proszę o nic więcej.

I niezmiernie delikatnie pocałował ją w usta.

Chciała uchylić głowę, była to winna Manfredowi, lecz... nie mogła, zniewolona przez coś znacznie silniejszego niż pamięć i zdrowy rozsądek. Kiedy ją przestał całować, była zadyszana i oblana rumieńcem.

- Ariano, poczekam, jeśli będę musiał. A tymczasem - musnął wargami jej policzek i uruchomił samochód - poprzestanę na roli twojego przyjaciela.

Ariana uznała, że ta rozmowa nie może się tak skończyć.

- Paul - rzekła cicho - nie potrafię wyrazić, jak bardzo poruszają mnie twoje uczucia. Jak mam powiedzieć, że kocham cię jak brata, a zarazem...

- A zarazem nie całowałaś mnie jak siostra - wtrącił.

Zarumieniła się jeszcze mocniej.

- Nic nie rozumiesz... Ja nie mogę... nie jestem... nie potrafię być kobietą żadnego mężczyzny.

Długo tłumił w sobie to pytanie, wreszcie jednak, gdy prawie zajeżdżali pod dom, zadał je, czując przy tym w sercu dojmujący ból.

- Ariano... czy cię skrzywdzili?... Mam na myśli faszystów.

Wzruszona jego troską, objęła go i przytuliła.

- Nie, Paul, faszyci nie zrobili mi tego, o czym myślisz...

Pojął, że nie mówiła prawdy, kiedy nocą usłyszał jej okropny krzyk. Taki sam jak podczas wielu innych nocy... Tym razem nie zostawił jej sam na sam z koszmarami, którym dotąd bez niczyjej pomocy stawiała czoło, lecz bosy podążył do jej sypialni. Ariana, oświetlona wątlm blaskiem małej lampki, siedziała na krawędzi łóżka i kryjąc w dłoniach twarz, zanosiła się płaczem. Na jej kolanach spoczywał oprawiony w skórę tomik.

- Ariano?

Odwróciła głowę i wtedy dostrzegł w jej twarzy bezmierną udrękę. Nie powiedział nic więcej - usiadł tylko obok i obejmował ją tak długo, aż płacz osłabł, a potem umilkł.

We śnie znowu ujrzała Manfreda - martwego na stosie trupów przed Reichstagem. Jakże jednak miała o tym powiedzieć Paulowi?

Po chwili wyjął jej książkę z ręki i spojrzał na grzbiet.

- Szekspir? Kochanie, tylko najbardziej zagorzali intelektualiści czytują go o tej porze. Nic dziwnego, że płakałaś. Ja też czasem chlipię pod koniec „Romea i Julii”.

Uśmiechnęła się przez wysychające już łzy.

- To nie jest prawdziwa książka - wyjaśniła, odbierając Paulowi tomik. - Uratowałam ją przed faszystami... nie zostało mi nic innego.

Otworzyła tajną skrytkę i oszołomiony Paul ujrzał przed sobą roziskrzzone klejnoty.

- Należały do mojej matki - wyszeptła Ariana. - To wszystko co mam.

Miała dość rozsądku, by już wcześniej ukryć fotografie Manfreda pod podszewką torebki, teraz wszakże przypomniała je sobie i na nowo wybuchnęła płaczem.

- Psst, Ariano... przestań - powiedział łagodnie. Wciąż tulił ją mocno, ale nie odrywał oczu od ogromnego szmaragdu i zdobnego brylancikami sygnetu. - Boże, niesamowite kamyki. I ty zdmuchnęłaś je faszystom sprzed nosa?

Z triumfalnym uśmiechem skinęła głową.

- Prawda, że cudowne? - Ujęła w palce szmaragd. - Chyba dawniej należał do babki, ale nie

jestem pewna. Bo ten - pokazała sygnet - ma nawet inicjały babci.

Wplecione w misterny ornament, były niewidoczne dla nie wtajemniczonego.

- Prawdziwy cud, że nikt ci ich nie skradł podczas rejsu - stwierdził Paul.

- Najpierw musiałby mnie zabić - odparła. - Naprawdę tylko to mi zostało.

- Przekonałem się na własnej skórze, że nic nie jest warte ofiary życia.

Kiwnęła głową; w teorii Manfred był tego samego zdania.

Pocałował ją raz jeszcze, po czym delikatnie położył i otulił kołdrą.

- Zaśnij teraz - powiedział.

Karciła się w duszy, że pozwoliła na ten pocałunek, kiedy jednak Paul wyszedł z pokoju, mimowolnie wróciły do niej słowa - o wojnie, o samym sobie... Mógłby je wypowiedzieć Manfred.

Paul był bardzo młody, lecz w oczach Ariany szybko stawał się mężczyzną.

ROZDZIAŁ 36

- Dobrze się czujesz, Ariano? - zapytała nazajutrz przy śniadaniu Ruth, spostrzegłszy niezwykłą bladość dziewczyny.

Po wyjściu Paula Ariana potrzebowała wielu godzin, by ponownie zapaść w sen. Miała poczucie winy, że go nie zniechęca, zdawała sobie sprawę, że kiedy pobędzie w domu dłużej, wyszaleje się, poodnawia stare znajomości i zdobędzie nowych przyjaciół, fascynacja nią trochę zblednie. Ale tymczasem przypominał wielkiego bezgranicznie oddanego szczeniaka i po prostu nie chciała go urazić. Była zirytowana własnym postępowaniem, choć z drugiej strony... miała słabostki jak każdy, Paul zaś okazał jej dobroć, gdy dręczyły ją koszmary.

Podniosła na Ruth swe wielkie smutne oczy. Starsza kobieta zapytała z troską:

- Czy coś się stało, moja droga?

Ariana nieznacznie pokręciła głową.

- Nie, chyba jestem po prostu zmęczona, ciociu. Odpocznę trochę i wszystko będzie w porządku.

Nie uspokoiła wszakże Ruth Liebman, która tuż po śniadaniu usiadła przy telefonie, a nieco później zjawiała się w pokoju Ariany.

Dziewczyna z bladym uśmiechem na twarzy ciężko dźwignęła głowę z poduszki. Drogo opłaciła bezsenną noc - wróciwszy do sypialni po śniadaniu, wymiotowała przez pół godziny.

- Pomyślałam sobie, że nie byłoby źle, gdybyś odwiedziła dzisiaj doktora Kaplana - oznajmiła Ruth, siląc się na bez troskę.

- Ależ nic mi nie jest... naprawdę... - słabo zaprotestowała Ariana.

- Dość - ucięła Ruth, posyłając jej karcące spojrzenie.

Okryta po szyję Ariana lekko skinęła głową.

- Już dobrze, ciociu, ale naprawdę nie potrzebuję wizyty u lekarza. Nic mi nie dolega.

- Zachowujesz się tak samo jak Debbie czy Julie. A właściwie nawet jak... - uśmiechnęła się od ucha do ucha - jak Paul... Chyba zbytnio ci się nie narzuca, Ariano, prawda?

Ariana pokręciła głową.

- Oczywiście, że nie.

- Ot, przyszło mi do głowy, bo wyraźnie smali do ciebie cholewki.

Ariana nie знаła tego wyrażenia, bez trudu jednak zrozumiała sens słów Ruth.

- Takie odniosłam wrażenie - powiedziała siadając na łóżku. - Ale nie mam zamiaru go prowokować. Jest dla mnie jak brat, a tak okropnie tęsknię za bratem! No i - dodała patrząc w oczy Ruth - nigdy nie zrobię czegoś, co mogłoby tobie sprawić przykrość.

- Otóż właśnie. Wcale byś mi nie sprawiła przykrości.

- Naprawdę? - zapytała z niedowierzaniem Ariana.

- Naprawdę - odparła uśmiechając się Ruth Liebman. - Onegdaj rozmawialiśmy o tym z Samem. Paul pewnie jeszcze nie wyleczył się do końca z Joan, ale to dobry chłopak. Nie chcę do niczego cię popychać, wiedz jednak, gdyby kiedykolwiek wypłynął ten problem, że bardzo cię kochamy.

- Och, ciociu! - Ręce Ariany otoczyły szyję starszej pani. - Ja też bardzo was kocham.

- Chcemy, żebyś sama decydowała o swoim losie. Jesteś teraz członkiem rodziny i musisz dbać o swoje dobro. A skoro Paul poczuł do ciebie miłość, nie pozwól mu się przyprzeć do muru, jeśli nie odwzajemniasz jego uczuć. Znam upór tego chłopaka!

- Nie sędzę, żeby do tego doszło - zaśmiała się Ariana.

- A ja miałam dziwne wrażenie, że właśnie do tego dochodzi i że ty, powodowana wdzięcznością wobec nas, możesz zachować się nie tak, jak dyktuje ci serce.

- Nie... - Ariana bez przekonania pokręciła głową. - Chociaż Paul mi powiedział, że... - Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami. - Ot, pewnie po prostu... smali cholewki, jak to ciocia ujęła.

- Zawsze słuchaj tylko podszeptów serca - poradziła z nadzieją w głosie Ruth.

Ariana roześmiała się i spuściła nogi na podłogę.

- Czy wszystkie matki odgrywają w pewnych sytuacjach rolę Kupidyna?

- Nie wiem. Mnie przydarza się to po raz pierwszy. Ale - spojrzała z powagą w oczy Ariany - nie ma na świecie nikogo, kto by nam bardziej odpowiadał jako synowa. Jesteś wyjątkową, cudowną dziewczyną.

- Dziękuję, ciociu.

Ariana podeszła do szafy i wyjęła z niej sandały i letnią sukienkę w różowe paski, czerwcowe słońce bowiem było już bardzo gorące. Zamierzała właśnie raz jeszcze powiedzieć Ruth, jak bardzo niecelowa wydaje się jej wizyta u lekarza, gdy nagle poczuła słabość i osunęła się na podłogę.

ROZDZIAŁ 37

Gabinet doktora Stanleya Kaplana mieścił się na rogu Pięćdziesiątej Trzeciej Ulicy i Park Avenue; Ruth wysadziła Arianę przed wejściem, sama zaś poszła na przechadzkę po parku.

- No i cóż, młoda damo, jak się pani miewa? To zresztą niemądre pytanie. Najwyraźniej nienadzwyczajnie, w przeciwnym razie nie przychodziłaby pani do mnie - powiedział z życzliwym uśmiechem starszy dobrotliwy pan.

Ostatnim razem, kiedy doktor Kaplan widział Arianę, dziewczyna była blada, wystraszona, zabiedzona. Teraz wróciła jej cała uroda. No, prawie... W oczach ciągle czaił się lęk, ból, poczucie utraty... Takie rzeczy mają długi żywot. Ale poza tym miała piękną cerę, jasne spojrzenie i lśniące, ostrzyżone teraz na pazia włosy. W efektownej sukience sprawiała wrażenie młodej damy z nowojorskich wyższych sfer, nie zaś uciekinierki z udręczonej wojną Europą.

- Na czym więc polega problem? Wciąż te koszmary, mdłości, zawroty głowy, omdlenia? Słucham - rzekł doktor Kaplan, ujmując pióro.

- Nadal miewam koszmary, chociaż nie tak często jak kiedyś. Teraz czasami spokojnie przesypiam całe noce.

- Istotnie - skinął głową - sprawia pani wrażenie wypoczętej.

Wtedy wyznała, że zwraca prawie każdy posiłek.

- Czy Ruth o tym wie? - zapytał wstrząśnięty. Pokręciła głową. - Musi jej pani powiedzieć. Powinna pani przejść na specjalną dietę. Każdy posiłek, Ariano?

- Prawie każdy.

- Nic dziwnego, że jest pani tak szczupła. Czy te żołądkowe problemy miewała już pani wcześniej?

- Zaczęły się dopiero po mojej pieszej wędrówce do Paryża. Przez dwa dni szłam o pustym żołądku, potem próbowałam jeść ziemię...

Skinął głową.

- A omdlenia?

- Często mi się zdarzają.

To, co uczynił potem, kompletnie zaskoczyło Arianę: odłożył pióro i przeciągle spojrzął jej w oczy, a jego wzrok wyrażał takie współczucie, że dziewczyna natychmiast pojęła, iż ten człowiek jest jej przyjacielem.

- Ariano, musi pani zrozumieć, że nie powinna mieć przede mną żadnych tajemnic. Nie zdołam pani pomóc, jeśli nie będę wiedzieć, przez co pani przeszła. Proszę przy tym pamiętać, że to co mi pani powie, pozostanie naszą tajemnicą. Składając przysięgę lekarską, zobowiązałem się

strzec bez względu na okoliczności sekretów pacjentów. Nie powtórzę więc pani wyznań ani Ruth, ani Samowi, ani młodemu Liebmanom... Nikomu. Jestem pani lekarzem, Ariano, i przyjacielem. A poza tym starym człowiekiem, który dość się w życiu napatrzył... choć może moje doświadczenia są uboższe niż pani. Niemniej nic nie jest w stanie mnie zaszokować. Jeśli zatem wie pani coś, co mogłoby stanowić wyjaśnienie pani problemów, słucham.

Miał tak życzliwy wyraz twarzy, że Ariana zapragnęła go uścisnąć. Zamiast tego jednak westchnęła tylko i odparła:

- Chyba pana rozczaruję, doktorze. Przez miesiąc siedziałam w celi, jedząc tylko kartoflanek na wodzie, zapleśniały chleb i raz w tygodniu ochłap mięsa. Ale to było dawno, niemal rok temu.

- Czy to wtedy zaczęły się koszmary?

- Niektóre. Bardzo... bardzo się martwiłam o los ojca i brata - odparła łamiącym się głosem.

- Nie widziałam ich więcej...

Kaplan pokiwał głową.

- Czy w tym czasie miewała pani również kłopoty z żołądkiem?

- Raczej nie. - Ariana uśmiechnęła się nieznacznie, wspomniawszy swoje pierwsze nieudolne próby kulinarne u Manfreda, a zwłaszcza gulasz z wątrobianki. Może to on właśnie rozstroił jej żołądek? Nie podzieliła się wszakże z lekarzem wątpliwościami.

Doktor Kaplan zaś postanowił ostrożnie poruszyć sprawę, o której dotąd nie śmiał napomykać.

- Ariano - zaczął - mam wrażenie, że znamy się już dość dobrze...

- A więc? - pospieszyła mu na pomoc.

- Czy została pani... - długo poszukiwał odpowiedniego słowa. - Czy została pani wykorzystana?

Świadom jej niezwyklej porcelanowej urody, nie miał wątpliwości, że tak właśnie było, lecz Ariana stanowczo pokręciła głową.

- Nigdy?

- Raz omal do tego nie doszło. Kiedy przetrzymywano mnie w celi - odparła, nie spiesząc jednak ze szczegółowszymi wyjaśnieniami.

Kiwnął głową.

- No to chyba powinniśmy panią przebadać - oświadczył, wzywając brzęczykiem pielęgniarkę.

Rutynowe badanie nie wykazało niczego, Kaplan zatem z wahaniem, niepewny reakcji Ariany, a właściwie przekonany, że potraktuje rzecz jak torturę, zasugerował pelwiskopię. Nie

bardzo wiedząc, o co chodzi, wyraziła zgodę, lecz zachowywała niezwykle spokojny, kiedy poddawał ją nieprzyjemnym badaniom ginekologicznym, w wyniku których zyskał potwierdzenie swoich domysłów: macica się rozpułchniła osiągając rozmiar dwakroć większy od normalnego.

- Ariano, może pani usiąść - powiedział.

Popatrzył na nią ze smutkiem. Kłamała; nie tylko została wykorzystana seksualnie, ale również zapłodniona.

Kiedy pielęgniarka wyszła, podjął:

- Niestety muszę pani zdradzić coś, co chyba powinniśmy omówić obszerniej.

- A więc to coś poważnego? - zapytała z trwogą w głosie. Do tej chwili kładła swoje dolegliwości i brak miesiączki na karb trudów podróży, szokujących przeżyć, kłopotów z aklimatyzacją.

- Raczej tak, moja mała. Jest pani w ciąży - oznajmił, spodziewając się ujrzeć na twarzy Ariany wyraz niedowierzania i zgrozy. Zamiast tego wszakże zobaczył zaskoczenie, które przerodziło się w wątpliwy uśmiech. - Niczego pani nie podejrzewała? - Pokręciła głową, a jej uśmiech stał się odrobinę szerszy. - A więc jest pani mile zaskoczona? - zapytał z niedowierzaniem.

Ariana sprawiała wrażenie osoby obdarowanej bezcennym prezentem; jej obrócone na Kapłana fiołkowe oczy były przepełnione miłością i zachwytem. To musiało się stać tuż po ślubie... pod koniec kwietnia, a może w tę ostatnią noc, zanim wyruszył, by bronić Reichstagu. W takim razie byłaby w siódmym tygodniu ciąży. Z niedowierzaniem wpatrywała się w lekarza.

- Jest pan zupełnie pewien?

- Mogę przeprowadzić testy, jeśli pani sobie życzy, ale szczerze mówiąc, nie widzę potrzeby. Jestem pewien. Ariano, czy wie pani...

Uśmiechnęła się do niego ciepło.

- Tak, wiem. - Zdawała sobie sprawę, iż może ufać temu człowiekowi. Że musi mu ufać. - To dziecko mojego męża - dodała. - Jedyne mężczyzny... którego znałam.

- Gdzie jest teraz pani mąż?

Ariana opuściła wzrok, po jej policzkach stoczyły się dwie duże łzy.

- Nie żyje... jak pozostali. - Podniosła głowę. - Umarł.

- Ale będzie pani mieć jego dziecko - rzekł z nutą radości w głosie doktor Kapłan. - Na zawsze, prawda?

Uśmiechnęła się nieznacznie, pozwalając sobie wreszcie pomyśleć o Manfredzie, ujrzeć w duszy obraz jego twarzy, obudzić pamięć jego dotyku. Przywoływała go jakby do siebie, aby podzielić się z nim nowinami o dziecku. Dotąd toczyła desperacki bój ze wspomnieniami, przejęta obawą, że zawładną nią bez reszty - teraz pozwoliła, by opłynęły ją jak ciepła, kojąca rzeka. Minęło

dziesięć minut, zanim w ślad za lekarzem przeszła z pokoju zabiegowego do gabinetu.

Kaplan przez dłuższą chwilę spoglądał na nią z powagą, wreszcie zapytał:

- I co pani teraz zrobi? Będzie pani musiała powiedzieć o wszystkim Ruth.

Zapadła cisza. Ariana jeszcze się nad tym nie zastanawiała, przez chwilę bowiem zapomniała o istnieniu Liebmanów. Teraz pojęła, że będzie im musiała powiedzieć. Jak zareagują? Jak odniosą się do dziecka? I to czyjego!... Dziecka niemieckiego oficera. Musiała go bronić za wszelką cenę... Przyszły jej na myśl pierścionki matki. Tak, sprzeda je i za jakiś czas wyprowadzi się od Liebmanów.

- Nie chcę nic mówić Ruth, panie doktorze.

- Ale dlaczego? - stropił się. - To dobra kobieta, pełna życzliwości. Zrozumie.

- Nie mogę w nieskończoność nadużywać jej dobroci - odparła Ariana stanowczo. - Tak wiele już dla mnie zrobiła, że nie mam prawa prosić o więcej.

- Musi pani myśleć o dziecku. Należy mu się szansa na godziwe życie, taka szansa, jaką Liebmanowie dali pani, przyjmując ją pod swój dach...

Te słowa miały prześladować Arianę bardzo długo.

Przed wyjściem z gabinetu wymogła na lekarzu obietnicę, że nie wspomni o niczym Ruth. Dotrzymał przyrzeczenia oznajmiając, że w zasadzie wszystko jest w porządku - jego pacjentka wciąż odreagowuje trudy podróży, powinna zatem dużo spać, dobrze jeść i nie przemęczać się pod żadnym pozorem.

- Kamień spadł mi z serca - stwierdziła Ruth, kiedy wracały do domu.

Była tego dnia jeszcze cieplejsza niż zwykle, toteż Arianie rwało się serce, że musi ją zwodzić. Ale nie miała wyboru, musiała, przynajmniej chwilowo. Później sama zatroszczy się o los dziecka, jej dziecka, dziecka Manfreda, dziecka, którego oboje tak bardzo pragnęli, dziecka poczętego wśród popiołów ich marzeń. Teraz te marzenia ożyją jak kwiaty muśnięte powiewem wiosny.

Po południu długo siedziała samotnie w swoim pokoju, wyobrażając sobie najrozmaitsze rzeczy i zadając dziesiątki pytań. Czy będzie to chłopczyk czy dziewczynka? Czy będzie podobne do Manfreda? A może do jej ojca?... Postrzegając w nie narodzonym dziecku gościa z innego, ale dobrze znanego świata, bez końca zastanawiała się, czyje będzie miało rysy, kto się odrodzi w jego maleńkim ciałku.

Lekarz powiedział, że rozwiązanie nastąpi pod koniec stycznia albo na początku lutego, bo pierwsze porody często bywają opóźnione. Cięża jego zdaniem stanie się widoczna dopiero pod koniec września, może nawet w październiku, pod warunkiem oczywiście, że Ariana będzie się odpowiednio ubierać. Właśnie wtedy przyjdzie jej zatem wyprowadzić się od Liebmanów, znaleźć

sobie pracę i mieszkanie. Może będą ją odwiedzać?... Wyobraziła sobie Julie i Debbie wpatrzone w maleńką istotkę wierzgającą nóżkami w zrobionych na drutach wełnianych śpioszkach...

- Co cię tak rozanieliło, Ariano? - zapytał Paul.

Nawet nie zauważyła, jak wszedł do pokoju.

- Nie wiem. Po prostu rozmyślałam.

- O czym? - zapytał, siadając obok niej na podłodze.

- O niczym szczególnym - odparła, nieświadoma, że jej radość jest prawie namacalna.

- A wiesz, o czym ja dzisiaj myślałam? O wakacjach. Tenis, pływanie, byczenie się w słońcu, przyjęcia... Nie sądzisz, że będzie bombowo?

Skinęła głową, chociaż nie miała pewności, co o tych perspektywach sądzi ta druga, maleńka osoba. Z powagą popatrzyła na Paula.

- Wiesz? Właśnie podjęłam wielką decyzję.

- Jaką?

- We wrześniu znajdę sobie pracę i mieszkanie.

- Nie ty jedna. Wynajmiemy je do spółki?

- Ha, ha, ha, ale zabawne!... Mówię najpoważniej w świecie.

- Ja też. A nawiasem mówiąc, jaka praca chodzi ci po głowie?

- Jeszcze nie wiem, ale coś wymyślę. Może twój ojciec podsunie mi pomysł.

- Ja już mam pomysł - powiedział, całując jej włosy. - Ariano, dlaczego mnie nie słuchasz?

- Bo jesteś za młody, żeby mówić do rzeczy.

Roześmiał się na całe gardło, wyczuwając dobry nastrój dziewczyny; istotnie, od dawna nie była tak szczęśliwa.

- Jeśli mówisz serio o znalezieniu pracy we wrześniu, masz przed sobą ostatnie w życiu beztroskie lato. Ja też. Ostatni wyskok, zanim się ustatkujemy.

- Umowa stoi - odparła z szerokim uśmiechem:

- A zatem, Ariano, zabawmy się na sto dwa.

ROZDZIAŁ 38

Tydzień później wszyscy przenieśli się do wielkiej posiadłości w East Hampton. W głównym budynku znajdowało się sześć sypialń, trzy służbówki, jadalnia zdolna pomieścić batalion wojska, ogromny salon, niewiele od niego mniejszy gabinet, rodzinna bawialnia i wręcz gigantyczna kuchnia. Poza tym był do dyspozycji dom gościnny o pięciu sypialniach, który Liebmanowie zamierzali przeznaczyć dla przyjaciół i krewnych, oraz domek na plaży służący jako przebieralnia. Wakacje zapowiadały się wspaniale aż do chwili, gdy nazajutrz po ich rozpoczęciu Ruth usłyszała od Paula, że na jesieni Ariana zamierza się wyprowadzić.

- Ale dlaczego, Ariano? - spytała przy najbliższej okazji kompletnie przytłoczona nowinami Ruth.

- Bo nie mogę narzucać się wam w nieskończoność.

- Bzdura, nikomu się nie narzucasz, jesteś jednym z naszych dzieci. A jeśli naprawdę czujesz, że musisz podjąć pracę, to przecież tak jak dotąd możesz mieszkać z nami. Idź na studia, jeśli chcesz... wspominałaś kiedyś, że masz na to ochotę... rób, co tylko przyjdzie ci do głowy, ale... ale wyprowadzka nie ma sensu!

- Och, Paul, chyba jest urażona! - powiedziała Ariana tego samego popołudnia, kiedy jechali we dwójkę do Nowego Jorku, by załatwić kilka drobnych spraw: kupić dla Debbie dwa kostiumy kąpielowe, jakieś leki dla Julie, zabrać z biurka w domu zapomniane przez Ruth dokumenty Kobiecej Organizacji Dobroczynnej.

Paul nie odpowiedział.

Z wszystkim uporali się bardzo szybko, gdy zaś Paul zbierał się już do powrotu, Ariana zerknęła na otrzymany od Ruth złoty zegareczek.

- Myślisz, że starczy nam czasu na załatwienie jeszcze jednego drobiazgu? - zapytała.

- Jasne, o co chodzi?

- Przrzekłam doktorowi Kaplanowi, że przy najbliższej okazji wpadnę do niego po witaminy, które mi zalecił.

- Od tego powinniśmy byli zacząć - stwierdził surowym tonem.

- Tak jest, szefie! - zaśmiała się przeciągając w słońcu. Jakże cudownie być młodym!

- Chcesz poprowadzić w drodze powrotnej?

- Twojego pieszczoła? Paul, co ty dzisiaj piłeś?

Roześmiał się, rad, że Ariana jest w beztroskim nastroju.

- Mam do ciebie zaufanie. Mówiłaś, że potrafisz prowadzić.

- Pochlebiam ci twoja wiara w moje umiejętności.

- Oddałbym ci wszystko, co mam, Ariano. Nawet mój nowy wózek.

- Dziękuję.

Kiedy dotarli na miejsce, wyskoczył z auta, otworzył drzwiczki od strony Ariany i oznajmił z ciepłym uśmiechem:

- Wejdę z tobą, żeby złożyć wyrazy uszanowania drogiemu doktorce.

Wizyty u lekarza nie były już Paulowi potrzebne - kontuzjowane kolano, które nie pozwoliło mu walczyć do końca wojny, było właściwie wyleczone, a lekkie utykanie zapewne zniknie przed jesienią.

Po kilku chwilach rozmowy we troje doktor Kaplan oznajmił, że chciałby zostać z Arianą sam na sam, w związku z czym Paul bez sprzeciwu wyszedł do poczekalni i rozsiadł się na krześle.

- Jak się pani czuje? - zapytał lekarz.

- Dobrze, panie doktorze. Dopóki uważam na to, co jem, czuję się doskonale - odparła Ariana, lekarz zaś stwierdził, że istotnie nie widział jej w lepszej formie.

Nosiła tego dnia lekką rozkloszowaną sukienkę ściągniętą w talii, słomkowy kapelusz zawiązany pod brodą tasiemkami takiego samego koloru jak jej oczy - i wyglądała prześlicznie, czego lekarz nie omieszkał skwitować wyrazami uznania. Potem lekko zakłopotany zamilkł na chwilę, wreszcie spytał:

- Nikomu pani nie powiedziała, prawda?

- Nie - pokręciła głową. - Podjęłam decyzję. Mówił pan, że to stanie się widoczne we wrześniu, dlatego zaraz po powrocie z Long Island wyprowadzę się od państwa Liebmanów i poszukam sobie pracy. Dopiero wtedy powiem im o wszystkim... Jestem przekonana, że okażą zrozumienie. Ale w żadnym razie nie zamierzam narzucać się im dłużej czy liczyć na to, że będą utrzymywać moje dziecko.

- To bardzo szlachetne z pani strony, tylko czy zastanowiła się pani, jak utrzyma siebie i dziecko? Czy w ogóle myślała pani o dziecku, czy tylko o sobie?

Była to, jak na pocziwego lekarza, oracja nader surowa. Ariana w pierwszej chwili poczuła gniew, w następnej zaś urazę.

- Oczywiście, że myślałam o dziecku. W gruncie rzeczy myślałam tylko o nim. A właściwie do czego pan zmierza, doktorze?

- Zmierzam do tego, że liczy sobie pani zaledwie dwadzieścia lat, nie dysponuje fortuną ani zawodem i przebywa w obcym kraju, gdzie pani niemieckie pochodzenie może budzić pewne resentymy i utrudnić lub wręcz uniemożliwić znalezienie pracy. Skończyliśmy właśnie wojnę z Niemcami i niewiele osób będzie brać pod uwagę, że pani również jest ofiarą tej wojny. Zmierzam do tego, że nie chce pani stworzyć dziecku szans na godne życie, chociaż może to uczynić, jeśli z

decyzją nie będzie zwlekać zbyt długo. Jeśli zrobi pani coś natychmiast.

Niewiele z tego pojmując, patrzyła nań szeroko otwartymi oczyma.

- O co panu chodzi?

- Chodzi mi o to - rzekł znacznie łagodniejszym tonem - że powinna pani wyjść za mąż. Dać życiową szansę sobie i dziecku. Wiem, że to bardzo trudne, ale od naszej ostatniej rozmowy rozważałem to na wszystkie strony i doszedłem do wniosku, że to jedyne wyjście. Niech mi pani wierzy, myślałem o tym bez ustanku. Znam Paula od dzieciństwa i widzę, co do pani czuje. Sugerując takie rozwiązanie, ogromnie obciążam swoje sumienie... ale czyż koniec końców komukolwiek stanie się krzywda? Jeśli poślubi pani tego chłopaka, który siedzi w poczekalni, zagwarantuje pani przyszłość dziecku i sobie.

- Ja się nie liczę - odparła z roztargnieniem, wstrząśnięta pomysłem lekarza.

- Ale liczy się dziecko. I co pani na to?

- Nie potrafiłabym... To... to nieuczciwe.

- Wiele dziewcząt tak właśnie postępuje, mając w dodatku znacznie węższe powody niż pani... Ariano, dziecko przyjdzie na świat dopiero za siedem miesięcy. Mógłbym twierdzić, że jest wcześniakiem. Nikt się nie zorientuje. Nikt. Nawet Paul.

- Uważa pan, że sama nie utrzymam siebie i dziecka?

- Oczywiście, że nie. Któż zechce zatrudnić kobietę w ciąży? I w jakim charakterze?

Milczała przez dłuższy czas, potem z zadumą pokiwała głową. Może doktor Kaplan ma rację... Liczyła na pracę w sklepie... Ale jakież to wstrętne postępek!... jakie oszustwo!... jaka krzywda wyrządzona Paulowi! Czyż mogłaby go tak okłamać? Był jej przyjacielem, a nawet kimś, kogo darzyła swoistym rodzajem miłości.

Wstyd i poczucie winy narastały w niej jak torsje na samą myśl o podobnym rozwiązaniu.

- To straszne, panie doktorze. Jakżebym mogła zrobić coś takiego?

- Może pani zrobić dla dobra nie narodzonego jeszcze dziecka. Czy dotarła pani do Paryża, a potem tu, mówiąc prawdę i tylko prawdę? Czy nie skłamałaby pani albo nawet nie zabiła, żeby ocalić życie? Tak właśnie musi pani postąpić, aby zapewnić dziecku ojca, dom, wykształcenie...

Ariana kiwała głową, uzmysławiając sobie, iż była naiwna, kiedy zakładała, że na to wszystko wystarczą pierścionki spoczywające w skrytce.

- Muszę to przemyśleć - powiedziała ze znużeniem.

- Naturalnie, tylko proszę się spieszyć, bo powtarzam: może być za późno. Jeśli podejmie pani decyzję szybko, będę miał wiele argumentów: pani słabe zdrowie, wycieńczenie, podróż z Europy i tak dalej.

- O wszystkim pan pomyślał, prawda? - zapytała, pojmując w tej chwili, że doktor Kaplan

robi oto zastrzyk, który jest jej niezbędnie potrzebny, aby mogła przetrwać, że uczy jej reguł gry, w której stawki zawsze są najwyższe. Już była niezła w tej grze... Tylko kiedy będzie mogła odejść od stołu?

- Jeśli pani to zrobi, Ariano - dodał - pani tajemnica nigdy nie wyjdzie na jaw.

- Dziękuję panu, doktorze... za życie moje... i dziecka.

Wręczył jej witaminy i lekko poklepał po ramieniu.

- Tylko naprawdę niechże pani podejmie decyzję jak najszybciej, Ariano.

Kiwnęła głową.

- Zrobię tak - szepnęła.

ROZDZIAŁ 39

O dziewiątej rano rozległo się łomotanie do drzwi, a potem głos Julie:

- Ariano, idziesz popływać?

Ariana leniwie otworzyła oko.

- Tak wcześnie? Jeszcze śpię.

- Paul też spał, a jednak idzie.

- Święta prawda - wtrącił Paul, wchodząc do pokoju. - A skoro ja mogę iść na plażę z tymi potworkami, tobie też korona z głowy nie spadnie.

- Może i nie spadnie.

Leniwie przeciągnęła się na łóżku, Paul zaś usiadł obok niej i musnął ustami jej spadające na twarz złote włosy.

- Bo jeśli się będziesz opierać, wywlokę cię z łóżka i siłą zaciągnę na plażę.

- Czarująca propozycja.

- Prawda? - Uśmiechnął się do niej, Ariana zaś odwzajemniła ten uśmiech. - A nawiasem mówiąc, nie wyskoczyłabyś dziś wieczorem na przyjętko do Southampton? Rodzice zabierają gdzieś obie małe.

- Z jakiej okazji?

- Mamy Czwarty Lipca, moja droga. Amerykańskie Święto Niepodległości. Sama się przekonasz, ubaw na sto dwa.

Okazało się, że nie przesadził.

Rankiem poszli z dziewczętami na plażę, po południu całą rodziną pojechali na piknik, później natomiast państwo Liebmanowie rzeczywiście zabrali gdzieś obie córki, Ariana zaś poszła się zdrzemnąć. O siódmej jednak wystrojona zeszła na dół. Na jej widok Paul przeciągle gwizdnął i wyszczerzył w uśmiechu wszystkie zęby.

- O rany, ktoś mnie powinien był uprzedzić, że opalona wyglądasz tak szałowo - oświadczył.

Istotnie, turkusowa jedwabna suknia cudownie akcentowała świeżą smagłość atłasowej skóry Ariany. Paul zresztą prezentował się równie doskonale w białym lnianym garniturze, białej koszuli i granatowym krawacie w mikroskopijne białe kropeczki.

Ogarnięty świątecznym nastrojem, pozwolił Arianie prowadzić cadillaca, kiedy zaś dotarli na miejsce, natychmiast przyniósł jej lekki musujący koktajl na dzinie. Niepewna, jak zareaguje na alkohol, zaczęła go popijać małymi łyčzkami.

Przyjęcie toczyło się już na całego: grały dwie orkiestry - jedna w domu, druga w ogrodzie -

goście gwarzyli, spacerowali i raczyli się napojami, przy długim pomoście kołysało się kilka jachtów, nad wszystkim zaś czuwał jaśniejący na niebie letni księżyc.

- Masz ochotę zatańczyć? - zapytał z uśmiechem Paul.

Skinęła głową i wyciągnęła doń ramiona. Tańczyli ze sobą po raz pierwszy i przez chwilę - było to w księżycową noc bardzo łatwe - Ariana wyobrażała sobie, że jej partnerem jest ojciec, potem Manfred...

- Czy ktoś ci mówił, że tańczysz jak anioł?

Roześmiała się cicho.

- Obawiam się, że w ostatnim czasie nikt.

Przetańczyli całą wiązkę melodii, później stanęli przy balustradzie pomostu, patrząc na kołysane lekką falą białe jachty. Paul spojrział na Arianę z powagą, jakiej nie widziała u niego nigdy przedtem.

- Przy tobie jestem bezgranicznie szczęśliwy, Ariano - powiedział. - Nie znałem dotąd takiej dziewczyny jak ty.

Miała ochotę podrażnić się z nim, wypominając mu Joan, uznała jednak, że to nie czas ani miejsce.

- Ariano... muszę ci coś powiedzieć... - Ujął jej dłonie i delikatnie ucałował jedną, potem drugą. - Kocham cię. Nie wiem, jak to inaczej wyrazić... Kocham. Nie mogę bez ciebie żyć. Kiedy jesteś przy mnie, czuję się... cóż... czuję się silny i szczęśliwy... czuję się tak, jakbym mógł dokonać wszystkiego... jakbym dotknięciem ręki zmieniał najzwyczajniejsze rzeczy w prawdziwe cuda. Nie chcę, by to uczucie mnie opuściło, a... a jeśli pod koniec lata pójdziemy własnymi drogami, tak właśnie się stanie. - Oczy zasnuła mu lekka mgiełka. - Ariano, nie mogę dopuścić, żebyś odeszła.

- Może nie odejdę - wyszeptała. - Paul... ja...

W tejże chwili, jakby za sprawą wszechwiedzącego reżysera, nad ich głowami eksplodowały pierwsze fajerwerki. Paul sięgnął do kieszeni i zanim Ariana zorientowała się, co robi, wsunął jej na palec pierścionek z wielkim brylantem, po czym chwycił ją w ramiona i z żarem przywarł wargami do jej ust.

Poczuła w sobie pragnienie, jakiego - sądziła - nie zazna już nigdy w życiu... Niemal z rozpaczą przytuliła się do Paula i oddała pocałunek, lecz kiedy oderwali się od siebie, oświadczyła, że jest zmęczona i chce wracać do domu.

Przez całą drogę borykała się ze swoim sumieniem. Czyż mogła kontynuować tę gierkę? Rzecz nie w tym, że Paul był jej obojętny - kochała go, ale kochała po trosze jak przyjaciela czy brata. Wykorzystywanie jego uczucia i wmawianie mu, że jest ojcem cudzego dziecka, wydawało

jej się czymś strasznym.

Kiedy wrócili do East Hampton, Paul objął Arianę, wprowadził do domu i patrząc jej ze smutkiem w oczy, powiedział:

- Wiem, co sobie myślisz. Nie chcesz nic... ani pierścionka, ani tego, co sobą symbolizuje, ani mnie. - Lekko przytuliła się do niego, on zaś ciągnął prawie przez łzy: - Ale, Boże, kocham cię tak bardzo! Błagam cię, błagam, pozwól mi być ze sobą chociaż przez jedną noc. Pozwól mi marzyć, wyobrażać sobie, że... że jesteśmy małżeństwem, mieszkamy we własnym domu, że moje sny się spełniły.

- Paul... - delikatnie odsunęła się od niego i wtedy zobaczyła łzy płynące strumieniem po jego przystojnej twarzy. Nie potrafiła tego znieść. Przygarnęła go, dając mu coś, czego nie spodziewała się już w sobie: ciepło i miłość.

Kilka chwil później znaleźli się w jej sypialni, gdzie Paul niesłychanie ostrożnie rozebrał Arianę z jedwabnej sukni. Długo w zupełnym milczeniu pieścili się i kochali przy blasku księżyca, aż wreszcie wycuci z sił, spleceni ramionami, zapadli w głęboki sen.

ROZDZIAŁ 40

- Dzień dobry, kochanie.

Mrużąc oczy w blasku słońca, Ariana ujrzała sylwetkę Paula, który postawił na łóżku tacę ze śniadaniem, po czym zaczął myszkować po szufladach komody, przenosząc ich zawartość do niewielkiej walizki.

- Co robisz? - Usiadła na łóżku, usiłując opanować mdłości wywołane mocnym aromatem kawy i tym, co zaszło minionej nocy.

- Pakuję twoje rzeczy - odparł, posyłając jej przez ramię uśmiech.

- Ale dokąd jedziemy? Twoi rodzice wrócą wieczorem i zaczną się niepokoić.

- Do tego czasu my też wrócimy.

- W takim razie po co walizka, Paul? Nic nie rozumiem. Paul... - w tonie jej głosu pobrzmiwały nuty paniki. - Przestań, proszę, i odpowiedz!

- Za sekundkę.

Skończył pakowanie, przysiadł na łóżku i ujął tę dłoń Ariany, którą zdobił nowy pierścionek z brylantem.

- W porządku, teraz mogę ci odpowiedzieć. Jedziemy do Marylandu.

- Do Marylandu? Po co?

Spojrzał jej prosto w oczy. Mogło się zdawać, że ta noc uczyniła zeń mężczyznę.

- Wziąć ślub, bo mam dość tych podchodów. Nie jesteśmy dziećmi, Ariano, lecz mężczyzną i kobietą, a skoro raz doszło między nami do czegoś takiego jak tej nocy, to może dojść jeszcze wiele razy. Nie będę się krygować, Ariano, nie będę cię błagać. Kocham cię i myślę, że ty też mnie kochasz. Ariano... - jego głos stracił poprzednią ostrość - wyjdiesz za mnie? Kocham cię całym sercem.

- Och, Paul! - wykrzyknęła przez łzy, wyciągając ku niemu ramiona.

Czy to możliwe, aby mogła dać mu szczęście? Jeśli go poślubi, uczyni wszystko, aby był szczęśliwy... z wdzięczności za to, co on da jej dziecku. W tej chwili potrafiła jednak tylko płakać, wciąż niezdolna podjąć tę brzemienną w skutki decyzję.

- Czy możesz przestać chlipać i wreszcie odpowiedzieć? - zagadnął, całując ją najpierw w szyję, potem w usta, potem we włosy. - Och, Ariano, jakże cię kocham, jak bardzo cię kocham...

Wolno pokiwała głową, a kiedy podniosła wzrok, widok twarzy Paula wywołał w jej pamięci wizerunki innych twarzy - ojca, Manfreda, nawet Maxa Thomasa, którego pocałowała w przeddzień jego ucieczki z Berlina. Co oni wszyscy by pomyśleli, gdyby wyszła za tego mężczyznę? I wtedy uświadomiła sobie, że nie ma to najmniejszego znaczenia, ponieważ ona

podejmuje decyzję, ona sama stanowi teraz o swoim życiu. Nie oni. Bo odeszli. Wszyscy. Została tylko ona... i jej dziecko. I Paul. Był znacznie bardziej rzeczywisty niż tamci.

Ze smutnym uśmiechem wyciągnęła do niego rękę - ponad otchłanią swojego dawnego życia. Zarazem jednak w duszy złożyła sobie przysięgę, że nigdy nie zdradzi pamięci tamtego życia i pamięci tamtych miłości.

- A więc? - wyszeptał niepewnie, obawiając się poruszyć.

Chwyliła jego dłonie, przyciągnęła do ust i po kolei ucałowała wszystkie palce. Potem zamknęła oczy.

Kiedy je chwilę później otworzyła, widniała w nich bezgraniczna wręcz czułość.

- Tak. - Przyciągnęła Paula do siebie. - Tak, najdroższy. Moja odpowiedź brzmi: tak. - Złożyła głowę na jego ramieniu i wyszeptała: - Jakże będę cię kochać, Paulu Liebmanie. Jesteś wspaniałym mężczyzną.

- Rany boskie! - wykrzyknął rozradowany. - A ty jesteś szaloną dziewczyną. Ale darowanemu koniowi w zęby się nie patrzy... bądź sobie szalona, bo sprawami doczesnymi ja się zajmę.

Dotrzymał słowa.

Pół godziny później jechali do Marylandu - z niewielkim bagażem i tymczasowymi dokumentami Ariany. Godzinę później w małym miasteczku pod Baltimore żona sędziego pokoju przycisnęła guzik wyzwalacza aparatu fotograficznego, podczas gdy jej mążonek mamrotał uroczyście:

- Teraz może pan pocałować pannę młodą.

- Mamo... tato... - zaczął Paul niepewnie, kiedy jednak poczuł w dłoni palce Ariany, nabrał śmiałości i po męsku oznajmił rodzicom: - Właśnie wzięliśmy z Arianą ślub. - Zerknął z góry na swoją drobniutką zdenerwowaną żonę. - Musiałem w zasadzie użyć siły, dlatego właśnie nie traciłem czasu na omawianie z wami swoich planów. A zatem... - przeniósł spojrzenie z Ruth na Sama, którzy, aczkolwiek zaskoczeni, sprawiali wrażenie nadzwyczaj zadowolonych. - Czy pozwolicie, że przedstawię wam panią Arianę Liebman?

Skłonił głowę w stronę Ariany, która najpierw dygnęła, potem pocałowała go, a wreszcie zarzuciła ramiona na szyję teściowej. Ruth mocno przytuliła ją do siebie i na chwilę stanął jej przed oczyma wizerunek schorowanej dziewczyny, którą przywiózł z Europy emigrancki statek.

Samuel przez moment patrzył z uśmiechem na tę scenę, po czym serdecznie objął syna.

ROZDZIAŁ 41

Zgodnie z planem Ariana i Paul zostali w East Hampton do sierpnia, następnie zaś, po Świącie Pracy, wrócili do miasta, by rozejrzeć się za mieszkaniem. Kiedy Paul rozpoczął pracę w banku ojca, do poszukiwań włączyła się Ruth. Zaraz po święcie Rosz Haszana, które obchodzili w rodzinnym gronie, pojawiła się na horyzoncie urocza kamieniczka w okolicach górnych Ulic Sześćdziesiątych i Paul prawie bez namysłu uznał, że o to właśnie im chodzi. Na razie mieli wynająć dom, jego właściciel wszakże był zainteresowany sprzedażą po upływie terminu dzierżawy. Młodzi małżonkowie doszli do wniosku, że to idealny układ, mieli bowiem dość czasu, aby stwierdzić, czy dom naprawdę się im podoba.

Potrzebowali mebli, przy których kupnie wielce pomocna okazała się Ruth: miała znacznie mniej obowiązków w domu, bo dziewczęta wróciły do szkoły, i znacznie mniej w swojej organizacji charytatywnej, skoro uciekinierzy napływali teraz do Stanów coraz cieńszą strużką. Tak więc praktycznie towarzyszyła Arianie przez cały czas i rychło spostrzegła, że młoda kobieta nie czuje się najlepiej.

- Ariano, byłaś ostatnio u doktora Kaplana? - zagadnęła z niepokojem podczas zakupów.

Ariana skinęła głową, zajęta przeglądaniem próbek tkanin zasłonowych.

- Byłaś czy nie?

- Tak, w zeszły czwartek - odparła Ariana. Przez chwilę unikała wzroku Ruth, później podniosła głowę i lekko się uśmiechnęła.

- Co powiedział?

- Że omdlenia i problemy żołądkowe znikną na dłuższy czas.

- Sądzi więc, że te dolegliwości mają charakter chroniczny? - zatrwożyła się Ruth.

- Ależ skąd!... Uważa, że nie ma się czym przejmować. Jego zdaniem dotąd były związane z trudami podróży, teraz są ceną, jaką płacę za to, co zrobiłam po jej zakończeniu.

- Diagnoza dość zagad... - zaczęła Ruth i nagle wszystko zrozumiała. Wlepiała w Ariane rozszerzone oczy. - Chcesz powiedzieć, że jesteś w ciąży?

- Tak, jestem.

- Och, Ariano! - wykrzyknęła Ruth. Podbiegła do synowej, wyściskała ją, lecz już po chwili zapytała z nowym niepokojem: - Nie mówił, że ci to zaszkodzi? Może to za wcześnie po chorobie? Jesteś taka drobnutka... Gdyby chodziło o herod - babę mojego pokroju, sprawa wyglądałaby zupełnie inaczej!

Mimo wszystko była radośnie zaskoczona. Wspomniała szczęście towarzyszące oczekiwaniu na narodziny swojego pierwszego dziecka.

- Radzi tylko w miarę szybko znaleźć sobie położnika.
- Rozsądna sugestia. A nawiasem mówiąc, kiedy ma nastąpić rozwiązanie?
- Na początku kwietnia - odparła Ariana, wzdygając się w duszy, że musi okłamać Ruth.

Zarazem poprzysięgła sobie, że pewnego dnia wyda na świat prawdziwego Liebmana. Była Paulowi to winna... Tak, zajdzie z nim w ciążę, jak tylko będzie to możliwe. A potem tyle razy, ile zechce Paul. Miała wobec niego ogromny dług za to, że otoczy opieką dziecko Manfreda.

W miarę upływu czasu Paul dojrzywał do ojcostwa, stawał się coraz bardziej opiekuńczy - pomagał Arianie urządzać pokój dziecinny, wieczorami zaś, kiedy robiła na drutach niemowlęce łaszki, siadywał przy niej z pełnym miłości uśmiechem. Ruth naznosiła do ich domu całe stopy pudeł wypełnionych ubrankami po swoich dzieciach, czepeczki więc, śpioszki, sukieneczki i sweterki poniewierały się dosłownie wszędzie. Pewnego razu Paul skwitował to uwagą:

- Z wyglądu naszego mieszkania, pani Liebman, byłbym się skłonny domyślać, że niebawem zagości tu jakieś dziecko.

Do Bożego Narodzenia pozostawały wtedy dwa tygodnie. Paul sądził, że Ariana jest w szóstym miesiącu ciąży, gdy tymczasem od przewidywanego terminu rozwiązania dzieliło ją zaledwie sześć tygodni. Nikt wszakże, jak się zdawało, nie zwracał szczególnej uwagi na wygląd Ariany, który przypisywano zapewne filigranowej sylwetce przyszłej matki, a Paul po prostu uwielbiał ogromny brzuch. Wymyślał dla niego pieszczotliwe określenia i utrzymywał, że codziennie przed pójściem do pracy musi go na szczęście pogłaskać dwa razy.

- Nie rób tego! - pisnęła pewnego razu Ariana. - Łaskoczesz je i zaczyna mnie kopać.

- To na pewno chłopak - stwierdził Paul z niezwykłą powagą. - Moim zdaniem próbuje grać w futbol.

Ariana jęknęła i wzniosła oczy ku niebu.

- Na pewno gra w futbol - odparła. - Używając w charakterze piłki moich nerek.

Nazajutrz, kiedy Paul pojechał do biura, Arianę ogarnął dziwnie nostalgiczny nastrój. Kilka godzin przesiedziała w fotelu, rozmyślając o Manfredzie i to nakładając na palce, to zdejmując jego wyjęte ze skrytki pierścionki. Wspominała plany, jakie snuli, i obietnice, jakie sobie składali... Zastanawiała się, co o dziecku sądziłby Manfred, a nawet jak by mu dał na imię. Paul wierząc, że urodzi się chłopiec, obstawał przy imieniu Simon na cześć poległego brata. Ariana nie oponowała, świadoma, że w tym powinna ustąpić mężowi.

W swej wędrówce po wspomnieniach i pamiątkach dotarła wreszcie do koperty ze zdjęciami, która spoczywała w książce na spodzie dolnej szuflady biurka. Wyjęła zdjęcia, rozłożyła je na kolanach, a kiedy wpatrywała się w ukochaną twarz Manfreda, ujrzała go takim, jaki był w każdej sytuacji, a nawet dokładnie przypomniała sobie, co mówił podczas ich jedynej

wspólnej gwiazdki. Nie do wiary, że te zdjęcia ze świątecznych przyjęć zostały zrobione zaledwie przed rokiem! Wpatrując się w fotografie załzawionymi oczyma, nie usłyszała, że do pokoju wchodzi Paul i staje za jej plecami.

Do Paula dopiero po chwili dotarło, jaki mundur nosi mężczyzna na zdjęciach i kto stoi u jego boku.

- Dobry Boże, co to jest? - wykrzyknął z niedowierzaniem.

Przejęta zgrozą Ariana zerwała się na nogi.

- Co tu robisz? - wyjąkała, nie wypuszczając zdjęć z ręki.

- Wpadłem, żeby zobaczyć, jak miewa się moja żona, i ewentualnie zaproponować jej wspólny lunch... ale widzę, że tylko przerwałem jej chwile romantycznej zadumy. Powiedz, Ariano, robisz to na co dzień czy tylko od wielkiego dzwonu? - Zmroził ją lodowatym spojrzeniem, po czym dodał: - Czy nie zechciałabyś mnie oświecić, kim jest ten mężczyzna na fotografiach?

- Jest... był niemieckim oficerem - odparła, patrząc na Paula niemal z rozpaczą. Chciała, by poznał prawdę, ale przecież nie w taki sposób!

- Tego domyśliłem się sam widząc jego mundur. Może jednak trochę szczegółów? Na przykład, ilu Żydów zabił albo jakim kierował obozem?

- Nie zabił żadnych Żydów i nie kierował żadnym obozem. Natomiast ocalił mi życie. Nie dopuścił, żeby zgwałcił mnie pewien porucznik i żeby pewien generał zrobił ze mnie dziwkę. Gdyby nie on... - wybuchnęła niepoohamowanym płaczem. - Gdyby nie on... pewnie już bym nie żyła.

Przez chwilę Paul żałował swoich słów, lecz wystarczyło, by spojrział na fotografie drżące w ręku Ariany, a gniew zawładnął nim z jeszcze większą mocą.

- No to dlaczego, do jasnej cholery, jesteś na tych zdjęciach taka wesolutka, skoro groziło ci niebezpieczeństwo? - Wyrwał fotografie z ręki Ariany. - Kim jest ten mężczyzna? - wycodził przez zęby.

Nagle wszystko zrozumiał, pojął, w jaki sposób uratowała się przed okropnościami obozów. Jego matka miała rację. A on nie miał prawa osądzać Ariany... Czyż bowiem dano jej wybór?

Wstrząśnięty, porażony, wyciągnął ramiona i przytulił rozdygotaną żonę.

- Wybacz, kochanie... wybacz, tak mi przykro. Chyba na chwilę oślepiłem i straciłem pamięć. Ale zobaczyłem tę twarz, ten mundur... tego Niemca... i nie potrafiłem się opanować.

- Ale ja też jestem Niemką, Paul - wyszeptwała Ariana przez łzy.

- Zgoda, ale nie taką jak oni... A jeśli musiałaś zostać kochanką tego mężczyzny, żeby uniknąć obozu, to... to dla mnie nie ma żadnego znaczenia - powiedział, czując jak w tej samej chwili Ariana sztywnieje w jego ramionach, a potem się z nich wysuwa.

- Ach, więc tak to sobie wyobrażasz? - zapytała spokojnie, patrząc mu w oczy. - Sądziś, że zostałam dziwką tego mężczyzny, żeby ocalić skórę? Otóż to nieprawda, a chcę, żebyś poznał prawdę. Po śmierci ojca i Gerharda ten mężczyzna... Manfred... zabrał mnie do swojego domu, nie oczekując niczego w zamian. Nie zgwałcił mnie, nie tknął, nie skrzywdził. Zaopiekował się mną i został moim jedynym przyjacielem.

- Wzruszająca historyjka! Ale nosił szkopski mundur, prawda? - upewnił się Paul, wracając do lodowatego tonu.

Ariana przeświadczona, że postępuje słusznie, nie czuła już strachu.

- Owszem. Tyle że szkopskie, jak powiadasz, mundury nosili również przyzwoici ludzie... On do nich należał. A świat nie dzieli się tylko na czarne i białe, sprawy nie przedstawiają się aż tak prosto...

- Patrzcie państwo! Dzięki za wykład, najdroższa. Szczerze mówiąc jednak, trudno mi pogodzić się z faktem, że po powrocie do domu zastaję żonę zapłakaną nad zdjęciem jakiegoś cholernego faszysty i dowiaduję się na dodatek, że ten faszysta był jej przyjacielem. Faszyci nie byli niczymi przyjaciółmi, Ariano, nie rozumiesz tego? Jak możesz mówić takie rzeczy? Przecież jesteś Żydówką!

Nie opuszczając wzroku, stanowczo pokręciła głową.

- Nie, Paul, nie jestem Żydówką. Jestem Niemką.

Wstrząs wywołany tym oświadczeniem odebrał mu mowę, Ariana zaś obawiając się, że jeśli teraz przerwie, nie znajdzie później odpowiednich słów, ciągnęła bez tchu:

- Mój ojciec był uczciwym Niemcem, finansistą, prezesem największego banku w Berlinie. Nigdy nie sprzyjał faszystom, a kiedy tuż po szesnastych urodzinach Gerharda, mojego brata, powołano do wojska, ojciec uznał, że powinniśmy opuścić kraj. Wedle ułożonego przez siebie planu, miał najpierw przemyścić Gerharda do Szwajcarii, a potem wrócić po mnie. Ale musiało coś nie wyjść, bo przepadł. Nasi służący, ludzie, którym bezgranicznie ufałam, złożyli na mnie donos i zostałam aresztowana przez faszystów. Licząc na okup, gdyby ojciec jednak się pojawił, przez miesiąc trzymali mnie w celi rozmiaru niewielkiej szafy. A kiedy się zorientowali, że na nic im się nie przydam, zwrócili mi wolność, tyle że pozbawili wszystkiego: domu, sprzętów, pieniędzy... Znalazłam się na ulicy. Ale najgorsze było to, że wpadłam w oko generałowi, który rozpanoszył się w naszym domu. I przed nim... a także przed innymi ocalił mnie ten człowiek - rzekła z płaczem, pokazując drżącym palcem zdjęcie Manfreda. - Zapewnił mi bezpieczeństwo do końca wojny, a właściwie... - głos zaczął jej się łamać - do chwili gdy poległ podczas oblężenia Berlina.

Podniosła oczy na Paula, którego twarz sprawiała wrażenie kamiennej rzeźby.

- A więc ty i ten faszystowski śmierdziel byliście kochankami?

- Nie rozumiesz? - wykrzyknęła z nagłym gniewem. - On mnie uratował! Czy to dla ciebie nie ma znaczenia?

- Ma znaczenie to, że byłaś kochanką faszysty!

- A więc jesteś durniem. Przeżyłam, do jasnej cholery! Przeżyłam!

- I jak rozumiem, ten człowiek nie był ci obojętny? - zapytał jadowicie.

Nagle znienawidziła Paula równie mocno, jak go dotąd kochała, postanawiając zarazem, że zrani go równie mocno, jak on ją zranił.

- Kochałam go bezgranicznie, Paul. Był moim mężem i byłby nim dotąd, gdyby nie zginął.

Przez chwilę stali nieruchomo, patrząc sobie w oczy i ważąc wszystko, co zostało powiedziane, w końcu zaś Paul wycelował palec w kierunku wyduętego brzucha Ariany i zapytał:

- Czyje to dziecko?

Nie potrafiła dłużej kłamać, nawet dla dobra dziecka.

- Mojego męża - odparła wyraźnie i z dumą, jakby w ten sposób przywracała Manfreda do życia.

- Ja jestem twoim mężem, Ariano.

- To dziecko Manfreda - odpowiedziała cicho. I aż jej się słabo zrobiło, gdy w pełni sobie uświadomiła, jak ogromną krzywdę wyrządziła Paulowi.

- Dziękuję - wyszeptał drżącym głosem, odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ 42

Nazajutrz rano Ariana otrzymała od adwokata Paula przesyłkę zawierającą dwa listy. Pierwszy informował ją oficjalnie, że Paul Liebman zamierza wystąpić o rozwód i że w cztery tygodnie po urodzeniu dziecka Ariana będzie musiała opuścić mieszkanie męża. Mąż zapewni jej utrzymanie przez ten krótki okres, następnie zaś, już po przyjściu dziecka na świat, przekaze jej czekiem sumę pięciu tysięcy dolarów. Nie ma natomiast zamiaru płacić alimentów ani na dziecko, którego nie spłodził, ani na Arianą zważywszy, że małżeństwo zostało wymuszone podstępem i trwało krótko.

Drugi list, napisany przez teścia Ariany, potwierdzał intencje Liebmanów w kwestiach finansowych, skreślone zaś ręką Ruth postscriptum było w gruncie rzeczy pełną goryczy tyradą przeciwko Arianie, która „dopuściła się zdrady wobec nich wszystkich”, miała czelność udawać Żydówkę, a wreszcie zaszła w ciążę z „jakimś faszystą”. Wojna, chociaż już skończona, nadal potrafiła siał zniszczenie. „Z jakimś faszystą”... Ariana wzdrygnęła się, kiedy przeczytała te słowa. Następnie Ruth zabraniała Arianie kontaktować się z Paulem, Deborą czy Julie; gdyby stwierdziła, że takie próby zostały jednak podjęte, miała zamiar powiadomić policję.

Po przeczytaniu obu listów Ariana zapragnęła za wszelką cenę porozmawiać z Paulem, ten wszakże, schroniwszy się w domu rodziców, był nieosiągalny. Natomiast jego adwokat niezwłocznie założył sprawę o rozwód. Tuż po północy dwudziestego czwartego grudnia, miesiąc przed terminem rozwiązania, Ariana poczuła bóle porodowe.

Choć sparaliżowana lękiem przed nieznanym i samotnością w tych trudnych chwilach, zdołała wyjść na ulicę, złapać taksówkę i dojechać do szpitala.

Dwanaście godzin później doprowadzające niemal do obłądu bóle wciąż trwały, a rozdygotana wydarzeniami ostatnich dni Ariana nie była w stanie pomóc położnym. Rzuciła się na łóżku i wykrzykiwała imię Manfreda, aż wreszcie podano jej środki uspokajające. O dziesiątej wieczorem zrobiono cesarskie cięcie, w wyniku którego dziecko, zdrowe mimo powikłanego porodu, przyszło w końcu na świat.

Chłopczyk, a właściwie kłębek pomarszczonej skóry, z którego sterczały najmniejsze rączki i nóżki, jakie Ariana widziała w życiu, nie przypominał ani Manfreda, ani Walmara, ani Gerharda. Nie przypominał nikogo i niczego.

- Jak da mu pani na imię? - zapytała pielęgniarka, trzymając Arianą za rękę.

- Nie wiem... - odparła Ariana ze znużeniem, zastanawiając się, czy dziecko powinno być tak maleńkie. Ale powoli zaczynało w niej narastać ciepłe uczucie szczęścia.

- Dziś Wigilia - powiedziała siostra - może więc nazwie go pani Noel?

- Noel?... - Ariana zastanawiała się przez chwilę, potem rozciągnęła usta w półprzytomnym uśmiechu. - Noel?... To ładne imię.

Popatrzyła w stronę, gdzie zabrano jej syna, uśmiechnęła się raz jeszcze, wyszeptała „Noel von Tripp” i zapadła w sen.

ROZDZIAŁ 43

Dokładnie cztery tygodnie po narodzinach dziecka Ariana stała w sieni z resztą swojego bagażu - jej syn, spowity w becik, leżał już w taksówce. Przyjąwszy warunki ultimatum Liebmanów, przenosiła się do zarekomendowanego przez pielęgniarkę niedrogiego i przytulnego hoteliku, w którym ponadto można się było tanio stołować. W zasadzie nie powinna była jeszcze wstawać po cesarskim cięciu, lecz wszelkie próby skontaktowania się z Paulem - najpierw w biurze, potem w domu - zakończyły się fiaskiem. To już naprawdę był koniec. Paul przesłał jej pięć tysięcy dolarów i teraz żądał kluczy od mieszkania.

Cicho zamknąwszy za sobą drzwi, z dzieckiem, paroma sukienkami, tomem Szekspira i kilkoma fotografiami Manfreda zaczęła nowe życie. Odesłała już Paulowi zaręczynowy pierścionek z brylantem i teraz, pewna, że nie zdejmie ich więcej, nosiła na palcach obrączkę ślubną i pierścionki Manfreda. Tu było ich miejsce i czuła się z nimi znacznie lepiej. Postanowiła na zawsze pozostać Arianą von Tripp. Jeśli w Stanach pomijanie „von” jest rozsądne, będzie je pomijać, ale nigdy więcej nie wyprze się dawnego życia, nie skłamię na temat swojej przeszłości i nie będzie udawać kogoś innego, niż jest. Sama ucierpiała z niemieckich rąk, a przecież doskonale zdawała sobie sprawę, że w ogromnym zbiorowisku tworzącym niemieckie społeczeństwo są ludzie występni i uczciwi, dobrzy i źli.

Tak, już nigdy nie wyprze się Manfreda, a jego pamięć będzie hołubić po kres swoich dni... Będzie opowiadać synowi o prawym mężczyźnie, który poległ żołnierską śmiercią, i o kobiecie, która nie odstąpiła go do końca. Opowie mu o dziadku i o Gerhardzie, być może nawet - chociaż w tej chwili nie była jeszcze tego pewna - opowie o swoim małżeństwie z Paulem.

Postąpiła źle, usiłując go oszukać, w końcu jednak drogo zapłaciła za swój błąd.

Ale, pomyślała spoglądając na uspione niemowlę, miała jeszcze syna...

ROZDZIAŁ 44

Kiedy Noel miał dwa miesiące, Ariana dostała z ogłoszenia pracę w księgarni specjalizującej się w literaturze obcojęzycznej. Pozwolono jej przynosić do pracy Noela, a chociaż pensyjka była niewielka, mogli jakoś związać koniec z końcem. Mały wcześniej nauczył się chodzić i gdy Ariana miała za sobą rok pracy w księgarni, wykazywał ogromne zainteresowanie kolorowymi grzbietami tomów stojących na najniższych półkach. Jasne więc, że ani na chwilę nie można go było spuścić z oka.

Właśnie obserwacji wszędobylskiego chłopczyka oddawała się Ariana, kiedy jej koleżanka, młoda kobieta o imieniu Mary, powiedziała z naciskiem:

- Uważam, że naprawdę powinnaś to zrobić.

Ariana odwróciła głowę.

- Chyba niczego od nich nie chcę, Mary - odparła.

- Zgoda, ale pomyśl o synu. Dla niego też niczego nie chcesz? Zamierzasz przez całe życie sterczeć w takiej albo podobnej pracy? Nie zaszkodzi spytać. I weź pod uwagę, że nie będziesz prosić o jałmużnę, lecz swoją własność.

- Moją była własność, a to duża różnica. Kiedy opuszczałam Niemcy, wszystko było w rękach faszystów.

- Przynajmniej idź do konsulatu i sprawdź, jak to wygląda - nie dawała za wygraną Mary.

Ariana postanowiła w końcu posłuchać rad koleżanki i w najbliższy wolny dzień wybrać się do konsulatu. W myśl polityki nowych władz niemieckich osoby, których majątek został zagrabiony przez faszystów, mogły ubiegać się o jego zwrot lub rekompensatę, problem jednak polegał na tym, że Ariana nie dysponowała dokumentami potwierdzającymi jej prawo do rezydencji w Grunewaldzie i zameczku Manfreda.

Dwa tygodnie później, w chłodny i groźący śniegiem marcowy czwartek - w istocie pogoda omal nie zatrzymała jej w domu - Ariana otuliła Noela kocem i pchając przed sobą wózek, powędrowała do konsulatu. Znalazłszy się na miejscu, wzięła syna na ręce, pchnęła ramieniem imponujące drzwi z brązu i weszła do środka.

- Bitte? Czym możemy pani służyć? - zapytał urzędnik siedzący za biurkiem.

Ariane zamurowało. Od tak dawna nie słyszała ojczyściego języka, od tak dawna nie miała do czynienia z Europejczykami i staroświecką europejską galanterią, że przez dłuższą chwilę potrafiła tylko wodzić dokoła szeroko otwartymi oczyma. Miała wrażenie, iż za sprawą jakichś czarów na chwilę przeniesiono ją do kraju. Powoli, z oporami, zaczęła wyjaśniać powody swojej wizyty; była wręcz oszołomiona, gdy potraktowano ją z ogromnym szacunkiem i życzliwością,

udzielono wszelkich informacji, obdarowano plikiem formularzy do wypełnienia i zaproszono na przyszły tydzień.

Następnym razem we foyer kłębił się spory tłum, Ariana zatem musiała poczekać w kolejce, by oficjalnie przekazać wypełnione formularze pracownikowi konsulatu, który nada dokumentom bieg urzędowy. Dokoła rozbrzmiewał niemiecki i tylko niemiecki, słyszała wymowę bawarską, lipską, frankfurcką czy berlińską, co było zarazem cudowne i w jakiś sposób bolesne, choć bowiem Ariana rozpoznawała słowa, akcenty i powiedzenia, nie rozpoznawała głosów. Żaden nie był znajomy.

Naraz rzeczywistość jakby przemieniła się w sen: ktoś krzyknął, głęboko wciągnął powietrze i chwycił Arianę za ramię. Podniosła głowę i zobaczyła piwne oczy... skądś znajome... zapamiętane. Tak, po raz ostatni widziała je przed zaledwie trzema laty!

- O Boże! O mój Boże! - wyszeptała bez tchu i rozplakała się.

To był Max, Max Thomas! Bez namysłu rzuciła się mu w ramiona, a on mocno ją przytulił i stali tak, wczepieni w siebie, bardzo długo, śmiejąc się i płacząc. Max całował Arianę, obejmował ją, brał Noela na ręce, Ariana zaś, kiedy przysiedli w kącie obszernego foyer, opowiedziała mu o ojcu, Gerhardzie i utracie domu. A także o Manfredzie. Wolna od strachu i wstydu, oświadczyła Maxowi, że kochała Manfreda, że go poślubiła i że Noel jest jego synem. Max wszakże, który po wojnie przetrząsnął Berlin w poszukiwaniu Walmara i Ariany, wiedział już wszystko i tylko narodziny Noela były dlań nowością.

- A ty ich szukałaś po wojnie, Ariano? - zapytał.

Po krótkiej chwili wahania przecząco pokręciła głową.

- Nie miałam pojęcia, jak się do tego zabrać. Manfred był pewien, że ojciec zginął. Potem, tuż przed wyjazdem z Europy, skontaktowałam się w Paryżu z jego przyjacielem, człowiekiem, który prowadził coś w rodzaju organizacji pomocy uchodźcom. Ten człowiek sprawdził każdy możliwy trop, każdą możliwą poszlakę, przy czym szukał głównie Gerharda. - Westchnęła cicho. - No i ciebie... Ale na nic nie natrafił. I ty, i Gerhard przepadliście bez śladu.

I w tejże chwili doznała olśnienia - skoro Max rozwiął się na pozór jak dym, a jednak jest cały i zdrowy, podobnie może być z Gerhardem! Znieruchomiała porażona taką ewentualnością, Max wszakże ujął w dłonie jej twarz i pokręcił głową. - Nie, Ariano - szepnęła. - Oni odeszli. Wiem. Ja też szukałem.

Po wojnie pojechałem do Berlina, żeby odnaleźć twojego ojca i... - zamierzał powiedzieć: „zobaczyć się z tobą”, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie. - Od dawnych współpracowników Walmara dowiedziałem się, co nastąpiło po mojej ucieczce.

- Co ci powiedzieli?

- Że zniknął i że po jakimś czasie wszyscy doszli do wniosku, iż postąpił tak, aby uchronić Gerharda przed wojskiem. Zniknął, i to bez śladu. Tak samo twój brat. W Berlinie zdobyłem ich zdjęcia i pokazywałem je komu się dało. Otóż pewna szwajcarska pokojówka miała zrazu wrażenie, że chłopak podobny do Gerharda mniej więcej rok wcześniej mieszkał w jej hotelu, ale kiedy dokładniej przyjrzała się fotografii, doszła do wniosku, że tamten wyglądał jednak inaczej. W Szwajcarii prowadziłem poszukiwania przez trzy miesiące. - Westchnął i ciężko oparł się o ścianę. - Jedyna sensowna wersja wygląda tak, że - zastrzelił ich patrol straży granicznej. Gdyby żyli, wcześniej czy później wróciliby do Berlina. A nie wrócili... Wiem, bo mam tam informatorów.

Słuchając jego słów, Ariana czuła, jak znowu odżywa w niej rozpacz - rozpacz zrodzona z coraz większej pewności. Max miał rację.

Otoczył ją ramieniem, pogładził po złotych włosach i powiedział:

- Wiesz? to zdumiewające. Wiedziałem, że wyjechałaś do Stanów, Ariano, ale nie sądziłem, że jeszcze kiedykolwiek cię zobaczę.

Zaskoczona odwróciła głowę.

- Wiedziałeś? Skąd?

- Przecież szukałem całej waszej trójki. Musiałem. Walmarowi zawdzięczałem życie, poza tym... - zarumienił się jak młokos - nigdy nie zapomniałem tego wieczoru... tej nocy, kiedy... - ściszył głos do szeptu - kiedy cię pocałowałem. Pamiętasz?

- Sądzisz, że mogłabym zapomnieć?

- Mogłaś zapomnieć. To było tak dawno.

- Oboje przebyliśmy od tamtej chwili długą drogę, a przecież ty pamiętasz. Ja też - odparła, uświadamiając sobie, że przecież nie odpowiedział na jej pytanie. - Skąd wiedziałeś, że wyemigrowałam?

- Zniknął. Intuicja. Uznałem za bardzo prawdopodobne, że jeśli przeżyłaś oblężenie Berlina, postanowiłaś wyjechać. Jako żona oficera niemieckiego... Cóż, po prostu wiedziałem. - Zawahał się i zajął Arianie w oczy. - Czy zostałaś zmuszona do tego małżeństwa?

Stanowczo pokręciła głową. Czy przez całe życie będzie musiała zaprzeczać?

- Nie, Max, nie zostałam zmuszona. Manfred był wspaniałym mężczyzną. Uratował mi życie.

Nastąpiła długa pauza, potem Max powoli przyciągnął do siebie Ariane.

- Dowiedziałem się od kogoś, że zginął, zbadałem więc rozmaite ewentualności, a Francja była jedną z nich. W paryskim urzędzie do spraw uchodźców dowiedziałem się, że wydano ci tymczasowy paszport. Ustaliłem również datę twojego wyjazdu z Francji. I tak natrafiłem na Saint-Marne'a.

- Dlaczego szukałeś mnie z takim uporem? - zapytała poruszona do głębi.

- Miałem dług wobec twego ojca. W Berlinie zatrudniłem detektywa, ale Walmar i Gerhard przypadli bez śladu. Co się jednak tyczy ciebie, Liebchen - uśmiechnął się czule - to wiedziałem, że żyjesz, i nie zamierzałem dać za wygraną.

- Ale, jak powiadasz, zrezygnowałeś. Dlaczego nie podjąłeś poszukiwań tutaj? Jean - Pierre na pewno cię poinformował, że wyjechałam do Nowego Jorku.

- Poinformował. Wiesz, że nie żyje?

- Jean - Pierre? Nie żyje? - wykrzyknęła z niedowierzaniem.

- Zginął pod Paryżem w wypadku samochodowym. - Oboje długo milczeli, wreszcie Max podjął: - Otóż podał mi nazwisko pewnych ludzi z New Jersey. Napisałem do nich, ale odpowiedzieli, że nigdy nie widzieli cię na oczy. Mieli być wprawdzie twoimi opiekunami, ale zmienili zdanie. Oświadczyli, że nie wiedzą, kto zamiast nich zajął się tobą, a ludzie, którzy przejęli archiwa Saint-Marne'a, też nic nie wiedzieli. Dopiero wiele miesięcy później, kiedy przyjechałem do Ameryki osobiście, ktoś z Kobiecej Organizacji Dobroczynnej wspomniał mi o Liebmanach. Złożyłem im wizytę i sprawa znów się powikłała.

Ariana poczuła, że serce zaczyna jej bić szybciej.

- Co powiedzieli? - zapytała z niepokojem.

- Że też cię nie widzieli i nie mają pojęcia, gdzie jesteś. Pani Liebman wspomniała tylko, że twoje nazwisko obito się jej o uszy.

Ariana pokiwała głową. To było podobne do Ruth. Tak się wściekła, że była gotowa wszystkiemu zaprzeczyć, w szczególności temu, że jej syn ożenił się z Arianą.

Podniosła wzrok na Maxa, a ten natychmiast odgadł z wyrazu jej twarzy, iż sprawa jest znacznie bardziej skomplikowana.

- I w tym momencie ślad się urwał - rzekł krótko.

- To już nie ma znaczenia, Max. - Lekko dotknęła dłonią jego ramienia. - Przecież w końcu mnie znalazłeś. - Po chwili wahania postanowiła wszystko mu powiedzieć. Bo niby dlaczego nie? - Ruth Liebman cię okłamała. Byłam żoną jej syna.

Wydawała się bardzo mała i blada, kiedy niczego nie ukrywając mówiła mu o swoim życiu w rodzinie Liebmanów, a potem o małżeństwie i rozstaniu z Pauliem. Powodowany impulsem, chwycił jej dłoń i mocno ścisnął w swojej aż do końca opowieści.

- A teraz? - zapytał wreszcie.

- Czekam na rozwód. Uprawomocni się w lipcu.

- Przykro mi, Ariano. Cóż więcej mógłbym powiedzieć?

- To moja wina. Nie powinnam była tego zrobić, ale postąpiłam głupio i samolubnie. Żałuję

tylko, że straciłam ich wszystkich... zajmowali w moim sercu szczególne miejsce. Ruth ocaliła mi życie. A także życie Noela.

- Może pewnego dnia zmienią zdanie.

- Wątpię.

- A twój mały? - zapytał Max, uśmiechając się melancholijnie, bo przyszedł mu na myśl jeden z własnych synów, którzy... wtedy był w takim samym wieku jak dziecko Ariany teraz. - Jak ma na imię?

- Noel. Urodził się w Wigilię.

- A więc dostałaś pod choinkę cudowny prezent. Czy w tamtym dniu był ktoś przy tobie?

Pokręciła głową, a Max wyszeptał:

- Współczuję, Ariano.

Ariana natomiast współczuła wszystkim otaczającym ją ludziom; zawędrowali tak daleko i tak wiele utracili w ciągu minionych lat! Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że tylko jej dopisało szczęście, miała bowiem Noela, najcenniejszy na świecie skarb.

- A co u ciebie? - zapytała.

Odparł, że końca wojny doczekał w Szwajcarii; chwycił się dorywczych zajęć i często żył o chlebie i wodzie, ale tuż po kapitulacji Niemiec sprzedał ostatni obraz подарowany przez Walmara i za uzyskane pieniądze nie tylko mógł wszcząć poszukiwania von Gotthardów, lecz również pojechać do Stanów i nostryfikować tam swój dyplom.

Teraz znów prowadził praktykę adwokacką i właśnie z tego powodu odwiedził konsulat. Pragnął wprawdzie zgłosić własne roszczenia majątkowe, ale przede wszystkim chodziło mu o umowę z przedstawicielstwem niemieckim, w myśl której mógłby reprezentować interesy innych uchodźców, domagających się zwrotu majątków zagrabionych bądź utraconych w inny sposób. Jako adwokat po - Noel siadający prawo wykonywania zawodu tak w Stanach Zjednoczonych, jak i w Niemczech, liczył na rekomendację konsulatu.

- Nie dorobię się na tym fortuny, ale powinno mi starczyć na życie - zakończył. - A ty, Ariano? Zdołałaś coś ocalić?

- Skórę, kilka sztuk biżuterii i fotografie Manfreda.

Smutno pokiwał głową, przypominając sobie fortunę Walmara, i przepych rezydencji w Grunewaldzie. Niewiarygodne, że losy rzuciły ich tak daleko, że tak niewiele pozostało im z dawnego życia. Ot, wspomnienia i błyskotki, marzenia i pamiątki.

Max zresztą nie znajdował w sobie dość siły, by wracać do wspomnień.

- Zastanawiasz się czasem nad powrotem? - zapytał.

- Raczej nie. Tam nie będzie mi lepiej niż tu. Mam tylko Noela i sądzę, że w tym kraju jego

szanse na szczęście w życiu są większe.

- Miejmy nadzieję - powiedział Max i wzięwszy Noela na rękę, zmierzwił mu jedwabistą czuprynkę.

Kiedy tak stali we trójkę, sprawiali wrażenie rozradowanej i szczęśliwej rodziny. Tylko ci, którzy przeszli przez to samo co oni, wiedzieli, jak długą mają za sobą drogę.

Księga czwarta

Noel

ROZDZIAŁ 45

Ceremonia odbyła się w cudowny słoneczny poranek na dziedzińcu Harvarda, pomiędzy biblioteką Widenera a kaplicą Appletona. Absolwenci - całe morze tóg, biretów i rozpromienionych uczuciem triumfu młodych twarzy - czekali na odebranie dyplomów, na które pracowali tak długo i tak ciężko. Ariana i Max siedzieli wśród innych zaproszonych gości na ustawionych w rzędzie składanych krzeselkach: ona lekko zamglonymi oczyma wpatrywała się w tłum studenckiej braci, on zaś trzymał ją za rękę i przypatrywał się grze światła na wielkim szmaragdzie, zdobiącym teraz stale dłoń Ariany.

- Czyż nie jest przystojny, Maksie? - zapytała Ariana, pochylając się lekko ku swemu dystyngowanemu siwowłosemu towarzyszowi.

- Trudno mi się zgodzić lub zaprzeczyć, bo właściwie nie mogę go dostrzec - odparł.

- Są ludzie, którzy po prostu nie umieją się zachować - wyszeptała z żartobliwą przyganą. Od dwudziestu pięciu lat Max praktycznie nie odstępował jej na krok, mimo to wciąż umieli cieszyć się swym towarzystwem.

Złocista uroda Ariany nie zbladła z upływem lat, może tylko stała się o ton dyskretniejsza. Rysy drobnej twarzyczki wciąż były nieskazitelne, włosy tak samo puszyste i złote, wielkie oczy nadal fiołkowe. Max, który skończył niedawno sześćdziesiąt cztery lata, ciągle trzymał się prosto, tyle że jego wysoką, szczupłą, niemal chudą sylwetkę wieńczyła teraz gęsta grzywa siwiutkich włosów.

- Och, Max, taka jestem z niego dumna!

Czule otoczył ją ramieniem.

- Nie bez podstaw. To dobry chłopak - rzekł z uśmiechem. - I dobry prawnik. Diabło żałuję, że chce pracować dla tej nadętej szpanerskiej firmy. Byłbym dumny, gdyby został moim wspólnikiem.

Nowojorska praktyka adwokacka Maxa, jakkolwiek ogromnie w ciągu minionych lat rozbudowana, nie mogła jednak iść w zawody z wielką kancelarią, która zaproponowała Noelowi pracę natychmiast po zakończeniu studiów. Podczas ubiegłorocznych wakacji Noel zatrudnił się w sekretariacie tej firmy i widać wywarł na jej szefach jak najkorzystniejsze wrażenie.

W południe, po zakończeniu uroczystości wręczenia dyplomów, Noel zjawił się niezwłocznie, by wyściskać matkę i przyjąć gratulacje od wujka Maxa.

- No i jak tam, życie? - zapytał. - Miałem obawy, że uprażycie się w tym słońcu.

Ariana uśmiechnęła się do syna, znów poruszona jego podobieństwem do Manfreda. Ta sama twarz z dużymi niebieskimi oczyma, wysoka szczupła sylwetka, szerokie bary, smukłe silne

dłonie. A zarazem miał w sobie coś, co przywodziło na pamięć Gerharda i Walmara... jakiś grymas, wyraz twarzy, uśmiech. Tak, ci trzej najbliżsi jej kiedyś ludzie wciąż żyli w Noelu.

- Kochanie, to była piękna uroczystość. I oboje bardzo jesteśmy z ciebie dumni.

- To dziwne, bo ja też.

Pochylił się nad Ariana, a ona musnęła jego policzek dłonią, na której skrzyły się i migotały dwa pierścionki: po matce i od Manfreda. Nie rozstała się z nimi ani na chwilę, odkąd porzucił ją Paul i odkąd Noel przyszedł na świat, były bowiem nie tylko jej polisą ubezpieczeniową, lecz również jedynym śladem przeszłości.

Z czasem, dzięki staraniom Maxa, Ariana odzyskała rezydencję w Grunewaldzie i część jej wyposażenia, przyznano jej też odszkodowanie za zameczek Manfreda. Uzyskane stąd sumy nie były oszałamiające, stanowiły jednak niemałą fortunę, która odpowiednio zainwestowana, mogła do końca życia zapewnić Arianie i jej dziecku godziwy byt. Ariana nie potrzebowała więcej... Rzuciła pracę w księgarni, kupiła niewielką kamieniczkę w East Side, w okolicy górnych Ulic Siedemdziesiątych, gotówkę zamieniła na akcje i każdą chwilę poświęcała jednakowi.

Przez kilka pierwszych lat Max namawiał ją na małżeństwo, w końcu dał za wygraną. Żadne z nich nie chciało nowych dzieci, każde było na swój sposób zbyt silnie uwikłane w przeszłość. Max wynajmował z początku mieszkanie, niebawem wszakże za namową Ariany kupił piękną garsonierę w bloku położonym naprzeciwko jej domu. Bywali razem w operze i w teatrach, jadali ze sobą kolacje, od czasu do czasu wspólnie znikali w weekendy, lecz koniec końców każde wracało do własnej przystani. Początkowo Ariana postępowała tak ze względu na Noela, później - z przyzwyczajenia. Chociaż syn od siedmiu lat studiował na Uniwersytecie Harvarda, wciąż bardzo wiele czasu spędzała we własnym domu.

- Masz niejedyn powód do dumy, kochany - stwierdziła Ariana, spoglądając na syna spod runda słomkowego kapelusza, Noel zaś, idąc za przykładem Maxa, po raz kolejny zadał sobie pytanie, czy kiedykolwiek czas wycisnie piętno na jego matce, ciągle tak ślicznej i dziewczęcej.

Pokręcił głową.

- Nie miałem na myśli, że jestem dumny z siebie - powiedział cicho. - To ty napawasz mnie dumą.

Zachichotała rozbawiona, raz jeszcze musnęła dłonią twarz syna i biorąc Maxa pod ramię odparła:

- Chyba nie powinieneś traktować swojej matki tak protekcyjnie, Noelu.

- Właśnie - wtrącił wesoło Max. - Poza tym uważaj, żeby nie obudzić we mnie zazdrości! A więc kiedy podejmujesz pracę, Noelu?

- Diabła tam podejmuję, wujku. Żartujesz sobie? Wyjeżdżam na wakacje.

Ariana popatrzyła nań z zaskoczeniem i radością.

- Naprawdę? Dokąd?

Nic jej do tej chwili nie wspominał, ale był już mężczyzną i miał prawo snuć własne plany, nie uzgadniając ich z matką. Powoli, z rozwagą - i niemalą pomocą Maxa - pozwalała, by się usamodzielniał, odkąd jesienią 1963 roku rozpoczął studia na Uniwersytecie Harvarda.

- Myślałem o podróży do Europy.

- Tak? - Wspólnie zwiedzili Kalifornię, Arizone, Wielki Kanion, Nowy Orlean, Nową Anglię, ale nigdy nie byli w Europie, ani bowiem Ariana, ani Max nie mieli w sobie dość sił, by tam pojechać. Jakież miałby sens powrót do miejsc zamieszkiwanych ongiś i odwiedzanych przez ludzi, których oboje kochali, ludzi, których już nie ma, chociaż ciągle żyją w pamięci ich obojga? Dawno już zatem podjęli decyzję, że nigdy tam nie wrócą. - Co konkretnie chcesz zwiedzić? - zapytała Ariana, lekko błędąc.

- Jeszcze nie wiem, mamó, ale pewnie zahaczę o Niemcy. Muszę... zawsze chciałem. Potrafisz to zrozumieć?

Kiwając głową, uśmiechnęła się ciepło do syna, który był już mężczyzną.

- Tak, kochanie, rozumiem - odparła, stwierdzając zarazem nie bez zaskoczenia, że słowa Noela sprawiają jej ból. Chciała stworzyć chłopcu amerykański świat, w którym nie będzie miejsca na Niemcy, niemieckie sentymenty i chęć powrotu. Pochyliła głowę i pogrążyła się w zadumie.

- Nie zwieszaj nosa na kwintę, Ariano - odezwał się Max, kiedy Noel poszedł po lunch. - Dla chłopaka to nie jest żaden powrót, lecz po prostu wyprawa do miejsc, o których słyszał i czytał. Uwierz mi, nie ma w tym żadnych podtekstów.

Podniosła ku niemu pojaśniałą twarz.

- Może masz słusność - szepnęła.

- Motywuje go tylko zdrowa ciekawość, Ariano, poza tym Niemcy to nie tylko twój kraj, ale i kraj jego ojca.

Ojciec zaś, z czego oboje zdawali sobie sprawę, był dla Noela świętością, kimś na kształt Boga. Ariana opowiedziała mu o Manfredzie wszystko - o tym, jak uratował ją z rąk faszystów, jaki był dla niej dobry i jak wielkim oboje darzyli się uczuciem. Pokazała mu zdjęcie przedstawiające Manfreda w mundurze; tak, niczego przed nim nie zataiła, niczego mu nie oszczędziła.

Max lekko poklepał ją po dłoni.

- Dobrze go wychowałeś, Ariano.

Posłała mu spod ronda kapelusza figlarne spojrzenie.

- A ty oczywiście w ogóle nie przyłożyłeś do tego ręki?

- No, może troszeczkę...

- Łgarz z pana, panie Thomas. Noel jest na równi twoim synem, jak i moim.

Długo nie odpowiadał, wreszcie lekko pocałował Arianę w policzek.

- Dziękuję, najdroższa.

Kiedy zamajaczyła nad nimi sylwetka Noela niosącego dwie tace, wzdrygnęli się i odskoczyli od siebie. Noel wyszczerzył wszystkie zęby w uśmiechu od ucha do ucha.

- No, słowo daję, jeśli nie przestaniecie się obłapiać, wszyscy się zaraz pokapują, że nie jesteście małżeństwem.

Ariana oblała się rumieńcem.

- Jak możesz, Noelu? - wyszeptała z oburzeniem.

- Przestań tak na mnie patrzeć, mamó - odparł. - To nie ja zachowywałem się jak małolat... i to w biały dzień! - odparł z czułym uśmiechem. - Miło widzieć, że jesteście ze sobą szczęśliwi.

- Czyż kiedykolwiek było inaczej? - zapytała Ariana, zerkając w stronę Maxa.

- Ja przynajmniej sobie nie przypominam - stwierdził Noel, widząc zaś, że jego matka całuje Maxa, dodał: - Ale taka sytuacja to prawdziwa rzadkość.

- Pewnie masz rację.

Kończyli lunch, czekając na wystąpienie gościa honorowego, kiedy Noel w powiewającej na wietrze todzie zerwał się gwałtownie, zaczął zapraszająco wymachiwać ręką, po czym usiadł, obdarzając Arianę i Maxa triumfalnym spojrzeniem.

- Zaraz tu będzie - oświadczył.

- On czy ona? - zapytał kpiarskim tonem Max i tym razem to Noel oblał się rumieńcem.

Chwilę później podeszła do nich dziewczyna, wysoka, zgrabna i w przeciwieństwie do Noela, smągła i czarnowłosa. Miała wielkie zielone oczy i niezmiernie długie, bardzo szczupłe nogi. Ariana zauważyła, że nosi sandały.

Noel zerwał się na jej widok z miejsca.

- Max, mamó, to jest Tamara - oświadczył bez wstępów. Dziewczyna uśmiechnęła się, odsłaniając nieskazitelne zęby. - Tammy, to moja matka i wujek Max.

Uprzejmie przywitała się z Arianą i Maxem i odrzuciwszy do tyłu kaskadę prostych czarnych włosów, popatrzyła Noelowi w oczy, przekazując mu jakiś sekret, zaszyfrowaną potajemną wiadomość.

Max uśmiechnął się pod nosem; takie spojrzenie mogło oznaczać tylko jedno.

- Czy ty również studiujesz prawo, Tamaro? - zapytała Ariana, usiłując odepchnąć od siebie obawy związane z obecnością tej dziewczyny u boku syna. Tamara jednak nie miała w sobie nic, co mogłoby stanowić źródło obaw: sprawiała wrażenie osóбки otwartej i przyjacielskiej.

- Tak, pani Tripp.

- Tyle że to prawnik w powijakach - wtrącił kpiarsko Noel, muskając połyskliwe włosy Tamary. - Nie opierzony żółtodziób, ot co!

- Zostały mi jeszcze dwa lata studiów - wyjaśniła. - A Noel dzisiaj chyba za bardzo urósł.

Mówiła to takim tonem, jakby Noel w większym stopniu należał do niej niż do Ariany. Ariana bezbłędnie to wyczuła.

- Zaimponował nam, to prawda, ale kiedyś zaimponuje również tobie, Tamaro. Zamierzasz skończyć studia tutaj?

- Tak sądzę - odparła, znów na krótką chwilę wbijając wzrok w oczy Ariany.

Noel zbagatelizował tę lakoniczną wymianę myśli i zerkając kątem oka na Tamarę powiedział do matki:

- Usłyszycie jeszcze o niej w Nowym Jorku, jeśli oczywiście uczciwie przyłożą się do pracy.

- Patrzcie państwo! - zareplikowała dziewczyna i nie zważając na obecność Ariany i Maxa, którzy z rozbawieniem przyglądali się scenie, wymierzyła w Noela palec oskarżycielskim gestem. - A kto dokończył twoją pracę magisterską? Kto przez ostatnie pół roku przepisywał na maszynie twoje wypociny?

Oboje chichotali jak najęci, wreszcie Noel przyłożył palec do ust.

- O rany, zamknij buzię, Tammy, to sekret! Chcesz, żeby odebrali mi dyplom?

- Nie - odparła, szczerząc zęby. - Chyba że ja dostanę go zamiast ciebie i będę mogła zabrać się stąd do stu diabłów.

Gość honorowy - a był nim tego dnia sędziwy senator Mark Morgue - brnął już przez preambułę swojej oracji, Noel więc uciszył Tamarę, która pożegnała się z Arianą i Maxem, po czym lawirując między krzesłami, pobiegła w stronę kolegów z roku.

- Całkiem niebrzydka młoda dama - wyszeptał do Noela uśmiechnięty Max. - Właściwie uderzająca piękność.

Noel pokiwał głową.

- A pewnego dnia będzie cholernie dobrym prawnikiem - odparł.

Z cielecym zachwytem wlepił wzrok tam, gdzie wśród tłumu zniknęła jego dziewczyna.

Ariana zaś, nie spuszczać z oczu swego wysokiego złotowłosego syna, uśmiechnęła się do siebie.

ROZDZIAŁ 46

Wieczorem zjedli kolację w niemieckiej restauracji Lockego, ale temat Tamary nie wypłynął ani razu. Noel z Maxem gawędzili o rozmaitych problemach prawnych, Ariana zaś, słuchając jednym uchem, rozmyślała o życiu. Naturalną kolejną rzeczą w jej refleksjach raz czy dwa razy pojawiła się ciemnowłosa dziewczyna. Ariana miała wrażenie, że już ją kiedyś widziała, lecz nie potrafiłaby powiedzieć, w jakich okolicznościach. Może po prostu na zdjęciu, które Noel zostawił w nowojorskim mieszkaniu? Tak czy inaczej, nie miało to zbyt wielkiego znaczenia. Od tej chwili losy dwojga młodych ludzi miały potoczyć się zupełnie odrębnymi torami.

- Jak sądzisz, Ariano? - Max pytając uniósł brew, po czym szeroko się uśmiechnął. - Znowu flirtowałaś z młokosami, najdroższa?

- Boże, a ty znowu przyłapałeś mnie na gorącym uczynku. Wybacz, o co pytałeś?

- Pytałem, czy twoim zdaniem zamiast Bawarii nie powinien odwiedzić Schwarzwaldu.

- Być może - odparła pochmurniejac. - Nadal uważam - zwróciła się do syna - że powinieneś raczej wybrać się do Włoch.

- Dlaczego? - zapytał, patrząc jej prosto w oczy. - Dlaczego nie do Niemiec? Czego się obawiasz, mammo?

Max w głębi duszy był rad, że chłopak znalazł w sobie odwagę, aby poruszyć tę kwestię.

- Niczego się nie obawiam, głuptasie.

- Nieprawda.

Po długiej chwili wahania zerknęła na Maxa, potem opuściła wzrok. Zawsze byli wobec siebie szczerzy aż do przesady i oto nagle Ariana przyłapała się na tym, że odczuwa lęk przed wyrażeniem własnych myśli.

- Boję się, że jakaś częśćka ciebie znajdzie tam ojczyznę - odparła.

- No i co z tego? - zapytał, ujmując dłoń matki. - Sądzisz, że zostanę w Niemczech?

- Możliwe - westchnęła. - W gruncie rzeczy nie wiem, czego się boję, tylko że... wyjechałam stamtąd tak dawno i w tak strasznych czasach. I teraz Niemcy kojarzą mi się tylko z tym, co utraciłam... z osobami, które kochałam.

- Czy jednak nie sądzisz, że mam prawo dowiedzieć się o nich czegoś więcej? Zobaczyć kraj, w którym mieszkali? Gdzie ty mieszkałaś w dzieciństwie i w młodości? Zobaczyć twój rodzinny dom i rodzinny dom mojego ojca? Dlaczego nie miałbym tego zobaczyć, po prostu przekonać się, że to wszystko tam jest i może stanowić jakąś częśćkę mnie, tak jak stanowi częśćkę ciebie?

Przy stole zapadła przeciągająca się cisza, którą wreszcie przerwał Max.

- Chłopak ma rację, Ariano - powiedział. - Więcej: ma prawo do tego. - Przeniósł spojrzenie na Noela. - To piękny kraj, synu. Był piękny i zawsze będzie piękny. Być może jednym z powodów, dla których nie chcemy do niego wracać, jest to, że tak bardzo go kochamy, a zarazem nie potrafimy zapomnieć, co nas w nim spotkało.

- Doskonale to pojmuję, Max - odparł Noel. Wyrozumiałe i z wielkim współczuciem popatrzył na Arianę. - Nie bój się, mamó, nie doznam żadnych urazów psychicznych, bo nie doświadczyłem na własnej skórze tego, co się tam działo. Chcę po prostu zobaczyć, a potem wrócę do was i swojej ojczyzny odrobinę bogatszy o to, co zdołałem zrozumieć z waszego i swojego życia.

Ariana z cichym westchnieniem popatrzyła na obu mężczyzn.

- Jesteście tak wygadani, że powinniście zostać prawnikami - stwierdziła.

Skwitowali tę uwagę śmiechem, dopili kawę i Max gestem poprosił o rachunek.

Noel odlatywał z lotniska Kennedy'ego za dwa tygodnie, zamierzał spędzić w Europie około sześciu i wrócić do Nowego Jorku w połowie sierpnia, chciał bowiem, jeszcze przed rozpoczęciem pracy pierwszego września, znaleźć sobie mieszkanie. Ostatnie dni przed podróżą upływały w gorączkowej atmosferze: Noel spotykał się z przyjaciółmi, bywał na imprezach, poza tym prawie codziennie omawiał z Maxem szczegóły swojej wyprawy. Ariana, chociaż nadal trochę zaniepokojona jego planami, w duszy całkowicie się już z nimi pogodziła i obserwowała krzątanie syna z niejakim rozbawieniem.

Pewnego wieczora widząc, jak wyrusza na kolejną hulankę z kompanią przyjaciół, doszła do wniosku, że młodzi ludzie zachowują się zawsze tak samo bez względu na epokę, w której przyszło im żyć.

- O czym tak dumasz? - zapytał Max, widząc nostalgiczną mgiełkę w jej oczach.

- Że nic się nie zmienia - odparła z wyrozumiałym uśmiechem.

- Tak sądzisz? Ja chwilami odnoszę zupełnie odmienne wrażenie, ale może dlatego, że jestem dwadzieścia lat starszy od ciebie.

I wtedy jak na komendę pomyśleli o pustym apartamencie w Grunewaldzie, gdzie pocałowali się po raz pierwszy. Max wzrokiem zapytał Arianę, czy pamięta.

- Tak, pamiętam - skinęła głową.

- Powiedziałem ci wtedy - szepnął z uśmiechem - że cię kocham. I wierz mi, tak było.

Musnęła wargami jego policzek.

- Ja też cię kochałam... tak, jak w tamtych czasach umiałam kochać. - Spojrzała w jego piwne oczy. - Byłeś pierwszym mężczyzną, którego pocałowałam.

- A teraz zaczynam mieć nadzieję, że będę również ostatnim. Tyle że aby mieć w tej kwestii

pewność, musiałbym dożyć przynajmniej setki.

- Liczę na to, Max.

Długo wpatrywali się w siebie uśmiechnięci, potem Max, jakby nagle zdecydował się na coś, ujął zdobną ciężkim szmaragdem dłoń Ariany.

- Chcę ci coś powiedzieć, Ariano - zaczął. - A właściwie o coś zapytać.

Nagle zrozumiała. Czy to możliwe? Czy po tylu latach ta sprawa jeszcze miała znaczenie?

- Tak, tak, to dla mnie bardzo ważne. Ariano, wyjdiesz za mnie? - powiedział czule, błagalnie i z bezgraniczną miłością.

Milczała przez chwilę, później filuternie przechyliła głowę.

- Kochanie, dlaczego teraz? Czy w tej chwili cokolwiek to zmieni?

- Tak, przynajmniej jeżeli chodzi o mnie. Noel już nie stanowi przeszkody. Jest mężczyzną, Ariano. Po powrocie z Europy pójdzie na swoje... Ale co z nami? Czy nadal mamy zachowywać pozory? I na czyj użytek? Mojego odźwiernego i twojej gosposi? Sprzedajmy twój dom albo moje mieszkanie i weźmy ślub! Nareszcie przyszedł nasz czas! Poświęciłaś Noelowi dwadzieścia pięć lat. Następnym dwadzieścia pięć poświęć sobie.

Nie potrafiła zachować powagi wobec takich argumentów. Wiedziała, że Max ma rację, i perspektywy uznawała za nader zachęcające.

- Ale czy musimy brać ślub, żeby osiągnąć to wszystko?

Uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Czyżbyś w swoim wieku nie chciała zostać powszechnie poważaną panią domu?

- Ależ, Maksie, mam dopiero czterdzieści sześć lat! - odparła mając świadomość, że w końcu dopiął swego. I pocałowała go raz jeszcze, tym razem w usta, jak dwadzieścia osiem lat temu.

Nazajutrz powiadomili o swej decyzji Noela. Był wniebowzięty - wycałował matkę i po raz pierwszy również Maxa.

- Teraz nie mam już skrupułów w związku z przeprowadzką - oświadczył. - Sprzedasz dom, mamo, czy zapuszczacie w nim korzenie?

- Jeszcześmy nie postanowili - rzekła, wciąż lekko zarumieniona.

Noel wyszczerzył zęby i cmoknął ją w policzek.

- Jak się zastanowić, to mało która para postanawia wziąć ślub w swoje srebrne gody.

- Noelu!!! - wykrzyknęła ze szczerym, lub prawie szczerym oburzeniem Ariana. Wciąż towarzyszyło jej przekonanie, że osoba z dobrego domu bierze ślub w dwudziestym, góra w dwudziestym pierwszym roku życia, nie zaś wtedy, kiedy zbliża się do pięćdziesiątki i ma dorosłego syna.

- No to kiedy weselisko?

- Jeszcze nie powzięliśmy decyzji - odrzekł Max, widząc zakłopotanie Ariany. - Na pewno jednak poczekamy na twój powrót.

- No, myślę! Ale trzeba to uczcić już teraz.

I chociaż nie robili praktycznie nic innego, odkąd Noel ukończył studia, na zaproszenie Maxa poszli do Côte Basque na kolację, mając podwójną okazję: wyprawę Noela w przeszłość oraz Maxa i Ariany w przyszłość. Z jednego i drugiego powodu Ariana uroniła kilka łez.

Noel wyruszył nazajutrz. Paryż nie zawiódł jego oczekiwań - w pierwszej kolejności zwiedził Luwr i wieżę Eiffla, powłóczył się po ulicach, przysiadając w kafejkach na wino i lekturę gazet, na koniec wysłał pocztówkę, którą zaczął „Drodzy Narzeczeni” i podpisał „Wasz syn”.

Przed kolacją, zgodnie z przyrzeczeniem złożonym Tamarze, zadzwonił do jej przyjaciółki Brigitte, córki znanego antykwariusza i właściciela Galerie Gerard Goddard. Brigitte studiowała w Harvardzie zaledwie przez kilka semestrów i Noel znał ją tylko przelotnie, niemniej z Tammy zaprzyjaźniła się mocno. Była intrygującą dziewczyną - piękną, dowcipną, nie traktującą niczego serio; pochodziła, jeśli wierzyć jej słowom, z osobliwej rodziny: miała matkę, którą darzyła nienawiścią, ojca, który miał obsesję na punkcie przeszłości, i zwariowanego brata. A przy tym było w niej coś nieomal tragicznego, jak gdyby w układance jej życia brakło elementu o krytycznie ważnym znaczeniu. Kiedy raz Noel rozmawiając z nią podjął ten wątek na serio, odparła:

- Masz rację. Moja rodzina jest kaleka. Ojciec żyje zamknięty w swoim własnym świecie. Żadne z nas się dla niego nie liczy... mam na myśli żyjących. Znaczenie mają tylko ci, których utracił bardzo dawno temu.

Noel zatem zadzwonił do Brigitte i dowiedział się, ku swemu ogromnemu rozczarowaniu, że wyjechała z miasta.

Na pocieszenie zafundował sobie kilka kolejek w La Tour d'Argent, a potem - zgodnie ze złożoną sobie na długo przed wyjazdem solenną obietnicą - długą kolacją u Maxima, podczas której z leniwym zainteresowaniem przypatrywał się pięknym Francuzkom i towarzyszącym im wyelegantowanym panom. Kobiety, pod wieloma względami odmienne od rodaczek Noela, bardzo przypadły mu do gustu: był zachwycony ich strojami, fryzurami, sposobem, w jaki się poruszały. W czymś przypominały mu matkę - skomponowane w miłym dla oka stylu, emanowały subtelnym erotyzmem, przywodząc na myśl ukryte w głębi ogrodu piękne kwiaty, które wprawdzie nie atakują zmysłów obserwatora jaskrawą barwą i silnym zapachem, lecz mimo to wyraźnie manifestują swoją obecność.

Nazajutrz z samego rana pojechał na Orly i wkrótce potem, podniecony i niecierpliwy, lądował na Tempelhofie. Nie czuł się jak ktoś, kto wraca w rodzinne strony, ale jak odkrywca,

który poszukuje rozwiązania starych sekretów, tropiciel miejsc, dawno zmarłych ludzi i związków łączących ich przed laty. Miał przeczucie, że znajdzie wszystkie odpowiedzi.

Zostawił bagaże w hotelu Kempinski, gdzie zrobił rezerwację, następnie zaś wyszedł z foyer i długo, bardzo długo omiatał spojrzeniem Kurfurstendamm, ulicę, przy której - wedle słów Maxa - od dziesięcioleci zbierali się pisarze, malarze i intelektualiści. Widział mnóstwo sklepów i kafejek, a w kłębiącym się tłumie przechodniów wyczuł świąteczny nastrój: miał wrażenie, że wszyscy ci ludzie na niego czekali, że był już najwyższy czas, aby tu przyjechał.

Wynajętym samochodem, posługując się mapą, rozpoczął systematyczne zwiedzanie. Ruiny kościoła Najświętszej Marii Panny Królowej ciągle, tak samo jak we wspomnieniach Ariany, godziły w niebo, poza tym jednak miasto zblizniło większość ran i pamiątek okrutnej przeszłości pozostało w nim niewiele. Należał do nich na przykład dworzec Anhalter, obok którego Noel przejechał powoli, kierując się w stronę filharmonii.

Przeszedł przez Tiergarten, obejrzał Kolumnę Zwycięstwa i - Max nie przesadził ani trochę - naprawdę przepiękny pałac Bellevue, następnie zaś stanął jak wryty.

Piętrzył się przed nim, skąpany w promieniach słońca, Reichstag - gmach, w którego obronie poległ jego ojciec.

Dla Noela nie stanowił pomnika faszyzmu, nie miał nic wspólnego z historią, polityką czy owym człowieczkiem z grzywką i wąsikami, który pałał niepowstrzymaną żądzą zawładnięcia całym światem. Był tylko kamieniem nagrobnym mężczyzny, który kochał Arianę... Owego nieznanego mężczyzny bez wątpienia podobnego do Noela. Młody człowiek pamiętał w najdrobniejszych szczegółach przedstawiony przez matkę opis wydarzeń tamtego poranka - wybuchy bomb i pocisków armatnich, żołnierzy zwycięskich i zwyciężonych, uciekinierów, rabusiów i... martwą twarz Manfreda. Noel widział ją w tej chwili oczyma matki i czując na policzkach wilgotne strumyki łez, znów, tym razem jednak donośniej i boleśniej, zadał sobie pytanie, jak zdołała to przeżyć.

Wolnym krokiem oddalił się od ruin Reichstagu i dopiero wtedy po raz pierwszy dostrzegł Mur, masywną fortyfikację, która omijając ponurą bryłę parlamentu Rzeszy przebiegała przez Bramę Brandenburską i przemieniała niegdyś kwitnącą aleję Unter den Linden w ślepy zaułek. Ciekawe, co się kryje za ową bezkresną budowlą, dzielącą Berlin na pół i nie znaną ze wspomnień ani matce, ani Maxowi, pomyślał Noel. W późniejszym czasie zresztą zamierzał przejść na wschodnią stronę, by obejrzeć Marienkirche, ratusz i katedrę. Na razie jednak miał inne plany.

Rozłożywszy mapę na pasażerskim siedzeniu wynajętego volkswagena, wyjechał z centrum i okrążywszy stadion olimpijski, dotarł do Charlottenburga, gdzie zatrzymał się nad jeziorem i popatrzył na zamek. Nie mógł wiedzieć, że stoi w tym samym miejscu, gdzie trzydzieści pięć lat

wcześniej często przystawała ze swoim kochankiem Dolffem Sternem jego babka, Cassandra von Gotthard.

Z Charlottenburga skierował się do Spandau i zafascynowany obejrzał wrota słynnej cytadeli, na których w najdrobniejszych szczegółach wyrzeźbiono hełmy z rozmaitych wojen - od średniowiecza do współczesności. Najnowszy panel miał datę 193g. Obecnie jedynym więźniem Spandau był Rudolf Hess, którego roczne utrzymanie kosztowało władze miasta czterysta tysięcy dolarów.

Ze Spandau było już niedaleko do Grunewaldu: Noel jechał brzegiem jeziora i szukał adresu podanego przez Maxa. Pierwotnie chciał zapytać matkę, lecz w ostatniej chwili zabrakło mu odwagi, tak że ostatecznie Max udzielił mu wskazówek, opisał pokrótce piękną rezydencję, a nawet raz jeszcze zrelacjonował, jak Walmar dał mu w niej schronienie, a następnie obdarował dwoma wyciętymi z ram bezcennymi obrazami.

Noel pomyślał w pewnej chwili, że przegapił dom, ale naraz ujrzał przed sobą bramę idealnie zgodną z opisem Maxa. Wsiadł z wozu i zbliżył się do ogrodzenia rezydencji, powitany zaciekawionym spojrzeniem ogrodnika, który oderwał się od pracy i zapytał:

- Bitte?

Niemczyzna Noela po zaledwie trzyletnim kursie była dosyć kulawa, zdołał wszakże wyjaśnić, że właśnie w tym domu mieszkał niegdyś jego dziadek.

- Ah, ja? - mruknął ogrodnik.

- Ja... Walmar von Gotthard - odrzekł Noel z dumą.

Ogrodnik uśmiechnął się i wzruszył ramionami; nigdy nie słyszał tego nazwiska. Nadeszła starsza kobieta i nagle Noel zdołał zrozumieć, przypomniała ogrodnikowi, który był zapewne jej mężem, iż trzeba się spieszyć z robotą, bo pani wraca z podróży już nazajutrz rano. Ogrodnik wyjaśnił jej powód przybycia Noela, kobieta zaś popatrzyła nań podejrzliwie i po chwili wahania niechętnie skinęła głową. Noel, niezupełnie rozumiejąc, o co chodzi, pytająco spojrzął na mężczyznę, ten zaś ujął go za ramię i obnażył w uśmiechu żółte zęby.

- Pozwoli się panu rozejrzeć - oświadczył.

- Po domu?

- Tak.

Staruszek wciąż uśmiechał się zyczliwie. To miłe, że ten młodzieniec na tyle interesował się krajem przodków, by do niego powrócić. Iluż zapomniało o swoich korzeniach, iluż nie miało pojęcia, jak wyglądało tu życie przed wojną! Ten jednak, rzecz godna aprobaty, był chyba inny.

Pod pewnymi względami dom wyglądał odmiennie niż w wyobrażeniach Noela, pod innymi był taki sam, jaki Ariana zachowała we wspomnieniach, którymi często dzieliła się z

synem. Zwłaszcza drugie piętro, gdzie mieszkała ongiś z bratem i piastunką. Bawialnia - późniejszy salonik - dwie sypialnie i ogromna łazienka pełniły teraz wprawdzie rolę apartamentu gościnnego, nietrudno jednak było wyobrazić je sobie w roli poprzedniej. Ogromnemu przeistoczeniu uległo natomiast pierwsze piętro, gdzie w wyniku przebudowy pojawiły się liczne małe sypialenki i saloniki, szwalnia i pokój wypełniony zabawkami... Parter był po staremu imponujący i odrobinę hieratyczny: Noel ujrzał oczyma duszy dziadka siedzącego u szczytu stołu w wielkiej jadalni, a potem, przez ułamek sekundy, orgietkę urządzoną w tym samym pomieszczeniu przez faszystowskiego generała...

Wylewnie podziękował parze starych ludzi, później zaś, stojąc obok wynajętego samochodu, sfotografował rezydencję. Może zdoła namówić Tammy, żeby na jej podstawie zrobiła piórkowy lub ołówkowy szkic - byłby to wspaniały prezent dla matki.

Odszukanie na grunewaldzkim cmentarzu rodzinnej kwatery von Gotthardów zajęło mu sporo czasu, ale wreszcie ją znalazł: groby ciotek, wujków i pradziadków... nazwiska, których w życiu nie słyszał, i losy, o których nie miał pojęcia. Tylko grób Kassandry von Gotthard nie był dla Noela anonimowy. Młody człowiek nie mógł nie zadać sobie pytania, jaką śmiercią w wieku zaledwie trzydziestu lat zmarła ta kobieta, która była jego babką.

Matka wciąż nie mówiła mu o wielu sprawach, uważając, że nie powinien o nich wiedzieć. Na przykład o ciągle dla niej bolesnym samobójstwie Kassandry czy też o swoim krótkim małżeństwie z Paulem Liebmanem. Kiedy Noel zbliżał się do wieku dojrzałego, uznała wspólnie z Maxem, że pewne rzeczy stanowią zamknięty rozdział i nie mogą kłaść się cieniem na życiu jej syna.

Po długiej wędrówce między zielonymi wzgórkami cmentarza Noel wsiadł do auta i pojechał do Wannsee, lecz tym razem poniósł fiasko. Pod adresem zapamiętanym z opowieści matki znalazł tylko szereg nowoczesnych segmentów; dom, w którym Ariana mieszkała z Manfredem, nie istniał.

Spędził w Berlinie jeszcze trzy dni, które prawie w całości - wyjąwszy powtórny wypad do Grunewaldu i Wannsee - poświęcił zwiedzaniu wschodniej części miasta. Zafascynowała go w jakiś ponury sposób szarością mieszkańców i ubóstwem sklepów: zgrzebna komunistyczna rzeczywistość, z którą zetknął się po raz pierwszy w życiu, wydała się Noelowi czymś znacznie bardziej namacalnym, a równie przygnębiającym jak widma odeszłego faszyzmu.

Z Berlina pojechał do Drezna, zainteresowany głównie zameczkiem ojca, przeobrażonym przez władze NRD w Muzeum Ruchu Ludowego. W dniu, kiedy do niego dotarł, nie było żadnych wycieczek i tylko jeden rozespany dozorca pilnował budowli skromnie urządzonej - tabliczka informowała, że większość mebli rozgrabiono w czasie wojny - i w monotonii swych wnętrzu dosyć

nieciekawej. Ale podobnie jak w Grunewaldzie, Noel mógł dotykać tych samych ścian i klamek, których w dzieciństwie dotykał jego ojciec, przystawać w tych samych drzwiach, wyglądać przez te same okna i wdychać to samo powietrze. To mógł być jego dom rodzinny - gdyby nie mieszkał w Nowym Jorku przy Wschodniej Siedemdziesiątej Siódmej i gdyby losy Europy potoczyły się inaczej.

Kiedy wychodził przez bramę, dozorca nie podnosząc się z krzesła mruknął „Auf wiedersehen”, Noel zaś posłał mu uśmiech i bez namysłu powiedział: „Goodbye”.

To co zobaczył, nie wpędziło go w przygnębienie, lecz w osobliwe a cudowne uczucie, że wreszcie się od czegoś uwolnił: od pytań, od pustych miejsc, o których dotąd nie miał pojęcia, chociaż stanowiły tak ważny element życia jego matki, ojca, Maxa. Teraz on też je zobaczył - takimi, jakie były obecnie, nie zaś w przeszłości. Zobaczył je, uczynił częścią własnych doświadczeń i był wolny. Inaczej postrzegał odtąd przeszłość, lepiej rozumiał matkę, widział we właściwym wymiarze to wszystko, przez co przeszła. I wreszcie naprawdę pojął, jak była silna. Poprzysiągł sobie, że całym swoim życiem da jej powód do dumy.

Gdy rozluźniony i beztroski wysiadł z samolotu na lotnisku Kennedy'ego, przytulił Arianę mocniej niż zwykle.

Bez względu na to, co zobaczył i czego doświadczył, nie miał wątpliwości, że wrócił do domu.

ROZDZIAŁ 47

Po powrocie Noel znalazł sobie mieszkanie w okolicach Wschodnich Pięćdziesiątych Ulic: z okien rozpościerał się widok na East River, w pobliżu zaś nie brakło sympatycznych barów, co dla Noela, który mimo podjęcia pracy lubił wyskoczyć z kolegami na drinka, miało spore znaczenie. Ariane i Maxa nie napawało to obawami, chłopak. Bowiern liczył sobie niespełna dwadzieścia sześć lat i z pewnością zdąży się jeszcze ustatkować.

- No i jak tam, moi drodzy, kiedy ślub? - zapytał Noel podczas pierwszej kolacji po swojej przeprowadzce. Odkąd nie mieszkał z matką, szlafrok Maxa coraz częściej pojawiał się na drzwiach sypialni Ariany. - Ustaliliście już datę?

- Cóż - odparła Ariana, obdarzając uśmiechem obu mężczyzn swojego życia. - Myśleliśmy o Bożym Narodzeniu. Uważasz, że to dobry pomysł?

- Cudowny. Będziemy mogli połączyć uroczystość z moimi! urodzinami. Planujecie dużą imprezę?

- Ależ skąd! - roześmiała się Ariana. - W naszym wieku? Zaprosimy tylko kilku przyjaciół.

Poczuła, że oczy jej wilgotnieją, wraz z myślą bowiem, że wychodzi za mąż już trzeci raz, przyszło wspomnienie tych wszystkich, których utraciła. Noel bezbłędnie odgadł jej nastrój - od czasu swej podróży do Europy był z matką jeszcze bliżej niż dotąd. Bo teraz w i e d z i a ł. Ta nowa więź między matką i synem nigdy nie stanowiła tematu rozmów, istniała jednak i była odczuwalna.

- Zastanawiam się, czy nie mógłbym zaprosić na wesele mojej przyjaciółki. Nie będziecie mieli nic przeciwko temu?

- Oczywiście, że nie, najdroższy - odrzekła znów rozpogodzona Ariana. - Znamy ją?

- Tak, przedstawiłem ją wam na wręczeniu dyplomów. Pamiętacie Tammy?

Usiłował zachowywać nonszalancję, ale szło mu to nieporadnie i Max wybuchnął śmiechem.

- Długonoga czarnowłosa piękność, jeśli mnie pamięć nie myli, prawda? Niejaka Tamara?

- Tak - bąknął Noel, patrząc z wdzięcznością na Maxa.

- Ja też ją pamiętam - oświadczyła Ariana. - Kończyła chyba pierwszy rok prawa.

- Właśnie. Przyjeżdża do rodziców na święta i pomyślałem sobie, że... to znaczy... że byłby to wobec niej miły gest.

- Ależ oczywiście, Noelu, oczywiście - znów pospieszył w sukurs Max i zręcznie zmienił temat na mniej kłopotliwy dla młodego człowieka.

Ariana jednak nie przeoczyła wyrazu twarzy syna i tego wieczoru przed pójściem do łóżka zapytała Maxa z niepokojem:

- Chyba nie traktuje tej dziewczyny poważnie?

- Raczej nie - odparł - choć nie możemy wykluczyć, że jest inaczej. Ale moim zdaniem nie dojrzał jeszcze do założenia rodziny.

- Miejmy nadzieję. Przecież ma dopiero dwadzieścia sześć lat!

Max Thomas przysiadł na krawędzi łóżka i szeroko uśmiechnął się do kobiety, którą niebawem miał poślubić.

- A ile ty miałaś lat, kiedy go urodziłaś?

- To nie ma nic do rzeczy. Wprawdzie miałam wtedy zaledwie dwadzieścia lat, ale była wojna i...

- Naprawdę sądzisz, że gdyby nie było wojny, dotrwałabyś w panieństwie do dwudziestego szóstego roku życia? Bo ja żadnym cudem nie mogę w to uwierzyć.

- Och, Maksie, to był inny świat i obowiązywały w nim inne prawa.

Milczeli przez długą chwilę, potem Ariana wśliznęła się do łóżka i przytuliła do Maxa. Był jej potrzebny jako tarcza przed wspomnieniami i bólem. On też zdawał sobie z tego sprawę.

- Powiedz, Ariano, czy teraz, po tylu latach, przyjmiesz moje nazwisko?

Popatrzyła nań zaskoczona.

- Oczywiście. Dlaczego miałabym tego nie zrobić?

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Kobiety są teraz tak niezależne... Myślałem, że może będziesz wolała pozostać Arianą Tripp.

- Wolę być twoją żoną, Maksie, a zatem panią Thomas. - Uśmiechnęła się z odrobiną melancholii. - Najwyższy czas.

- Najbardziej podoba mi się w tobie to - oświadczył, pieszcząc ją delikatnie - że tak błyskawicznie podejmujesz decyzje. Na podjęcie tej potrzebowałaś zaledwie ćwierć wieku.

Roześmiała się krystalicznie - tak samo jak wtedy, kiedy była młodą dziewczyną - i odwzajemniła namiętną pieszczotę, nieodmiennie zaskoczona mocą jego pragnienia.

ROZDZIAŁ 48

- Czy ty, Maximilianie, bierzesz tę kobietę...

Ceremonia była krótka i wzruszająca, a Noel w duchu dziękował Bogu za swój wysoki wzrost, dzięki któremu nikt nie mógł dostrzec, iż zwilgotniały mu rzęsy.

- Może pan pocałować pannę młodą.

Max i Ariana przywarli do siebie w długim pocałunku, najwyraźniej delektując się nim bardziej, niż powinni. Zaproszeni goście chichotali, Noel z uśmiechem poklepał Maxa po ramieniu.

- No, no, dość tego dobrego. Noc poślubna będzie później, to tylko część oficjalna.

Nowożeńcy z rozbawieniem oderwali się od siebie, Ariana przeciągnęła dłonią po włosach.

Postanowili ślub i wesele urządzić w służącej między innym takim celom sali położonego dość blisko od domu hotelu Carlyle. W sumie zaprosili czterdziestu gości, zapewniając tym, którzy będą mieli ochotę potańczyć, muzykę w wykonaniu niewielkiego zespołu.

- Czy mogę cię prosić, mamó? Wedle tradycji pierwszy taniec jest chyba zarezerwowany dla ojca panny młodej, ale może zaakceptujesz i taką współczesną wariację?

- Z największą przyjemnością.

Noel skłonił głowę, Ariana wzięła go pod ramię i już po chwili okrążali parkiet przy dźwiękach pierwszego tego wieczoru walca. Noel tańczył równie doskonale i z takim samym niewymuszonym wdziękiem jak jego ojciec, Ariana więc z roztargnieniem zadała sobie pytanie, czy nie jest to po prostu coś, co ma się we krwi.

Kiedy w pewnej chwili posłała nad ramieniem syna rozradowane spojrzenie Maxowi, zauważyła w kącie sali Tammy; dziewczyna, ubrana w czarną elegancką suknię z wełny, uczesała swe piękne włosy w prosty kok i ozdobiła uszy brylantowymi kolczykami.

- Tylko popatrz na tych dwoje! - powiedział Noel do Tammy, trochę zakłopotanej w tłumie nie znanych jej osób, ale jak zwykle szczęśliwej w towarzystwie swojego chłopaka. Chociaż Noel wydawał się jej dziś trochę nierzeczywisty, skoro dzinsy i golf, w których zwykła go oglądać, zamienił na smoking i muszkę. Przed chwilą zwierzyła mu się ze swoich najtajniejszych planów.

- No i co o tym myślisz? - zapytała.

- O czym? - zapytał tonem człowieka błądzącego myślami gdzieś daleko. Przez cały czas nie spuszczał oka z matki.

- Dobrze wiesz o czym.

- Ach, o twoich przenosinach na Columbię? Chyba zwariowałaś. Masz szansę na dyplom Harvarda, skarbie, a nie każda panienka może się poszczycić takim świstkiem.

- Do tego więc twoim zdaniem sprowadza się cała sprawa? - rozgniewała się.

Pospiesznie chwycił i ucałował jej dłoń.

- Ależ nie, i dobrze o tym wiesz - odparł. - Usiłuję ci tylko powiedzieć, że chociaż tak cię przypiliło, mogłabyś wytrzymać jeszcze te dwa lata w Harvardzie, licząc na, powiedzmy oględnie, moje regularne odwiedziny.

- Gadasz bzdury. Nie wytrzymałabyś tego ani ty, ani ja. Zaczęłaś pracować, co wiąże cię bardziej, niż sobie wyobrażasz. Moje studia też nie stają się lżejsze, a to oznacza, że wypady do domu będą coraz rzadsze. Gdybym była tutaj, moglibyśmy robić swoje, ale być razem.

Patrząc w wielkie, w tej chwili błagalne oczy, Noel musiał zmobilizować całą siłę woli, by nie zacząć zaklinać Tammy, żeby jak najszybciej, natychmiast, zrealizowała swój plan.

- Tammy - powiedział - nie chcę wpływać na twoją decyzję. Jest zbyt poważna. Mówisz w tej chwili o rewolucji, która może wpłynąć na twoją karierę.

- Rany boskie, nie bądź takim snobem, Noelu. Mówimy o Uniwersytecie Columbia, a nie byle szkółce.

- Skąd wiesz, że cię przyjmą bez problemów?

- Już się dowiadywałam i powiedziano mi, że mogę zacząć od najbliższego semestru. A więc? - zapytała z niepokojem.

Zaczerpnął powietrza, głęboko i powoli.

- W tym miejscu - odparł - powinienem okazać wielkość ducha i zacząć cię zniechęcać.

- Może powinieneś - popatrzyła mu w oczy - ale czy chcesz?

- Nie. Brutalna prawda jest taka, że chcę z tobą zamieszkać. Tu i od zaraz. Ale jestem świadom, że przemawia przede mną straszny egoizm. Chyba powinnaś być tego świadoma. - Przynurzył się do niej tak, że musnął ramieniem jej pierś. - Kocham cię i chcę być z tobą!

- No to przestań torpedować moje pomysły - ucięła dostrzegając nagle, że zbliżają się do nich Ariana i Max, którzy na widok tych dwojga młodych ludzi, tak pięknych, szczęśliwych i wolnych, zapragnęli nagle znaleźć się obok nich i choć przez chwilę spojrzeć ich oczyma na długą, bardzo długą drogę w przyszłość.

- Przypominasz sobie Tammy, mamó? - zapytał Noel.

- Tak. - Ariana spojrzała na dziewczynę z sympatią i uznaniem dla jej urody i charakteru, choć niepokoił ją pełen czułości i głębokiego zaangażowania wyraz oczu syna.

- Może jednak powinienem dokonać powtórnej prezentacji, skoro moja matka właśnie zmieniła nazwisko. - Ariana z lekka się zarumieniła, Max uśmiechnął się z dumą od ucha do ucha. - Moja matka, pani Ariana Maximilianowa Thomas, mój ojczym, pan Max Thomas, moja dziewczyna, panna Tamara Liebman...

- Liebman? - wykrzyknęła cicho Ariana, lecz szybko opanowała emocje. - Czy jesteś

spokrewniona z Ruth i Samuelem Liebmanami?

Nie potrafiła się zdobyć na to, by wymienić imię Paula.

Tammy skinęła głową, stropiona wyrazem, jaki przez ułamek sekundy dostrzegła na twarzy matki Noela.

- To moi dziadkowie - odparła. - Nie żyją od wielu lat.

- Och...! - Arianie przez chwilę brakło słów. - A zatem jesteś...

- Córką Paula i Marjorie Liebmanów. Moja ciocia, Julie, mieszka w Londynie. Może też ją pani zna.

- Tak... - odpowiedziała z najwyższym trudem śmiertelnie pobladła Ariana.

Tammy nie mogła znać powodów reakcji Ariany, czuła się wszakże odepchnięta, kiedy kilka minut później okrążyła parkiet w ramionach Noela.

- Tammy, ty płaczesz? - zapytał młody człowiek z bezgraniczną czułością.

Pokręciła głową, był to jednak gest mało przekonujący.

- Chodź, wyrwijmy się stąd na minutę - zaproponował, a kiedy zeszli do foyer, popatrzył jej w oczy i zapytał: - O co chodzi, skarbie?

- Twoja matka mnie nienawidzi - odparła przez ściśnięte gardło.

A tak bardzo pragnęła, żeby wszystko ułożyło się dobrze! Świadoma mocnej więzi łączącej Noela z matką, chciała od samego początku bezkonfliktowo wpasować się w układ. Teraz pojęła, że poniosła fiasko, że wszystko przepadło.

- Widziałeś jej minę, kiedy wymieniłam swoje nazwisko? Omal nie zemdląła, kiedy zorientowała się, że jestem Żydówką. Mówiłeś jej o tym?

- Nawet mi nie przyszło do głowy, że powinienem. Tammy, żyjemy w latach siedemdziesiątych i żydowskie pochodzenie nie ma najmniejszego znaczenia!

- Może nie ma dla ciebie, ale dla niej ma, i to wielkie. Tak samo jak twoje niemieckie pochodzenie było szokiem dla moich rodziców. Ale ja ich przynajmniej ostrzegłam! Dlaczego byłeś tak ślepy, jeśli chodzi o twoją matkę? Nawet nie miałeś pojęcia, że jest antysemitką!

- Nie, wcale nie jest. W następnej kolejności pewnie ją nazwiesz faszystką!

- Noelu, ty nic nie rozumiesz! - Drżąca w chłodzie foyer, patrzyła na ludzi spieszących ulicą.

- Ależ rozumiem, rozumiem. Doskonale rozumiem, że toniesz w szambie ich starych rozgrywek. To nie jest nasz konflikt, Tammy. My wszyscy: czarni, biali, brązowi, Żydzi, Irlandczycy, Arabowie i tak dalej... otóż my wszyscy jesteśmy Amerykanami i na tym polega urok tego kraju. Reszta się nie liczy!

- Dla nich się liczy! - wyjąkała, mając na myśli Ariane.

Mocno chwycił ją w ramiona.

- Ale nie dla mnie! Wierzysz mi, do jasnej cholery? - Skinęła głową. - Jutro, zanim wyruszą w tę swoją podróż poślubną do Włoch, pogadam z matką i jak rany, ustalę, czy masz rację, czy nie.

- Wiesz, że mam, Noelu.

- Nie bądź zanadto pewna.

Nie miała ochoty bawić się dalej. Noel poszedł z nią na górę po palto, nie odstąpił jej na krok, kiedy uprzejmie żegnała się z Arianą, następnie zaś sprowadził na dół i wsadził do taksówki.

* * *

- Twoja dziewczyna prezentowała się uroczo - stwierdziła nieco później Ariana, kiedy po zakończeniu przyjęcia siedzieli w salonie jej domu we East Side. Za trzy godziny mieli jechać na lotnisko, Ariana i Max udawali się bowiem do Europy na miesiąc miodowy, który zamierzali spędzić w Szwajcarii i we Włoszech. - Sprawia naprawdę sympatyczne wrażenie.

Noel stojąc przy kominku przewiercał matkę wzrokiem.

- Ona uważa, że jej nie znosisz, mam - powiedział. - Ponieważ jest Żydówką. Czy to prawda?

Ariana opuściła oczy.

- Przykro mi, że tak sądzi, Noelu. Powody są inne.

- Czyli przynajmniej częściowo ma rację... Nie lubisz jej.

Był tak gniewny i urażony, że Arianie pękało serce, iż musi kontynuować tę rozmowę.

- Nic takiego nie powiedziałam - odparła. - Wygląda na bardzo miłą osobę, niemniej, Noelu... - twardo popatrzyła na syna - musisz przestać się z nią widywać.

- Co? Chyba żartujesz!

Oderwał się od kominka i zaczął krążyć po pokoju.

- Wcale nie.

- Do diabła, o co tu chodzi? Mam dwadzieścia sześć lat, a ty mi mówisz, z kim się mogę spotykać, a z kim nie?

- Mówię to dla twojego dobra.

Podniecenie kilku minionych godzin rozwiało się jak dym. Raptem Ariana zaczęła sprawiać wrażenie kobiety starej i znużonej. Max czule ujął jej dłoń, ale nawet on nie był w stanie pocieszyć jej po tym, co zrobiła. A zrobiła rzecz straszną: zadała ból własnemu synowi.

- Niech cię to nie obchodzi.

Wzdrygnęła się, jakby wymierzył jej policzek.

- Przykro mi to słyszeć. Ale prawda jest taka, że kiedy dowie się o tobie jej ojciec, spotka cię coś bardzo bolesnego, Noelu. Powinieneś zawnoczyć sobie z tego sprawę.

- Dlaczego? - jęknął. - I co, do cholery, wiesz o jej ojcu?

Zapadła przeciągająca się cisza, którą - jak zwykle chcąc pospieszyć żonie w Sukurs - zamierzał przerwać Max, kiedy Ariana uniosła dłoń.

- Tuż po przyjeździe do Stanów wyszłam za niego za mąż - powiedziała.

Wstrząśnięty Noel ciężko opadł na krzesło.

- Nic nie rozumiem - wyszeptał.

- Wiem. I jest mi bardzo przykro. Myślałam, że obędziesz się bez tej wiadomości.

- A mój ojciec? Byłaś jego żoną czy nie?

- Byłam, ale dotarłam do Stanów jako wdowa... przerażona i okropnie chora wdowa. Przy płynęłam statkiem Kobiecej Organizacji Dobroczynnej... nie wiem, czy jeszcze istnieje, ale w tamtych czasach miała wielkie znaczenie... i zostałam obdarzona przyjaźnią naprawdę cudownej kobiety nazwiskiem... - zająknęła się, dopiero teraz w pełni uświadamiając sobie, że Ruth już nie żyje. - Nazwiskiem Ruth Liebman. Tak, to była babka Tamary. Liebmanowie przyjęli mnie pod swój dach i byli wspaniali: wykurowali mnie, obsypali podarkami i pokochali. Ale byli święcie przekonani, że jestem Żydówką... ja zaś okazałam się na tyle głupia, że nie wyprowadziłam ich z błędu.

Milczała przez długi czas, potem spojrzała Noelowi w oczy.

- Mieli syna... Został ranny na froncie japońskim, wrócił do domu i... zakochał się we mnie. Miałam wtedy dwadzieścia lat, on dwadzieścia dwa, ale po twoim ojcu wydawał mi się młokosem. Ale był uroczy. Właśnie porzuciła go dziewczyna, z którą był zaręczony, a ja... - przelknęła ślinę - dowiedziałam się, że jestem w ciąży. Zamierzałam wyprowadzić się od Liebmanów i w samotności urodzić ciebie, Noelu, ale... coś... nie wiem, jak do tego doszło... Paul ponawiał oświadczenia i... i wszystko wydawało się tak proste. Sama nie mogłam zapewnić ci nic, Noelu... - Wytarła łzę, która staczała się po jej policzku. - Uznałam więc, że dla twojego dobra skłamię i w zamian Paul będzie miał moją dozgonną wdzięczność. Dwa tygodnie przed twoimi narodzinami Paul zaskoczył mnie w chwili, gdy wpatrywałam się w fotografie twojego ojca. Nie potrafiłam skłamać... powiedziałam mu całą prawdę. Także o tym, że noszę w łonie dziecko Manfreda, nie jego. Wypadł z domu jak pocisk i nigdy go już nie widziałam, bo wszelkie kontakty ze mną utrzymywał za pośrednictwem adwokatów. Nie widziałam już nikogo z rodziny Liebmanów... Z ich punktu widzenia byłam faszystką.

Noel wstał, podszedł do Ariany, przyklęknął obok niej i pogładził ją czule po głowie.

- Oni już nic nie mogą zrobić, mamusiu - powiedział. - Ani mnie, ani Tammy. Czasy się zmieniły.

- To nie ma znaczenia.

Ujął dłonią podbródek matki.

- Ależ ma. Dla mnie i dla niej.

Max wstał i odezwał się po raz pierwszy od pół godziny.

- Całkowicie zgadzam się z tobą, Noelu - oświadczył stanowczo. - Teraz jednak, z łaski swojej, pozwól nowożeńcom odrobinę wypocząć przed wyjazdem.

- Ależ oczywiście - rzekł Noel i ucałowałszy oboje, ruszył w stronę drzwi, w ostatniej chwili jednak przystanął, zatrzymany słowami matki:

- Nie gniewasz się, że ci o tym powiedziałam?

Wolno pokręcił głową.

- Nie, mam. Jestem tylko zaskoczony.

Kiedy wyszedł, Max czule pocałował Arianę.

- Przełknij to - powiedział. - A zresztą nie musisz przed nikim się tłumaczyć. Nawet przed nim.

Noel wybiegł na ulicę, złapał taksówkę, a ledwie przekroczył drzwi swojego mieszkania, podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer.

- Tammy? Muszę się z tobą zobaczyć - powiedział bez tchu.

- Kiedy? - zapytała z niezwykłą obojętnością.

- Zaraz.

Kiedy dwadzieścia minut później przestąpiła próg jego kawalerskiego mieszkania, oświadczył z ogniem w oczach:

- Skarbie, mam dla ciebie kilka takich niespodzianek, że ho, ho!

- Wal.

Nie wiedział od czego zacząć, postanowił więc skoczyć na głęboką wodę.

- Na przykład taką, że niewiele brakowało, aby twój ojciec był moim ojcem.

- Co? - ze zdumienia aż otworzyła usta.

Wyjaśnienie i uporządkowanie rodzinnych powikłań zajęło Noelowi prawie pół godziny. Na koniec wciąż oszołomiona Tammy stwierdziła:

- Chyba nikt w rodzinie nie wie o poprzednim małżeństwie taty.

- Cóż, wiedzieli na pewno twoi dziadkowie i ciotki. Ale matka... sam nie wiem.

Przez chwilę się zastanawiała.

- Możliwe, że ona też. Tata ma takiego kręcka na punkcie szczerości, że pewnie przed ślubem otworzył przed nią duszę. - Zwłaszcza że on tu nic nie zawinił. Przecież to moja matka usiłowała wprowadzić go w błąd - zauważył Noel, tonem jednak pełnym czułości i współczucia. Doskonale rozumiał motywy powodujące Arianę, dwudziestoletnią wtedy bezdomną i brzemienną

uciekinierką.

Dramaty sprzed lat mają to do siebie, że chociaż potrafią budzić żywe uczucia pośród tych, którzy grali w nich główne role, następnemu pokoleniu wydają się po prostu banalne.

- Powiesz o nas ojcu, Tammy? - zapytał Noel.

- Nie wiem. Może.

- Chyba jednak powinnaś. Po co czekać, aż tajemnice wypłyną na powierzchnię bez naszego udziału? Wyłóżmy karty na stół. Naszych staruszków spotkało w życiu za wiele niespodzianek.

- Czy to oznacza, że chcesz ze mną zamieszkać, Noelu? - spytała Tammy z nadzieją w swoich wielkich zielonych oczach.

Uroczyście skinął głową.

- Jasne, maleńka.

ROZDZIAŁ 49

Z końcem semestru zimowego Tammy wcieliła w życie swą decyzję. Już wcześniej załatwiła wszystkie formalności związane z przenosinami na wydział prawa Uniwersytetu Columbia, teraz pozostawało tylko spakować manatki i wyprowadzić się z niewielkiego mieszkania, które w Cambridge zajmowała razem z czterema koleżankami. W niedzielny poranek przyjechał po nią rozradowany Noel i wspólnie odbyli krótką podróż do Nowego Jorku. Na miejscu Tammy stwierdziła, że w każdej szafie i szufladzie zostało przygotowane miejsce na jej rzeczy, całe mieszkanie jest udekorowane kwiatami i balonikami, w lodówce zaś mrozi się butelka szampana.

Od tego dnia minęły trzy miesiące i wszystko szło jak po maśle. Był tylko jeden problem: o nowym układzie nie wiedzieli ani rodzice Tammy, ani Ariana. Noel po prostu o niczym nie wspomniał matce, Tammy zaś, uprzedziwszy ojca, że ma nowy numer telefonu, poleciła zainstalować w mieszkaniu Noela drugą linię wyłącznie na użytek rodziców.

Pod koniec maja wszakże zostali zdekonspirowani, kiedy Ariana odwiedziła syna, przynosząc mu kilka listów omyłkowo wysłanych pod jej adres. Zamierzała przekazać je dozorczy, gdy nagle po schodach sfrunęła Tammy, niosąc pod jedną pachą rzeczy do pralni, pod drugą podręczniki uniwersyteckie.

- Och... - wyjąkała czerwona jak piwonia. - Dzień dobry, pani Tripp... to jest, pani Thomas.

Ariana ozięble skinęła głową.

- Byłaś u Noela? - zapytała.

- Ja... tak... byłam. Chciałam sprawdzić coś w jego książkach... w związku z pracą semestralną.

Najchętniej zapadłaby się pod ziemię. Noel miał słuszość: powinni byli już dawno o wszystkim powiedzieć rodzicom. Ariana z pewnością czuje się teraz oszukana.

- Nie wątpię, że jego... hm, wkład w twoją pracę semestralną jest... znaczny.

- Tak, tak... znaczny. Jak się pani miewa?

- Doskonale, dziękuję, moja droga - odrzekła Ariana i zawróciwszy na pięcie ruszyła w stronę najbliższej budki telefonicznej, by zadzwonić do syna.

W sumie Noel był rad, że cała historia wyszła na jaw. Był już po temu najwyższy czas. A jeśli nawet Tamara nadal zamierzała kryć się przed rodzicami, on miał w tej sprawie zupełnie inne zdanie. Postanowiwszy nieodwołalnie z tym skończyć, zadzwonił do biura numerów, potem do sekretariatu Paula Liebmana i umówił się na spotkanie z szefem firmy na drugą czterdzieści pięć.

Taksówka zatrzymała się przed tym samym gmachem, w którym pięćdziesiąt lat wcześniej

Samuel Liebman założył bank inwestycyjny, gabinet stanowiący teraz sanktuarium Paula Liebmana był pomieszczeniem, w którym urzędował Sam, kiedy Ruth odwiedziła męża, aby ubłagać go, by przygarnął pod swój dach filigranową blondynkę z Niemiec.

Do tego właśnie gabinetu wmaszerował swoim długim nonszalanckim krokiem syn owej dziewczyny, przywitał się z ojcem Tamary i spokojnie usiadł.

Paul Liebman zmierzył młodego człowieka uważnym spojrzeniem.

- Czyśmy się już kiedyś nie spotkali, panie Tripp? - zapytał, mając wrażenie, że twarz gościa, jak wynikało z wizytówki: pracownika szacownej kancelarii adwokackiej, jest mu skądś znajoma.

- Raz, panie Liebman. W ubiegłym roku.

- Wybaczy pan, pamięć nie służy mi już tak dobrze jak kiedyś...

Noel obdarzył starszego pana ciepłym uśmiechem.

- Towarzyszyłem Tamarze. Jestem zeszłorocznym absolwentem harwardzkiego wydziału prawa.

- Ach, tak - rzekł pochmurniej Paul Liebman. - Wnioskuje jednak, panie Tripp, że powodem pańskiej wizyty nie jest moja córka. W czym mógłbym panu pomóc?

Sekretarka uzgodniła spotkanie mając pewność, że Noel reprezentuje interesy swojej firmy.

- Obawiam się, proszę pana, że pański wniosek jest błędny. Powodem mojej wizyty jest istotnie pańska córka... jak również, skoro nie zamierzam owijać niczego w bawełnę, ja sam.

- Czy Tamara wpadła w jakieś kłopoty? - Paula przeszedł nagły dreszcz. Przypomniał sobie, kim jest ten młokos. Znienawidził go od pierwszego wejrzenia.

- Nie, nie - pospiesznie uspokoił go Noel. - Nie wpadła w żadne kłopoty, lecz w sytuację bardzo dla niej... sympatyczną. - Wychodził ze skóry, by zapanować nad zdenerwowaniem. - Kochamy się, panie Liebman, już od dość dawna.

- Trudno mi w to uwierzyć, panie Tripp. Nie przypominam sobie, by kiedykolwiek wymieniała pańskie nazwisko.

- Zapewne dlatego, że obawiała się pańskiej reakcji. Zanim jednak przejdę do rzeczy, muszę wspomnieć o czymś, co moim zdaniem i tak wcześniej czy później wyjdzie na jaw. Miejmy to zatem z głowy - rzekł Noel, zadając sobie w duszy pytanie, czy przypadkiem nie zwariował, skoro popełnia takie szaleństwo. Nigdy dotąd nie był w tak trudnej sytuacji. - Dwadzieścia siedem lat temu pańska matka udzielała się w pewnej nowojorskiej organizacji charytatywnej. Otoczyła wówczas opieką - ciągnął, nie bacząc na to, że twarz Liebmana nagle stężała - młodą dziewczynę, uciekinierkę z Niemiec. Tę właśnie dziewczynę poślubił pan z niewiadomych mi powodów, a stwierdziwszy, że jest w ciąży ze swoim poległym podczas oblężenia Berlina mężem, porzucił ją i

wystąpił o rozwód. Otóż... - zająknął się, lecz nie przerwał. - Otóż ja jestem jej synem.

Paul Liebman milczał przez chwilę jak rażony gromem, po czym zerwał się z miejsca.

- Proszę wyjść! - krzyknął, pokazując drzwi.

- Przedtem jednak pozwolę sobie zakomunikować panu, że z wzajemnością kocham pańską córkę i że... - również wstał z krzesła, dzięki czemu mógł patrzeć z góry nawet na wysokiego gospodarza - żywię wobec niej jak najuczciwsze zamiary. Czy ośmiela się pan mi powiedzieć, że ma zamiar poślubić Tamarę?

- Tak, proszę pana. Taki właśnie mam zamiar.

- Nigdy! Rozumie pan? Po moim trupie! Czy w tej intrydze macza palce pańska matka?

- Ależ skąd! - oburzył się Noel.

W oczach Paula Liebmana płonął gniew zrodzony z nigdy nie zapomnianej urazy.

- Zabraniam panu widywać się z Tamarą!

- A ja oznajmiam panu - powiedział spokojnie Noel - że ani ja, ani Tamara nie zastosujemy się do pańskiego rozkazu. Proszę się z tym pogodzić... nie ma pan wyboru.

Zamykając za sobą drzwi gabinetu, Noel słyszał, jak Paul Liebman z bezsilną wściekłością wali pięściami w blat biurka.

Kiedy Tamara poznała Arianę bliżej, pokochała ją niemal równie mocno jak własną matkę, kiedy zaś w Boże Narodzenie ogłosili z Noelem zaręczyny - dostała od przyszłej teściowej podarek, który niezwykle mocno ujął ją za serce. Noel, zawczasu wtajemniczony przez Arianę, porozumiewawczo, z pelgającym wokół ust uśmiechem zerkał na matkę, gdy Tammy rozwijała kolorową paczuszkę, z której wypadł na rękę zaskoczonej dziewczyny należący niegdyś do Kassandry sygnet z brylancikami.

- O mój Boże... - wyjąkała Tammy. - Ależ... to niemożliwe!

Popatrzyła z niedowierzaniem najpierw na Arianę, potem na szeroko uśmiechniętego Maxa, wreszcie padła w ramiona Noela i wybuchnęła płaczem.

- To twój pierścionek zaręczynowy - powiedział Noel. - Mama kazała dopasować go na twój palec. Przymierz.

Pasował idealnie i Tamara, która doskonale знаła historię tego klejnotu noszonego przez cztery pokolenia kobiet, rozplakała się jeszcze mocniej. Oderwała się od Noela, podbiegła do jego matki i wyszeptala przez łzy:

- Och, dziękuję, Ariano, bardzo dziękuję.

- Już dobrze, kochanie, już dobrze. Należy do ciebie i niechaj przyniesie ci w życiu dużo szczęścia - odparła Ariana.

Trzy dni później postanowiła wziąć sprawę dwojga młodych w swoje ręce. Drżała nieco,

kiedy wykręcała numer biura Paula Liebmana. Przedstawiła się jako pani Thomas, uzgodniła spotkanie i nazajutrz, nie mówiąc nic Noelowi i Maxowi, pojechała taksówką na Wall Street. Uznała, że już najwyższy czas porozmawiać w cztery oczy z byłym mężem.

W czarnej sukni, ciemnym futrze z nerek i tylko ze szmaragdem na palcu spokojnie wkroczyła do gabinetu, zaanonsowana przez sekretarkę.

- Pani Thomas? - Paul podniósł głowę i oczy mu rozszerzyło zaskoczenie. Mimo to zauważył, jak niewiele zmieniła się Ariana w ciągu owych niemal trzydziestu lat, jakie upłynęły od ich ostatniego spotkania.

- Witaj, Paul - powiedziała, czekając, aż poprosi, by usiadła. - Doszłam do wniosku, że powinnam się z tobą zobaczyć. W sprawie naszych dzieci. Pozwolisz, że usiądę?

Niezgrabnym ruchem wskazał jej krzesło.

- Jak się orientuję, mój syn złożył ci już wizytę - dodała.

- Zupełnie bezcelową - odrzekł, marszcząc czoło. - Z twojej też niewiele wyniknie.

- Być może. Ale moim, zdaniem nie są tu ważne nasze uczucia, lecz uczucia naszych dzieci. Zrazu podzielałam twój punkt widzenia i byłam stanowczo przeciwna ich związkowi, doszłam jednak do wniosku, że skoro pragną być ze sobą, nasze opinie nie mają znaczenia.

- Czy mógłbym zapytać o powody twoich obiekcji?

- Zakładałam, że niechęć do mnie przeniesiesz na Noela. - Urwała na chwilę, potem podjęła znacznie cichszym głosem: - Postąpiłam bardzo, bardzo źle, ale zdałam sobie z tego sprawę dopiero później. Wtedy, ogarnięta rozpaczą, potrafiłam myśleć tylko o tym, czego ja nie mogę dać dziecku, a ty możesz mu zapewnić... Cóż zresztą mogę ci powiedzieć, Paul? Zbłądziłam.

Wpatrywał się w nią bardzo długo, wreszcie zapytał:

- Masz więcej dzieci, Ariano?

- Nie - odparła z nieznacznym uśmiechem. - I ponownie wyszłam za mąż dopiero w ubiegłym roku.

- Przypuszczam, że nie z tęsknoty za mną zwlekałaś z tym tak długo?

- Miałam syna i po prostu nie chciałam już wychodzić za mąż - westchnęła.

- Kto zdołał sprawić, że zmieniłaś postanowienie?

- Stary przyjaciel. Ty za to, na ile się orientuję, zawarłeś nowy związek dość szybko?

Skinął głową.

- Ledwie uprawomocnił się nasz rozwód. Z koleżanką szkolną. - Teraz on westchnął. - Koniec końców takie są najlepsze. Dlatego właśnie sprzeciwiłem się związkowi Tamary z Noelem. To, że jest twoim synem, miało mniejsze znaczenie. To dobry chłopak, Ariano, i porządny człowiek. Znalazł w sobie odwagę, by przyjść tu i powiedzieć wszystko prosto z mostu. Szanuję

takich mężczyzn. Okazał znacznie większą uczciwość niż Tamara. Rzeczywisty problem jednak nie polega na tym, czy byliśmy kiedyś małżeństwem, czy też nie, ale na tym, co reprezentują sobą nasze dzieci. Zastanów się nad korzeniami swojego syna, nad jego dziedzictwem. Zastanów się nad swoją rodziną, Ariano. A my jesteśmy Żydami. Czy naprawdę widzisz przed nimi przyszłość?

- Widzę, ale to zależy od nich. W gruncie rzeczy to, że ja jestem Niemką, a ty Żydem, nie ma wielkiego znaczenia. Być może miało tuż po wojnie, ale teraz chcę wierzyć, że się zupełnie nie liczy.

Paul Liebman stanowczo pokręcił głową.

- Jesteś w błędzie, Ariano, to nigdy się nie zmieni. Nas już dawno nie będzie, a problem pozostanie.

- Czy nie mógłbyś przynajmniej dać im szansy?

- Szansy na co? Żeby mogli mi udowodnić, że się myłę? Albo na to, żeby szybciotko spłodzili troje dzieci, a za pięć lat oświadczyli mi, że się rozwodzą, bo jednak miałem słusność?

- Naprawdę myślisz, że możesz im czeokolwiek zabronić? ' - Może.

- A co z następnym mężczyzną w życiu Tamary? I jeszcze następnym?... Czy nie zdajesz sobie sprawy, że twoja córka tak czy owak postąpi, jak zechce? Poślubi, kogo zechce, i ułoży sobie życie tak, jak będzie miała ochotę? Nie licząc się z twoimi uczuciami, już od roku żyje z Noelem. Jedynym przegranym będziesz w końcu ty, Paul. Może nadszedł czas, byś zakończył tę wojnę pomiędzy nami i inaczej niż dotąd spojrział na nowe pokolenie. Mój syn nawet nie chce być, Niemcem, może zatem i twoja córka nie ma najmniejszej ochoty obnosić się ze swoim żydowskim pochodzeniem., - No to kim chce być w życiu?

- Człowiekiem, kobietą, prawnikiem. Nie zawsze rozumiem dzisiejszą młodzież, jest tak niezależna i wolnomyślna... - Uśmiechnęła się z lekka. - I może to dobrze, że jest właśnie taka. Syn czasem mi powtarza, że wojna, o której mówimy tak często, była naszą wojną, nie ich. Widzą w niej tylko historię, podczas gdy my prawie zawsze wciąż żywą rzeczywistość.

- Patrzyłem na niego - powiedział Paul, ścisząc głos niemal do bolesnego szeptu - ale miałem przed oczyma zdjęcia, które oglądałaś tamtego dnia. I wyobrażałem go sobie w mundurze... faszystowskim mundurze, takim samym, jaki nosił jego ojciec... - Mocno zacisnął powieki, potem martwym wzrokiem spojrział na Arianę. - Jest do niego bardzo podobny, prawda?

Nie bardzo wiedząc, co odrzec, zauważyła tylko:

- Ale Tamara wcale nie przypomina ciębie.

Paul uśmiechnął się kątem ust.

- Jest podobna do matki. Jej siostra to wykapana Julie... a syn - w jego głosie zabrzmiała duma. - Syn jest podobny do mnie.

- Cieszę się - stwierdziła krótko Ariana. Po długiej chwili ciężkiego kłopotliwego milczenia zapytała: - Byłeś szczęśliwy?

Pokiwał głową.

- Tak. A ty? Czasem rozmyślałem o tobie, zastanawiając się, gdzie jesteś i co robisz. Bywało, że chciałem cię odszukać, powiedzieć ci, że wciąż o tobie myślę, ale bałem się, że...

- Czego?

- Że zrobię z siebie idiotę. Z początku czułem się głęboko urażony, miałem wrażenie, że po prostu wystrychnęłaś mnie na dudka. To matka zrozumiała w końcu twoje motywy, prawdziwe motywy... pojęła, że to, co zrobiłaś, zrobiłaś dla dziecka, ale zarazem chyba mnie kochałaś.

Na wspomnienie Ruth do oczu Ariany napłynęły łzy.

- Kochałam cię, Paul.

Po kolejnej długiej chwili milczenia Paul lekko uniósł głowę.

- I co zrobimy teraz z naszymi dziećmi, Ariano?

- Pozwolimy im postąpić, jak będą chciały. Pogodzimy się z tym.

Uśmiechnęła się, wstała i z wahaniem wyciągnęła rękę, Paul Liebman jednak jej nie uścisnął. Obszedł biurko i na krótko przytulił Ariane.

- Żałuję tego, co się stało przed laty - wyznał. - Żałuję, że okazałem się zbyt małoduszny, aby zrozumieć i wysłuchać twoich wyjaśnień.

- Tak widać musiało być, Paul.

Wzruszył ramionami, Ariana zaś pocałowała go w policzek i zostawiając pogrążonego w myślach, wyszła z gabinetu.

ROZDZIAŁ 50

Ślub został zaplanowany na lato, kiedy Tamara skończy studia, znajdzie pracę i razem z Noelem rozejrzy się za odpowiednim mieszkaniem.

- Ale najpierw pojedziemy do Europy! - oznajmiła rozradowana Ariana i Maxowi.

- Dokąd? - zainteresował się Max.

- Do Paryża, na Riwierę, do Włoch... a potem Noel chce mnie zabrać do Berlina.

Tym razem w oczach Ariany nie pojawił się cień.

- To piękne miasto. Przynajmniej było piękne. - Ariana często oglądała zdjęcia, które przed dwoma laty z podróży przywiózł Noel: jedno przedstawiało rezydencję w Grunewaldzie, wspierając jej pamięć, pozwalało bowiem dokładnie ujrzeć zapomniane już szczegóły; na drugim widniał zameczek Manfreda, o którym tyle słyszała, lecz nigdy nie widziała go na oczy. - Na jak długo zamierzacie wyjechać?

- Na miesiąc. - Tamara marzycielsko westchnęła. - To moje ostatnie beztroskie wakacje, a biedny Noel musiał się nieźle nagimnastykować, żeby dali mu cztery tygodnie urlopu.

- Po co jedziecie na Riwierę?

- Żeby odwiedzić Brigitte, moją koleżankę ze studiów. Ale najpierw - Tamara szeroko uśmiechnęła się do Ariany - musimy jakoś przeżyć ślub i wesele.

- Zobaczysz, że wszystko pójdzie jak po maśle.

Paul na koniec zmiękł i nawet przyznał, że lubi Noela, o programie zaś ceremonii - już w lutym zaplanowanej na czerwiec - Ariana słuchała nieustannie.

Kiedy wreszcie nadszedł wielki dzień, Tamara wyglądała oszałamiająco w kremowej kreacji z atłasu i bezcennej koronki z Chantilly oraz w miniaturowym stroiku, spod którego spływał zwiewny welon.

Nawet Ariana była pod wrażeniem.

- Mój Boże, Max, ona wygląda fantastycznie - stwierdziła.

- Jasne - odparł, spoglądając z dumą na żonę - ale Noelowi też nic nie brak.

Istotnie, wysoki jasnowłosy młodzieniec znakomicie prezentował się we fraku i spodniach w prążki; miał - musiała przyznać Ariana - szalenie nordycki wygląd, lecz to nie miało znaczenia. Paul Liebman dobrotliwie uśmiechał się do młodej pary, na której wesele wydał fortunę, pragnąc zrealizować marzenia żony. Ariana poznała dopiero teraz tę sympatyczną spokojną kobietę, będącą zapewne dla Paula przez wszystkie te lata idealną towarzyszką życia.

Debbie i Julie, również obecne na uroczystości, rozmawiały z Arianą tylko zdawkowo. Przestała dla nich istnieć w dniu, kiedy rozstała się z Paulem.

Sam Paul zerkał na nią od czasu do czasu, a raz ich oczy spotkały się na moment i wtedy Ariana po raz pierwszy od bardzo dawna pomyślała ciepło o byłym mężu. I w tej samej chwili z bolesnym ukłuciem w sercu przypomniała sobie Ruth i Sama.

- Ano, pani Tripp, jakoś przez to przebrnęliśmy - powiedział Noel.

Tammy musnęła wargami jego szyję.

- Kocham cię - wyszeptała.

- Ja też cię kocham, ale jeśli nie przestaniesz, nasza noc poślubna zacznie się tu, na pokładzie samolotu.

Uśmiechnęła się figlarnie, opadła na fotel i z westchnieniem spojrzała na zdobiący jej dłoń przepiękny sygnet z brylantami. Nie do wiary, że Ariana obdarowała ją czymś tak cudownym. Darzyła matkę Noela prawdziwą miłością i zdawała sobie sprawę, że to uczucie jest odwzajemniane.

- Chciałabym w Paryżu kupić dla twojej mamy coś fantastycznego, Noelu - oświadczyła.

- Na przykład? - mruknął, podnosząc wzrok znad książki. Dwuletni przedmałżeński staż miał ten plus, że ceremonii ślubu nie towarzyszyła emocjonalna gorączka - Co ci chodzi po głowie?

- Nie wiem. Coś ekstra. Na przykład obraz albo suknia od Diora.

- Czyli prezencik naprawdę ekstra. Skąd taki pomysł?

Błysnęła mu przed oczyma zaręczynowym pierścieniem, a Noel tylko się uśmiechnął.

Paul zafundował im wykwintny apartament w Hotelu Plaza-Athenee i po pierwszej kolacji miodowego miesiąca, którą zjedli u siebie przy blasku świec, zeszli do sławnego baru Relais Plaza, wypełnionego tłumem ludzi o osobliwym, z ich punktu widzenia, wyglądzie: obwieszeni złotymi łańcuchami mężczyźni nosili rozpięte do pępka koszule, kobiety zaś czerwone atłasowe dzwony albo dzinsy, a do tego kuse futrzane kurteczki.

Mało brakowało, a Tammy nie rozpoznałaby Brigitte, z którą byli umówieni: koleżanka miała wybladłą twarz, silnie uszmińkowane wargi i nastroszone włosy, nosiła zaś smoking na skąpym czerwonym staniczku i czarny atłasowy cylinder. Była jednak jak dawniej czarującą drobną blondyneczką o figlarnych oczach.

Kiedy Tamara dała wyraz zaskoczeniu wyglądem przyjaciółki, Brigitte Goddard stwierdziła:

- Moja droga, nie miałam pojęcia, że jesteś konserwatywna. - Potem popatrzyła na Noela i powiedziała z uznaniem: - Wiesz, Noelu, chyba wyprzystojniałeś.

Tammy parsknęła śmiechem.

- Hej, nie kombinujcie, a zwłaszcza ty, Brigitte, bo ten facet to mój mąż. Głupia sprawa...

Brigitte zmarszczyła nos.

- Nie jest w moim typie. Za wysoki.

- Uważaj, co mówisz - ostrzegła Tammy. - Jest przewrażliwiony na punkcie swojej powierzchowności.

Spędzili we trójkę przyjemny wieczór, nazajutrz zaś Brigitte zaserwowała im potężną dawkę Paryża: lunch w Brasserie Lipp w Dzielnicy Łacińskiej, tańce u Castela i w Chez Regine, a następnego już dnia śniadanie w Halach i po niezbędnym odpoczynku, kolację u Maxima.

Karuzela barów, restauracji i przyjęć toczyła się bez przerwy: wszyscy, jak się zdawało, znali Brigitte, zmieniającą kostiumy na coraz bardziej ekscentryczne, wszyscy mężczyźni kładli się plackiem u jej stóp, czemu Tammy i Noel przyglądali się ze szczerym podziwem.

- Czyż nie jest fantastyczna? - wyszeptła Tammy do ucha Noela, kiedy oglądali kreacje w firmowym butik Courreges'a.

- Tak, i nieźle szurnięta. Chyba wolę ciebie, skarbie.

- Kamień spadł mi z serca.

- Nie mam szczególnej ochoty na tę wizytę u jej rodzinki.

- Och, to sympatyczni ludzie.

- No dobra, dwa dni i zabieramy się od nich, Tammy. Chcę być z tobą, a nie z jakimiś żabojadami. W końcu to nasz miodowy miesiąc.

- Przepraszam, najdroższy, że cię w to wrobiłam. - Nie przepraszaj, tylko daj słowo, że po dwóch dniach na Riwerze zmywamy się do Włoch. Stoi?

- Tak jest, o panie - odparła, salutując sprężyście.

Następnymi punktami ułożonego przez Brigitte programu były sklepy Balmaina, Givenchy'ego i Diora.

Właśnie w tym ostatnim Tammy znalazła coś, czego szukała dla Ariany: beżową koktajlową suknię z jedwabiu, która z pewnością będzie komponować się cudownie z fiołkowymi oczyma matki Noela. Wypatrzyła również odpowiednią apaszkę i parę kolczyków. Rachunek wyniósł przeszło czterysta dolarów i Noel aż jęknął.

- Nie rób takiej miny - powiedziała Tammy. - Pamiętaj, że od września zaczynam pracę.

- Miejmy nadzieję. Bo jeśli dalej będziesz kupować takie prezenty, to...

Oboje jednak wiedzieli, że ten jest czymś wyjątkowym, podziękowaniem Tammy za pierścionelek.

Brigitte zwróciła na niego uwagę już pierwszego wieczoru, a potem - sama to zresztą przyznając - nieustannie nań zerkała. Nawet w dziale biżuterii antykwariatu jej ojca nie było nic równie pięknego.

W przeddzień wyjazdu z Paryża zabrała zresztą Noela i Tammy do położonej przy

Faubourg St.-Honore galerii ojca, najprawdziwszego skarbcza pełnego Renoire'ów i Piccasów, szkatulek Fabergego, zabytkowych klejnotów, popiersi i posązków.

Pod koniec zwiedzania Noel popatrzył na Brigitte i powiedział z zachwytem:

- To najprawdziwsze muzeum, tylko znacznie bogatsze niż wiele innych.

Skinęła głową i wywołując uśmiech na twarzach Noela i Tammy, odparła z przesadną być może skromnością:

- Tak, papcio ma kilka niezłych staroci.

Ojciec wysłał Brigitte do Radcliffe mając nadzieję, że zdobędzie solidną wiedzę z historii sztuki, dziewczyna wszakże wolała prywatki, mecze futbolowe, przystojnych studentów i trawkę. Po dwóch latach wróciła do Francji, by oddawać się tym samym rozrywkom w swojskim wydaniu. Napomykała wprawdzie od czasu do czasu o robieniu dyplomu z fotografii czy kręceniu jakiegoś filmu, lecz było oczywiste, że jej ambicje życiowe nie są zbyt wygórowane. Przypominała chochlika, który lata to tu, to tam, nigdzie zbyt długo nie zagrzewając miejsca. Zauważalny w niej niepokój stawał się w zastraszającym tempie mal du siecle.

- Zdumiewające, ale sprawia takie wrażenie, jakby nigdy nie chciała dorosnąć - zauważyła Tammy.

Noel wzruszył ramionami.

- Są na tym świecie i takie egzemplarze - odparł. - Jaki jest jej brat?

- Taki sam, tylko jeszcze gorszy.

- Dlaczego?

- A bo ja wiem? Rozpuszczony, może nieszczęśliwy. Musisz zobaczyć rodziców, żeby cokolwiek zrozumieć. Mamuśka to nieprzyjemna, ale nad wyraz hojna niewiasta, ojciec zaś... cóż, jest zamkniętym w sobie człowiekiem i sprawia takie wrażenie, jakby prześladowały go duchy.

ROZDZIAŁ 51

Po trwającym niespełna godzinę locie w Nicei powitał ich w hali przylotów Bernard Goddard. Równie jasnowłosy i urodziwy jak siostra, stał na bosaka, ubrany w jedwabne spodnie i takąż koszulę. Wyglądał na nieobecnego duchem, jak człowiek, którego bez jego wiedzy nagle przeniesiono w sam środek gwarne go portu lotniczego. Taki stan rzeczy mogłoby zapewne wyjaśnić zamknięte w skrytce jego ferrari srebrne puzderko z marihuaną.

Wciągany do rozmowy przez Tammy i Noela, zdołał jakoś obudzić się do życia.

- Zamierzam w listopadzie machnąć się do Nowego Jorku - oznajmił z anielskim uśmiechem, Noel zaś stwierdził z zaskoczeniem, że chyba już widział jego twarz... Może na jakimś zdjęciu? - Będziecie wtedy w mieście?

- Będziemy - odparła Tammy.

- Kiedy się wybierasz do Nowego Jorku? - spytała zaskoczona Brigitte.

- W listopadzie.

- Myślałam, że na ten czas planujesz wyskok do Brazylii.

- Do Brazylii chciałem lecieć potem. A zresztą i tak Mimi ma większą ochotę na Buenos Aires.

Brigitte ze zrozumieniem kiwnęła głową, Noel zaś i Tammy wymienili zdumione spojrzenia. Tammy nie przypominała sobie, by w dawniejszych czasach młodzi Goddardowie byli ludźmi tak wyzwolonymi. Nagle pożałowała, że ustalając plany podróży uwzględniła wizytę w St.-Jean - Cap - Ferrat.

- Chcesz się zmyć jutro rano? - wyszeptała Noelowi do ucha, kiedy w ślad za Brigitte i Bernardem przekraczali progi zabytkowego domu.

- Jasne. Mogę powiedzieć, że przy okazji podróży poślubnej mam się spotkać w Rzymie z klientem firmy.

Konspiracyjnie skinęła głową i ramię w ramię z mężem weszła do ogromnej sypialni z zabytkowym włoskim łóżem, bezkresnym sklepieniem, widokiem na morze, posadzką z jasnobeżowego marmuru i obszernym tarasem, gdzie na bujaku stał przewidująco przyniesiony przez Brigitte telefon.

Lunch podano w ogrodzie, a Brigitte z bratem, mimo swoich ekstrawaganckich żywotów i planów, zdołali zadowolająco wywiązać się z obowiązków gospodarzy, Noel zaś i Tammy stracili poczucie, że są więźniami kolonii karnej z filmu science fiction. Wreszcie poczuli się normalnymi gośćmi w normalnym domu.

To wrażenie pogłębiło się wieczorem, podczas oficjalnej kolacji, kiedy zostali

przedstawieni starszym państwu Goddardom. Matka Brigitte okazała się nieco zbyt masywną, lecz wciąż uderzająco piękną kobietą o błyszczących zielonych oczach, oślepiającym uśmiechu i długich cudownie zgrabnych nogach. Miała w sobie twardość człowieka nawykłego do decydowania o losie swoim i innych; niezbyt, jak się zdawało, zachwycona własnymi dziećmi, natychmiast uznała Noela i Tammy za czarującą parę, czyniąc wszystko, aby wyrzeć wrażenie dobrej gospodyni, która ani na chwilę nie dopuszcza, by cokolwiek wymknęło się jej z rąk - w tym również mąż, przystojny wysoki blondyn o smutnych niebieskich oczach.

Kiedy w pewnym momencie madame Goddard uprowadziła Tammy, aby pokazać jej bezcennego małego Picassa, Gerard Goddard wszczął z Noelem żywszą rozmowę i wtedy młody człowiek zwrócił uwagę na jego dziwny akcent, może belgijski, a może szwajcarski. Jedno nie ulegało wątpliwości: ten wiecznie zatroskany mężczyzna o przedwcześnie pomarszczonej twarzy nie był rodowitym Francuzem.

Po powrocie pań znów zaczęła się niezobowiązująca paplanina; Gerard Goddard mówił właśnie coś o cenie akra gruntu na francuskiej prowincji i kłopotach ze zdobyciem bezszęsnego drewna, gdy nagle urwał w pół słowa, zapatrzony w pierścienek na palcu Tammy. Nie pytając o pozwolenie, chwycił dłoń młodej kobiety i wbił wzrok w roziskrzony brylanciki.

- Ładny, prawda, papciu? - powiedziała Brigitte, widząc zainteresowanie ojca.

- Prześliczny - odparł Gerard Goddard, nie wypuszczając z ręki dłoni Tammy. - Czy pozwoli pani, że go obejrzę?

Tammy uśmiechnęła się, zsunęła klejnot z palca i podała gospodarzowi.

- To zaręczynowy pierścienek. Dostałam go od Noela - wyjaśniła.

- Naprawdę? Gdzie go pan kupił? W Stanach?

- Dostałem od matki - odparł Noel. - Należał do niej.

- Tak?

- To długa rodzinna historia, którą zapewne lepiej opowiedziałaby panu mama, gdyby kiedyś był pan w Ameryce.

- Tak, tak... - wymamrotał. - Kiedyś zapewne będę i przy okazji pozwolę sobie porozmawiać z pańską matką. Bo wie pan - dodał pośpiesznie - otworzyliśmy niedawno dział biżuterii, byłbym zatem ogromnie zainteresowany innymi jej klejnotami.

- Nie sądzę - odrzekł powściągliwie Noel - by poza drugim pierścieniem po mojej babce miała coś jeszcze.

- Drugim? - Oczy Gerarda Goddarda przybrały idealnie okrągłe kształty.

- Tak - wtrąciła się Tammy. - To cudowny szmaragd. - Rozstawiła palce. - Mniej więcej takiego rozmiaru.

- W takim razie koniecznie muszę się z nią skontaktować.

- Żaden problem. - Noel wyjął notes, wyrwał kartkę i zapisał na niej adres i telefon Ariany.

- Jestem pewien, że mama chętnie się z panem zobaczy, jeśli kiedykolwiek drogi zaprowadzą pana do Nowego Jorku.

- Czy pańska matka będzie w mieście tego lata?

Noel skinął głową, a monsieur Goddard uśmiechnął się pod nosem.

Kolacja skończyła się dość wcześnie, Tammy i Noel bowiem chcieli się wyspać przed jutrzejszą wyprawą do Rzymu, Brigitte i Bernard zaś wybierali się na przyjęcie, którego początek - jak utrzymywali - miał nastąpić około północy, w salonie więc pozostali tylko starsi państwo Goddardowie.

- Chyba nie zaczynasz na nowo tych idiotyzmów? - zapytała nieprzyjemnym tonem pani Goddard. - Widziałam wzrok, jakim gapiełeś się na pierścionek tej dziewczyny.

- Jeśli jej teściowa ma inne, warto by było za nimi pochodzić, bo w galerii nie mamy równie pięknych klejnotów. A zresztą i tak muszę w tym tygodniu polecieć do Nowego Jorku.

- Czyżby? - Prześwidrowała go podejrzliwym spojrzeniem. - Po co? Dotąd o tym nie wspominałeś.

- Prywatny kolekcjoner zamierza sprzedać doskonałego Renoire'a. Chcę obejrzeć obraz, zanim rzuci go na rynek.

Pani Goddard ze zrozumieniem pokiwała głową. Mimo swych wielu czysto ludzkich ułomności Gerard doskonale prowadził galerię, z pewnością lepiej niż jej ojciec, dlatego interes był w tej chwili firmowany jego nazwiskiem. Takie zresztą rozwiązanie brano pod uwagę od początku, kiedy - tuż przed powrotem z wojennej emigracji w Szwajcarii - przygarnęli chłopaka, dali mu pracę i wykształcenie w dziedzinie historii sztuki.

Gdy na powrót znaleźli się w Paryżu, Giselle była już w ciąży. Jej ojciec nie dał młodemu człowiekowi wyboru, w końcu jednak Gerard zaczął grać w rodzinie pierwsze skrzypce, opanował tajemnice branży tak doskonale, że pod jego zarządem galeria odniosła olbrzymi sukces. Giselle był w tej chwili obojętny - dali mu, czego pragnął: dom, nowe życie, sukces zawodowy i pieniądze, które umożliwiały mu trwające już dwadzieścia kilka lat poszukiwania najbliższych.

Po sześćdziesięciu wyprawach do Berlina Gerard wiedział w duchu, że jego wysiłki okażą się bezowocne, mimo to wciąż ruszał nowymi tropami - szukając kogoś, kto znał kogoś, kto słyszał, że... Zapewne nie żyją, w przeciwnym bowiem razie to oni by go odnaleźli. W końcu jego nowe nazwisko brzmiało dość podobnie: Gerard Goddard zamiast Gerhard von Gotthard. Bo niemieckie nazwisko w powojennej Francji narażało człowieka na okrutne kpiny, ludzki gniew, napaści fizyczne. Nie potrafił długo tego znosić. Teraz, po wszystkich tych latach, był bardziej

Francuzem aniżeli Niemcem. To wszakże nie miało już znaczenia. Nic nie miało znaczenia. Marzenia rozwiały się jak dym.

Czasem zastanawiał się, jak by postąpił, gdyby ich odnalazł. Co by to w gruncie rzeczy zmieniło? W głębi ducha wiedział, że wszystko. Znalazłby wreszcie w sobie odwagę, by porzucić Giselle, wziąłby w karby swoje rozpuszczone dzieci, a może nawet sprzedał galerię i dla odmiany zaczął się cieszyć życiem. Uśmiechnął się pod nosem, świadom, że odnalezienie najbliższych nie byłoby końcem czegoś, lecz początkiem spełnienia życiowych marzeń.

Nazajutrz rano Tammy i Noel pożegnali się z Brigitte i jej bratem. Już się zbierali do wyjścia, gdy po schodach zbiegł Gerard Goddard. Spojrzał Noelowi głęboko w oczy, zastanawiając się, czy... nie, to szaleństwo... czysta niemożliwość... ale może ta pani Thomas coś jednak wie?... W końcu z takimi szaleństwami Gerard Goddard żył prawie trzydzieści lat.

- Dziękuję panu za uroczą gościnę, panie Goddard.

- Ależ nie ma za co. Noelu... Tamaro... mamy szczerą nadzieję ujrzeć państwa jeszcze w naszych progach.

Nie wspomniał o swoich planach podróży do Nowego Jorku i tylko na pożegnanie pomachał dłonią dwojgu młodym ludziom.

- Twoi amerykańscy znajomi wywarli na mnie sympatyczne wrażenie - powiedział do córki.

Brigitte, co zdarzało się niesłychanie rzadko, odpowiedziała uśmiechem. Zwykle była tak nieodgadniona, daleka, nieszczęśliwa. Gerard czuł, że właściwie nie istnieje w jej życiu.

- Też ich lubię, papciu. Są fajni.

Odprowadziła go wzrokiem, kiedy wracał do siebie, a godzinę później usłyszała, że dzwoni do biura Air France. Matki już nie było, kiedy nonszalancko wkroczyła do sypialni ojca.

- Gdzieś się wybierasz, papo? - zapytała.

- Tak, do Nowego Jorku. Dziś wieczorem.

- W interesach? - Pokiwał głową. - Mogę lecieć z tobą?

Zaskoczony poderwał głowę. Nagle wydało mu się, że jego córka jest równie samotna jak on. Ale tę podróż musiał odbyć sam. Może następnym razem... jeśli...

- Wspólną wycieczkę odłożmy na później - zaproponował. - Teraz lecę na krótko i czekają mnie trudne rozmowy.

- Naprawdę następnym razem weźmiesz mnie ze sobą, papo? - zapytała Brigitte, stojąc już przy drzwiach.

Oszołomiony, że córce na czymś zależy, obiecał:

- Tak, masz moje słowo.

Rozmawiając później z Giselle, wyrażał się enigmatycznie o swoich zamierzeniach, a potem dyskretnie poszedł do pokoju, spakował niewielką torbę podróżną - wyprawa bowiem miała trwać najwyżej dwa dni - wreszcie zaś pospiesznie ucałował żonę i dzieci, wsiadł do samochodu i pojechał na lotnisko. Zdążył akurat na lot z Nicei do Paryża, gdzie przesiadł się do samolotu do Nowego Jorku. Na lotnisku złapał taksówkę, kazał się zawieźć w pobliże adresu podanego przez Noela i wysiadł koło budki telefonicznej. Drżącym palcem wykręcił numer.

- Czy pani Thomas?

- Tak.

- Obawiam się, że mnie pani nie zna, moja córka jednak jest przyjaciółką Tammy i...

- Czy coś się stało? - wykrzyknęła z przerażeniem.

Gerard stwierdził, że w jej głosie nie pobrzmiewają żadne znajome nuty. A więc zapewne kolejny pościg za ułudami.

- Ależ nic - zapewnił ją pospiesznie. - Rankiem pojechali do Włoch, wszystko jest w najlepszym porządku. Pomyślałem po prostu... sprowadzają mnie tu interesy... obraz Renoira... a pierścionek pani synowej wywarł na mnie ogromne wrażenie. Wspomniała, że ma pani jeszcze jeden, ze szmaragdem, dysponowałem wolną chwilą, przyszło mi więc do głowy, żeby... żeby - zająknął się i umilkł.

- Mój szmaragd nie jest na sprzedaż.

- Oczywiście, oczywiście, rozumiem.

Biedaczysko, pomyślała Ariana, taki po chłopięcemu zakłopotany. To zapewne ten Gerard Goddard, o którym wspominała jej Tammy. Nagle wyrzuciła sobie, że okazała mu tak mało życzliwości.

- Gdyby jednak chciał go pan obejrzyć, zapraszam do siebie.

- Wpadnę z największą przyjemnością, pani Thomas... Za pół godziny? Doskonale.

Nie mając nawet hotelu, obarczony bagażem, kazał taksówkarzowi wozić się po Madison Avenue, Piątej Alei, po parku. Wreszcie na miękkich nogach wysiadł z samochodu.

- Mam poczekać? - zapytał usłużnie taksówkarz. Licznik nabił już prawie czterdzieści dolarów. Ale Francuz pokręcił głową, nie żądając reszty zapłacił pięćdziesięciodolarowym banknotem i ze swoją torbą podróżną i neseserem podbiegł do drzwi z dzwonkiem i kołatką z brązu. Nacisnął guzik.

Miał wymięte po długiej podróży ubranie i czuł się jak chłopiec, który daremnie czeka na powrót ojca. - Czy pan Goddard?

Ariana powoli otworzyła drzwi i z uśmiechem popatrzyła na gościa. I Ich oczy się spotkały - oczy identycznej fiołkowej barwy. Przez chwilę nie rozpoznawała mężczyzny i nic nie rozumiała,

człowiek jednak, który był kiedyś Gerhardem von Gotthardem, pojął nagle, że oto wreszcie, po tylu latach, odnalazł ją. Pochylił głowę i zaczął i bezgłośnie płakać. Stojąca przed nim kobieta miała twarz dziewczynki, która nawiedzała jego wspomnienia... tę samą twarz... te same roześmiane oczy.

- Ariana?

To słowo wypowiedział szeptem, a jednak było tego dość, by obudzić w jej duszy pamięć pokrzykiwania na schodach, w laboratorium, na dworze, wspomnienia wspólnych zabaw i śmiechów...

- Ariana... Ariano?... Ariana!!!

Z konwulsyjnym łkaniem rzuciła się w ramiona brata.

- Mój Boże... mój Boże... to ty... och, Gerhardzie - powtarzała raz za razem, tuląc ze wszystkich sił wysokiego jasnowłosego mężczyznę.

Stali tak nieskończenie długo, połączeni ze swoją przeszłością, teraźniejszością i wreszcie - ze sobą. A potem, uśmiechnięci i przepelnieni jakimś niezwykłym szczęściem, weszli do domu: dwoje ludzi, którzy przez tyle lat dźwigali na barkach brzemień samotności, lecz wreszcie się odnaleźli i byli w końcu wolni.